

ZYTA ORYSZYN

# HISTORIA CHOROBY. HISTORIA ŻAŁOBY

**POMOST**  
FARMACYA WYDAWNICZA

Zyta Oryszyn  
*Historia choroby, historia żaloby*

© 1992 Zyta Oryszyn

Na okładce wykorzystano fragment obrazu  
Bronisława Wojciecha Linke „Autobus” (1959–1961),  
własność Muzeum Narodowego w Warszawie

Oficyna Wydawnicza POMOST  
02-091 Warszawa, ul. Żwirki i Wigury 51 m. 19, tel. (0-22) 23-57-16

ISBN 83-85521-10-0

Druk: Zakład Poligraficzny HABERMAN, 05-150 Łomianki, ul. Jaśminowa 13

*Czarna iluminacja*



Sufit: zakurzony, opajęczony, ciężko wspierający się na brudnobłękitnych ścianach w cytrynowy rzucik. Wydawało się, że jest to niemożliwe, by zapomnieć, a jednak ciągle zapominała, że jego druga strona, jego rewers, jest kamienną posadzką celi Profesora. Nadal sprzątała u niego od czasu do czasu ale teraz sprzątanie było zupełnie czymś innym niż kilka lat temu, w pięćdziesiątym trzecim, czy pięćdziesiątym czwartym roku. Wtedy, wchodząc na pierwsze piętro po drewnianych, skrzypiących schodach leśnobrzeskiej kamienicy, właściwie wspinała się na pokryty niskopiennymi, suchymi badyłami grecki pagór, bo na takim właśnie pagórze mieszkał Profesor, odkąd postanowił ze skąpanych w platońskim blasku wyżyn śledzić to, co nazywał **MOŻLIWOŚCIĄ REALIZACJI PAŃSTWA**. To było nawet interesujące — tak wspinać się. Więc przedłużała wspinaczkę, rozglądała się, z butów wysypywała grecki piasek, wcale nie biały, wcale nie lśniaco-skrzypiący, bo pomimo zgody i na pagór i na kamienne posadzki — z białym, lśniącym piaskiem pogodzić się nie mogła. Piasek musiał być pokryty kopalnianym pyłem. Od kopalnianej, czarnej zawiesiny nie mogła się uwolnić. Pokryty był nią cały świat, nie tylko Leśny Brzeg, do którego po raz pierwszy, ale za to na dłuższy czas przyjechała wtedy, kiedy to HISTORIA sama, brzęknawszy kluczami do celi, w której znalazł się jej ojciec, spojrzała jej w oczy zielonkawymi, wyblakłymi tęczówkami obywatelki Rosołowicz i wsadziła do pociągu rękami Janeczki, dowożąc ją prosto w ramiona Nicole i Jot Ema. W pociągu śmierdziało.

Siedziała w przedziale przytłamszona ciężkim powietrzem i kobietą w czarnym paltocie ozdobionym wyliniałym lisem. Prerażona tym, że kto wie, kto wie, co zastanie na końcowej stacji. Kogo, co. Mimo

przerażenia — rozczulona, uradowana piżamą tkwiącą w walizce. Prawdziwa PIŻAMA. Pierwsza w życiu piżama! Do tej pory spała wiennej koszuli: wiosna — lato. Albo w barchanowym podkoszulku ojca: jesień — zima.

Mimo rozczulenia i rozradowania — wstyd; widać piżamy dostaje się wyłącznie wtedy, kiedy zostaje się córką amerykańskiego szpiega. Wprawdzie obywatelka Rosołowicz wyraziła się dosyć mgliście: — O Jezu, o Jezu — powiedziała — jeszcze z niego zrobią amerykańskiego najmitę — ale ona już dobrze wiedziała, co to znaczy. Najmitów bowiem było dwa rodzaje. Jeden żył w dawnych, ciężkich, sanacyjnych czasach, które opisywała poetka, Maria Konopnicka: był chłopem bez piędzi ziemi, który z tobołkiem na plecach, albo bez tobołka, szedł prosto przed siebie i najmował się za kawałek chleba do pracy, albo umierał. Nad tym rodzajem najmitów trzeba było co najmniej płakać. Ale ten drugi rodzaj żyje teraz, w tych samych czasach, co i ona. I jest niczym innym jak zaczajonym w zaroślach imperializmu sprzedawczykiem, który sprzedaje WROGOWI OJCZYZNĘ. Jednym słowem — jest amerykańskim szpiegiem na usługach kapitalistycznych podżegaczy wojennych.

O tym, że są szpiegowie wiedziała doskonale: — Często chowa się w naszej świadomości fakt, że istnieje reakcyjny, defetystyczny szpieg w naszej rzeczywistości polskiej — powiedziała obywatelka profesorka Lepiszyńska. I dodała: — Świetlana przyszłość świetlaną przyszłością. Jeszcze nowy dom jeszcze jednym nowym domem. Ale ty, MŁODE POKOLENIE, patrz pilnie i systematycznie. I nie zezuj. Szukaj wroga! Odstaniaj jego sanacyjną przyłbicę. Wytrącaj z jego dłoni religiancką broń! BUDUJ PRZYSZŁOŚĆ — to raz. Niech zawarczą motory stalowe — to dwa. Demaskuj wroga socjalistycznemu ustrojowi elementy, szczury w ideologicznie wyliniałych futrach — to trzy. Niech wam się wzniesie ręka, a OJCZYZNA stanie się wzorem wzrostu sytuacji gospodarczej i społecznej w porównaniu ze stanem przedwojennym. Zapłoną bombki szczęścia w każdym robotniczo-chłopskim domu, oświetlając twarz Wielkiego Wodza Ludu Pracującego miast i wsi — SOSO, a wy, w poczuciu spełnionego obowiązku — uśmiechniecie się. Węszcie, czy ktoś z otoczenia nie wykrzywia rysów w zatęchłym przedwojennym uśmiechu. Wojna trwa! Jak powiadają poeci: nie tak daleko stąd, nie tak daleko, pływają statki — upiory. A w statkach, jak w puszcze Pandory (pierwsza kobieta, którą wykuto) albo kołczanie Apolla (burżuazyjny, starożytny bóg wyroczni, zwany też Febem) — zdradliwa treść: karabiny, bomby, granaty, miny i tanki i COCA-COLA! Są jeszcze trusty, filie karteli. Są

jeszcze banki w Honolulu! Jeszcze pączkują akcje, udziały i dywidendy w Honolulu! W zamglonych barach jazz i cygara i sherry brandy w Honolulu! Jeszcze policjant na każdym rogu strzeże bezprawia w Honolulu! Jeszcze się pluje gumą do żucia w twarze przechodniów w Honolulu! (Honolulu — amerykańskie miasto na wyspie Oahu. Jazz — pornograficzna amerykańska parodia tańca. Coca-cola — narkotyk. Cherry brandy — dekadentcki alkohol dla tak zwanych wyższych amerykańskich bankierskich sfer).

UWAGA! UWAGA! Coca-cola, guma do żucia, stonka ziemniaczana, amerykański szpieg-najmita, to wrogowie twoi, wrogowie twoich matek i ojców! CZUJ CZUJ CZUWAJ!

CZUWAJ — zawyla wraz z całą klasą: głośno, pręźnie akcentując „aj”.

I poszła do domu, żeby przygotować się do przemówienia-referatu, który miała wygłosić na zebraniu szkolnego oddziału pionierów. Nad stolicą stało słońce: czerwone, prawie fioletowe, obrzękłe jak twarz grochowskiego pijaka-śmieciarza, Romea, który miał, jak mawiał, wszystkiego własnego tyle, co serce na ręce i dwoje dzieci w trumience.

Zleżały śnieg pod stopami. Mroźne powietrze. Stolica dyszy mroźnie, stolica dyszy groźnie, stolica się buduje. A ona idzie tak: niby to ślizga się, dlaczego by nie? Ma przecież dopiero czternaście lat i to niedokończone, więc może się ślizgać, a przy okazji, niby to zwyczajnie, patrzeć w twarze przechodniów, bo przecież może się zdarzyć, że właśnie tu, na tej ulicy, peryferyjnej, ale zawsze ulicy, pojawi się znie-nacka SZPIEG. Będzie miał niewygolone policzki, bruzdowate, wyszarżale i zapadnięte dla niepoznaki, jak porządny, pracowity robotnik niewykwalifikowany. A aparat fotograficzny będzie miał umieszczony w jednym z guzików wyrudziałego, pocerowanego, dla niepoznaki, palta, takiego, jaki nosi polski, pracowity, porządny robotnik niewykwalifikowany albo i wykwalifikowany. Niestety, skończył się śnieg do ślizgania, skończyli się przechodnie do podglądania, zaczęła się ulica Stalingradzka, dawna Malinowa, a na tej ulicy jej kamieniczka, a w tej kamieniczce, znacjonalizowanej i odrapaniej, kwaterunkowy pokój, kwaterunkowa kuchnia i kwaterunkowa nieczynna łazienka — całe jej mieszkanie. Potknęła się: no właśnie. Co jej się może zdarzyć na ulicy Stalingradzkiej innego? Gdzie tu jaki szpieg? Pełno tylko tych cholernych wadółów!

Poczuła głód. I wstręt. Na obiad będzie znowu kasza ze słoniną

i szklanką herbaty z sacharyną. A sacharyna z tuż powojennych zapasów Janeczki. Też się miała z czym do nich sprowadzić! Z sacharyną!

Pokuśtykała na czwarte piętro.

W przedpokoju jak zwykle śmierdziało pleśnią.

Ojca jak zwykle jeszcze nie było.

Janeczka szyla.

Pokój zasłany skrawkami materiału, farfocłami nitki.

Zdjęła paltocik, pociągnęła czerwonym nosem, położyła teczkę na parapecie kuchennego okna i usiadła przy stole pokrytym szarawą, zatłuszczoną ceratą. Podkurczyła zziębnięte, przemoczone palce u nóg.

Janeczka w szlafroku, z rozkręconymi, strąkowatymi włosami, w przydeptanych pantoflach, zaczęła odgrzewać kaszę i jednocześnie modlić się.

No tak. Nie dość, że zimno, że twarz piecze jak oblana ukropem, nie dość, że boli ją coś, sama nie wie, co, ale to coś sprawia, że ani rusz nie może sobie wyobrazić przygotowań do nauczania się na pamięć przemówienia-referatu, nie dość, że nie może sobie w tej chwili wyobrazić żadnej bombki szczęścia, żadnego krynicznego, jasnego i prostego socjalistycznego jutra, nie dość, że do kaszy nie ma dzisiaj słoniny, to jeszcze TA modli się.

A przecież już dawno-dawno temu obywatelka profesorka Lepiszynska skasowała Boga i modlitwy do niego.

1) Świat składa się z MATERII, MATERII i jeszcze raz MATERII.

2) I nie ma żadnej dyskusji, co do pkt. 1.

3) Nie ma żadnego BOGA.

4) Ani żadnej DUSZY.

5) Bóstwa, Bóg, modlitwy, zaklęcia i dusze to tylko FAŁSZ i przeżytek wynikający z tego, że ludzkość przeszła w swoim spiralnym, postępowym rozwoju przez WIEKI ZACOFANIA. Przez wieki, w których doktryna dynamicznego materializmu świeciła zrazu tylko nikłym ogarkiem, ale za to tak uporczywym, że w toku dziejów przemienił się on w wszechogarniającą żagiew, w krwawą dialektyczną jasność Rewolucji – Parowozu Dziejów – Chwała Jej Maszynistom!

Janeczka i ona. A pomiędzy nimi mętne fioletowo – czerwone światło marca. Nie powiedziały sobie „dzień dobry” ani „jak się masz”. Janeczka patrzy przez okno, miesza kopyścią w garnku i się modli. A ona siedzi i MUSI się przyglądać włosowi na brodawce Janeczki. A brodawka na brodzie. A włos na brodawce taki: wstrętny,

obelżywy, jak ta, którą niedawno obserwowała, trawka. Drżąca z zimna i żalości lodyżka, wychylająca się z topniejącego śniegu.

Twarz piecze, COŚ boli i ona MUSI wrzasnąć: – Bo przecież Boga nie ma!

Janeczka drgnęła: – Co?

– Bo Boga nie ma! ZOSTAŁ SKASOWANY!

Jej głos dźgnął Janeczkę jak jakaś zblakana, jeszcze wojenna kula i Janeczka rozrzuciła ramiona, zgięła się wpół i padła na kolana: wałaca się katedra. Padając przygryzła sobie język. Poły jej szlafroka rozsunęły się jak kurtyna. Włosy opadły na twarz a spomiędzy spopieliałych warg popłynęła ledwo dostrzegalna strużka krwi.

– O Polsko Ludowa-mamo-mamuniu, co ja zrobiłam? – to pytanie przemknęło nie przez jej mózg, ale przez rdzewiejące, zaciskające się ze strachu żyły. Zbladła, zeszytywniała a z ust pociekła jej strużka śliny.

I tak zastał je ojciec: jedna klęcząca – krew na brodzie. Druga siedząca – piana na ustach. Powietrze czarne od przypalającej się kaszy. Odstawił garnek, otworzył okno. I wtedy obie ożyły.

– Antoni. Antoni! Ona mi tu BOGA KASUJE! – zapiszczała Janeczka jak przydeptana mysz.

A ona zaczęła się śmiać, choć wcale się jej śmiać nie chciało. To COŚ, co przedtem bolało, teraz śmiało się za nią. Złapała się za brzuch.

Ojciec podszedł do Janeczki. Podniósł ją. Powiedział do stojącej: – WSTAŃ! – I to było nie do wiary, by stojący już człowiek mógł wstać, ale tak się właśnie zdarzyło. Janeczka, stojąc, wstała, wyprostowała się, wywyższyła.

A ona zamilkła i spojrzała ojcowi w oczy. Mogła to zrobić, bo zdjął okulary. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła tamten, opowiedziany kiedyś przez Nicole CUD: zarosły szuwarami, zapyziały, niedbale rzucony na poleską ziemię staw (a równo tam było równiuteńko, jak człowiek się wspinał na jabłonek, to widział na raz siedem cerkwi i jeden kościół) przemienił się z sekundy na sekundę w jezioro modre, przezroczyste. A stało się to za sprawą pątnika, którego spotkał dyshonor. Napłuł na niego, miast podać mu powitalną sól i powitalny chleb, Parażki brat. Brat zmożony gruźlicą i nienawiścią do każdego, kto nie urodził się, jak on, na życie krótkie, w którym tak trudno jest odetchnąć pełną piersią. Pątnik nie rzekł nic, ale nie zawrócił w chamskie progi nawet na błagalne wiszczenie Parażki. Poszedł prosto przed siebie, doszedł do stawiku, pokłonił się wysokiemu, poleskiemu niebu i niedosłyszalne nikomu słowa straszne, tajemnicze, złowrogie



wymamrotał. I staw przemienił się w jeziorko czyste, modre, pełne wijących się gadów. Z sekundy na sekundę. Z sekundy na sekundę też, jeziorko zniknęło raz na zawsze. Wyszło w oka mgnieniu a gady rozpełzły się po gliniastej ziemi.

Cofnęła się przerażona. Oczy ojca z niebieskich, przemęczonych stały się kryniczne, pełne gadów. Podszedł do niej. Objął jej głowę dłońmi cuchnącymi fabrycznym smarem i zaczął ją powoli przekręcać: wybałuszyła oczy.

— Antoni! Nie zabijaj dziecka — zawyla Janeczka.

Nie poszła na zebranie szkolnego oddziału pionierów. Nie wygłosiła przemówienia-referatu, który punkt po punkcie, szczegółowo, planowo, został omówiony z obywatelką profesorką Lepiszyńską:

„Koledzy! Pionierzy! Tematem dzisiejszego spotkania, które powinno przebiec w bratniej atmosferze, jest temat, z którym już na pewno spotykaliście się nie raz na swojej słusznej drodze życiowej. Bo taki temat musi się i należy spotkać. To nasze powołanie, byśmy ten temat spotykali, bowiem w pierwszym szeregu idziemy walczących ludowych mas, wznosząc do góry i czoło i pięść, my nowe życie tworzymy i nowy ład a ponad nami jak sztandar płynie pieśń.

Tematem tym jest najgłębsza treść REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO. Co jest najgłębszą treścią realizmu socjalistycznego? — pytam. I po wnikliwej analizie, a także z doświadczenia artystów naszej epoki, odpowiadam — najgłębsza treść realizmu socjalistycznego polega na tym, żeby MALOWAĆ robotnika i chłopca zdrowego i silnego, jak sobie stoi przy maszynie zdrowej i silnej, która nie jest mu obca, nie wyniszcza go i nie przeciwstawia się mu jako narzędzie wyzysku człowieka przez człowieka i odwrotnie. Przy maszynie, która nie czyni go obcym w najgłębiej pojętym procesie produkcji.

Najgłębszą treścią realizmu socjalistycznego — kontynuuję — jest, żeby zdrowego chłopca i zdrowego robotnika, połączonych słusznym i historycznie pozytywnym sojuszem robotniczo-chłopskim PRZEDSTAWIAĆ wśród rzeczy, które wytworzył, i żeby te rzeczy były PRZEDSTAWIONE tak, by od razu było widać, że nie rządzą one wytwórcą jako tak zwany i szeroko znany w kapitalizmie FETYSZYM TOWAROWY.

Koledzy! Pionierzy! Oto wiemy już, na czym polega najgłębsza treść realizmu socjalistycznego, który jest jedną z największych zdobyczy naukowych krajów Obozu Socjalistycznego. Wnieśmy zatem okrzyk — Niech nam żyje i rozkwita realizm socjalistyczny. Niech ży-

je! Precz z dywersyjnym hasłem: sztuka dla sztuki! Precz. Czuj. Czuj! Precz!”

— No, no, no — obywatelka profesorka Lepiszyńska poklepała ją po plecach.

Niech jej będzie. Niech klepie. Tylko od czasu do czasu mogłaby dostrzec w niej coś więcej niż zwykłą uczennicę, która sumiennie potrafi przygotować zadany referat.

Dla obywatelki profesorki Lepiszyńskiej powinno to być jasne, że ona wcale nie jest zwykłą uczennicą, ale taką, o której będą się, kiedyś-kiedyś, uczyły dzieci z podręczników. A w tych podręcznikach będzie im zadane „od-do”. A wszystko „od-do” będzie wyłącznie o niej — Wielkiej Córce Narodu Polskiego. Kiedyś-kiedyś, czternastoletnie, jak ona teraz, uczennice, będą się wpatrywały z zachwytem w jej odbitą na papierze fotografię. Z takim samym zachwytem, z jakim ona wpatruje się teraz w, dajmy na to, fotografię Wielkiego Syna Narodu Polskiego, Feliksa Dzierżyńskiego, Budowniczego Nowego Świata. Świata Robotników i Chłopów. Czuj-czuj-czuj. A przecież i Feliks chodził sobie po planecie ziemi, bywało, taki mały-maluteńki, czy to w deszcz, czy w słoneczną pogodę. I nie od razu był wyłącznie bohaterem, choć już od wczesnej młodości odczuwał wszelką krzywdę społeczną i nędzę.

Także i ten Największy pośród Największych, którego portret wisi nad głową obywatelki profesorki Lepiszyńskiej, którego oczy patrzą tak groźnie i jednocześnie tak łagodnie prosto na nią, chadzał sobie do szkoły, czy to w deszcz, czy w słoneczną ujmującą pogodę i był taki skromny, miał czerwoną torbę na kajety i czerwony szalik, i żaden nauczyciel nie podejrzewał go o to, że potem, że TERAZ... ach! TERAZ!

TERAZ nawet pieśń o nim ozłaca Jego Imię. Imię jasne jak zew, Imię wielkie jak świat, nasza flaga zwycięstwa, nasz STALIN! Stalin — naród to nasz, lud co w przyszłość się rwie nad skaliste iglice, korony. Stalin — orli to lot, Stalin — radość i śpiew, Stalin — wola i umysł milionów!

Nie, żeby porównywała się. Gdzieżby śmiała! Porównanie byłoby zwyczajnym świętokradztwem. Chodzi tu tylko o tych, którzy sobie siedzą naprzeciw czternastoletniego człowieka i nie wiedzą o tym, że siedzą naprzeciw BOHATERA. Chodzi tu o tych, którym się chowa w ich świadomości fakt, że bohaterów stwarzają okoliczności dziejowe, jednak nawet żaba bez okoliczności nie ma tkanek międzykomórkowych, o czym powinna pamiętać ta, której słowa się tu powyżej zacytowało, a która tak sobie poufale poklepuje ją po plecach, ta,

której godziny wychowawcze przyglupi Achu nazwał godzinami policyjnymi.

Achu przyglupim został od czasu, kiedy wymieniono stare pieniądze na nowe: bardziej odpowiadające żywotnym interesom narodu polskiego. Wtedy to jego przyglupiość wyszła na ryże światło dzienne zupełnie znienacka.

Bo oto: przyszli sobie do szkoły uczniowie, jak należy, z teczkami pełnymi wiedzy wolnej od klasowych przesądów. I co zobaczyli, miast gazetek ściennych, obrazujących dynamiczny rozwój gospodarki narodowej, szkolnictwa i oświaty, w porównaniu, a właściwie bez porównania, ze stanem przedwojennym, miast portretów przywódców bezklasowego, rozwarstwowanego jedynie na robotników, chłopów i inteligencję pracującą, społeczeństwa polskiego, miast białego, dziobaatego orla rozpiętego na zapierającym dech purpurowym tle.

Miast tego wszystkiego uczniowie w jednej z klas zobaczyli pieniądze: girlandy z pieniędzy starych, nie odpowiadających żywotnym interesom narodu, bukiety z pieniędzy, wieńce z pieniędzy, żyrandole z pieniędzy. A oprócz tego wszystkiego GÓWNO na środku klasy: sprężyste, brązowe, zdrowo połyskujące. Sterczało zwinięte regularnie. Ostрым, splaszczonym łebkiem było zwrócone ku drzwiom — jak wzorowa żmija.

Cofnęli się uczniowie w popłochu. Cofając się wpadli na po raz pierwszy zaślinionego Achu: pluł, zlorzczył i pluł. Od samego słuchania błędy pionierskie chusty. Naprędce zorganizowane przez obywatelkę profesorkę śledztwo: kto Achu namówił, by był współnikiem, kto prowodyrem a kto wykonawcą, wykazało co następuje: pewnego przedwojennego dnia, kiedy tryskające malinową śliną, ogromne, pełne udręki, jak serce Achu, słońce, zapadało w nicość nad Warszawą, kiedy wieczór, miękki, kręty i rudy, jak żydowskie brody zaczął się przechadzać ulicami — jedną z nich, Chmielną, jechał wehikuł: dorożka jednokonna. A w dorożce, kolorowy jak fatamorgana, pasażer. Miał na sobie kanarkowe spodnie, kanarkową kamizelkę, malinowy, jak ślina słońca rozmazana na zachodzie, szal, i opętana marynarkę koloru błękit elektryzujący. W pokrytej czarnym włosem dłoni pasażera kołysał się delikatny bukiet alpejskich fiołków.

I Achu zakochał się natychmiast, raz na całe życie, w postaci pasażera. Postanowił zostać dorosłym mężczyzną. A zostawszy, kupić kanarkowe spodnie, kanarkową kamizelkę, szal i marynarkę i bukiet alpejskich. A kupiwszy, przejechać się dorożką konną, kolorowy jak fatamorgana, ulicą Chmielną.

Przyszła wojna: zachłanna, okrutna, szczękająca bombami, plująca

kulami, siwa od nienawiści, czarna od zakrzepłej krwi, w pióropuszu dymów. W ciężkich podkutych butach. Przyjechała samochodami. I Achu w cierpkich, śmierdzących szmatach krył się, z oczami w ślup i śmierdzącą pustką w żołądku.

Przyszła okupacja: sprawna, wielopalca, esesowata, ujęta w karby niemieckiej mowy. Zawisła nad polskimi głowami jak trujący gaz. I Achu w przeponionych, śmierdzących szmatach, ze śmierdzącą pustką w żołądku, zaprzął się do rikszy.

Przyszło Powstanie: zakwitło nieprawdopodobną nadzieją, popłynęło kanałami, żywcem dopaliło się w rozwalonych murach. I Achu, w śmierdzących szmatach, z oczami w ślup, posiłkował w dwudziestym roku życia, odwracając głowę od prawego brzegu Wisły, patrzył w niebo i szukał na nim Boga. A lewą ręką próbował zerwać bandaż z ręki prawej, amputowanej siekierą w nie wiadomo jakim zaułku jakiego zakątka. Z ręki, która leżąc-gnijąc gdzieś tam po drodze ku ocaleniu, bolała go tu — w jego ciele.

Od jedynej, sensownej w tym kłębowisku krwi, śmierci samobójczej, od rozpacz po rozbitym, sterczącymi kikutami domów, wszechświecie, uratował go gorączkowy sen: że jedzie. Że jedzie-jedzie jednokonną dorożką w kanarkowych spodniach i marynarcie koloru błękit elektryzujący, a w jego prawej, wcale nie amputowanej siekierą rękę, kołysze się delikatny bukiet alpejskich fiołków: sen był nadzieją, że może jeszcze nie wszelki człowiek został wytępiony.

Przyszło wyzwolenie: groby, groby, groby. Gdzie stąpnął widział grób. Ale stąpać było jeszcze po czym. Były jeszcze ścieżki pomiędzy grobami. Z tych ścieżek zrobiono ulice. Na poboczach ulic — nowe domy — Antek podaj cegłę, niech się mury pną do góry póki dlonie silne są, budujemy jeszcze jeden nowy dom!

Achu budować nie mógł: czym miał podawać te cegły? Został woznym w szkole i oddał się całemu marzeniu: że jedzie. Kolorowy jak fatamorgana.

Pieniądze-pieniądze-pieniądze. Tak ich mało-malutko-maciupeńko. Ale składał je, pieścił, szeleścił nimi: głodny, obszarpany, z oczami w ślup.

— No, czy ja wiem? Można właściwie zrozumieć taką manię, chociaż powinna ona być, jak każda mania, zasadniczo rzecz biorąc, obca uświadomionemu duchowi polskiego robotnika — powiedział kierownik szkoły. — Zasadniczo rzecz biorąc, nasz były woźny nie zbecześcił przecież ani godła, ani portretów, ani gazetki ściennych, wyniósłszy wyżej wymienione do świetlicy. Właściwie więc, tak jakby pozostał subordynowanym obywatelem. Zasadniczo rzecz biorąc,

sabotażu nie dopatruję się. Widząc jedynie w zaistniałym przypadku przestrożę dla zdewaluowanego sposobu oszczędzania. Przestrożę dla tych, którzy zamrażają w pończochach i tym podobnych schowkach kapitał obrotowy, nie pozwalając z niego korzystać szerszemu ogółowi w jak najszerzej pojętym interesie tegoż ogółu, którego każda jednostka jest organiczną częścią. I nie powinniśmy się martwić tym, że pieniędzy tak defetystycznie zamrożonych państwo w interesie ogółu nie chciało wymienić na walutę nową—zdrową. Czy przekonałem towarzyszkę Lepiszyńską?

Co jak co, ale przekonywać o czymkolwiek towarzyszkę Lepiszyńską, to tylko przelewanie z pustego w próżne, lub dobitniej rzecz ujmując, to tylko posypywanie konserwatywnymi popiołami jej rewolucyjnego wnętrza, które buzuje jak martenowski piec z Magnitogorska. Manifest Komunistyczny, Kapitał, Tezy o Feuerbachu, Nędza Filozofii, Przyczynek do Krytyki Ekonomii Politycznej, 18 Brumaire'a Ludwika Bonaparte, Krytyka Programu Gotajskiego, Rozwój Kapitalizmu w Rosji, Co robić, Dwie Taktyki Socjaldemokracji w Rewolucji Demokratycznej, Materializm a empiriokrytycyzm, Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu, Państwo a rewolucja, O spółdzielczości — OTO CZYM JEST PRZEKONANA towarzyszka Lepiszyńska a kto chce z jej przekonaniem DYSKUTOWAĆ — WYSTĄP!

Jeszcze by czego — wystąp! — ma się przecież tę żonę, te dzieci, ten dom, jaki by nie był, te pielesze, niech się zatem Achem zajmą odpowiednio władze, niech je towarzyszka zawiadomi.

Ale po odpowiednim czasie odpowiednie władze wypuściły Achę, przyglupa jednego, i Achę przyszedł z powrotem do szkoły; obywatelka profesorka Lepiszyńska nie powiedziała nic, tylko grono profesorskie po kątach mówiło — jednak ten reżim nie jest znowu taki zły, ciii! — i pozwalało wołać pionierom za Achem: Achu sra ze strachu na milicyjnym odwachu!

W zamian mógł sobie Achu, stary, głupi, siwy i bez jednej ręki, nazywać godzinę wychowawczą obywatelki profesorki Lepiszyńskiej, godziną policyjną. Skąd mógł wiedzieć, że na takiej właśnie godzinie wychowawczej wiano w serce czternastoletniej dziewczyny nadzieję—pewność, że zostanie Bohaterką? I że to właśnie obywatelka profesorka ją wiała?

— Pamiętajcie młodociani towarzysze in spe (w nadziei), że jednym z waszych naczelnich obowiązków, jako przyszłych towarzyszy z dowodami osobistymi, uprawniającymi do głosowania na wybranych uprzednio synów narodu, jest wzmożona czujność: szpieczy, dywer-

sanci i sabotażyści starają się jak mogą, by przeszkodzić w budowie socjalizmu, chociaż wszelkie przesłanki historyczno—społeczne prowadzą prosto i nieodwołalnie ku jego zbudowaniu. Socjalizm zaś to statek, który wolno, statecznie choć jednocześnie rewolucyjnymi skokami płynie ku brzegom komunizmu. Ale szpieczy, dywersanci i sabotażyści w swej śmiesznej i zbrodniczej nadziei działają, szastając na prawo i lewo dolarami, wetkniętymi im w świętokradczą pięść przez światowy imperializm, który nie wyrzekł się apetytu; szastając także zachodnimi walutami wetkniętymi im przez Wolną Europę — sprzedając sługuskę dogorywających ustrojów. Chciałabym stwierdzić na podstawie dowodów, że nikt tej sprzedanej sługuski nie słucha, że duch narodu jest już w pełni wyzwolony z pęt klasowego myślenia i sprzecznych klasowych interesów, ale tak nie jest. Nie wszyscy jeszcze u nas potrafili się zdecydowanie przeciwstawić demonicznemu, usypiającemu wpływowi dolara i innych zagranicznych walut, nie wszyscy potrafili się oprzeć wizji sytości i natychmiastowego zaspokojenia wszystkich swoich fizjologicznych potrzeb i zachcianek. To właśnie z tych nie mogących się oprzeć ludzi, powinienam powiedzieć, zwierząt, rekrutują się pomagierzy kontrrewolucji, kontrsocjalizmu, kontrkomunizmu. To w nich rozplenią się ogniska choroby. To w nich tłuszczej wirus. To oni stwarzają okoliczności, które są wrogiem naszemu młodemu ustrojowi. Okoliczności, które mogą sprawić, że za nimi pójdą inni, przechodząc na łep wrogiej propagandy. OKOLICZNOŚCI! Wiadomo, że bez nich nawet żaba nie ma błon międzykomórkowych. W swojej znakomitej pracy, zatytułowanej „Twórcze znaczenie prac Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina dla rozwoju nauk przyrodniczych” znakomita radziecka uczona, Olga Lepiszyńska, pisze: „przytoczę przykład ze swoich doświadczeń nad stwierdzeniem istnienia błon komórkowych. Większość uczonych negowała istnienie błon komórkowych w komórce zwierzęcej i dlatego nie badano ich zupełnie. Uczeń ci uznali, że błonę komórkową mają tylko komórki roślinne. Mnie udało się znaleźć mechaniczne i chemiczne sposoby rozrywania tych błon; za pośrednictwem tych metod można wykazać obecność błon w komórkach zwierzęcych oraz badać ich rozwój i zmienność. Odkrycie to narobiło wiele szumu i stało się przyczyną wielkiej dyskusji. W latach dwudziestych zostałam wydelegowana za granicę do Berlina. Tam w laboratorium Blumenthala zaproponowano mi powtórzenie wszystkich moich doświadczeń nad wykryciem i udowodnieniem błon komórkowych w komórkach zwierzęcych. Począłam stosować swoją metodę, i — co za pech! — nic nie wychodzi, błony komórkowe nie ukazują się (...) Po wszechstronnej analizie



I nieprzespanych nocach ustaliłam, co następuje – w Moskwie prowadziłam prace z krwią GŁODNYCH żab z zimowego miotu, a tutaj przyszło mi pracować na SYTYCH żabach z miotu jesiennego, które nakarmiono muchami...”

ZATEM.

Zatem młodzi towarzysze in spe, coś z przytoczonych fragmentów wynika? Zatem wynika z nich to, że bez odpowiednich okoliczności nawet żaby nie mają błon komórkowych. SYTE, objedzone niemiec-kimi muchami – nie mają. GŁODNE – radzieckie – mają. Nażarte niemieckie żaby przestały być podporą dla znakomitej uczonej. Zaczęły się jej opierać. Młodzi towarzysze! SYTY, najedzony imperialistyczną dolarową papką człowiek przestaje być podporą naszej władzy ludowej. Zaczyna się jej opierać! Zatraca kościec moralny. BACZCIE WOKÓŁ CZUJNIE! Ogniska podejrzanej sytości mogą być ogniskami antyludowej, antysocjalistycznej zarazy. Ośrodkami rozmiękczenia, źródłem zakażenia dwoistością burżuazyjnego sposobu myślenia, nihilizmu i ideami sprzecznymi z ideami polskiej postępowej klasy robotniczej, czuj czuj czuwaj!

A to ci chytra żaba, podła żaba. Zje – nie ma błon. Nie zje – ma. Już ona tam wykapuje te syte, te rozmiękczone, te bez kręgosłupa, te indywidua z kieszeniami wypchanymi zgnilozieloną, dolarową papką. Już jej tam nikt na sytość nie nabierze. Już tam ona zostanie największą w historii narodu łapaczką sytych żab. BOHATERKA.

A swoją drogą, to ciekawe, jak takie indywiduum wygląda. Chyba ma na sobie drogie, z paczek, amerykańskie ciuchy. Może bikiniarskie spodnie i buty na potrójnej przyszwie, skarpetki w paski, czub na głowie, a na ustach zwierzęcy uśmiech? Chyba jednak nie. Takie głupie to indywiduum nie jest. Tak chodzą ubrani ci, którzy mogą dopiero przejść na lep wrogiej propagandy. Samo indywiduum raczej, dla niepoznaki, chodzi ubrane w wytarte, wyszarżane ubrania, jak porządny, pracowity robotnik. I jak on, włosy ma szesane do tyłu. I jak on, wychudłymi wargami, dla niepoznaki zresztą, pali sporty. Za to w domu, jeżeli go ma, bo go może nie mieć dla niepoznaki, powinien mieć ukryte guziczki. Naciśnie taki guziczek, a tu z ukrycia wylania się SZYNKA, KABANOSY, TORTY i NARKOTYCZNA COCA-COLA, i AMERYKAŃSKIE PAPIEROSY i PRAWDZIWA KAWA, i W OGÓLE. I CHERRY BRANDY i JAZZ, zupełnie jak w zamglonych barach w Honolulu. A potem – pstryk – i wszystko się chowa dla niepoznaki.

U Olka Kani jest właśnie taki dom, gdzie wszystko się chowa. Na przykład tapezan podnosi się do góry, żeby było niby więcej miejsca.

A ze stolika, na którym się je, robi się półkę na książki. A jak się do niego przychodzi, to się jest goszczonym kawą zbożową i chlebem z prawdziwą leberką, ciekawe, dlaczego tam u niego w domu tacy gościnni ludzie mieszkają. Podejrzane, bardzo podejrzane. Trzeba się pilnie przyjrzeć temu całemu Olkowi Kani, może ta leberka to właśnie podejrzana, rozmięczająca sytość? A swoją drogą, to ciekawe, jak wygląda taka PRAWDZIWA żaba. Żywa. Najprawdziwsza, obiektywnie istniejąca żaba. Jeszcze nie widziała. Wprawdzie raz ją zabrano nad Wisłę i bała się, że ją zaraz te żaby obokoczą wielkim kołem. Ale nie obkoczyły. Ani jedna. Było za to wszystko inne. I fala wiślan, skołtuniona i mętna. I zakaz, pod odpowiedzialnością kary, kapieli. I szary piasek cuchnący szlamem. I krzaki cuchnące kałem. I niebo mętne i cuchnące burzą. I ciała ludzkie obrzydliwe. I ani jednej żaby. I dobrze.

OKOLICZNOŚCI! One gdzieś tam są i nawet obywatelce profesorze nie wolno tak człowieka poufale poklepywać po plecach – no, no – bo człowiek choć ma dopiero czternaście lat, to ma już BIOGRAFA, który już teraz, trzymając rękę na pulsie wydarzeń, zapisuje to, co będzie kiedyś-kiedyś zadawane innym dzieciom w szkole „od-do”. Chciałoby się temu Biografowi zajrzeć przez ramię, coś on tam takiego pisze i pisze, ale to nie jest możliwe, a poza tym nieojalnie, lepiej wrócić do przemówienia-referatu. Więc: a może by tak na koniec dodać jeszcze taki akapit? Realizm Socjalistyczny to radosna kielnia, radosny młot, radosny kłos, radosny pot, radosny robotnik, radosny chłop, równaj krok.

Wyszła. Na korytarzu spotkała bezrękiego Achu. – Achu! W kanarkowym łachu! Sra na odwachu ze strachu!

Ledwo skończyła, radosna taka cała, a tu Achu łap ją cap za szyję: – Ty zasmarkana pionierska gnido, zaraz ci nakopię do dupy.

I nakopał. I jeszcze jak nakopał. Mamo-mamuniu-Polsko Ludowa-serdeczna ojczyzna, dlaczego tak nakopał? Zaciągnął do śmierdzącej dezynfekcyjnymi środkami i moczem ubikacji, zgiał jakoś tak, że się sama połapać nie mogła, w każdym razie tak, że tylek wypuszczał się samoistnie do góry, i nakopał. Wykopał taką biedną, malutką, i na wpół uduszoną dziewczynkę. Jaka z niej gnida? O wiele lepiej by było, gdyby naprawdę była gnidą, bo gnidzi tyleczek malutki, niedostateczny.

Pierwsze kopnięcie usłyszała, nie odczuła. To usłyszane kopnięcie zdziwiło ją. Poczula dopiero następne. I te następne po następnych. Na zabloconą posadzkę kapnęła łza. I wtedy Achu ją puścił. I odszedł. Zniknął. A ona oparła głowę o cuchnący sedes i łkała. Czy

kiedykolwiek przestanie płakać? Czy kiedykolwiek obciągnie granatowy fartuch, zawiąże czerwoną chustę pod szyją, pozbiera rozsypane kartki z przemówieniem-referatem, czy kiedykolwiek wyjdzie stąd? Po co wyjdzie? Gdzie pójdzie? Czy warto żyć po takiej zniewadze, po takim bezprawiu? Przecież miała chustę pionierską na szyi. Czy to nie to samo, co milicyjny pasek pod brodą? Dlaczego pionierzy nie mają palek ani broni? Mogłaby wtedy tego Achu, zaplutego reakcjonistę, zająć kiedyś od tyłu, i raz dwa, po wszystkim. Od razu by mu się wyjaśniło w głowie. Jak temu przechodniowi, co to nie tak dawno temu śmiał się z milicjanta, któremu omal nie spadła czapka z głowy, bo się potknął.

— Obywatel jak śmie się zaśmiewać z władzy? Obywatelowi się nie podoba, że się formalnie kopłem w nogę? Dokumenty poproszę.

— Ha, ha — na to niepoprawny obywatel. A milicjant go na to bach pałą po głowie zakutej. I doskonale. I gdyby tak teraz mieć pałę, to od razu by wszyscy wiedzieli, co i jak, i gdzie, i w którą stronę. Wstała i wyszła. Z zabłoconymi kolanami.

Brnęła przez lutowe jeszcze blocko, podkurczając zawilgłe, przemoczone palce u nóg, obmyślając zemstę. A może by tak powiedzieć komu trzeba, że słyszała jak Achu propagował wśród młodzieży, wśród nieczepstych dzieci, niewiarę w Związek Radziecki? Lub że opowiadał antypaństwowe dowcipy? Na przykład taki? W Polsce niedługo niepotrzebne już będą łóżka. Bo po co. Górnik śpi na ścianie, robotnik na zmianie, chłop na sianie, partyjny na zebraniu, ORMO czuwa, milicja śledzi, a reszta siedzi. W Związku Radzieckim natomiast niepotrzebne będą niedługo wszystkie meble, nie tylko łóżka. Tam wystarczy jedynie wiaderko na sranie i trzy kije na przetrwanie, jeden do podpierania, drugi do wilków odganiania a trzeci na medale.

Satysfakcja-satysfakcja, a to ci się będzie miał z pyszna ten Achu. Ale satysfakcja szybko minęła: czemu nie powiadomiła o znanych jej dowcipach, jeżeli można je nazwać dowcipami, od razu? Obywatelka profesorka tylko spojrzy i domyśli się, że nosiła w sobie te bezceństwa przez czas dłuższy, zatajone, i że to nie Achu je propagował, bo on durny, do trzech nie zliczy od czasu wymiany pieniędzy.

Wstyd-wstyd. Jak głód — coś bolesnego, ssącego. Jej Biograf przemyczał teraz zaulkami i nie dostrzegał jej, miała nadzieję.

A może to, co się z nią stało w szkolnej ubikacji, to było nie więcej, tylko podkreślana przez książki owa przeciwność losu, która kształtuje charakter i umacnia człowieka w jego słusznym dążeniach?

Nie mogła mdleć jako ośmioletnie dziecko w warsztacie wyzyski-

wacza-krwio pijcy. Nie mogła pracować przez dzień cały za jedną jedyną bułkę. Nie mogła sprzedawać gazet na rogu. Ani mieć licznego rachitycznego rodzeństwa. Ani matki piorącej tłustą bieliznę u wypasionych na białym chlebie hrabianek. Nie mogła dzielić zapalek na czworo. Nie mogła, bo takie rzeczy działały się wyłącznie przed wojną, za sanacji. No i dobrze — tamte dzieci miały swoje cierpienie potrzebne do kształtowania charakteru a ona ma swojego Achu. Zostanie jednak Bohaterką. Biografie! Wracaj!

Ogarnęła ją radość, postanowiła nawet powiedzieć Janeczce — dzień dobry. Ale Janeczki nie było w domu. Musiała na nią czekać w zimnym, odrapanym, śmierdzącym korytarzyku. Patrzeć na powybijane szyby w oknach klatki schodowej. Odwracać uwagę od rzygowin na podłodze. Czekać i rozmyślać na rękawie smarki, bo Janeczka jej dzisiaj nie dała chusteczki. — A dwa palce nie wystarczą? Skąd ja mam brać te chusteczki? Nie rodzą się na polu.

Żeby mieć tę pałkę i tę Janeczkę po głowie, bach, bach, bach. Ci-cho. Janeczka wraca.

Janeczka wróciła obładowana KOTLETAMI SCHABOWYMI! Mamo-mamuniu-Polsko Ludowa! KOTLETY! CUDOWNIA Janeczka: — Przez pół nocy i pół dnia stałam ale dostałam!

Każdy pionier o tym wie, że cudownie jest na świecie, kiedy się kotleta je.

Jednego kotleta.

Drugiego kotleta.

Trzeciego kotleta.

Mogłaby i czwartego, ale skąd go wziąć? Zwłaszcza, że minęło kilka dni i nastał marzec. Kilka dni później nie było nie tylko kotletów, ale również kości od kotletów, ani tłuszczu, i po czym tu teraz palce obliżywać? Talerz wylizywać? Po tej kaszy? Janeczka twierdzi, że to i tak cud, że choć taka kaszana świecie istnieje. I modli się i miesza tą kopyścią. I jak tu jej nie wrzasnąć, że Boga nie ma, bo został skasowany? Niech chociaż tyle wie.

Tak to się wszystko jakoś pokręciło jak w jakiejś przedwojennej, niezdecydowanej ideologicznie powieści. Nie poszła na szkolne zebranie pionierów. Nie wygłosiła referatu-przemówienia. Leżała pod pierzyną z gorączką. I niczego więcej już nie pragnęła, tylko nie wstać nigdy więcej. I żeby zamilkła, zapadła się pod ziemię maszyna do szycia. I żeby zniknęły z powierzchni ziemi plecy pochylonego nad jej podartymi butami ojca. Żeby zapadło się to mieszkanie: pokój, kuchnia, przedpokój, nieużywana łazienka, ledwo grzejące kaloryfery, odrapane ściany, jakieś frędzle pod sufitem, chyba po pajakach, stół



całkiem krzywy i pomalowany farbą olejną, dwa krzesła, stojak na kwiaty, tylko bez kwiatów, walizki, paczki, w których Janeczka trzyma nieliczne ubrania i jeszcze bardziej zredukowaną bieliznę, taboret, taborecik i SEKRETERA! – jedyny sprzęt, który nie jest ani koślawy, ani przycupnięty, ani dostosowany do małego wnętrza. Sekrettera z brzoźowego drzewa: olbrzymia, wystawiająca brzuch aż na środek pokoju. Bezwstydną, jaśniejącą, złotawą, niespotykaną. Namolna w swej obecności, tak jak namolnym stało się marzenie, żeby tak na jakimś cud dywaniku przenieść się stąd w takie miejsce na ziemi, skoro pod ziemię zapaść się nie można, gdzie zawsze świeci słońce, gdzie z piętrowych palm spadają jak meteoryty olbrzymie kokosy, te, o których opowiadała Betsy. Gdzie dzieci nie chorują, nie leżą pod pierzynami w ledwo opalanych, brudnych pokojach, gdzie z sufitu nie zwisa popstrzona przez muchy, niczym nie osłonięta żarówka, gdzie nie ukręca się im głów, nie kopie do dup.

Sekrettera. Panoszyła się zupełnie jak Betsy, prababka: stara, ptaszkowata, poślizgła, obwieszona sztucznymi perłami, podróżująca z własnym radiem marki pionier.

Do tego pokoju na czwartym piętrze przy ulicy Stalingradzkiej, dawna Malinowa, weszła tak jak wchodzi się na salę obrad. Na salę z niewidocznym prawie sufitem, ze złożonymi stiukami, z wyścielanymi czerwonym aksamitem fotelami. Raz, dwa, trzy. Trzy olbrzymie jak na taką staruszkę susy i znalazła się tuż przy oknie, nos w nos. Zahamowała skonsternowana i nie odwracając się, zaczęła się śmiać. Chichotać: a to ci kilometry kwadratowe.

Wieczorem, odrzucając wzruszeniem ramion zaproponowaną przez ojca, pożyczoną od sąsiadki, połówkę, rozsiadła się pośrodku pokoju na przywiezionym pledzie i zaczęła słuchać Wolnej Europy. W głośniku gwizdało, chrobotalo, wyło. Głos spikera wynurzał się z wyjących odmětów jak dziób statku z kipieli i w wyjący odmět zapadał. Zanikał w burzy, hałasie, piorunach.

– Merde! – zawołała prababka. – Zagłuszają jak w natchnieniu!

Rano, kiedy ojciec poszedł do pracy, przywołała do siebie prawnuczkę: – W trzydziestym jeszcze drugim, u Sowietów, jak by się ktoś tak grzebał, jak ty, ze śniadaniem, to by go od razu pod ściankę postawili. Nie trzeba mi żadnej kawy, zwłaszcza zbożowej. Podaj mi, proszę, wody. Przetworzonej i posolonej.

Prawnuczka podała prababce posolonej, przetworzonej wody i obejrzała petycję-podanie, które prababka postanowiła zanieść osobiście do Urzędu Bezpieczeństwa. Petycję-podanie o wyjazd do Ang-

lii, jako że prababka szczyliła się drzewem genealogicznym, sięgającym korzeniami brzucha samej Mary Reed, słynnej piratki.

– Nic tu po mnie. Nic a nic. Mam nadzieję, że znajdę w tej ubezpieczeń jakiegoś dżentelmena, który pojmie, że nie tu po mnie. Nic a nic. – I zażądała kąpieli.

Prawnuczka grzała wodę we wszystkich możliwych garnkach. Betsy ustawiła miednicę tuż obok sekrettery. – To jedyny mebel, prawnuko, jedyny rzeczowy znak, jedyna spuścizna i jedyny nasz herb. Ta sekrettera, to wszystko, co nam zostało po dawnych czasach, może nawet po samej Mary Reed, prawnuko.

Stała w miednicy nago i zażądała polewania. – Stań na taborecie, prawnuko, i polewaj równiutko z góry w dół.

Po czerwonej podłodze popłynął strumyczek mydlin i bąbelków. Po pół godzinie zaczęto dobijać się do wejściowych drzwi.

– Nie otwieraj, prawnuko!

Ale prawnuka otworzyła. Do pokoju defiladowo–rewolucyjnym krokiem weszła młoda murarka. Doksztalająca się wieczorami. A także pracująca społecznie i naukowo nad definicją definicji dialektycznej. Mawiająca: każdy w życiu powinien mieć raz cel.

– Czy aby obywatelki, nie wyłączając nikogo z obecnych, nie powariowały? Za takie a nie inne zalewanie komuś sufitu należałoby obywatelkom powyrywać nogi z wiadomej części ciała, mówiąc o tym bez fałszywego wstydu.

Prababka schowała się za sekretterę. Zza sekrettery wyjrzała. Oczy młodej murarki zaokrągliły się. Cofając się, powiedziała:

– Obywatelkę to by nawet resocjalizacyjny obóz pracy niczego nie nauczył, podejrzywam.

Betsy zapaliła papierosa i wycierając się w pośpiechu prześcieradłem, zapytała: – A czegoż tutaj szukała owa cycata kobieta, prawnuko? – I nie czekając na odpowiedź, dodała: – Za moich czasów nie nosiło się takich popiersi. To są rosyjskie biusty a nie polskie. Zresztą rosyjska arystokracja też takich biustów nie miewała. A propos, to ta kobieta przypomina mi Halę Golce herbu Taczala. Trzydziestego lipca, dwudziestego czwartego roku przychodzi do mnie Hala Golce w kałozach, była czwarta po południu i zbierało się na deszcz, a ja się zastanawiałam, co zrobić z rzepakiem, i mówi: pani Elżbieta, niech mi pani przyrzeknie na wszystko święte, że pani przyrzeknie. Co mam przyrzec, Halu, pytam. Na wszystko święte, niech mi pani przysięgnie, że przyrzeknie mi pani spełnić moją prośbę. I w płacz. Na to ja, dobrze, Halu. Oto przysięgam, że przyrzeknę spełnić twoją prośbę. A ona: pani Elżbieta. U mnie jest jedyny syn. Lat szesnaście.

Imieniem Jan. Nazwiskiem Golce. Herbu Taczała. Pani go zna. Jego mi należy przez panią wychować zgodnie z zapowiedzianą przysięgą. Bo ja jadę się utopić w rzece w Newie w mieście Petersburg, jak by nie było. I w płacz. Święci niebiescy, wszyscy w komplecie, na to ja. A jakież to GPU pozwoli pani utopić się tam zgodnie z duchem pani postanowienia? A syna pani to mi żadna władza praworządna nie pozwoli wychować, nawet gdyby mi się zdarzyło być własną antenką, słynną piratką, Mary Reed.

MARY REED. A statek halsuje. Jest ciepły nieruchomy dzień i blaszane morze. Delfiny i okrągłe jak oczy młodej murarki, słońce. Sól na ustach i zachłapanie smołą żagle. Na pokładzie ślady krwi po niedawnym abordażu. Cisza. Dlaczego pani płacze? Nie czas na łzy, rozpacz. Pani urodzi się dopiero jutro. Jak ptak. Jak gad. Jak świat w wierszu poety. O świecie. Zakwitniesz w jego oczach gorączką. Aureolą wysoko. Do firmamentu. Na którym tęczowe gwiazdy, to wspomnienie rewolucji, wieczność zbryzgana krwią ludzi umarłych. Ich pulsujące gnienie. Krew. Krew to nie jest rym do śmierci. Za rym się śmierć obraża. Ona się tylko rytmicznie powtarza. Amen. Biją dzwony. Biją dzwony. Świat rozdzwoniony.

Przytomnieje, szczękając zębami. Ojciec z Janeczką pochyleni nad nią. Janeczka pobrzkuje łyżeczką o brzeg kubka pełnego gorącego rosolu. Tyle hałasu.

— No i widzisz — powiedziała Janeczka — przecież mówiłam, że rosół pomaga. I że bańki pomagają. I ta modlitwa też. Tak się modlili nade mną, kiedy się matka ze mną rozchodziła, kiedy mnie rodziła, dwór już się pali, chłopcy się zbuntowali, dziedziczkę zaszlachtowali, potem jedli i pili, Litwini to byli. Wśród pożóg powodzi ktoś nowy się rodzi. Mała Litwineczka. To ona — Janeczka. Poród wymodlony. Córka wymodlona. Niech matka nie skona.

Dlaczego ta Janeczka tyle mówi? Po co tyle hałasu?

Za oknem świt.

Za oknem noc.

Pot.

Znowu śniadanie. Usta popękane.

Ojciec czyta: „bolesna wieść spowiła kirem żaloby flagi na warszawskich domach mieszkalnych i urzędach. Ranek piątkowy wstał zasnuty mgłą, zapłakany deszczem. Ludzie snuli się po ulicach smutni, przygnębieni. Kto nie słuchał komunikatu radiowego, nie potrzebował zadawać pytań. Żałosna prawda przebijała z wszystkich twarzy.”

— No nie — powiedział — „żałosna prawda”. Ktoś poleci za to karmić szczury na Rakowieckiej.

Co to była za „żałosna prawda” dowiedziała się dopiero po pogrzebie Ojca Postępowej Ludzkości, Wodza Ludu Pracującego Całego Świata, Woli i Serca Milionów, Największego z Największych — Józefa Stalina. To jego śmierć była ową „żałosną prawdą”.

— To fascynujące — powiedział ojciec — że dwu największych ludojadów wszechczasów pochodziło z lumpenmieszczańskiej warstwy — Hitler, Stalin.

STALIN LUDOJADEM! I ziemia się nie zapada. I nie czernieją trawy. I nie zanika słońce. I nadal świecą gwiazdy. I kolkiem w gardle nie staje ojcu język. I ona nie umiera w boleściach. Odwrotnie — jest pełna życia, choć smutnego, ciężkiego.

— Maniu. Maniusiu — zaskakała w pokoju Marii Mazurkiewicz, serdecznej koleżanki. — I co ja mam robić?

Mania-Maniusia, serdeczna koleżanka, powiodła czarnym okiem po czystym i jasnym pomieszczeniu człowieka pracy: na białej ścianie udrapowana czerwona flaga. Na niej portret Stalina w czarnej ramce. Pod Stalinem stolik. Na nim sierp i młotek. I jeszcze Krótki zarys historii WKPb. Podeszła do okna. Zastukała palcem w szybę. Na portrecie Stalina, oprócz czarnej ramki, czarna opaska. Czarna szrama. A jeszcze tak niedawno żył. I tak cudownie było pisać wypracowanie o nim. Temat: Napisz, dlaczego naród polski obchodzi szczególnie uroczystości rocznice urodzin J. Stalina.

Wypracowanie domowe pt. Dlaczego naród polski obchodzi szczególnie uroczystości rocznice urodzin J. Stalina. Odpowiedź: Ponieważ posiada On pozytywne cechy osobiste, jak: mądry, wytrwały, ogólnie wielki człowiek. Ideowy. Warto Go naśladować. Wzorować się na Nim. Ponieważ położył wielkie zasługi w walce o komunizm. W walce z wrogiem świata imperializmem światowym. Ponieważ nadał kierunek rozwojowi dziejów historycznych. Ponieważ jest wielkim i niezaprzeczalnie jedynym przywódcą klasy robotników. Ponieważ dba o ludzi jak najlepszy Ojciec i jeszcze lepiej. Ponieważ jest On filozofem i filologiem. Naukowcem—geniuszem. Ponieważ stworzył naukowy system naukowy, czyli pogląd na świat. Ponieważ istnieje zagwarantowana przez Niego niepodległość Polski Ludowej, a nie musiała istnieć.

— Ty się od niego natychmiast odetnij — odezwiała się wreszcie, nastukawszy się palcami po szybę, Maniusia.

No i czy ta Maniusia to nie istny cud? Jasno i porosto — ODET-

\* NIJ SIĘ. Zawsze taka sama. Zachmurzona i poważna. I mająca takiego stryja! Zdarzyło się, że jakaś obywatelka, potrącona przez Maszę na ulicy Stalingradzkiej, dawna Malinowa, zawołała: — Uważaj, jak chodzisz, smarkata! — Na to Masza poważnie, chmurnie: — Tylko nie „smarkata” obywatelko nieznajoma. Jak by to mój stryjek usłyszał, to zaraz obywatelkę nieznajomą wsadził do więzienia i potem taki udany nocny bieg po schodach by obywatelce urządził, że obywatelka zapomniałaby raz na zawsze język w gębie.

Stryj czasami mawiał, a Manusia go czasami cytowała: — Jak jeden z drugim kryminalista faszystowski mówi, że on ma prawa obywatelskie, akowiec bezduszny jeden, i że historia jeszcze wykaże, kto ma rację, to ja jem: To MY piszemy dzisiaj historię międzywojenną, okupacyjną i początków Polski Ludowej na WASZYCH SKÓRACH i KOŚCIACH. A dzisiejsze i najbliższe podręczniki historii będą i są pisane tak jak MY chcemy! Tak mówi Dusza i JA!

Manusia — cud. ODETNIJ SIĘ! Ciach—ciach, gigantycznymi nożycami. I już ojciec gdzieś tam, po zapomnianej stronie cienia.

Drzwi do pokoju otworzyły się cichutko. Za nimi ktoś tamował oddech. Tak tamował jak się go tamuje, odchylając delikatnie gałązkę leszczyny, zasłaniając podejrzaną widok. Jak tamuje się go, odczuwając zniechęca zaduch padliny. — Mamo! — zawołała Masza Mazurkiewicz. — To ty? Nie zachowuj się, proszę, jak jakiś element! I nie podsłuchuj poważnych rozmów!

Na ciemnej ulicy opadły ją wątpliwości. Czy Manusia musiała kiedykolwiek coś ciachać? Jakieś powietrze odzielające człowieka od człowieka? Nie. Manusia nie musiała. Manusia miała stryja jak należy. I matkę, której nigdy nie widać, bo Manusia zastrzegła się: — Dopóki jej nie wychowam, nie pokażę żadnej koleżance.

W domu, pochylona nad maszyną Janeczka mruknęła — gdzie się włoczysz — i na powrót otoczyła się miarowym, deszczowym stukotem.

Kuchnia wyiębla jak trumna. A kolacja to dwie kromki postnego chleba i kawałek łojowego, stwardniałego, żółtego sera.

Potarła spiczastym kolanem o spiczaste kolano, zwarła pałakowate, chude nogi i pochyliła się nad czajnikiem z herbatą. Odłożyła gigantyczne nożyce. Jeszcze nie pora. Może dzisiaj ojciec przyniesie kilka cukierków. Czasami przynosił. Na razie zaparzy sobie herbatę taką, jaką pijają chyba tylko księża albo paskarze, wróg we wroga. Całą kopiastą łyżeczkę herbaty zaparzy tylko dla siebie, dla nikogo więcej. I tego sera nie tknie. Czy ona to jakiś głupi gołąb, który dzio-

bie wszystko? Chciała wrzasnąć: ja chcę raz zjeść jajko. I to na SZYNCE! — Ale komu to wrzasnąć? Tej szyjącej, kopiałej babie?

Drewnianym, niczego nie ciekawym wzrokiem zaczęła się przyglądać fastrygowanym teraz przez Janeczkę kawałkom materiału. Kawałki były szare, kratkowane. Betsy miała z czegoś podobnego spódnice. Mówiła, że to spódnica z „pręs de gal”, co znaczy prawnuko, Książę Galii.

Janeczka szyje. Janeczka przestaje szyć. Cisza — czas skapywania diamentowych kropel z brązowych gałązek drzewa. Czas podpywania srebrzystych ryb tuż pod powierzchnię wody. Czas księżycy, rozchylającego zasłonę chmur, wyciągającego ostrą, świetlistą mackę, sięgającego tą macką ziemi, dotykającego jej tętna: czy żyje, czy jeszcze oddycha. Na szarej, kratkowanej tkaninie, wyrosły smukłe topole. Bezlistne. A wokół nich, jak okiem sięgnąć, grzęzawica. Tonące w mroku ściernisko. Chrząszczące, klapoczące pod kopytami tłustych koni, ściernisko. Na koniach jeźdźcy w przemoczonych opończach. Zbrojni. Z przemoczonymi proporcami w dłoniach. To Książę Galii jedzie ciemną nocką, otoczony sforą tłustych dworaków, ku granicom swoich włości, by powitać piękną narzeczoną. W zamczysku słudzy przygotowują powitalną ucztę: srebrne półmiski pełne pachnącej jajeczniczy na szynce. I pełne miękkiego, białego, tłustego chleba. I jeszcze masło do tego wszystkiego, jak to w zamczysku starodawnym. Naje się piękna narzeczoną. Naje i napije. I najedzona, napita, senna, położy się w ciepłe piernaty, puchowe poduszki, w lawendowy aromat, do prawdziwego łóżka. Nikt tam jej nie będzie kazał spać na chybottliwej polówce rozkładanej na noc w zimnej, trumiennej, kuchni. Nikt tam jej nie powie — żebyś tylko takie całe życie miała, a jak byłaś chora, to przecież leżałaś w pokoju, pod pierzyną, a my spali na podłodze.

Luli — luli piękna narzeczoną. Weź do ręki gigantyczne nożyce, nie odkładaj ich nigdzie, widać nadszedł jednak czas odcinania, chociaż najlepiej byłoby podpalić to wszystko, cały ten dom bez jednego cukierka, to połowe łóżko z prześcieradłem, ciągle zsuwającym się kocem. Sen nie przychodzi. Biografie odłóż pióro, weź te gigantyczne nożyce i potnij wszystko na kawałki, chociaż nie! Pióro! Pióro i literatura! Oto co uratuje jej ojca. Sama na sobie przecież poznała wychowawczy, uzdrawiający wpływ literatury. Kto czytał z zapartym tchem o Zoi Kosmodemiańskiej? Kto uczył się na przykładzie Pawki Morozowa? Ona. Otóż będzie tak: weźmie do ręki pióro i napisze sztukę, jakiej nie widział świat. Nie nożyce ale SŁOWO uleczy jej ojca. Uleczony ucałuje córeczkę, cukierka przyniesie i może nawet do



partii zapisze się, zrozumiał, że to niegodziwy przedwojenny byt określił mu znarowioną przedwojennymi czasy świadomość. I zaśpiewają razem – Wielki, Wielki Stalin, co usta słodsze ma od malin.

Po tygodniu sztuka była gotowa. Nosila tytuł: Żalobnicy wszystkich krajów łączcie się.

Najpierw następowały uwagi inscenizacyjne – na scenie zasłanej czernią żalobną i czerwienią ma stać cały czas trwania akcji chór zredukowany rewolucyjnie do jednej osoby. Co do efektów świetlnych, pozwala się na daleko idące ustępstwa, jedne teatry mogą wykorzystać huk armat, inne salwy karabinowe, podkreślające co bardziej ważne słowo, jeszcze inne mogą wykorzystać i to i to, i również inne ewentualności, zależnie od inwencji reżysera, ważne jest, żeby tylko nie zmieniać tekstu, który będą wygłaszali aktorzy. Bo tekst jest historycznie ważny, jako że został przepisany z gazet, takich jak Trybuna Ludu i Życie Warszawy i jest cytata z wypowiedzi ważnych osobistości, które do tych gazet napisały po śmierci Wodza; wszystkie te osobistości mają imię i nazwisko, wystarczy zajrzeć do wyżej wymienionych gazet wydrukowanych w marcu 1953. Zaczynamy, oto tekst.

Słynna pisarka: Śmierć Józefa Stalina tak mną wstrząsnęła, że nie jestem w stanie znaleźć słów na wyrażenie tego, co się przeżywało w ciągu tych dni, w które stan Chorego ważył się między życiem a zgonem. Kim był i czego dokonał Józef Stalin, twórca pierwszego na świecie socjalistycznego państwa, wie każde dziecko.

Chór: Stalinie, Twoje dały nam słowa drogę i wiarę w siebie. Twój naród pokazał jak ująć kraj w ręce twarde i proste. Umiemy słabość hartować, słabość uczymy się łamać.

Naukowiec Pierwszy: Wszyscy ludzie postępu na całym świecie pełni są bólu i smutku. Odszedł od nas człowiek, który był nie tylko Wodzem całego obozu pokoju, lecz którego czcili i kochali wszyscy prości ludzie całego świata.

Pracownica Narodowego Banku Polskiego: Wieść o śmierci Towarzysza Stalina przyjęłam ze łzami w oczach. Jako aktywny członek Związku Zawodowego Plac i Finansów postanowiłam wzmocnić swą pracę agitacyjną i uświadamiającą.

Architekt: Sądzę, że w tych dniach ciężkiej żałoby wśród ludzi pracy, każdy uczciwy architekt i urbanista w Polsce najpoważniej postanowił zwiększyć swoje wysiłki i pogłębić stosunek do pracy nad rozwojem socjalistycznej architektury i urbanistyki w naszym kraju.

Murarz: Stało się wielkie nieszczęście.

Artystka Operowa: Śmierć Józefa Stalina, Wielkiego Wodza

i Nauczyciela Narodu Radzieckiego stanowi dlań stratę tak ciężką, że trudno sobie po prostu wyobrazić żal, jaki ogarnia w tej chwili Związek Radziecki.

Członek Prezydium Polskiej Akademii Nauk: Odszedł jeden z największych Geniuszów Ludzkości. Największy wśród współczesnych. Nie sposób – w tej bolesnej chwili – objąć ogromu Jego zasług. Wszystko, co szlachetne, co wzniosłe, co służy postępowi i dobru człowieka – łączy się nierozdzielnie z Jego Imieniem.

Słynny Muzyk: Jeszcze dwa miesiące temu widzieliśmy Józefa Stalina w Moskwie. Nasze serca przepełniała radość, że był na koncercie, w którym braliśmy udział. W pamięci mamy Jego Mądrą Twarz, gdy ze swej łóży, uśmiechając się życzliwie, oklaskiwał nasz występ. To spotkanie było dla nas najradośniejszym przeżyciem, było podnieciem do wydobycia wszystkich naszych możliwości.

Nauczycielka: Wiadomość o śmierci Towarzysza Stalina wstrząsnęła mną do głębi, nie mogłam uwierzyć, że przestało bić to serce.

Jednoosobowy Chór: A jednak! Bolesna wieść spowila kirem żałoby flagi na warszawskich domach mieszkalnych i urzędach, ranek piątkowy wstał zasnutą mgłą, zaplakany deszczem. Ludzie snuli się po ulicach smutni i przygnębieni. Kto nie słuchał komunikatu radiowego, nie potrzebował zadawać pytań. Żalonna prawda przebijiała z wszystkich twarzy. Oto, co w związku z tragicznym zgonem, postanowiono: przemianować miasto Katowice na miasto Stalinogród. A Pałac Kultury i Nauki, dar Związku Radzieckiego, nazwać imieniem Stalina. A przed Pałacem im. Stalina postawić pomnik, z którego patrzyłby na nas Jego oczy. Oczy, o których jeden z naszych przywódców powiedział: „Jego orle oczy patrzyły daleko w przyszłość, która jak gdyby nie miała dla niego tajemnic”.

Sławny Pisarz: W Pałacu Kultury i Nauki, w sali przepełnionej przed dwoma tygodniami delegatami na Pierwszy Zjazd Spółdzielczości Produkcyjnej, kobieta-chłopka przemówiła głosem w pełni wyzwolonego z wiekowej krzywdy człowieka. Mówiła ona, cytując – dziękujemy Stalinowi za to, że wyrwał nas z wielkiego niebezpieczeństwa zagłady hitlerowskiej, że ja, siedemdziesięcioletnia matka, pomagam synom budować wieś spółdzielczą, że mój najmłodszy, któremu hołubiła pod sercem, byłby pastuchem w folwarku księcia, a jest oficerem Wojska Polskiego i broni ojczyzny. Ten głos chłopki-matki, gorącej patriotki Ojczyzny Ludowej, owiany uczuciem miłości do Stalina, odzywa się dzisiaj w sercu każdego pracującego człowieka wsi.

Drugi sławny pisarz: W alei Unter den Linden szukałem słowa,

które mogłoby wyrazić wszystko. Podszedłem do młodych ludzi i znalazłem. Powiedziałem: STALIN.

Trzeci sławny pisarz: Z Jego Imieniem związane jest nasze życie od chwili, kiedy nauczyliśmy się rozumieć sens dzisiejszej historii, toczącej się walki. Wiedzieliśmy, że żyjemy w Epoce Stalinowskiej i jesteśmy z tego DUMNI.

Czwarty sławny pisarz: Przywykliśmy myśleć, że jest. Pracowaliśmy spokojnie, bo pamiętaliśmy, że trwa, że czuwa... Kiedy przynikam oczy widzę niskie, zwelnione niebo. Po chmurach chodzą błyski. Olbrzymie miasto nie śpi. Moskwa. Jestem w Moskwie. W świetle reflektora, wysoko, w białej strudze światła, trzepocze sztandar jak wzniesiona pochodnia. Za murem wyznaczonym iskrami lamp, kopuły i kopułki podobne do odwróconych serc. Mroźny wiatr zdmuchuje śnieżną kurzawę. To tam. To właśnie tam... Kobieta, która przyniosła mi wczoraj wezwanie do Komitetu Blokowego, płakała jawnie, jakby cios uderzył w rodzinę. Robotnik trzymał gazetę z żalobną obwódką. Składał ją i jeszcze raz rozpościerał, jakby się ludził, że to cień rusztowań padł na fotografię... Tak przywykliśmy myśleć, że jest. Trwały. Niezmienny. Był, był — to trudno pojąć, jak bardzo tkwił w człowieku.

Sławny pisarz piąty: Dla nas, Polaków, większe znaczenie ma to imię, ta Postać, co olbrzymie swe światło zapaliła nad horyzontem współczesnej historii. Wszystko, czego dokonaliśmy od prawie lat dziesięciu, wszystko, czym jest nasze współczesne życie, nasze osiągnięcia ekonomiczne i kulturalne, są związane z tym Imieniem.

Naukowiec: Śmierć zabrała od nas największego geniusza naukowego naszej epoki. Żywo mamy w pamięci nasze ostatnie przełomowe, teoretyczne prace Stalina, tak bardzo posuwające naprzód marksizm-leninizm... Stalin rozwijał marksizm, a marksizm dziś jest jedyną prowadzącą do prawdy podstawą metodologiczną nauki. Dlatego właśnie Stalin jest najwybitniejszym twórcą nauki współczesnej.

Robotnicy, również rewolucyjnie zredukowani do dwu. Robotnik pierwszy: Ja, górnik kopalni „Eminencja”, członek brygady, która wykonuje w stu sześćdziesięciu procentach swoje zadania, na wieść o nazwaniu stolicy Śląska — Stalinogrodem — mówię: JESTEM DUMNY.

Robotnik drugi: I my jesteśmy dumni, podejmując stalinowskie zobowiązania. Tak na przykład: w tych dniach żałoby około dwóch i pół tysiąca pracowników ZBW Warszawa 7 Praga podjęło dla uczczenia pamięci Stalina zobowiązania produkcyjne.

Tak na przykład: najlepsza w Polsce budowa na Grochowie Dwa

wprowadziła metodę brygadzystów radzieckich — Szyszmirowa i Zawjałowa, mającą na celu oszczędność cegieł.

A dwie inne brygady, stosując tę metodę, zobowiązały się oszczędzić dwa tysiące sztuk cegieł.

Żaś załoga Stolarni ZPP przy ulicy Markowskiego, wprowadziła metodę Skitiewa, wykonując bez braków roboty stolarskie.

Brygada z Budowy siedem Grochów Trzy postanowiła wykonać ponad plan 80 metrów sześciennych muru.

A brygada ciesielska przyspieszy wykonanie szalowania klatek schodowych o cztery dni.

Ogółem robotnicy zaoszczędzą jedenaście tysięcy roboczogodzin oraz wygospodarują dwadzieścia osiem tysięcy sztuk cegieł, oraz 680 kg. cementu i 450 kg. żelaza.

Natomiast z szybów i chodników Warszawskiego Metra napływają dalsze meldunki o zaciąganiu Stalinowskich Wart Pracy.

Tak na przykład: Zespół zatrudniony przy budowie szybu postanowił skrócić czas wykonywania wierceń o 50 procent. Dzięki zobowiązaniu oddziału wierceń budowlanych będzie można przystąpić szybciej do budowy następnych odcinków metra.

Tak na przykład: Kobiety zatrudnione przy naprawie gazomierzy zwiększą oszczędność materiałów, a zetempowska brygada pracująca w laboratorium postanowiła wykonać dodatkowo pracę jednego z kolegów, przeniesionego na inne stanowisko.

Jednoosobowy Chór: Nie są to jedynie zobowiązania. Od dzisiaj każde nasze słowo i nasz czyn powinien potwierdzać słowa Poety, że myśl o Stalinie jest związana z życiem i że Jego Imię poniosą rozwinięte sztandary klasy robotniczej.

Niech żyje zmarły Wódz!

Uwaga: Na koniec można pokazać portret Stalina. Zapada kurtyna.

Tryumf! Mało, że ojciec zostanie uleczony, to jeszcze, dodatkowo, gdyby tak tę sztukę zagrały wszystkie na raz teatry Polski, zarobiłaby tyle pieniędzy, że trzeba by było chyba je przywieźć jakąś furą. Upakowałoby się je w wannie, i tak nie jest używana. Chociaż nie. Żeby nie było tak jak z Achy, nigdy nie wiadomo, czy pieniądze nie zmieniają się znowu na jeszcze lepsze, jeszcze bardziej odpowiadające żywotnym interesom narodu. To już lepiej dać je do PKO. Więc PKO. Z PKO brałoby się tyle ile trzeba i mówiło Janeczce: tylko mi się nie waz, moja pocziwa Janeczko gotować kaszy, podawać na stół ser, czy buraczaną marmoladę, wykluczone. Od dzisiaj mają być same kotlety schabowe, jajecznice i torty, zapamiętaj sobie, moja pocziwa.

Zamknęła oczy i zapytała Biografa, czy jest z niej dumny. I natychmiast, w odpowiedzi, duma napelniła ją szczelnie, jak podgrzane powietrze, balon. Uniosła się, lekka, niematerialna, i z tych niebotycznych wysokości, na które wywindowała ją TWÓRCZA MYŚL, ledwie dostrzegając kontury planety-ziemi, zapytała ojca: — Przeczytasz?

Przeczytał. I co za katastrofa, że przeczytał. Jej uszy, sterczące jak anteny, wyłowiły z poświstów i warkotu, jakie wydawało jej ciało, pędzące ku zgubie, ku ziemi, ku katastrofie — śmiech. To jej ojciec się śmiał, zachłystywał się śmiechem, pękał ze śmiechu.

Więc to tak? Gdyby była młodą murarką powiedziałaaby — obywatelowi to by nawet nie wiem jaki obóz resocjalizacyjny nie pomógł. Więc to tak?

Rzeka, czarna rzeka, oślisła jak wąż rzeka, pełna widel i kos na sztorc, pełna pękających ostrzami seczoryków, to nie, to mało, by wyrazić jej nienawiść do tego obywatela. Gdzie są te gigantyczne nożyce? A może by lepiej od razu pójść do internatu?

Następnego dnia chodziła ukradkiem za obywatelką profesorką Lepiszyńską i układała mowę-prośbę — usilnie i uprzejmie proszę o przyjęcie mnie w zaszczytny poczet wychowanków internatu, jako że jestem bez matki, co zginęła na wojnie, i bez ojca, bo ojcem moim był Stalin, i ten nie żyje, Janeczka się nie liczy, Betsy też dawno na cmentarzu, tylko dwoje zniedołężniałych dziadków w jakimś dolnośląskim miasteczku, więc proszę, pochodzenie społeczne mam prawidłowe, robotnicze.

I dopiero w tym miejscu zrobi taką minę, że obywatelka profesorka od razu się domyśli, że z tym ojcem biologicznym, tym robotnikiem, to jest coś nie tak. Ale obywatelka profesorka została odwołana na naradę i trzeba było przenosiny do internatu odłożyć na następny dzień.

W domu, który, było — nie było, to jednak był jeszcze kilka godzin temu jej domem, płacz i zgrzytanie zębów. Tak jakoś to zobaczyła, jakby było wypisane na ścianie — PŁACZ i ZGRZYTANIE ZĘBÓW.

— No — pomyślała. — Ta Janeczka. Ta jak już czegoś nie wymyśli. Albo szyje, albo modli się albo płacze! Ale co tu robi obywatelka Rosołowicz?

— CO? ARESZTOWANY? Ojciec? Przecież to niemożliwe. Przecież się jeszcze na dobre nie odciął, przecież jeszcze nikt, oprócz

Maszeńki, o niczym nie wiedział. Więc dlaczego go aresztowali, zanim ona...

Obywatelka Rosołowicz powiedziała, dlaczego: NAJMITA, SZPIEG.

Najmita, szpieg amerykański, a ona o niczym nie wiedziała. Gdzie ona miała oczy, mamó-mamuniu-Polsko Ludowa? Czego szukała za węglem każdej kamienicy, kogo chciała wypatrzyć, czuj-czuj-czuwaj. Kiedy szpieg sobie siedział pod samym jej nosem. Taki sprytny — gdzie te lalki z wmontowanymi bombami zegarowymi? Nigdy nie miała żadnej lalki. Gdzie te DOLARY? Ciągłe kasza, kasza i kasza, czasami śmierzący ser i marmolada z buraków. Gdzie ta SYTOŚĆ, która rozmiękcza kręgosłup. Każdy by zgłupiał, gdyby popatrzył na tego człowieka. Zmęczony, posiwiły robotnik. Więc jak nie miała zgłupieć ona, która nie przyglądała się swojemu ojcu dłużej, niż tego wymagał: patrz na mnie, kiedy mówię do ciebie.

A to z niej Bohaterka! I że też ten szpieg tylko raz się przy niej zdradził. LUDOJAD — powiedział. Zareagowała prawidłowo, wzniosła do góry rękę uzbrojoną i w pióro i w nożyce. Tyle, że za późno, za późno.

— Co za historia, co za historia — biadała obywatelka Rosołowicz.

— A historia, historia. HISTORIA pisana babskimi serdecznymi łzami — Janeczka krztusiła się i szlochała. A kiedy przestała szlochać, zarządziła — mała wyjedzie do dziadków, do Leśnego Brzegu.

Proszę bardzo. Niech będzie. I tak życie skończone. Tak pięknie zaczęte młode życie. I tak już nigdy nie założy chusty pionierskiej i nie spojrzy w oczy obywatelki profesorki Lepiszyńskiej, niech się od dzisiaj dzieje, co chce, nie wykazała się czujnością obywatelską, więc niech sobie będą dziadkowie. Niech ją wywożą do jakiegoś Leśnego Brzegu, gdzieś na peryferie historii. W jakiś geograficzny zaułek. Byłe przedziej. Żegnaj Biografie.

LEŚNY BRZEG — KONIEC JAZDY.

Śmieszny peron z kolumnkami.

Śnieg i zimno.

Na peronie dwoje starców — Nicole i Jot Em.

Oczy Nicole jakieś takie trochę podobne do młodocianych oczu koleżanki Maszy! Koleżanka Masza! Obywatelka profesorka Lepiszyńska! Zakłuło ją w dolku. Zawołała: — Ja naprawdę nie wiedziałam, że z ojca jest amerykański szpieg!

Nicole podskoczyła jak żbik i z całej siły grzmotnęła ją pięścią



w twarz. Zatoczyło nią, zasmarkala się. Usłyszała huk bomby padającej tuż-tuż, zadławiło ją pękające powietrze, zobaczyła szkliste oczy zabitej matki. Jej rozrzucone ręce.

— Naser mater — powiedziała Nicole.

Zza chmur wyszło słońce, usłyszała ptaki, takie to było powitanie na nowej drodze życia w tym dziwnym mieście, z tą dziwną babką.

A ten dziadek. Nie dość, że całymi godzinami potrafił siedzieć w bezruchu, to jeszcze od czasu do czasu zaczynał mówić: nos — szybka i gwałtowna męska dostojność. Kroniki. Kazachstan. A kiedy człowiek otworzył usta, na jego piersi wykwitł czerwony ścieg. Wtedy uświadomił sobie: egzekucja. Ben. Alma-Ata. Derwisze. Bambus.

Co za bambus? Patrzyła na zapłakaną wdowę a widziała ten nie wiadomo jaki bambus. Zupełnie niepotrzebnie, bo pogrzeb był pierwszą klasą: sami notable miejscowi, a także z województwa, pełno sztandarów i ciężarówka okryta purpurą, a na tej purpurze trumna. I przemówienia. I orkiestra górnicza. Pióropusze białe, czerwone i czarne. Trąby i trąbki. Czarne mundury, czarne garnitury. Odznaczenia.

Tak odbywał się pogrzeb zmarłego w wypadku samochodowym powiatowego sekretarza Partii.

Na pogrzeb ten została wydelegowana w kilka zaledwie dni po przyjeździe, po pójściu do nowej szkoły, co za traf. Została wydelegowana, oprócz przodowników nauki i pracy społecznej, jako jedyna osoba, która mieszkała w Warszawie, co za traf.

Co za wyróżnienie. Nie wyróżnień się przecież tu spodziewała, nie dumnego wypinania piersi, ale przemysłowania cicho, bezszelestnie; ale ukrywania siebie i przekleństwa jakie spadło na jej głowę za sprawą tego amerykańskiego najmity.

A tymczasem traf chciał, że zginął w wypadku sekretarz.

I miasto przyjęło ją w swoje ramiona. Pokłoniło sztandarami. Dźwiękami dostojnego marsza pogrzebowego. TOWARZYSZU ZMARŁY NA WIEKI. TWOJE SERCE JESZCZE TAK NIEDAWNO BIŁO Z CAŁEJ MOCY DLA SPRAWY OJCZYZNY NA ODCINKU POLEPSZENIA JEJ DOBROBYTU A TAKŻE DLA SPRAWY SOCJALIZMU NA ODCINKU ROZWOJU GŁÓWNYCH JEGO KIERUNKÓW.

— Pani kochana. Mówię pani, taki koniec mieć straszny. Tak to latał. Tak to agitował. Do kryminału wsadzał. Naganem machał a od widel zginął.

A co to znowu za rewelacje? Obejrzała się wkoło, ale co mogła

zobaczyć? Jeszcze kopca nie usypano, jeszcze nawet do połowy dołu nie zasypano, a tu już ani człowieka. Tylko wdowa, orkiestra, delegacje i notable. Dobrze, będzie stała i ona do końca, bo tak nakazuje jej nowo odzyskana pionierska godność, tylko co to za kobiety za nią rozmawiały?

PANI KOCHANA!

W kamienicy dziadków też się roi od „pań kochanych”, chociaż Polskę już od dawna zamieszkiwać powinni sami OBYWATELE. A panie i panowie, to jest społeczna niesprawiedliwość, ale spróbuj człowieku powiedzieć o tym Nicole — walnie czym popadnie i doda: enkawudowska gnida ubecka, naser mater.

Odcinać się — lepiej już nie próbować. Bo znowu zdarzy się jakiś zamieszanie-aresztowanie i wtedy, gdzie się ona podzieje, gdzie ją wyślą, a tam, gdzie wyślą, czy zdarzy się znowu jakiś partyjny pogrzeb, fantastyczny traf? W tym mieście wcale nie jest tak źle, takie czarne miasto. I kopalnie i górnicy. I haldy i śnieg pokryty czarnym nalotem, kopalnianym pyłem. Fantastycznie to wygląda. Są także górki i pagórki.

— Ja w twoim wieku — mawiała Nicole — kiedy byłam mała, to grałam w tenisa i ping-ponga, jeździłam konno i na łyżwach, żeglowałam i kąpałam się w rzece czystej, krystalicznej. Tu się nie wykąpiesz. O nie.

Pewnie, że się nie wykąpie. Jak można się kąpać w kopalnianym ścieku? W nigdy nie zamarzającej, czarnej, śmierdzącej wodzie? W czymś tak zaropiałym, połyskliwym ropą. W czymś, co nie ma nawet urzędowej nazwy. Perła, Perelka, Czarna Rzeka, Jordan i Czar Sierra Leone, nazywa to-to każdy jak chce, przeważnie obelżywie, a przecież w mieście składającym się przeważnie z kopalni i koksowni musi być jakiś ściek, i czy to trzeba zaraz wyrzaskiwać, jak madam Polewańska, kiedy odór czarnej rzeki sięga jej okien: — Jedyna arteria wodna. Jedyna żyła, którą miast płynąć życie, płynąć śmierć, wszystkie odchody, wszystkie plwociny, wszystkie rzygowiny miasta. I gdzie rekreować mają swoje siły ci robotnicy? Ci górnicy? Ci pobliscy rolnicy? Ta inteligencja pracująca? Gdzie oni się mają udać na niedzielny odpoczynek? Na Wyspy Kanaryjskie jeszcze nasza ojczyzna nikogo na weekend nie posyła, co najwyżej na Magadan.

Też jakieś nazwy geograficzne powymyślała! I ta rekreacja. Rekreować siły będzie się wtedy jak przyjdzie czas odpoczynku. Teraz ta państwowa rzeka potrzebna jest państwowym kopalniom i państwowym koksowniom, żeby mogły wykonywać plan i podnosić dobrobyt i ogólną stopę życiową. A jak się ogólna stopa życiowa podniesie, to

rzeka też nikomu nie będzie potrzebna do żadnych rekreacji, bo wtedy masy pracujące miasta będą miały fontanny i baseny i sedesy ze złota, jak to już dawno temu obiecał Lenin w swoich pismach. Póki co, sedes w ich kamienicy jest obszargany nieczystościami i Nicole się denerwuje. I nie ma w nim papieru toaletowego i Nicole się denerwuje jeszcze bardziej: — Jak ja nie kupię gazety i zaraz jej nie zaniósę do ubikacji, to nikt nie kupi i nie zanieś. Tak jak by to tylko nasza trójka tego sracza używała, a nie pół kamienicy. Jak się raz zaparłam i nie kupiłam, i nie zaniósłam, to oni zaczęli książki zaniosić, póki to był jakiś Parchomienko, czy Młodość Maszy, to pół biedy, papier był miękki. Ale czymś takim się podcierać? — Rzuciła na stół małą, w dość twardych okładkach książeczkę.

Wzięła ją do ręki, postanowiła przeczytać, dlaczego nie, nie miała właśnie niczego do roboty, Nicole nie zadała jej nowej porcji rękawiczek do zszywania, a do Jot Ema, który miał akurat napad milczenia i nieruchomego trwania, lepiej się było nie zbliżać. Jak do kącika czystości w szkole. Takie zbliżenie groziło kalectwem.

ODWAGA — tak nazywała się książeczka. Maria Jarochońska — tak nazywała się autorka.

Był sobie Jasiek Mrówczyński we wsi Gliniku, był biedny i chciał mieć harmonię. Gdyby ją miał, grywałby na weselach i na zabawach, zapraszaliby go do różnych wsi i do miasteczka. Więc postanowił utuczyć własnego prosiaka, żeby go potem sprzedać i kupić ten akordeon. Bo bardzo mu się spieszyło muzykować. We wsi był jeszcze bogacz Kalinowski i Spółdzielnia Produkcyjna, której bogacz Kalinowski bardzo nie lubił. I ten bogacz raz namówił Jaska, żeby wpuścił szczury do obory spółdzielczej, wtedy spółdzielcy będą płacili za zabicie dużego szczura dwadzieścia groszy, a za małego piętnaście, i tak Jasiek uciula na harmonię. Jasiek wziął szczury i wpuścił, ale nie się nie sprawdziło, bo przewodniczący sprowadził z Warszawy trutkę i szczury wytepiono. Wtedy Kalinowski się przestraszył i zagroził Jaskowi, że jak się sprawa wyda, to zabierze milicja Jaska do więzienia. I Jasiek się bał. I dlatego, żeby go Kalinowski nie wydał, pomagał mu w obejściu, ale do czasu, kiedy nadeszły żniwa. Bo wtedy, blisko północy, zobaczył jak Kalinowski na spółdzielczym polu wbija kółki. Jutro miała tutaj kosić zboże snopowiązałka. Na wystających z ziemi kółkach połamałaby się od razu i gruntownie. Jaskowi, któremu zabrakło aż tchu z oburzenia, i mimo że bardzo chciał być muzykantem, nie zabrakło odwagi, mimo że Kalinowski chwycił go za kołnierzyk i zagroził uduszeniem i więzieniem. Wyrwał się i zawiadomił przewodniczącego. Snopowiązałka przyjechała i się nie połamała. Kali-

nowski poszedł do więzienia a Jasiek na dożynkach oddał swojego świniaka spółdzielni w zamian za szkody, które wyrządziły szczury. A zarząd Spółdzielni przyjął dar Jaska Mrówczyńskiego i wyasygnował z kasy spółdzielczej kwotę potrzebną na zakup harmonii tytułem premii za ofiarną pracę przy żniwach i za osiągnięcia w hodowli. Zarząd zobowiązał jednocześnie Mrówczyńskiego Jana do urozmaicenia muzyką życia świetlicowego. Wtedy odważny Jasiek siadł i rozplakał się po dziecinemu, a matka trącała go — co ty, taki duży chłop.

Jeszcze jeden niespodziewany, fantastyczny traf. Oto za sprawą malej, nieprzydatnej w ubikacji książeczki, wyjaśniło się dlaczego nie zostaje Bohaterką mimo, że istnieją odpowiednie okoliczności życiowe.

Że nią nie została w Warszawie, można sobie jakoś tłumaczyć. Sentymalizm, brak refleksu — to nie są cnoty, ale to jest jakieś odpuszczenie winy.

Ale czym tłumaczyć sobie jej zachowanie tu, w Leśnym Brzegu, w mieście, które ukloniło się jej purpurą sztandarów, które wybaczyło? W mieście, obok którego przycupnęło gniazdo reakcji, wieś Libachówka? Mało, że w niej nie ma Spółdzielni produkcyjnej, to Libachowczanie jeszcze się chwalą swoim indywidualnymi świniami, kurami, płotami. I nic nie pomaga — ani obowiązkowe wyśrubowane dostawy, ani karanie więzieniem za niewywiązanie się z tych dostaw w terminie, ani uświadamiające pogadanki, ani groźby rewolwerowe. Mało tego, jakaś Zbrodnicza Ręka rodem z libachowskiego gniazda, nie jest to udowodnione, ale pewne, dopisuje do hasła na leśnobrzeskim Państwowym Gospodarstwie Rolnym różne literki.

I zamiast — Najnowsza zdobycz światłej naukowej myśli naszego Bratniego Narodu Radzieckiego — dawajcie siarę cielętom — po dopisaniu w słowie „siara” literki „k” — wychodzi „dawajcie siarkę cielętom”.

Albo zamiast — Od racjonalnie wyhodowanego tucznika do racjonalnych podstaw socjalizmu — wychodzi „do racjonalnych podśraw socjalizmu”, bo Zbrodnicza Ręka zamieniła literkę „t” na „ś”.

Tylko dwu hasła nikt nie ruszył. Tego na stodole — Ręce precz od Korei. I tego na przedszkolu — Imperialiści precz z knowaniami od Tybetu. Widocznie kułacka dusza nie wiedziała co znaczą, gdzie Rzym, gdzie Krym, i co ma do tego Leśny Brzeg.

Otóż: gniazdo reakcji jest. A ona nigdy nie jadła TORTU! I chce być Bohaterką, o której dzieci uczą się „od-do”. Mogłaby więc wyszpiegować Zbrodniczą Rękę. Wtedy, po żniwach, Państwowe Gospo-



darstwo Rolne upiekło by jej olbrzymi jak stodoła TORT i napisało do GAZET!

Mogłaby, ale nie robi tego. Bo brakuje jej ODWAGI, której nie zabrakło Jaśkowi Mrówczyńskiemu. Aż ciarki przechodzą po plecach na samą myśl, że, by szpiegować, trzeba chodzić samemu nocą. I jeszcze, mamó-mamuniu-Polsko Ludowa, natknąć się naprawdę na zbrodniczą rękę, tę samą, która podpaliła pale mostu, przez który przejeżdżał samochód sekretarza partyjnego, w którego pogrzebie brała przecież zaszczytny udział. I jeszcze go potem podobno podziurawiono widłami! Samo na usta się rwie religianckie — JEZUS MARIA!

A ona przecież MUSI żyć.

Ta literatura jednak wychowuje. Zwątpiła w to trochę po doświadczeniu z ojcem, ale nie miała racji. Ta literatura daje jednak Nadzieję i OLSNIENIA!

Oto: zamiast być Bohaterką — może spokojnie PISAĆ o odwadze. Co za korzyść. Po pierwsze — nikt jej nie przekłuje za to widłami. Mało: przeżyje odważnych bohaterów i na dodatek nie zawiedzie nadziei jakie położyło w niej miasto — zrewanżuje się mu talentem i sławą, będą do tego miasta pielgrzymki ciągnęły, tylko trzeba by jednak trochę w tym domu u Nicole pozmienić. To by było okrutne, niemoralne, niepedagogiczne, można powiedzieć, antysocjalistyczne, gdyby tak pielgrzymki zobaczyły te odrapane ściany w cytrynowy rzucik, tę cynkowaną wannę w pokoju Jot Ema, ten brak sprzętów i stan tych, które są. Ten porysowany, pęknięty stół. Tę rozdziawioną szafę, te zaplute taborety, to wylażące włosie z kanapki. Kiedy będzie sławna i bogata kupi wszystko nowe: stylowe fotele, łóża z baldachimami, srebrną zastawę — i będzie mówiła, jak robią to notable partyjni, że to wszystko było u niej od zawsze, od dzieciństwa. Taki będzie jej rewanż miastu. Zresztą, nie potrzebuje tego tortu od Państwowego Gospodarstwa Rolnego, jak będzie bogata, sama sobie codziennie będzie kupowała torty i sama je będzie zjadała na złotej zastawie. I jeszcze do Moskwy pojedzie! Szkoda, że Stalin nie zostawił na tym świecie żadnego żyjącego syna. Spojrzalby na Sławną Pisarkę taki żyjący syn i od razu by się ożenił. Ślub na Kremlu. Na każdej wystawie jej książki, a w każdej jakiś odważny Janek Mrówczyński! A kiedy po wielu-wielu latach umrze pochowają ją na Powązkach obwieszoną orderami. W Alei Zasłużonych przecież nic nie ma do roboty trumna bez orderów. No nie! Trzeba wyjść. Trochę przestrzeni. Tutaj w czterech ścianach nie potrafi sobie przecież wyobrazić swojego POMNIKA!

— Pójdę postać w kolejce u rzeźnika!

Poszła. Tyle, że w stronę pegeerowskich pól. Doszła do lepkiej od zapachu okwiatu kasztanowej alei, która miała przestać istnieć. Tak zostało postanowione. Dalekosiężne plany miasta Leśny Brzeg zakładały przemieszczenie centrum na nowe tereny. Na tereny nie podryte wielopiętrowymi, wadliwie ostemplowanymi, górniczymi chodnikami. Nie wydrążone przez górnicze świdry, dynamit i państwowe plany i normy. Tak mówiły panny Gerhardt. O których madam Polewańska mówiła, że przeniosły się żywcem z ostatniej stronicy Buddenbrooków do Leśnego Brzegu. Do tego koślawego, sterczącego tuż za sklepem mięsnym, jak jakiś zepsuty ząb, domu.

Panny Gerhardt, wiekowe i zasuszone, już teraz chadzały tędy na spacer, by pomiędzy kasztanowe konary ustawiać swoje mebelki pamiętające czasy Deklaracji Człowieka i Obywatela, tak twierdziły. W tej kasztanowej alei państwo da im kiedyś mieszkanie — tak twierdziły. — O, dokładnie na tej wysokości. — Pokazywały gałąź.

— Meble i firanki panien Gerhardt — fuczała Madam Polewańska. — Czekajcie panny zmiłowania Pańskiego, bo chyba nie państwowego, a jak państwowego, to ze dwadzieścia lat. Swoją drogą mają baby wyobrażenie o swoim zdrowiu!

Usiadła na kamieniu pod kasztanem. Popatrzyła na drzewa, na trujący siwy opar nad czarną rzeką, na zieleń pól. I na stojący pośród tej zieleni jej przyszyły pomnik. COKÓŁ. A na cokole ona. Skamieniała.

Biografie! Wracaj!

Śmieszne, ale tak jakby usłyszała jego kroki. Tup-tup.

No nie. Czego by się nigdy nie spodziewała, to tego, że myśli i chęci potrafią się zmaterializować. Ucieleśnić na zewnątrz człowieczej głowy. Niby wszystko w porządku. Wiadomo przecież od dawna, że myśl jest tworem wysoko zorganizowanej materii, więc niejako materialna, ale jednak, skąd się wzięły przed jej oczami te dwie dosyć potężne i krzywe nogi Biografa? I dlaczego te nogi obute są w zabłocone gumki?

Owszem, czasami sobie wyobrażała, jak wygląda jej Biograf. Oczywiście. To bardzo ważne. Czoło — wysokie, pojemne. Duże, spokojne, czule dłonie. Ciemne, wijące się delikatnie włosy. Ale żeby gumowe buty? A nad butami zrolowane drelichowe spodnie? Podniosła oczy.

INDYWIDUUM!

To nie żaden Biograf, ale indywiduum, przed którym przestrzegała

ją Nicole: — Nie chodź sama w stronę kasztanowej alei, tam się włóczą różne indywidua.

Indywiduum z fioletowym, obnażonym krocem.

Po plecach spłynął jej strumyczek potu. Nie ucieknij.

A jednak uciekła. Jak to się stało, że uciekła. Przecież nogi miała z kamienia, przecież wcale nie miała nóg?

Oparta o dom panien Gerhardt oddychała ciężko, to niemożliwe, że sobie tak stoi i żyje. I oddycha. I nawet ma serce, które się tłucze jak oszalale.

Przed sklepem mięsnym kobiety milczące jak haldy.

Wciśnięta pomiędzy dwie haldy poczuła się bezpiecznie, zacisźnie. Dobrze i swojsko. I te głosy szemrzące śpiewnie, jak strumyczek w bajce: a raz było tak. Jej, co ja chciała powiedzieć. Uciekło mi z głowy. Ale to nic. Ja zdrowa dzięki Bogu. Tylko trochu nogi mi puchną. Za to moja siostra, Lida, to dopiero. Jak siem tylko trochu zdenerwuj, to zaraz jej mózg skaczy. Raz siem zdenerwowała, bo siedziała na stryszku i czekała całą noc na męża. A teraz przez drzewa nic nie widać. Straszni siem zdenerwowała. I zaraz jej mózg zaczął skakać. O tak: do góry i do góry. Popaczsz, mówi ona do mnie, jak mi mózg skaczy. Raz na przykład szły my z kwiatami przez Nowy Osiedły i czekamy na taksówkę. A taksówki jak zobaczyli, że my z kwiatami, to zaraz wiedzieli, że to krótka trasa na cmentarz, i uciekli. Lida mówi — joj, chodźmy przez polę. To my poszły. A tam jest tak — wtedy droga i wtedy droga. Ja mówię — chodźmy wtedy, Lida. A Lida mówi — joj, wtedy droga krótszejsza, bliżej o wiele. Małgosia wtedy woła za nią — ta którędy idziesz, stara palubo? A Lidzie zaraz mózg zaczął skakać. I tak. I tak. I do góry, bo ona choruje na nerwicę mózgu. Jak siem zdenerwuj, to zaraz jej mózg zaczyna skakać. A jak Małgosia miała iść za kelnerką, bo siem nie chciała uczyć do ogólniaka, to Lidzie zaraz mózg do góry. Bo Małgosia już raz za kelnerką była, dobrze jej było, pierścionki miała. Ale zrobiła manko. Nie z jej winy, tego już nikt nie powie. Co do Małgosi, to każdy jeden wie, że ona palcem nie tknęłaby niczego, ale konwojenci byli tacy i kierowniczką nieuczciwa. To tak popisali w papierkach, że wyszło, że Małgosia miała płacić. Ale do Lidy to ona nie jest dobra wnuczka. Śmiały my się raz, bo ja mówię — joj, Lida, ta dodaj trochę maryjanku do grochówki. Maryjanek to sam zapach, zobaczysz. A ona mi mówi — ja tam mam w dupii maryjanek. Ja im jeszcze maryjanek będę dawała, jak one mnie dają tylko tysiąc złotych i żądają nie wiadomo czego. Małgosia to jeszcze pyskuje, że za ten

tysiąc złotych, to można nie wiadomo co, to ja milczę, bo jestem stara i choruję i boję się, że mi mózg zacznie skakać, to dokładam swoje z tej renty i daję im jeść to mięso, ale maryjanek to ja mam w dupii, jeszcze im maryjanek będę dokładała. Paczsz, pani kochana, co ta słonina taka jakaś odchudzona, czy co?

Zrobiło się luźniej, zimniej. Na hakach żółtawe polcie słoniny. Na posadzce papiery, pety, błoto. Smród. Wielki tasak oparty o zatłuszczony pień. Na ścianie hasło: ZABEZPIECZAJ PODSTAWOWE ZDOBYCZE SOCJALIZMU.

Jest brudna, chuda, mała i jest jej zimno. Doprawdy, niemożliwe, żeby dała radę przejść tak daleką drogę. Tu, z tego sklepu, z tego miasta, z takim ciałem, aż do pomnika. Aż do skweru otoczonego sztachetami, szlachetnymi, żelaznymi sztachetami. A pośrodku jej posąg — kamienne, rozwiane włosy. W kamiennej dłoni kamienne pióro.

Nicole zamachała rękami: — I co ja mam z taką starą, zaśmierdniętą słoniną zrobić? Chryste Panie, poślij gdzieś dzieciaka, to zaraz mu wsadzą jakie gówno do siatki.

Zimno—zimno. Wyszła na podwórko. Na podwórzu madam Polewańska trzepie chodniki i pohukuje przy tym jak sowa. Zimno — czarny jak górniczy podkop, wieczór, przyczał się między śmietnikiem i trzepakiem — taki długi podejrzliwy wieczór.

Wrócił pan Leduch z trawą dla królików. Pani Mieszczerska młodsza wyniosła kubel pełen odpadków. Pani Leduch zawołała: — A nie ma tam pani czasem suchego chleba? — A coś pani — odpowiedziała młodsza pani Mieszczerska — przecież pani wie, że moja matka torty z suchego chleba robi.

W zimno—czarnym powietrzu zimno—czarna kamienica. Pootwierane okna i szare sztormujące firanki.

Starsza pani Mieszczerska zdjęła ze sznura suche, olbrzymie jak dryfkotwa, majtki.

Synek pani Leduch obejrzał dokładnie śmieci wyrzucone przez młodszą panią Mieszczerską, wyciągnął czerwoną szmatę, zawiesił na kijku i zaczął biegać w kółko. — Rzuć, ale, to ściervo, sukinsynu nieusłuchany — krzyknął za nim pan Leduch.

Madam Polewańska przestała trzepać chodniki. Jak wystrzelone z katiuszy, na niebie rozjarzyły się gwiazdy.

Pozapalano światła, pozamykano okna.

Nicole stała przy kuchni — widać ją było wyraźnie, poprawiała siwy koczek. Nicole — czarodziejka. Snulo się nad nią, jak dym po

ściernisku, wspomnienie wonnej, cienistej ziemi poleskiej, tak odległej, zagranicznej, że prawie nie istniejącej na mapie.

Nicole – czarodziejka. Jak ona to robi? Popatrz sobie przez okno i zamiast podwórza, kończącego się płasawiskiem zmurszałych sztachet i działkowych ogródków, zakwita dał błękitna, bezkresna, czająca się duchami przodków. Zamiast ścieżki pomiędzy ogródkami, zarosłej mleczem i bodiakami – widać krzak róży. Gorejący, ognisty, pijany. Nicole pod nim kucala, kiedy była mała i rumiana jak rajske jabłuszko.

Przymknęła oczy i kucnęła. Przycupnęła na chwilę pod pijanym, ognistym krzakiem róży. Przez chwilę taka mała, jeszcze mniejsza od niegdysiejszej Nicole, ot, zieleń-chwast.

Popatrzyła oczami ziela-chwastu na kamienicę.

Na pierwszym piętrze Profesor. Chodził tam i sam – czarodziej. Wyczarował z leśnobrzeskiej kamienicy grecki pagór. Na pagórze wilę: chłodną, przestronną, przewiewną. Zastawioną amforami, wazami, posążkami. Nikt nie ośmieliłby się powiedzieć, że są to szkolne, dwudziestowieczne wyroby z gliny. Kradzione w dwudziestowiecznych jadalniach sztuce i talerze. Bo Profesor miał dar.

Trochę mniejszy miała Nicole, która mieszkając w Leśnym Brzegu, mieszkała równocześnie tylko obok gorejącego, dawno spopielałego krzaku róży.

Jeszcze mniejszy dar miała madam Polewańska: z okien jej mieszkania nie było widać hałd ni kominów koksowni, ale dachy Paryża.

Profesor miał dar nad dary: z okien jego willi widziało się nie zaropiałą, czarną rzekę, nie zakurzone, górnicze miasto, ale coś zupełnie fantastycznego, niezrozumiałego, a co on nazywał REALIZACJĄ PAŃSTWA.

Po roku 1956 grecki pagór zamienił się w podziemia, willa w celę, z której Profesor wychodził rzadko, prawie nigdy. Pomijając pierwsze środy każdego miesiąca, kiedy to ubrany w normalny garnitur, wymykał się do miasta.

W celi ubierał się cudaczniej niż miał to w zwyczaju na greckim pagórze. Zniknęły prześcieradła-zawijadła obszyte czerwoną wstążką, w koszu na śmieci znalazł się wieniec z laurowych liści, pojawiły się pasiaste pidżamy i łańcuchy. Profesor wyglądał w nich jak wiejski, podwórzowy pies. Jak wiejski, podwórzowy pies, stał wylęknięty

pod drzwiami sąsiadów, biadając nad RUNIĘCIEM IDEI. Nad ZAPRZEPASZCZENIEM IDEI REALIZACJI PAŃSTWA.

– Jemu w głowie, ale, coś runęło – stukali się sąsiedzi w czoło. Madam Polewańska dodawała. – Stary cap. Stalinista. Człowiek dziękuje Bogu, że zlikwidowali kult jednostki, a jemu w głowie jakieś runięcie idei. Może zamiast czarnej rzeki zachciewało mu się tutaj bielomorskiego kanału, cholery, ekscentrykowi.

Ale nosiła mu, jak wszyscy, zakupy, nie odpędzała od drzwi i sprzątała u niego. – To przez mamunię. To ona nauczyła mnie religijnego stosunku do pomyślców. Może oni niewinni, że się tak pomylili. Może wszystkiemu winien ustrój. Sami marksiści przecież nauczają – byt określa świadomość. Aż dziw birze, że wszyscy obywatela Polski Ludowej nie są, jeden w drugiego, stuknięci na umyśle.

Profesor udawał, że nie słucha i nie słyszy. Zmienił wystrój i nastrój. Jednego tylko nie zmienił. Kamiennej posadzki. Kamienna posadzka była w willi na greckim pagórze. Kamienna posadzka została w celi więziennej.



Zatem — teraz sufit jej pokoju jest kamienną posadzką celi Profesora. Leży i patrzy w tę sufito-posadzkę. Leży na trzeszczącym łóżku Jot Ema, na sienniku wypchanym słomą kradzioną w pege-rowskiej stodole.

Za chwilę trzeba będzie wstać i przejść przez wyzięble, arktyczne powietrze do kuchni. I ledwo maczając palce w wyzięblej, arktycznej wodzie — przetrzeć oczy.

Trzeba będzie zacisnąć zęby z obrzydzenia, kiedy przejdzie obok niej nieubrana, rozgrzana zapoconą pościelą, słodko kwaśno cuchnąca Janeczka. Janeczka drapiąca się w plecy. Rozcierająca pręgi odbite na ciele przez za ciasne majtki, za ciasny stanik, w których śpi.

Na obiad miała być kapusta z jabłkami i trzeba było iść na targ.

Nicole, siedząc przy stole, popijając herbatę, zaczęła: — Jabłka mają być następujące: rzeczowe, bez plamek, polskie, twarde, małe, chłopskie, słodkawe kwaśne, tanie.

Skończyła. Wstała. Owinęła szyję cytrynowym szalikiem po Jot Emie. Na głowę nałożyła szerokoskrzydły, niebieski kapelusz po Betsy, i poszła kuć do piwnicy.

Po drodze zerwała kartkę z kalendarza. Błysnął ostrą czerwienią cyfr rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty.

Druga połowa października — dżdżysto, wietrzno.

Nad targowiskiem powietrze cuchnące szlamowatą czarną rzeką, ludzkimi oddechami, końskim odorem, wonią kufajek.

Nad targowiskiem hasło na transparencie: DAŻENIE DO SOCJALIZMU KSZTAŁTUJE NASZE ŻYCIE.

Na murku okalającym targowisko dalsze: WALKA O PRAWDĘ NAUKOWĄ JEST AKTEM WALKI O WOLNOŚĆ CZŁOWIEKA. PRZECIW PRZYRODZIE I NIEWOLNICTWU. POKÓJ! PAIX!

PRECZ Z PLANEM MARSHALLA. NIECH NAM ŻYJĄ KORABIELNIKOWCY.

Pomyślała — jakie stare hasła. Już zdążyła zapomnieć, co to był za plan Marshalla i co to za korabielnikowcy, chociaż? No jasne, tego tekstu przecież nie zapomni nigdy. Wygłosiła go głosem czystym i dźwięcznym na akademii pierwszomajowej — „na święto Majowe 1950 młoda komsomolka, brygadystka z fabryki „Komuna Paryska”, wezwwała młodzież krajów demokracji ludowej do korzystania z jej doświadczeń.”

Co to były za „jej doświadczenia” opowiedziała ojcu. Może i jego fabryka przystąpi do korzystania i do współzawodnictwa polegającego na kompleksowym oszczędzaniu materiału. Bowiem Korabielnikowa postanowiła przez miesiąc oszczędzić tyle surowca, żeby można było na nim przepracować jeden pełny dzień.

Posłuchaj tatusiu! Poznając lepiej tajniki produkcji, mając twórczy, socjalistyczny stosunek do pracy, brygada Korabielnikowej cały 31 marca 1950 roku przepracowała przy zamkniętym magazynie, dając krajowi 730 par obuwia. Cały zaś oddział wyrobił 4300. Porwała całą fabrykę! Miesiąc później cała „Komuna Paryska” pracowała na zaoszczędzonym materiale, produkując ponad plan dziesiątki tysięcy par obuwia. Na apel Korabielnikowej odpowiedziała już młodzież robotnicza naszych fabryk — miliony złotych, kilometry materiału, dziesiątki tysięcy metrów nici, oszczędzanie lutu cynkowego, taśmy bawełnianej, miedzi odpływowej, płótna, węgla, wiertel, gwintowników, kalki technicznej, olejów mineralnych — zaczęto oszczędzać wszystko! W żyrardowskiej roszarni wyprodukowano dzięki Korabielnikowej „z niczego” 375 kg. czystego włókna. O korabielnikowcach pisze nawet Sztandar Ludu! Pisze o Pierwszej Ogólnopolskiej Naradzie Korabielnikowców! Pisze, że ta Narada, to nie tylko Narada ale głos nowych ludzi, budowniczych socjalizmu, dzisiaj przodowników, wynalazców i racjonalizatorów, jutro wychowawców nowego pokolenia komunistów. Oto uczestnik narady melduje o dokonaniu usprawnienia w ostrzeniu noży. Oto młodzieżowa brygada z Wrocławia oddała cały swój zarobek Korci. Zarobek z zaoszczędzonego dnia. A młodzież z cukrowni Garbów pragnie wybudować samolot sanitarny dla Koreańskiej Armii Wyzwoleńczej. Oto piszą garbarze, filmowcy, krawcy. Oto wraz z apelem Korabielnikowej młodzież coraz szerzej podejmuje akcję Niny Tarabanowej — opieki robotników wykwalifikowanych nad niewykwalifikowanymi, bo tylko w ten sposób można wytworzyć kolektyw, czyli zespół robotniczy nowego typu, bo

tylko tak człowiek w każdej pracy uczy się dostrzegać elementy naukowego opanowania przyrody.

Posłuchaj tatusiu — oto u nas, dzięki Korabielnikowej, dzięki przyswojeniu sobie jej mądrości, młodzież i inni, dźwigają się na wyższy stopień świadomości ludzkiej. A jakże zupełnie inaczej jest u imperialistów, którzy w tym samym czasie wprowadzają ulepszone systemy likwidacji ludzi a ich żołdacy zwierzającą gorzej od faszystów, a burżuazja całego świata marzy o zniszczeniu świata.

— Dosyć, dosyć — powiedział ojciec. — Co za genialne dziecko. Ledwo jedenaście lat skończyła i już takie coś spamiętała słowo w słowo. I to nie jest jedyne SŁOWO, które ona pamięta. Jak by ją obudzić w nocy, to wam wyrecytuje, co zechcecie. Zechcecie się dowiedzieć coś może o karykaturze? Proszę bardzo, moje genialne dziecko recytuje na zawołanie, że zadania jakie stoją przed karykaturą nie są blahe, bo karykatura stoi na pierwszej linii walki klasowej i jest orężem ideologicznym reagującym natychmiast na polityczne posunięcia klasowego wroga, że demaskuje fałsz jego filozofii i ośmiesza jego obyczaje. Że pojmowanie karykatury jako odpowiedzialnej i ambitnej działalności politycznej, branie przykładu w tym względzie ze Związku Radzieckiego, dopomaga do ośmieszenia imperialistów i ich zakusów na zdobycze obozu socjalistycznego. I że karykatura polska nie może się wyłącznie opierać na Szpilkach, Bereżowskiej, Lenicy i Lipińskim, bo jej podstawową zdobyczą powinno być piętnowanie ospałości, bumelanctwa, chuligaństwa i szpiegostwa, nieplanowości, niesocjalistycznego stylu życia, krytykanctwa i wicherzycielstwa! Bo moje genialne dziecko czyta gazety. Nawet Przegląd Artystyczny czyta. Obiecałem sobie, że nigdy nie zaklnę, ale nie mogę wytrzymać, KURWA MAĆ! Jednemu się rodzi cudowny Szopenek, innemu cudowny Motzartek a mnie się urodziło cudowne STALIN-JUGEND! A pewnie! Pewnie że cała Polska oszczędza metodą Korabielnikowej! Gazety — wiadomości. Radio — informacji. Sklepy — towarów. Komuniści — myślenia. Tylko więzień nikt nie oszczędza.

Na wspomnienie ojca zaklęło ją w dołku.

Stała przed kobietą w waciaku, przed drabiniastym wozem.

— Tylko kilogram jabłek? — zdziwiła się kobieta. — Dlaczego tylko kilogram. Pani metr od razu weźmie. Z podwiezieniem pod samą wilę. Jabłka jak wyjątek ze szkolnej czytanki.

U jej stóp pełzało dziecko, fioletowe jak zapomniany na krzaku głóg owoc. Okutane w męski sweter. Zasmarkane. Włożyło grude

ziemi do ust. Zapytała: — Czy to pani dziecko? Niech pani uważa, drobnoustroje...

Kobieta przestała ważyć jabłka. Odwróciła się. Zdziwienie wytarło z jej oczu wszelką barwę. Białymi oczami popatrzyła na nią i na dziecko: — Mariuszek, a rzuć to gówno!

Oczy jej pobłkitniały. Dodała: — A zresztą, jak chce, niech żre, faryzejska zaraza. Do wszystkiego trzeba się przyzwyczaić.

Na wozie poruszyła się warstwa derek. Wychynał spod nich łysawy, w czarną, skórzaną kurtkę ubrany, mężczyzna: — Człowiek ani chwili pospać sobie nie może spokojnie. — Przeciągnął się. Popatrzył na niebo, na hasła wypisane na murku, na kobiety ubrane w granatowe, wymięte spódnice, męskie marynarki, niektóre z nich w kufajkach. Wszystkie w grubych bawelnianych pończochach, w gumiakach. Na trwałych undulacjach chustki zsunięte na czoło.

— Polski folklor — powiedział.

I do dziecka: — Smakuje planeta?

Spojrzał na nią przelotnie. Tak, jak się patrzy na przydrożne, koślawe drzewo. Z lekkim rozczarowaniem, że to nie czochojąca się o błękit palma. Nie pikujący w niebo cyprys. Ale zwykłe drzewo, dogorywające dzień po dniu w zamulonym powietrzu.

Nagle jego oczy rozjaśniły się. Dojrzały to, czego dojrzeć nie powinny były, chyba że na przekór wszelkiemu położeniu geograficznemu: oto na zwykłym drzewie usiadł zniecka czerwony, egzotyczny ptak.

Poróżowały mu policzki, załśniły zęby, a włosy stały się złote i puszyste. Pod szyją zajarzył się, jak ognisty miecz, czerwony krawat. Wtedy poznała go.

KOLEGA MARIA!

Gdy się słońce rumieni, wychylając się z traw, dwieście procent zieleni dają łąka i staw. Kiedy złoci się żyto, gdy kołysze się łąka, trzyście procent błękitu płynie z nieba nad plan. Bo w naszym kraju jest radość dla wszystkich. I jeziora i wiatr. I robota z piosenką żyje za pan brat. Bo to dwie, bo to dwie rekordzistki.

Piosenka płynęła niemrawo. I słońce nie rumieniło się. I jeziora nie widać. Owszem, wiatr jest. I to gliniaste, spółdzielcze pole, a nad polem sfilcowane, niskie niebo.

Płecy napięte jak pałak koszyka. Skurcz mięśni i krew z nosa. Twarz zadarta do góry. Kątem oka widzi szkolną brygadę wysforowaną daleko do przodu. Na horyzoncie miga czerwona spódnica koleżanki Asi.

Koleżankę Asię nie boją ręce. Nie ma obłożonych po kostki nóg. Nie płynie jej krew z nosa. Koleżanka nie musi wcale jeść. Nie chce się jej pić. Śpiewa i zbiera ziemniaki. Silna, wysoka, zielonooka. I pisze wiersze. Nie tam żadne liryczne, czy jeszcze gorsze: sztuka dla sztuki. Ale o Partii. „To ona nauczyła nas pracować i życie oddawać dla kraju — prowadź nas Partio w epokę urodzaju. Gdzie dom powstaje, pędzi maszyna i piec hutniczy strzela płomieniem, gdzie się robota wielka zaczyna — ty jesteś Partio natchnieniem. Gdzie z pól, na których wschodzi obficie; dojrzałe ziarno płynie strumieniem, gdzie na ugorze rodzi się życie — ty jesteś Partio natchnieniem. Gdzie dla człowieka, który był ciemny, słowo poety jest dziś promieniem, gdzie plony daje nasz trud codzienny, ty jesteś Partio natchnieniem. Gdzie ludzie patrząc w jutro z nadzieją, z głęboką wiarą i zrozumieniem, o trwały pokój walczyć umieją — Ty jesteś Partio natchnieniem”.

Usłyszawszy ten wiersz, chemiczka, magister Kress, powiedziała: — Koleżanko Asiu, mam wrażenie, że ten wiersz został już raz napisany przez kogoś innego. Nie wiem, wprawdzie, po co, ale jednak.

Ale jednak wystarczyło, że na korytarzu szkolnym magister Kress zgubiła kartki ze swojego dzienniczka i już po magister Kress. Można się teraz długo pytać, kto to taki, magister Kress. A tak zwyczajnie szła sobie korytarzem. Kartki zgubiła jak drzewo liść. Mimochodem.

Powiedziała do Asi: — Ty, oddaj jej.

Ale Asia do niej: — Ty, durna?

I trafiła w dziesiątkę. Asia zawsze ze strzelania miała piątkę. Nauczyciel od Przysposobienia Wojskowego nie mógł się jej nachwalić: — Ta, na wypadek wojny, to będzie robiła ludziom w sercach dziurkę za dziurką. Jak pod sztancę.

By przeczytać kartki schowały się do ubikacji.

„Gospodyni straszy mnie pobliskim zamkiem: te tajemnicze mordercy, zaniknięcia. Lochy, tunele i podziemia. Duchy — karetą zaprzężona w czwórkę koni, czasami w szóstkę, a na koźle człowiek bez głowy. Sopran o dwunastej w nocy. Światła w wieży. W dzień watahy ludzi z łomami — poszukują skarbów. Strach iść — powiedziała gospodyni. Jaka tam niebywała dewastacja — dodała. W głowie się nie mieści, jak tam ludzie szabrują. Jak my poszli z mężem, żeby sobie przynieść co na pamiątkę, to już nic nie było, tylko gówno. A sąsiadka to sobie przyniosła lustro. To mąż zaczął odłupywać kafelki i dębowe klepki. Ale jak my to znosili, to my się pośliznęli i omal nie runęli, bo poręczy nie było na schodach. To cholerne szabrowniki, to

nawet poręcze szabrują. I jeszcze przez nich to człowiek mógł sobie skrócić kark. Powiedziałam do męża — widzisz? Mówiłam! A on na to — basta. Już więcej do tak zdewastowanego zamku po nic nie pójde.

Te kafelki i ta klepką leżą teraz w moim pokoju. Gospodyni mówi: — Niech leżą. Po co paniencie departamentu? — I pyta: — A paniencie po co takie spiczaste paznokcie? Panienska, to jak jakaś paniusia. Ja tam nie mam czasu rąk umyć. Tu robota, tam robota, a gdzie ja miałabym głowę do mycia rąk?

Dyrektorka mnie wczuwała w sprawie legitymacji partyjnej. Zadek to ona ma wysunięty jak szufladę z biurka. Centaurzyca. Mam wrażenie, że można się na niej przejechać. Choć może lepiej nie. Bo ona jeździ prawie wyłącznie na zebrania i do komitetu partyjnego. Ostatnio pojechała tam z wypracowaniem jednego z uczniów. Uczeń napisał: „Rozwiązanie zadania pt. Co wiesz o Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Partia to jest Przodownica Pracy, która wykonuje plan w 102 proc. Ona pełni się wszędzie albowiem jest wolą wybranych synów ludu pracującego”.

Uczniowi obniżono stopnie ze wszystkich przedmiotów a Krysia mnie zapytała na ucho — czy od „plenić” pochodzi „plenum”? A potem opowiedziała szeptem — dzieciakom się w głowach poprzewracało, jak się nauczyły tego wiersza: „wyszło na jaw w śledztwa toku, potem to potwierdził sąd, że pięćdziesiąt w ciągu roku, szpieg raportów wysłał stąd. Czyli niemal co tygodnia czerpał dane na swój sposób od szeregu różnych osób, od agenta, od przechodnia. Ułatwiali mu robotę, za srebrniki twarde, złote, podkomendni dobrze płatni, lecz nie tylko ci ostatni. Był wartownik niesumienny. Był zaspany strażnik nocny. Był zawiany strażnik dzienny, mamy jeszcze takich moc my. Była płocha sekretarka. Był obibok kawiarniany, który paple, szepce, sarka i na „lepsze” czeka zmiany. Była wydra dancingowa, zda się szpiegom coś po wydrze. Był naiwny inżynier, co zna nowe samoloty. Był jeszcze długi szereg gadułów z nudy i głupoty. Szpieg opuścił ziemski padół. Nową zbrodnią się nie splami, lecz naiwnych szereg gadułów wciąż jest jeszcze między nami. Trzeba wbić im do łepetyn słów niewiele, krótkie zdanie, prostą prawdę, której kretyń pojąć tylko nie jest w stanie: pamiętajmy zawsze o tym, by panować nad językiem, bo milczenie bywa złotem, kiedy mowa jest srebrnikiem”. Więc mówi Krysia — dzieciakom się w głowach poprzewracało. Jedno z nich przybiega do mnie i pyta do kogo by pójść, żeby zastrzelili tę wydrę z ich kamienicy, wydra lata po kawiarniach i na pewno



sprzedaje tajemnice. A jeden z chłopaków powiedział – mój ojciec pije. Skoro pije, to sprzedaje tajemnice zakładu pracy, a jak sprzedaje tajemnice zakładu pracy, to on się pyta, gdzie są zarobione złote srebrniki, on chce mieć przynajmniej za to narciarskie buty, jak już w domu są pieniądze.

Krysia rzuciła legitymację partyjną. Kilka dni temu zwołano nadzwyczajne zebranie part. z udziałem bezpart., żeby napiętnować Krysię, która zaprosiła Władka, historyka, na kawę do domu i przy tej kawie mu powiedziała: – Władziu, ja tam nie wierzę w równouprawnienie kobiet, dopóki kobieta nie będzie rządziła swoim ciałem tak, jak się jej żywnie będzie podobało. Dopóki nie będzie mogła, czysta i niewinna, jak mężczyzna, wejść do męskiego burdelu, jeżeli kiedykolwiek takie będą. I wyjść z niego czysta i niewinna. Tak jak mężczyzna. Zebrani jęknęli, ja też. I ledwo słuchali, co mówi na temat Krystyny geografka. Pięćdziesięcioletnia. Nie wadząca nikomu. Przemykająca pod ścianami. Cicha i spokojna. Wszyscy patrzyli na Władka, który opowiedział o rozmowie przy kawie, sugerując, że był prowokowany seksualnie. Geografka mówiła: – Już od dawna obserwuję naszą młodą byłą koleżankę. Ale nie mówiłam nic nikomu, jako że nasza młoda, była koleżanka należała do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a ja nie. Otóż zwracam uwagę, że naszą młodą byłą koleżankę należy wykluczyć z grona nauczycielskiego, bowiem walczymy o socjalistyczne jutro, z uporem budujemy nowego człowieka, i nie miejsce w tej koincydencji na deprawację rozsiewaną przez naszą byłą, młodą koleżankę, której się marzą domy publicznej zagłady. Krystyna rzuciła w geografkę leg. part. Zawrzało. Przyjęto przez aklamację – wyrzucenie Kr. z partii, ze szkoły, oddanie sprawy do sądu cywilnego za obrazę cielesną ciała pedagogicznego. Ja też machałam ręką jak wiatrak skrzydłami.

Wczoraj kupiłam sok pomidorowy. Otworzyłam. Sfermentowany. Połowa pensji idzie do kieszeni gospodyni – panienska wie, ile teraz kosztuje życie? Wróciłam do sklepu, pokazuję sfermentowany sok ekspedientce, a ona – na soku gwarancja do grudnia i niech mi pani głowy nie zawraca, tu jest sklep, tu się albo stoi w kolejce, albo kupuje.

Przeczytałam wiersz – „chodził po Polsce świadek Jehowy, niskiego wzrostu, twarz szpiegowata, między kulałów, groźnymi słowy, rzucał prorocтва o końcu świata. Był to, jak widać z tego opisu, agent ćwierć Intelligence Service'u, który Jehowie stawiał ołtarzyk, tudzież

prowadzić chciał sabotażyk”. Schowałam Biblię pod stertę dębowych klepek. Szafy ani schowków żadnych nie mam, gospodyni mówi – a panience po co szafa? Jak ja byłam młoda, to też nie miałam, dopiero małżonek mnie szafę kupił.

Wczoraj rano pomyślałam, że moja historia, to historia mdłego strachu i że moim jedynym zadaniem życiowym jest ten strach opisywać. Przestraszyłam się nawet tego grubasa ze stródzkiej spółdzielni produkcyjnej, który przyjechał umówić szkolną dzieciarnię na czterodniowe wykopki. W ramach czynu spółdzielczego; na Hawajach dziewczyny jeżdżą na desce po oceanie, całe w bryzgach pian, w kolorowej poświacie, w słońcu, a ja tu nawet jesieni nie zobaczę zgięta wpół nad spółdzielczymi, nie wykopanymi na czas ziemniakami”.

Skończyły. Koleżance Asi stężały rysy. Koleżanka Asia wyszła z ubikacji. Za koleżanką Asią zamknęły się zielone, dermą obite drzwi gabinetu dyrektorki. Gra czyjeś radio. Komuś spiker mówi – nasze zakłady przygotowały szeroki wachlarz tego asortymentu, wychodząc naprzeciw kobiecie pracującej na odcinku przygotowywania posiłków w domu. Muzyka.

Koleżanka Asia wyszła z gabinetu dyrektorki. Bez kartek dziennika magister Kress. Jeszcze wyższa. Jeszcze piękniejsza. Z jeszcze bardziej zielonymi oczami, z czerwieńszym niż zwykle krawatem – zupełnie, jakby jej dyrektorka przypięła order do piersi.

Do koleżanki Asi teraz podejść nie może, za bardzo ważna i dekoracyjna, poza tym za nią wychodzi dyrektorka, zadek to jednak ona ma, niestety, jak wysunięta szuflada biurka. Przeszły obok. Koleżanka Asia nie poznała człowieka. Trzeba iść do domu. Na pociechę może sobie powiedzieć, że się będzie kiedyś sławną pisarką i nie tak cię wtedy będą udekorowane koleżanki traktowały.

Kiedy drzwi szkoły pod auspicjami Towarzystwa Przyjaciół Dzieci zamknęły się raz na zawsze za magister Kress jak wieko trumny, w przeddzień wyjazdu na stródzkie ziemniaczane pola, koleżanka Asia zapytała: – Swoją drogą, dlaczego ty nie należysz do ZMP?

Całe szczęście, że ugryzła właśnie taki olbrzymi kęs chleba ze smalcem, że może tylko mrugać oczami, dławić się i nic nie odpowiadać. I co za nieszczęście, że na tej ziemi, na której jest wszystko, nawet tundra i tajga, nie ma również gigantycznej gumki do wymazywania plam w życiorysie, do wycierania cudzych, niewygodnych istnień tak, by nie pozostawał po nich nawet zapach w atomowej, logicznej strukturze wszechświata.

Miasto ukloniło się jej purpurą sztandarów, miasto czeka spokoj-

nie, aż ona zostanie wielką pisarką, ale ZMP to nie miasto. Przy przyjmowaniu do organizacji zaczęłyby się pytania — a dlaczego ojciec w więzieniu. Co znaczy ten niedawno ujawniony brat Nicole. Dlaczego przebywa za granicą a nie w odrodzonej ojczyźnie. Gdzie on był podczas wojny. Po której stronie. Manifestu PKWN czy Powstańców. Czy przysłała DOLARY. I wobec takiego brata, kto to jest Nicole. Co to za imię? I te jej opowieści — kiedy byłam mała, to kochana pani madam, co ja nie miałam. Psa i zielnik miałam. I seledynowe tapety i seledynową pościel. I kuca. I te krople rosy. I w ogóle zawsze była pogoda. I lalkę z wąsami. I dzieciństwo. A teraz, co? Teraz mam starość i zgrzybiałość i starego męża-wariata i tę wnuczkę-zetempówkę, chociaż niby toto do zetempe nie należy.

Pewnie, że nie należy. Chłopcy i dziewczyny mogą sobie chodzić i śpiewać radośnie „my z zetempe, my z zetempe, my pracy nie boimy się”, a ona nie może. I przez kogo nie może? Może nie przez Nicole i jej męża-wariata? Loofra, Wagoola, statek My Fair Lady. Libańska kostropata ulica. Encyklopedię wymyślili mężczyźni w obronie przed kobietami. Kazachstan, kwiat śmierci. Morelowy sad a za nim chabry. Kwiaty kwitnące w chlebie. Lalka z włosami koloru toalety młodej paryżanki. Czerwony ścieg ranionych ludzi na młodym śniegu, ozdobny trop śmierci. Tu masz, tam reling, a tam pływający trup w odróżnieniu od żywego.

W odróżnieniu od mówiącego, milczący Jot Em jest jeszcze straszniejszy, bo po dniach milczenia zdarzało się, jak zdarzyło niedawno, że zaczynał się w ciemnym przedpokoju i znienacka szeptał jej do ucha, tak jak niedawno szepnął — w dwudziestym drugim, kiedy siedzieliśmy na zasadzce na lwa...

Wrzasnęła ze strachu. A na to Jot Em: — Ben ten tak wrzasnął. Powiedziałem do niego: Ben, schowaj sztucer, to już zmarnowana noc.

Zmarnowaną noc to miała ona. Przestraszyła się jej czerni i jej milczenia, bicia własnego serca, tego że świat może jej rankiem zaoferować nie radosny świt ale lufę przystawioną do skroni. Taką lufą jest pytanie koleżanki Asi. Ale na szczęście koleżanka, nie czekając aż ona przełknie kęs chleba ze smalcem, odeszła, można odetchnąć i cieszyć się, że na stródkich polach spotka się kolegę Marię: spod furażerki wyrykające się białe włosy, ułożone w czub miękki i bujny; szczupły, wysoki, uśmiechnięty, taki jakiego zapamiętała z fotografii w gazecie. Pod fotografią podpis: ochotnicza brygada młodych zetempowców z Liceum TPD przy Alei Stalina zaciągnęła lipcową wartę na pegeerowskich polach. Na pierwszym planie widzimy Przewodniczą-

cego szkolnego Koła ZMP, przodownika pracy i nauki, kolegę Marię Wawrzyńca. Kolega Maria Wawrzyniec w poczuciu dobrze spełnionego obywatelskiego obowiązku uśmiecha się przy snopie nowej odmiany pszenicy. Odmiana ta została wyhodowana przez Leśnobrzezski Instytut Agrotechniczny działający przy Państwowym Gospodarstwie Rolnym „Wspólnota”, który w swoich badawczych dociekaniaх opiera się na osiągnięciach wielkich naukowców radzieckich — Lysenki i Miczurina.

Na stródkich spółdzielczych polach kolega Maria nie uśmiechał się, skulony we dwoje migał na horyzoncie tuż przy czerwonej spódnicy koleżanki Asi.

A ona stała z głową zadartą do góry, nie silna, nie wysoka i nie prężna. Stoi. Nie śpiewała i łykała krew. Krew lepka, obłą, zgrużoną. Żeby się choć tak na chwilę położyć — ale gdzie? Wszędzie błoto, nic tylko błoto. W nogi zimno, trampki całe oblepione mazią obłą i zgrużoną, jak krew, między palcami nóg chlupocze woda, ręce umazane do łokci, wiatr zadziera spódnicę, raz zimno, raz gorąco, Nicole nie dała jej nowych, przerobionych z katany Jot Ema spodni — czy ty myślisz, że ja mam w dupę wkręconą maszynkę do robienia pieniędzy? Zmarnujesz takie spodnie i co będzie potem? — i jeszcze ta piosenka: gdy się słońce rumieni. Gdzie ono się rumieni? W jakiej stronie świata? Chyba że w tej spódnicy migającej na horyzoncie, chyba że w tej krwi spływającej ciężkimi grudami do żołądka.

— Co to, koleżanko? — usłyszała i otworzyła oczy.

— Kontemplacja przyrody? — Głos przybliżył się na wyciągnięcie ręki. Odwróciła się. Obok niej stał kolega Maria. Jego niebieskie oczy namokłe zmęczeniem zlagodniały.

— Krew? Jest na to sposób. Kompres na szyję. Trzeba iść do świetlicy. No, raz, dwa. I trzymać kondycję, inaczej się nie uda rajd!

Jaki znów rajd, o czym mówi kolega Maria i dlaczego nie bierze jej za rękę i dlaczego nie odchodzą stąd w świat, w którym naprawdę zieleni się trawa, gdzie na Hawajach dziewczyny jeżdżą na desce po oceanie całe w bryzgach pian, w kolorowej poświacie, w słońcu, któremu nikt nie każe się rumienić, ani wykonywać planu.

Jak igła zapomniana w skrawku materiału, który chce się wyrzucić, dźgnęła ją myśl — przecież kolega Maria będzie na tym rajdzie. Nie można z nim jeździć na desce po żadnym oceanie świata, ale można z nim iść na rajd. W pobliżu nie ma żadnej porządnej Syberii, którą można by, razem z kolegą Marią zmieniać, powoli i systematycznie, w raj zasadzony południowymi owocami, by pomiędzy nimi chadzać na przechadzki umoralniające ale można przecież iść z nim na rajd.



Na jaki rajd dowiedziała się zaraz po powrocie.

Otóż koleżance Asi, której wiele rzeczy przychodziło do głowy przyszło także i to, że mogliby stworzyć komunę.

Koleżanka Asia powiedziała: zbliża się rocznica Rewolucji Październikowej i trzeba ją uczcić uroczystie.

Koleżanka Asia dodała: zadrzałam. Zadrzałam, kiedy przeczytałam skrypt dla studentów filozofii. Człowieka zatyka z wrażenia, kiedy uświadomi sobie za pomocą tegoż skryptu, ile obcej, wrogiej ideologii przemycali filozofowie przedmarksowscy do umysłów prostego ludu i tak znękanego walką klas. Ile obskurantyzmu, ile obcego nastawienia do oświaty, postępu, idei komunizmu, równouprawnienia i samostanowienia. Ile religianctwa, ile podlegania do wykonywania magicznych gestów przed ołtarzami, ile niechęci do wykrywania praw przyrody, ile marzeń, całkowicie wstecznych, o sprawiedliwym królestwie boskim, ile reakcyjnej walki z próbami stworzenia sprawiedliwego społeczeństwa na ziemi. Trzeba było wielkości umysłu, niezłomności talentu profesora, który skrypt układał, aby całe to wsteczństwo wyluskać z pięknych słówek JAKOBY FILOZOFÓW jak groch i podać na talerzu z adnotacją — TRUJĄCE! A oto niektóre cytaty mówiące same za siebie. Rzecz dotyczy niejakiego SOKRATESA: „Sokratyczne, bezwzględne „cnoty” w połączeniu z jego propagandą przeciw ustrojowi demokratycznemu i w połączeniu z mistycznym religianctwem miały na celu jedno: apologię ustroju kastowego, w którym każdy będzie robił, co umie, to znaczy był posłusznym członkiem w rękach rządzącej klik. Skazanie i śmierć Sokratesa było — jak już wspomnieliśmy — jednym z politycznych refleksów demokratycznej w pierwszych latach odrodzonej republiki... Mało znanym, choć interesującym jest fakt, że mniej więcej w sto lat później, w czasie jednej z prób restytucji demokracji w Atenach, Sokrates, tym razem wyraźnie jako filozof, został wspomniany w mowie Democharesa (mówca, siostrzeniec Demostenesa), jako ideowy sprawca rozkładu politycznego społeczeństwa. Mowa Democharesa nie zachowała się. Wiadomo tylko, że lud po jej wysłuchaniu zażądał usunięcia filozofów z Aten. Co też nastąpiło — na rok”.

A oto cytat dotyczący niejakiego osławionego PLATONA: „System ten — apologia najskrajniejszego obskurantyzmu, religianctwa i reakcji społecznej — był wyrazem partyjnej (nie mylić z PZPR, KPZR czy KPCz — dodała koleżanka Asia), arystokratycznej nienawiści do demokracji i doktryn postępowych. Filozofia platońska jest trudna do ekspozycji ponieważ Platon posługiwał się często w swoich roztrząsaniach językiem poetyckim, obrazowym, wprowadzając do

rozważań mity itd...”, jak na przykład mit o tym, że sobie tylko właściwie siedzimy w jakiejś jaskini jako słabe refleksy nieokreślonych bliżej idei, które są w niebie. Platonizmem zaraziło się wielu, przede wszystkim realizm średniowieczny i wszystkie ciągnące się przez skrypty profesora kierunki filozofii idealistyczne i reakcyjne. W epoce imperializmu szereg kierunków również czerpało zeń swoje natchnienie, jak na przykład niejaki Paul Natorp, neokantysta i apologeta imperializmu, czy Husserl — zdecydowany wróg wszelkiej filozofii empirycznej.

Chciałoby się nie tylko drzeć z rozpaczcy ale również zawołać — Precz z intelektualnymi Agenturami Filozofów Imperializmu. I koleżanka Asia tak właśnie woła, dodając, iż prężna młodzież przyszłego komunizmu najwłaściwiej rozwijałaby się wyłącznie w komunie przez siebie kierowanej, inspirowanej przez ludzi, którzy piszą powyższe skrypty, w komunie, w której czytałoby się wyłącznie dzieła Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. I nic więcej — co najwyżej Makarenkę.

Makarenko — oto nasz właściwy trop! Chcemy uczcić Rocznice Rewolucji Październikowej, to ją uczcijmy w jedyny właściwy sposób. Stwórzmy KOMUNĘ na wzór tej, która powstała w Charkowie z bezprizornych dzieci, którym rodzice zaginęli podczas wielkiej oczyszczającej Rewolucji. Nam nie jest potrzebna sama rewolucja, nam wystarczyłoby o niej wspomnienie, by wychować się w duchu Makarenki i jego przywódcy duchowego, wielkiego metodyka pracy wychowawczej i dydaktycznej, Stalina. Jak założenie Komuny miałoby wyglądać w praktyce i szczegółach, koleżanka Asia powiedziałaby po rajdzie, który byłby forpocztą przyszłych związków naturalnych między młodzieżą. Na początek koleżanka Asia wspomni tylko o trzech sprawach — wychowując się sami, odcięliby się raz na zawsze od błędów minionych epok i historycznie źle wychowanych rodziców. Po drugie wychowywaliby się koedukacyjnie, by odsłonić tajemniczą tajemnicę seksu z jej osłon, a tym samym, nie mieć w tym względzie żadnej tajemnicy, a co za tym idzie raz na zawsze wyrzucić z wyobraźni coś, co niektórzy nazywają — stosunki płciowe. Po trzecie — nosiliby karabiny, bo jak pisze Makarenko: MIEĆ KARABIN W RĘKACH JEST PO PROSTU WYGODNIE I CELOWO!

Koledzy na Rajd! Kolego Tuchton, jako przyszły komunard wylosicie nam na rajdzie pogadankę pod tytułem — Rewolucja Październikowa jako bezpośrednia przyczyna powstania nowych naukowych metod pedagogicznych w Charkowie, w Komunie imieniem Feliksa Dzierżyńskiego. Mam nadzieję, że kolega wie, co to jest obywatelski obowiązek.

Tak. Kolega Tuchton wiedział. Jego ojciec miał niedawno obywatelski obowiązek zreferować sprawę tymotki. Tytuł obywatelskiego obowiązku brzmiał — Nigdy nie kupimy do naszej Spółdzielni tego, co pochodzi z Zagranicy lub Londynu. Ojciec kolegi zapytał — a dlaczego nie kupimy nigdy? Ojcem kolegi zajęły się odpowiednie czynniki i nie tylko dla koleżanki Asi, ale dla wszystkich stało się jasne, że kolega Tuchton musi teraz dołożyć starań, by karząca ręka sprawiedliwości ludowej nie spadła również i na niego.

Poszła do domu szczęśliwa. Koedukacyjne sypialnie. Kolega Maria! A na początek rajd!

Mamo! Mamuniu — Polsko Ludowa! I to jest właśnie rajd? I gdzie jest kolega Maria? Wcale nie przyszedł, by zawiązywać przysze związki naturalne między młodzieżą.

Gdyby została w domu mogłaby przynajmniej spać, a tak musi wlaźć na oblodzone leśne pagóry i z nich zlaźć. Ciągnąc za sobą drzewce sztandaru, który koleżanka Asia nakazała każdemu trzymać w ręce na początek zamiast karabinu. I jeszcze musi, jak zawsze i wszędzie, śpiewać — niech żyje sport, sport, sport żyje nam, ty dzielnie broń boiska i bram i wiedz, że silną musisz mieć dłoń, być udźwignął i młot, młot i broń.

I wreszcie schronisko PTTK.

Przed schroniskiem kierownik. Mały i chudy. Ze zmęczenia ledwo go widziała. Wskazywał im odpowiednią salę. Usiadła na materacu leżącym na podłodze. Zwalila się na ten materac.

W drugim końcu koedukacyjnej sali grupa młodzieży: jacyś tacy obcy. Zrobiła wysilek, by im się przyjrzeć — dziewczyny miały ondulowane włosy. Popijano tam wino! Palono papierosy! Mimo zakazu na ścianie — Palenie Surowo Wzbronione! Mówiono tam z takim akcentem, jakiego używała madam Polewańska, kiedy się zdenerwowała. Francuscy repatrianci — tym wszystko wolno, fryzowanym owcom! Zatrzęsła się z zimna i wściekłości — głodno, chłodno i do domu daleko, a ci chichoczą w obcym języku i pokazują paluchami sztandary. Wytykają. I jeszcze trzeba będzie z nimi spać na tych brudnych materacach, na tej brudnej, zaśmieconej podłodze, a dopóki nie zgaszą światła, czytać hasła na ścianach: NIECH ŻYJE, ROZKWITA I UMACNIA SIĘ NASZA OJCZYŻNA LUDOWA! SPORT TO ZDROWIE! WSZYSTKIE NASZE MŁODE SIŁY DLA PARTII I KRAJU! POMOC ZSRR, PRZYKŁAD ZSRR, PRZYJAŹŃ ZSRR!

Fryzowane owce zbiły się w grupkę i wytykają teraz paluchami

młodych przyszłych komunardów. To tego. To tego. I jakaś taka wrogość od nich zalatuje razem z odorem potu, wina i zagranicy. A czy to tak powinno być na świecie? Przecież na świecie powinno być jak w tej piosence — Rosjanin z Kurska, Polak z Piotrkowa, Hiszpan co walczył w mieście Kordoba, Grek ze Salonik, Chińczyk z Szanghaju idą ulicą i tak śpiewają: w językach mówimy stu, lecz jeden rozumie drugiego, bo wspólny dla wszystkich jest szum wiatru i ptaków świe-rgot! I wspólne obłoki z rana i wspólna jest krew przelana i iza w czymś oku i walka o pokój i wspólny jest bój i wspólny jest bój o swobodę.

Na świecie powinna być komunია serc, a tu kierownik schroniska mówi: — Herbatę można sobie zagotować na prymusie w kuchni. Prymus jeszcze działa, bo kuchenka gazowa już nie działa. Ubikacji uprasza się nie używać, bo brakuje wody. TAKIE SPRAWY trzeba było sobie załatwić każdy na własną rękę w lesie. Uprasza się nie zanieczyszczać TAKIMI SPRAWAMI terenu wokół schroniska. Winni będą pociągnięci do surowej odpowiedzialności.

Koleżanka Asia objęła komendę: — Do kuchni marsz. Herbata, każdy zje, co tam ma, a podczas tego pogadanka kolegi Tuchtona. Kolego Tuchton prosimy uprzejmie.

Kolega Tuchton szpera w plecaku. W kuchni tak samo jak we wspólnej sali śmierdzi moczem i środkami dezynfekcyjnymi.

Kolega Tuchton zaczął czytać: Pogadanka na temat Rewolucji Październikowej jako bezpośredniej przyczynie powstania nowych, naukowych metod pedagogicznych w Charkowie, w Komunie imieniem Feliksa Dzierżyńskiego.

Żeby nie zasnąć wytrzeszczają oczy. Twarze czerwienieją im ze zmęczenia i od parującego, gorącego naparu.

„Włodzimierz I. Lenin zawczasu opracował plan Październikowego Zbrojnego Powstania w Piotrogradzie. Po pierwsze trzeba było zająć Piotropawłowską Twierdzę, gdzie się znajdowało sto tysięcy karabinów i rozdać je robotnikom. Po drugie zająć wszystkie mosty i skierować Rewolucyjne oddziały Robotników, Marynarzy i Żołnierzy ze wszystkich stron w centrum miasta. Po trzecie zająć stację kolejową, telegraf i dworzec. Po czwarte okrążyć Pałac Zimowy, wziąć jego szturmem i aresztować Rząd Tymczasowy. Taki był Leniński Plan Działania.

To był bardzo śmiały plan i wypełnić jego nie było łatwo. A październikowe dni stały w bojowym szturmie Proletariackiej Rewolucji.

Dwudziesty czwarty Października 1917 rok. Północ. Miasto tonie w ciemnocie. W tą noc Wojennorewolucyjny Komitet skierował swo-

je siły w centrum miasta. To była wojna komu rządzić miastem — czy kapitaliści i obszarnicy, czy Komitet Rewolucyjny.

To tu, to tam, w mieście pojawiały się Oddziały Gwardii Ludowej. Wyjeżdżały z ciemnoty samochody ciężarowe z zbrojnymi Robotnikami, Żołnierzami i Marynarzami. Czerwonogwardziści szybko okrążali gmach instytucji, szybko wbiegali na górę po schodach i rozbrajali ochronę. Ogarniali szybko gmach Centralnego Telegrafu. Telefoniczny przewód, który powiazywał Burżuazyjny Rząd Tymczasowy ze wszystkimi stronami, przestał istnieć. Potem przeszła w ręce Robotników, Marynarzy i Żołnierzy poczta główna, elektrownia, państwowy Bank, dworzec i centralna stacja telefoniczna.

Nocą Robotnicy, Żołnierze i Marynarze zagarnęli wszystkie mosty, przez które szły wszystkie ważne ulice do Dworca i do Pałacu Zimowego. Teraz trza było wykonywać następne dekrety Lenińskie: opanować Pałac Zimowy i aresztować Tymczasowy Burżuazyjny Rząd.

Nastał dzień 25 Październik 1917 rok. Poczty przez miasto były w rękach Robotników, Marynarzy i Żołnierzy, ale zagarnąć Zimowy Pałac było trudno.

Bo ze środka Zimowy Pałac otaczała rzeka Nawa, a z południowych kierunków Ogromny Plac. A w samym Zimowym Pałacu było tylko jednych schodów sto siedemnaście, a pokoi duże tysiące. Tu było dużo miejsca i dla wojska i dla składu narzędzi i dla zapasu żywności. Grube ściany Zimowego Pałacu mogły znieść długie oblężenie. I wszyscy Bolszewicy postanowili opanować Zimowy Pałac w ten dzień 25 Październik 1917 rok.

Zapadł wieczór. Ciemnota skondensowała. Stało się wszystko ciemne. Robotnicy, Marynarze i Żołnierze stali grupkami wokół ognisk. Oni grzali ręce i suszyli mokre od deszczu płaszcze. Oni wiedzieli — zacznie się bój, który rozwiąże ich los, los ich dzieci, ich żon, los ich kraju i ich narodu. Wszyscy oczekiwali sygnału do rozpoczęcia tego Boju.

Jest — wysoko na Twierdzy Wybuchnął Czerwony Ogień! Uwidzieli to Robotnicy, Marynarze i Żołnierze. Okręt Aurora dał zgiebnięty wystrzał, który był sygnałem do rozpoczęcia szturm Zimowego Pałacu. Kołem wszystko dalej tonęło w ciemnocie. Świsnęły kule, wybuchały granaty, rozdzierały się krzyki biegnących do ataku. To Robotnicy, Marynarze i Żołnierze podnosili się i biegli do Zimowego Pałacu. Na koniec Rewolucyjne Oddziały doszły do tego pokoju, gdzie byli Ministrowie Tymczasowego Burżuazyjnego Rządu. Powiodło się Zbrojne Powstanie.

To ono dało początek bezdomnym dzieciom, które potem zamieszkały w Charkowie w komunie imienia Feliksa Dzierżyńskiego i zostały wychowane w nowych zasadach naukowych i pedagogicznych, które pozwalają Budować Nowego Człowieka Komunizmu od podstaw. I my chcemy być przyszłymi Komunardami, a na razie obchodzimy co roku, rok w rok, Tę Wielką Rocznicę Rewolucji siódmego Listopada, choć była ona 25 Października 1917 rok. I to jest dowód na względność czasu Einsteina. Aleksander Tuchton. Klasa dziewczęta „b”.

Mietek Semprun zachrapał. Gdzieś na korytarzu rozległ się śmiech. Zanim rozległo się ostatnie zdanie koleżanka Asia otworzyła oczy, potrząsnęła głową, spojrzała na przyszłych komunardów. Spali z otwartymi ustami. Huknęła pięścią w stolik. Poderwali się wszyscy, wytrzeźwieli, przetarli oczy, ustawili uszy.

— Nie zgadzam się. Co też kolega Tuchton wymyślił. To jest ewidentne, to znaczy, oczywiście, pomieszczenie teorii. Względność czasu występuje wtedy, kiedy na przykład ja siedzę sobie tu, a mój moskiewski kolega w Moskwie. U mnie przykładowo jest godzina dziesiąta wieczór a u mojego moskiewskiego kolegi dwunasta w nocy. Co u mnie mogło się zdarzyć o dziesiątej u mojego kolegi moskiewskiego już się zdarzyło dwie godziny temu i to jest cała względność czasu i dowód na to, skąd należy brać przykład, przyjaźń i pomoc. Od tych, kolego Tuchton, którzy sobie żyją wcześniej o tych kilka godzin. A co do Obchodów Rewolucji, to to że ją obchodzimy prawie cały miesiąc później, to tylko dowód na to, że powinniśmy zostać siedemnastą republiką i mieć jednakowy kalendarz, choć na względność czasu, i dobrze, nie miałoby to żadnego wpływu, i tak żylibyśmy z opóźnieniem tak potrzebnym dla prawidłowego rozwoju.

— O Jezu! Daj mi spokój Aśka!!!

— Kolego, nastąpiła teraz walna dyskusja nad waszą pogadanką. Zatem wypraszam sobie religiankę propagandę, a poza tym nie jestem dla was żadną Aśką, ale koleżanką.

Kolka pofioletował. Dużą, pękatą dłonią nabral sinawego, zwiędłego powietrza i rozmazał je po twarzy. Wykrzusił: — A ja wam powiem jedno KOLEŻANKO, pocałujcie mnie w... KOLEŻANKO! i wszyscy KOMUNARDZI też!

W szkole, tuż przed świętami, na walnym zebraniu z udziałem aktywu ZMP na czele z Przewodniczącym, kolegą Marią, miano rozpatrzyć dwie sprawy.



Pierwsza: niewłaściwy stosunek do równouprawnionej koleżanki kobiety. Oskarżony: kolega (były) Aleksander Tuchtton.

Druga: (o wiele ważniejsza): kontrrewolucyjna propaganda. Oskarżony (były kolega) Mieczysław Semprun. Doigrał się. A niby nie takiego. Tak zwyczajnie patrzył przez okno, kiedy wracali pociągiem do domu. Cały przedział był tylko dla nich. Mietek dostał miejsce przy oknie. Najpierw patrzył przez nie, jakby to zrobił każdy, a potem odwrócił się, zaczął dumać, no i doigrał się.

— Czego my chwalimy Woltera? Co?

Zgłupieli. Ale nie koleżanka Asia. Koleżanka Asia odpowiedziała natychmiast: — Bo to był wielki filozof, który przeciwstawiał się wszystkim burżuazyjnym i monarchistycznym instytucjom co do jednej. Bo daleko wybiegał z krytyką poza swoje czasy...

— No właśnie. Krytykował WSZYSTKO. I my go za to CHWAŁIMY. A CO BY BYŁO gdyby u nas ktoś zaczął KRYTYKOWAĆ WSZYSTKO?

— Ależ kolego, opamiętajcie się, przywołuję was do porządku! Wolter krytykował burżuazyjne i monarchistyczne porządki. A my żyjemy w czasach przejściowych BUDOWY KOMUNIZMU. Jak można krytykować SOCJALIZM W OGÓLE? Jak można krytykować wszystko w socjalizmie? Przecież jest to najsprawiedliwsza, od początku istnienia dziejowego, formacja. Owszem, nie powiem, można w niej skrytykować to to, to owo, na przykład chcemy zostać komunardami, bo krytykujemy przeżytki rodzinne. Ale WSZYSTKO? To nie byłaby krytyka ale KRYTYKANCTWO. I to ZDEPRADOWANE i NIEPRAWNE.

Mamo-Mamuniu-Polsko Ludowa, co za rozmowa, same DUŻE SŁOWA! A Mietek Semprun zamiast milczeć, bo milczenie jest złotem, kiedy mowa srebrnikiem, to pyta: — No dobrze. Wolter krytykował i z dystansu historycznego widzimy, że miał rację. A jakby się U NAS zjawiał ktoś, kto wybiega daleko poza swoje czasy i w tej przyszłości, co nie ma dla niego tajemnic, zobaczyłby, że to, co się u nas dzieje, to POMYŁKA? To co byśmy z takim człowiekiem zrobili?

— Kolego Semprun, teraz już nie przywołuję, ale OSTRZEGAM! Czyście zapomnieli, że my, żyjąc TERAZ, już znamy prawa, które rządzą rozwojem społeczeństwa, prawa, które wykrył i ujawnił materializm historyczno-dialektyczny? I że według tych praw, my się doskonale orientujemy, co będzie za milion lat, i co można w związku z tym krytykować i kiedy? A teraz, kolego Semprun, koniec dyskusji. Dokończymy ją w innych warunkach i innych OKOLICZNOŚCIACH.

Koleżanka Asia wstała i wyszła z przedziału. Za nią inni. Tylko Kolka Tuchtton, jako napiętnowany wcześniej, został z kolegą Sump-runem. Do przedziału wdarli się zmęczeni robotnicy, pijani żołnierze i nawet jeden marynarz, także jedna kobieta z dwojgiem dzieci.

Na szkolnym ogólnym zebraniu jako pierwszy miał wystąpić oskarżony Tuchtton. I wystąpił. Blady, jak dopalająca się gwiazda.

Siedziała z otwartymi ustami. Za mało powietrza w tym miejscu na ziemi, gdzie zdarzył się cud — tuż przy niej siedział kolega Maria. Taki nowy styl. Przewodniczący miast w krzesło, na trybunie, przy stoliku zasłanym czerwonym suknem, ot tak, po prostu, bez pretensji, pomiędzy maluczkimi na sali. Tylko dla niej nie był to żaden nowy styl, ale CUD. Nie widziała kolegi Marii od rajdu, podobno był chory. Kątem oka dostrzega czarny, wykrzywiony, zniszczony but kolegi: jak ona kocha ten but. Na pewno przemoczony ten but. Na pewno za zimny, za wilgotny ten but. Jaka zmarznięta musi być stopa w takim buciku. Stopa, która niecierpliwie porusza się. Wystukuje jakiś rytm. Co to za rytm, rytm czego? I ta nogawka nad butem — wystrzępiona. Niech odejdzie Biograf, niech o innych dziewczynach dzieci w szkole uczą się od-do, niech inne koleżanki zostają pisarkami, ona wie, czego chce. Chce, żeby kolega Maria wziął ją za rękę i żeby poszli w takie miejsce na świecie, gdzie będzie mogła mu suszyć buty, czerować nogawki, prać, sprzątać i gotować. Kolega Maria pochylił się w jej stronę. Jego ramię opięte w za ciasny rękaw marynarki dotyka jej ramienia. Zaczynają jej drgać powieki i palce. — Koleżanko — słyszy. — Słyszałem, że koleżanka ma talent plastyczny. Jak skończy się zebranie niech koleżanka poczeka na mnie w korytarzu. — But zniknął. Zniknęła wystrzępiona nogawka. Przelknęła suche, parzące jak ukrop, powietrze.

Nie wiedziała jak skończyło się zebranie i jak znalazła się na korytarzu i jak odnalazł ją tam kolega Maria i jak to się stało, że usłyszała zaproszenie, że zapamiętała adres i że przyszła do niego? Teraz stoi w jego pokoju — zezwłok bez serca, a kolega Maria mówi: ŁYSENKO i MICZURIN. I stoi przed nią młody, piękny, zdrowy, jasny jak zorza, rozświetlony jak brzozy zagajnik, gorący, złoty. I nie można zrobić tej jednej, jedynej rzeczy — wyciągnąć ręki i dotknąć go, bo nie dotyka się słońca.

Kolega Maria każe jej siadać, pić herbatę. Kolega Maria ma pecha. Kolega Maria ma na imię WAWRZYNIEC. Kolega Maria żałuje, że nie ma jakiegoś prostego, miękkiego imienia. W rodzaju:

ALOSZA, WOŁODIA, IWAN, MITIA, czy chociażby jak ten napiętnowany, relegowany ze szkoły ich były kolega — KOLA.

Kolega Maria pyta się zniecierpliwiona, czy ona wie, co to jest szczęście. Czy ona WIE! Pewnie, że WIE! Od czasu zebrania WIE!

Szczęście, to siedzieć naprzeciw kolegi Marii Wawrzyńca. Szczęście, to słuchać jego głosu.

Szczęście, to mieć takie jak on dłonie, duże, silne, pewne, bezpieczne. To by było szczęście, gdyby mogła dotknąć tych dłoni. Lekko, delikatnie, choćby musnąć. Szczęście, to być w tym pokoju: wąskie połowe łóżko, biurko, regał, gwoździe wbite w drzwi, na gwoździu odzienie. Na ścianie nic, tylko portret rolnika i wymalowana stonka — osobisty wróg kolegi Marii.

Szczęście, to pić zaparzoną przez niego herbatę.

Kolega Maria pyta: czy ona wie, co to jest komunizm. Pewnie, że wie. Gdzie ona mieszka, w jakim kraju, żeby nie wiedziała tego od kołyski.

Ale kolega Maria ma taki zwyczaj jak koleżanka Asia, zadaje pytania i nie czekając odpowiedzi sam odpowiada: — Szczęście to nie przyjemności, to nie cnoty, to nie wiele rzeczy w nadmiarze, to nie umiar w posiadaniu, to nie obojętne serce, ani opanowanie namiętności, to także nie serce gorące i nie wyladowanie namiętności, to nie ryzyko ani poddanie się regułom, to nie spokój ani relaks, to nie układ w najwyższym stopniu pomyślny i zadowalający pod względem materialnym ani duchowym.

Szczęście, to iść drogą wytyczoną przez Miczurina i Łysenkę ku komunizmowi! W rolnictwie ta droga jest otwarta i kolega Maria nią pójdzie. Kolega Maria ma dalekosiężne, dalekowzroczne plany. Kolega Maria przekształci wraz z innymi planetę ludzką w RAJ. Tam, gdzie teraz skute lodami bieguny, będą kwitły oliwne gaje. Tam, gdzie teraz pustynny wiatr wysysa resztki wody z piasków, zazłoci się pszenica, chleb dla ludzi pracy. Precz z błędnymi teoriami o dziedziczności, precz z mendelizmem-weissmanizmem. Precz z genami, które nie istnieją. Precz z teoriami o niemożności zmieniania cech rośliny w procesie ontogenetycznym. Precz z głodem w krajach dopiero rozwijających swój potencjał gospodarczy. Początek skromny — tylko ta jedna wyhodowana, i to niesamodzielnie, odmiana pszenicy. I gazetka ścienna obrazująca pulsowanie w różnych zakątkach naszego socjalistycznego obozu ognisk myśli miczurinowskiej.

Pośrodku gazetki ma być twarz Miczurina. Od jego twarzy mają odchodzić linie. O, takie. A tu jest spis ognisk. A tu różne rodzaje

tuszków. Czerwony też jest. Piękne wymalowanie gazetki, to będzie jej osobisty wkład w dzieło budowy szczęścia na ziemi.

Wyszła. Zupełnie nie do wiary. BYŁA — BYŁA i WYSZŁA. Całkiem dobrowolnie, nawet trochę za szybko, bo kolega Maria proponował jeszcze jedną herbatę. I teraz stoi i nie umiera z rozpaczy, że wyszła, kiedy mogła zostać. I że zobaczy kolegę Marię DOPIERO po świętach! Kiedy będzie to słynne — święta, święta i po świętach? Po co komu święta? Chyba po to, żeby ona cierpiała. Tyle dni w domu, w którym znowu jest a wydawało się jej, że z tej klatki schodowej kolegi Marii nigdy i nigdzie się nie ruszy.

Za oknem, na zaśniewionym parapecie przycupnął gil. Biedna ptaszyna. Chyba głodna. I takie ma czerwone piórka na gardziółku, zupełnie jak zetempowiec. I oczkami tak śmiesznie łypie: łyp-łyp. Ptaszyno, już niedługo będziesz mieszkała w raju. W raju nie będzie żadnych zim, tylko gaje oliwne. I pod dostatkiem ziarna dla ciebie i innych. Ale skąd to masz wiedzieć, ptaszyno. Czy ty wiesz, co to jest szczęście albo komunizm? W komunizmie będzie wszystko dla wszystkich, ciastka dla wszystkich, szynka dla wszystkich. Ciekawe, czy Nicole kupiła na święta szynkę. Wprawdzie jej powiedziała — jak sobie tak lekceważysz świętego Mikołaja, to niech ci ten twój DZIAD MRÓZ przynosi szynki na prezenta, ale może jednak kupiła. No i jak — będzie ta szynka, czy nie będzie — oto jest pytanie.

BYŁA. Tylko pożarli ją sąsiedzi. Nicole naspraszala na drugi dzień świąt całą kamienicę i jeszcze panny Gerhardt dodatkowo. Wódkę to pili. Szynkę to żarli. Kolędy śpiewało, jak za sanacyjnych czasów. I dowiecipy opowiadało. A ona, biedna, ledwo uszczknęła cztery plasterki z tej szynki. A jak sięgała po piąty, to Nicole szczypnęła ją i zasyczała — ssama tu jesteścieś?

Pewnie, że nie sama. Cała kamienica tu siedzi i żre. Jakby była sama z tą szynką, to rozkoszowałaby się nią przez cały rok. Po plasterku, co rano, jak lekarstwo.

Obraziła się na Nicole. A jeszcze bardziej na madam Połewską: nażarła się, nażarła, a potem WYRZYGAŁA! Jak ktoś śmie wymiotować szynką?

Tylko jeden dziadunio nie jadł szynki, kochany. Zresztą nie jadł, niczego nie pił. Siedział i milczał, a jak się raz odczuwał, to wszyscy uciekli. KOCHANY DZIADZIUŚ! Przynajmniej mogła wtedy zsunąć na swój talerz całą końską kielbasę i jeszcze grzyby marynowane. I jeszcze ciasto obok. Może i niepotrzebnie. Trochę się jej zro-

bilo słabo, zupełnie jak tej madam Polewańskiej. I żeby ta chociaż zatrula się na kilka dni, ale gdzie tam, zaraz na drugi dzień przyszła i gada i gada i pyta — a co ty tam malujesz, dziecko? Wygląda to z daleka jak gigantyczna gwiazda z mackami. Optymistyczny rak.

OPTYMISTYCZNY RAK! Na pulsujące ogniska myśli miczuri-nowskiej! Takiej, to nawet jakby brzytwą język ciachnąć, to i tak coś jeszcze doda. Dodała: — Ani się obejrzymy jak nadejdzie wiosna, słońce stanie wysoko. I te lepkie listeczki! Dostojewski! Czytujecie, kochanie, teraz w szkołach Dostojewskiego?

Jeszcze by czego! Dostojewskiego czytać. O którym sam kolega Maria powiedział: DOSTOJEWSKI RÓWNA SIĘ IDIOTA. I o którego jednym z bohaterów napisano w przypisach do Poematu Pedagogicznego: „Upoję się własnym rozczerwieniem. lepkie listeczki wiosenne, niebo błękitne — oto co kocham. To nie rozumem, nie logiką, ale wnętrzem swoim, trzewiami kochasz, pierwsze swoje siły młode kochasz». — W tych słowach wyraźnie występuje uwielbienie Karamazowa dla ślepych sił przyrody, niewiara w rozum człowieka i poza indywidualisty upajającego się własnym wzruszeniem”.

Lepkie listeczki wiosenne! Indywidualistka jedna upajająca się swoim własnym wzruszeniem. Złośliwa przy tym, taka niby kochająca, dbająca, pyta teraz, czy zadanie z polskiego dziecina odrobila. Pyta, co teraz zadają dzieciom w szkołach, bo ona chce wiedzieć, może coś z Szekspira dziecinom zadają? Też się wybrała. Szekspira, który opisywał duchy ojców i nie wiadomo na dodatek, czy istniał. My, proszę szanownej obywatelki madam, to teraz Przedwiośnie przerabiamy, proszę bardzo, oto wypracowanie. Temat — Opisz powrót Cezarego Baryki do Warszawy na podstawie przeczytanej lektury pt. Przedwiośnie. Napisała: — Cezary Baryka powróciwszy do Warszawy zapisał się znowu na swą medycynę i zamieszkał, a raczej wmieszkał się do pokoju jednego z kolegów, niejakiego Buławnika. Ten Buławnik był progenitury szynkarskiej, czy małomiasteczkowo-paskarskiej, wskutek tego zawsze śmierdział pieniędzmi. Mieszkał zaś w dzielnicy oddalonej, już zdoła żydowskiej, przy ulicy Milej, która wcale nie była miła, w domu ponurym, obdartym z tynku, o schodach tak brudnych, ścianach wyjścia zakopconych czadem lamp gazowych, że trzeba było anielskiej cierpliwości serca, ażeby patrzeć na te ściany i na te schody bez zgrzytania zębami. Pokój był na trzecim piętrze obdrapanej tej rudery. Poprzez mieszkanie starszych pań, których było dużo, a wszystkie jakieś takie smrodliwe i rozkudlane, wchodziło się do pokoju niejakiego Buławnika. Od razu rzuciło się w oczy, że w rogu zacieka, tudzież niewłaściwie jakoś pachnie spod podłogi. Na uczynio-

ne w tym względzie zapytanie miejscowemu stróżowi, ewentualnie dozorczy, Cezary Baryka...

- Przerwij, ktoś puka.
- Nicole, ktoś puka?
- A wie pani, że i mnie wydaje się, że ktoś puka.
- Rzeczywiście, ktoś puka.
- Otwórz Nicole, ktoś puka przecież.

Nicole wróciła z telegramem w ręce: szczęka jej opadła, kolana dygocą.

Jot Em zerwał się: — Czytaj!

Madam Polewańska zerwała się: — Pani kochana da, przeczytam.

— Ja przeczytam! — zerwała się i ona. Może to telegram od kolegi Marii. PRZYJECHAĆ STOP ZIEĆ UNIEWINNIONY STOP MIESZKA U NAS STOP ROSOŁOWICZOWA STOP

— Uniewinniony! — rozplakała się Nicole. Boże, tobie najwyższe dzięki. Twój ojciec uniewinniony! Padnij na kolana!

JAKI OJCIEC? Dlaczego na kolana. Na kolana to tylko przed kolegą Marią. To on sprawił, że zapomniała ojca, jak zapomina się przelotne ptaki, aż tu nagle ojciec znowu jest i to uniewinniony. I na dodatek mieszka u Rosołowiczowej a nie u Janeczki. Uniewinniony — czy to by znaczyło, że nie dotyczą go te wszystkie dekrety, o których Nicole mówiła do Jot Ema, kiedy wydawało się im, że wnuczka zasnęła?

— Boże ty mój. Czy ty wiesz, co jemu grozi? Czy ty wiesz z jakich artykułów mogą go zasądzić? — Artykuł 3 dekretu z dnia 31.I.1946 — o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszystację kraju. Artykuł 2 dekretu z dnia 31.VIII.1944 oraz artykuł 86 paragraf 3 Wojskowego Kodeksu Karnego — o przygotowaniu do obalenia przemocą ustroju Państwa Ludowego. — Ty wiesz, co za to grozi? Nie chcę nawet wymawiać. Najmniejsza kara za tylko jeden z tych artykułów — to piętnaście lat. Najmniejsza. A za wszystkie? Matko Jedyna, dlaczego to nie mnie bomba trafiła, tylko ja, córeczkę moją. Córeczko moja, tobie dobrze, ty sobie śpisz spokojnie w mogile, a ja stara, co? I żebym ja jeszcze umiała mu to jakoś powiedzieć — Antoni, koniec. W Chełmie Lubelskim prawowita władza ogłasza manifesty, ty się nie oglądasz na tych z Londynu, tylko na tych, co przeczesują lasy i domy i zamykają wszystkich z AK. Ty się oglądasz na swoje dziecko, co jest półsierotą. Tylko dlaczego tak późno go zamknęli?

— Uniewinniony? — zawołała starsza pani Mieszczerska, potyka-



jąc się o próg. — BOHATER! CIERPIAŁ ZA MILIONY A TERAZ UNIEWINNIONY!

Cała kamienica teraz siedzi w kuchni Nicole i raduje się. Na stole wódka a Nicole fruwa jak ćma, szykując przekąskę. Co chwila opiera się o ścianę i coś belkocze. Aż madam Polewańska powiedziała do niej: — Kochana, wypij szklankę wódki i połóż się na godzinę. Ja tu wszystko urządzę. — I zaczęła szwaniać po cudzym kredensie.

Pan Leduch przyniósł mandolinę. Nicole wypila ale się nie położyła. Coś powiedziała znowu i przez kuchnię przeszedł stłumiony szep: może się coś zmieni — ciii — zaczyna się przecież słyszeć o wypuszczaniu na wolność — ciii — o możliwości rehabilitacji — ciii — zwłaszcza akowców — czy nie można ciszej — ciii?

Poprzez dźwięki mandoliny, szepty — ciii — poprzez zapach wódki, wypływają na kuchnię jak jadowite węże jakieś nazwiska — Radkiewicz, Romkowski, Różański, Dusza, Szymański, Wardyński, Mazurkiewicz. Ciekawe, czy ten Mazurkiewicz, to wuj Maszy, serdecznej koleżanki, czy nie?

Kiedy padło słowo STALIN — ciii — aż drgnęła, bo słowo padło jak sztylet, jak widły przygwożdżające ludzi do łagrów, łagrów, łagrów — ciii!

A zaraz potem okazało się, że starsza pani Mieszczerska i młodsza pani Mieszczerska w takich łagrach były. Że wywieziono je z Wilna do Sowietów ( — ciii — po co wywoływać wilka z lasu, lepiej mówcie panie „do Zet Es Er Er”, nie do Sowietów) w trzydziestym dziewiątym za nazwisko. W łagrze zażądano, żeby wydały współników. Bo jako byłe księżne, które osiedliły się na granicy, żeby przygotować napad Niemców na Zet Es Er Er musiały mieć mocodawców i współników. I nic nie pomogło żadne tłumaczenie, że nie są, że z rodem książęcym mają tyle wspólnego, co nie. I że nie mają żadnych współników. Oni powiedzieli, że muszą ich mieć i kropka. A ta kropka była drutem kolczastym. I całe szczęście, bo czasami taka kropka ważyła dziewięć gramów ołowiu.

Sz-bzz — jak w gnieździe szerszeni: lagry, zaurale, Kazachstan, parodie procesów, Kazyń — ciii! — Na litość Boską, pani Mieszczerska, pani się miarkuje trochę, jeden cudzy zięć wypuszczony na wolność, to jeszcze nie wolność w Polsce.

Ach tak? Boją się jednak. Bledną na twarzy. A może ten ojciec wcale nie jest wypuszczony, może wykopał podkop i uciekł? Bo jak można tak zniecać uniewinnić i wypuścić amerykańskiego śpiewaka? Świat się do góry nogami przewraca, ale akurat ktoś ci coś wyjaśni, tobie się niczego nigdy nie wyjaśnia, ciebie się nikt nie pyta

o zdanie, czy masz ochotę jechać witać z jakimś podejrzanym uniewinnionym ojcem. Ciebie się po prostu wlecze do pociągu ciemną nocą i tyle. I nikt ciebie nie pyta, co będziesz w tej Warszawie potem robiła, czy będiesz miała tam czym oddychać. Czy nie zabraknie ci powietrza, które otacza kolegę Marię. Dla nich kolega, to kolega. A Maria to imię żeńskie.

Pociąg. W pociągu ubikacja. W ubikacji smród i napisy na literę „d”, na literę „h” i na literę „c”. Można by pomyśleć, że chodzi tu w skrócie o doktorat honoris causa.

W ubikacji Nicole na sedesie, bo tłok i nie znaleźli innego miejsca. Jot Em obok. Ona na kolanach Nicole. A tuż przy ubikacji chłopak i dziewczyna. Za chłopakiem i dziewczyną mrowie ludzkie. Jakaś kobieta powiedziała: — Jeszcze pociąg nie ruszył a mnie już nogi w dupę wrosły.

Za Śląską Jaworzyną chłopak odezwał się do dziewczyny:

— To takie dziewczęta są teraz w Leśnym Brzegu, ojej?

— Czemu nie? Równouprawnienie jest.

— Ale pani to jest.

— A to czemu pan taki?

— No to niech pani powie, gdzie jedzie.

— Po co to panu? Ja nie jestem zainteresowana w tym, gdzie pan jedzie.

— No nie. Czemu pani jest taka?

— Bo nie jestem zainteresowana, żeby ktoś się interesował moim ściśle prywatnym życiem.

— Ale jak pani powie, to ja też powiem.

— Absolutnie nie zgadzam się.

— No nie, czemu pani taka jest?

— To czemu pan jest taki?

Za Wrocławiem jakiś pasażer wrzasnął: — Państwo opuszczają klozet, gdzie ja mam się załatwić, co to za kultura?

Łódź. Otworzyła oczy. Nicole śpi. Jot Em śpi na stojąco. Mrowie też chyba śpi. Tylko chłopak i dziewczyna nie śpią. I co on jej właściwie robi, dlaczego masuje jej piersi. I rozgląda się jak złodziej na boki. I dlaczego dyszy. I dlaczego pyta co chwilę dziewczyny — dobrze ci?

Warszawa. Nicole popija kompot. Jot Em dopala sporta. Głosy, stukot, łomot. Chłopak stoi osobno i dziewczyna stoi osobno. Dziewczyna płacze. Chłopak ma zmęczoną obojętną twarz. — Napiszesz? — pyta ona. Chłopak milczy i przeciera czerwone, zaropiałe oczy.

# POWITANIE OJCA

Jeden rzut oka — w więzieniu się nie tyje.

Drugi rzut oka — w więzieniu się maleje.

Trzeci rzut oka — w więzieniu dostaje się spiczastych kolan.

Pytanie — czy ona musi ojca pocałować?

Odpowiedź — musi.

Wrażenie — zupełnie jakby całowała omszałą cembrowinę studni, albo oślizłą boję na rzece, albo zawilgłe, zapajęczone, sztywno na czatach stojące powietrze w zaklętym lesie.

Mówi Rosołowiczowa — aleś ty urosła, kochana. — I płacz.

Ojciec milczy.

Mówi Nicole: — Antoni, BOGU DZIĘKUJEMY.

Mówią dzieci Rosołowiczowej, rozszarpując szmacianą lalkę: — Ty ją najpierw rozbier do gola.

Jot Em pyta: — TORTUROWALI CIEBIE?

Ojciec podnosi oczy. Mówi zakisłym, stęchłym głosem: Raz mi tylko kiskę stołcową na kij wywlekli poza odbytnicę.

Ryk. Płacz. Puk.Puk. Otworzono drzwi.

JANECZKA!

W drzwiach stanęła Janeczka, nic nie mówi, na nikogo nie patrzy, tylko rozbiera się. Najpierw, w płaszczu, była cała czarna i masywna jak Leśny Brzeg — miasto górników czarne jak aksamit, kamienne miasto z sinymi górniczymi wargami.

Teraz, w sukience, jest cała czerwona jak hutniczy piec. Zachowuje się tak jakby miała zamiar zdjąć i tę czerwień z siebie. Zawsze ją zadziwiała ta Janeczka. Przede wszystkim tym, jak pojawiła się w jej życiu. Najpierw człowiek nie wiedział w ogóle o żadnej Janeczce, nie podejrzewał nawet, że taka istnieje na świecie, aż tu pewnego popołudnia ojciec staje w drzwiach i mówi: — Ta pani ma na imię Janeczka. Ta pani zostanie z nami.

I ta pani została. Pani miała rozhuśtane, wszędobylskie ciało. Prześwitujące przez żorzetowe ręcznie malowane suknie. Przerywające tamy stanika i paska do pończoch. Miała wyskubane brwi, umalowane usta, na czubku głowy gniazdo rudawych loczków i spała w łóżku razem z ojcem, ciekawe, że jej na to tak od razu pozwolił.

Pani Janeczka zapytała: — Gdzie wstawimy dziecku polowe łóżko, skarbie?

Ojciec odpowiedział: — Do kuchni, skarbie.

Pomyślała: dobrze, że nie każą mi spać w nieopalonej łazience, SKARBY.

Pani Janeczka nie, tylko sprzątała — maniaczka. Do pojawienia się pani Janeczki jedną z cech właściwą przedmiotom było to, że bywają przeważnie brudne. Absolutnie czyste musiały być nie wiadomo dlaczego tylko okulary ojca i sztuczna szczeka sąsiadki murarki — całymi dniami moczyła je w szklance z co rusz zmienianą wodą, jak kwiaty.

Po przyjeździe pani Janeczki okazało się, że wszystko musi być czyste. W mieszkaniu przestały być sobie — łóżko ojca, stół, cerata na nim, paczka, ścierka, talerz, okno. Za to namnożyło się pełno czegoś, co z sekundy na sekundę kurzy się, kwitnie pleśnią, płami się, czernieje, więdnę, brudzi się. O podłodze lepiej nie wspominać: wejść na szmatki, wytrzyj buty, zdejm buty, uważaj, nie rozlej, wytrzyj, wypastuj, wypucuj, nie laź tyle, ślady robisz.

Próba buntu: — Nie będę myła za każdym razem talerza w gorącej wodzie. Jak się tylko RAZ zje i do tego WYLIŻE talerz do czysta, to chyba on jest czysty, ten talerz, no nie? Tak było za ojca.

Pani Janeczka zaśmiała się tylko.

Pytanie — czy ta pani Janeczka ma zamiar cały świat wysprzątać.

Odpowiedź — jeżeli tak, to dobrze. Wysprząta u nich i pójdzie sobie dalej. I jeszcze dalej. Ulicami, lasami, polami. Dojdzie do oceanów, sprzątajac. Nawet fajna taka wizja wysprzątane, ułożonego równo świata: chmury niepostrzeżone, równo obrębione, wykończone, kolor pod kolor, kontrastowo lub nie. Drzewa strzeliste, niepo-grużone, z równo ułożonymi konarami. Na konarach płaszcuteńko ułożone liście. Ptaki fruwać po liniach prostych. Skręcają pod kątem ostrym, jak te samochody na ulicy Stalingradzkiej, dawna Malinowa. Na tym rogu, którym wszyscy straszili, że tu się jeszcze wypadek zdarzy, nawet jak się do tej pory nie wydarzył. Jak dotychczas to jeden samochód na tym rogu przejechał tylko jedną kurę, która wyrwała się z rąk śmieciarza, Romea. A Julia, jego żona, śmieciarka, piszczala jak opętana: — Było jej związać skrzydła kacapie, skurczybyku, ube ku.

Zaskoczenie — pewnego dnia pani Janeczka machnęła ręką i przestała sprzątać. Powiedziała: — I tak nikt mojej krwawicy nie docenia.

Upodobniona do kobiet z ulicy Stalingradzkiej — przydeptane papucie, błyszczący, wytarty na łokciach i brzuchu szlafrok — pani Janeczka przestała być panią Janeczką. Została Janeczką.

Janeczka powiedziała: — Nic, tylko chudnę.



Fakt. Zmieniła się. Odrośli jej włosy — czarne, sztywne. Odrośli brwi — czarne, szerokie.

Odrósł jej włos na brodawce — czarny, długi, sztywny.

— Wyglądasz teraz jak Towarzyszka Smutna — powiedział do niej ojciec, a ona do niego: — Zapisalbyś się lepiej do partii. Tylu gorszych od ciebie się zapisuje. Partyjni nawet czasami jeżdżą samochodami. — Ocho — powiedział ojciec — czyżby nastąpił etap agitacji?

Janeczka przestała chudnąć. Z dnia na dzień zaczęła być masywna. Do mieszkania wniesiono maszynę do szycia i Janeczka zaczęła szyc. Także mówić przysłowia. Ojciec powiedział: — Ty, skarbie masz, okazało się, trzy ręce. Dwoma szyjesz. A trzecią czerpiesz z narodowej skarbnicy przysłów.

A ona do niego: — Ja już niczego od życia nie oczekuję. Jak do mojego brzegu coś przyplynie, to jak nie wiór, to gówno, dobrze, że o tym wiem. — Ocho — skomentował ojciec — nastąpił etap adaptacji.

Janeczka zaczęła się modlić. Ojciec powiedział: — I co ty chcesz, skarbie, wymodlić dla nas. DOŻYWOCIE?

Skarb łysnął przekrwionymi oczami.

Co ten skarb robił podczas nieobecności ojca?

Teraz ojciec siedzi na krześle u państwa Rosołowicz i ma te swoje spiczaste kolana a skarb cały czerwony jak hutniczy piec pada przed nim plackiem: ANTONI! Ty nie wierz nikomu. To tylko kuzyn ze mną mieszkał, ale już go nie ma. Bo ja się bałam sama. Wróc do domu, Antoni!

No i wyjaśniło się. Podczas nieobecności ojca Janeczka bała się sama, więc mieszkał z nią kuzyn, coś w tym dziwnego? Wszyscy odetchnęli z ulgą, nawet Jot Em. Wszyscy też, nawet Jot Em, postanowili, że miejsce dziecka jest przy cudownie połączonej rodzinie,

Pomyślała: RODZINA.

Pomyślała — ucieknę od tej rodziny. Pomyślała — popełnię samobójstwo.

Gdyby tak każdy, komu zamarzy się samobójstwo, popełniał je, to kto wtedy śpiewałby: jeszcze Polska a nie zgięła, póki my żyjemy?

Pewnego dnia poszła do szkoły. Następnego dnia przyniosła trzy dwójce. Trudno. Już Lenin powiedział: dwa kroki w przód, jeden w tył.

Pewnego dnia rozboleł ją ząb. — Tylny, trzonowy się nie liczy — powiedziała rodzina i podała jej herbatę z sokiem wiśniowym.

Następnego dnia spuchła — rodzina podała jej herbatę i sok wiśniowy.

Trzeciego dnia poszła do dentysty i wróciła bez zęba. Rodzina powiedziała — no widzisz. Popatrz, przyszedł list od babuni.

„Dzięki Bogu — pisała Nicole — u nas wszystko po staremu i nie ma o czym pisać, bo my tylko w domu siedzimy i nie wychodzimy i o niczym nie wiemy, tylko tyle, że na starość chcielibyśmy się przenieść do innego miasta. Powód następujący. Poinformuję was o zapyleniu Leśnego Brzegu. Wy macie bez wątpienia lepsze powietrze do oddychania, niż jak my. Tereny Leśnego Brzegu nie posiadają jodu i to już jest pierwszy mankament. Po drugie występuje promieniowanie uranu. Po trzecie — zapylenie. Zapylenie powodują koksoownie i koksochemie i wszystkie kominy zakładów. Na przykład dzielnica Sobiecin ma zapylenie 4200 kilogramów na metr kwadratowy na dobę, a dzielnica Piaskowa Góra okolona zakładami pracy i ciepłownią ma zapylenie na dobę na kilometr kwadratowy 3800 kilogramów. Jak widzicie kotlina leśnobrzeska nie jest bardzo dobrym miejscem zdrowotnym, ale jak już wiecie, jak się człowiek ułoży, to i w piekle nie najgorzej”.

Ta Nicole zupełnie inaczej pisze, niż mówi. Rodzina sylabizuje jej list i kłóci się o znaczenie poszczególnych słów, a także o to, czy miejsce starych rodziców jest przy starych dzieciach. Zupełnie inaczej wygląda dzisiaj ta rodzina — dwie zdezelowane śrubki nie wiadomo do czego, dwa trupy z przekrwionymi oczami. Nie będzie ich żałowała, na człowieka trzeba patrzeć z poczuciem historycznego dystansu. Jak człowiek chce założyć plantację — musi wykarczować las. Jak chce wykopać skarb — musi przejść przez pustynię. Jak człowiek chciał zdobyć Amerykę — musiał porzucić dom i dzieci, jak chciał zbudować Amerykę — musiał wytepić Indian, jak chce zbudować komunizm — musi powykręcać stare, zdezelowane śrubki, odrzucić precz stare trupy, które w uwiedlonych laurów liść z uporem stroją głowy. Rodzina, to nawet już głowy w nic nie stroi, nawet w bobkowe liście, bo ich nie ma w sklepie.

Jakiś okropny, pęczniejący żal. Zapłakała. Ojciec zapytał — co jej jest? Janeczka odpowiedziała — a co ma jej być? I dała jej herbaty z wiśniowym sokiem. Dostyc tej herbaty. Dlaczego przy niej musi siedzieć dwoje niepotrzebnych nikomu ludzi? Gdzie jest kolega Maria, jego oczy, ręce, usta? Dlaczego on musi żyć w takim zapyleniu. W dzielnicy Sobiecin? Jego zapyłone ciało. Jego zapyłone płuca. Tęsknota jest jak gorączka. Sprawila, że stała się jak step. Wysuszonymi na wiór kośćmi padłego przed milionami lat zwierza. Kamienicą omi-

janą z daleka: wypaloną, rozdziawioną kamienicą, kamienicą z wylupionymi oczami, z osmalonymi włosami, z opuchniętym językiem, który wwierca się jak dżdżownica w czyjeś dawno zamarłe zęby. Pomyślała — chyba zdycham. Pomyślała: — Chyba wariuję.

To niemożliwe, by ten mężczyzna na powrót łysawy, szary, stojący obok kobiety w waciaku, to był kolega Maria. Egzotyczny ptak odleciał. Koślawe drzewo jest koślawym przydrożnym drzewem. Kobięcie bieleją nieufne oczy. Dziecko ssie planetę a oni stoją naprzeciw siebie i nie wiedzą o czym mówić. — Ty — wyjąkuje nareszcie. — Ty, jak ci się powodzi? — Kolega Maria łyka ślinę, przestępuje z nogi na nogę i bełkocze: — Ano wżeniłem się — macha ręką w stronę kobiety — tu niedaleko w gospodarkę. Gdzie stąpnę, gównno, ale chałupa rośnie równo.

Świat najeżył się jak za czasów, kiedy Jot Em zaczynał mówić — Loofra, Wagoola, wszędzie gdzie nie spojrzysz ozdobny trop śmierci.

Byle stąd odejść, na nic nie patrzeć, zaszyć się choćby pod ziemię, uciec do domu. — No to cześć — mówi i odchodzi jak do piekiel.

— Hej — woła za nią kolega Maria — zapomniałaś jabłka

Dwór już się pali. Chłopi z widłami, chłopi z cepami i ten z łopata zastygają w purpurze. Czerwień i czerń i skrzące błyski złota. A na werandzie nietkniętej jeszcze przez płomień i gniew — śpiew: nie możesz pojechać do słodkiej Italii z taką walizką mademuazel Ewelina. Rubinowe łyski w ślepiach przestraszonego kota. Rubinowe połyski w pucharze pełnym wina. Czy można go przytknąć do warg, kiedy śmierć stoi pośrodku piaszczystego podwórza? A niebo oddziela od ziemi noc cała w zdrętwiałych dymach? Trzepocze posiniałymi skrzydłami obudzony motyl, drżą liście topoli i powieki tej, która puchar w dłoni trzyma. Która próbuje przemienić swój strach na poranny galop ulubionego konia, w pieśń nad pieśniami, w biały ślubnej sukni aksamit, w nicejski bulwar uwikłany w pierwsze przedce babiego lata. Nie odgarniała ich znad czoła w tamtej, ciepłej krainie, popękana jak spalony chleb dłoń, taka jak ta — wychynięta z widłami z trzeszczącego, podpalonego świata. Szeroka na ranę w ciele łopata. Pierwsze bluznęło krwią czarne koźle, demon nad demony, bo upostaciowany, ucieleśniony. Zamarł śpiew. Oderwała wreszcie palec od pucharu i krwawiących klawiszy. Cisza. Zapadła cisza. Tyle ciszy. Ten, co stał najbliżej, skoczył. Wydyszała z włosami w jego garści: puśćcie mnie, wy, nienażarci. Śmiał się on potem: w pasie była cienka, taka cieniutka, bracie, nie mógłbyś ją przeciągnąć przez ślubną obrączkę tam i z powrotem, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Przedpołudnie przyczajone po kątach. Zatęchły zapach gotującej się, kiszzonej kapusty.

Janeczka i jej początek świata — dwór już się pali, chłopi z widłami, chłopi z cepami i ten z łopata zastygają w purpurze.

Początek świata po tylekroć opowiadany. A teraz nawet wymalo-

wany na starcej, nigdy nie oddanej koledze Marii gazetce ścienną. Na jej odwrotnej stronie.

Pewnego dnia Janeczka znalazła i tę gazetkę i jakieś inne papierzyska, stare pędzelki, stare farby wodne i postanowiła zacząć malować swój POCZĄTEK ŚWIATA: dwór już się pali i zaraz zacznie się to, co już wykwitło pod pędzlem na starym kartonie — nim opadną dymy urodzi się czerwone, pomarszczone niemowlę. Wcześniak kwiczący jak prosię. Matka wcześniaczka—prosiaczka podźwigała się przy wynoszeniu z dworu sreber, sukien, dywanów. — Dyceś brzemienna, podźwigasz się, opamiętaj się, przy podziale dostaniesz po równemu.

— A co mi tam świekra pieprzyta „po równemu”. Co moje, to będzie moje — zanosła się zdyszany, czupurnym krzykiem kobieta. A w chwilę później odeszły z niej wody i zaczął się poród tej, która siedząc teraz w papilotach przed starą gazetką ścienną, ten poród maluje. Która siebie, wcześniaczka—prosiaczka, umieściła w prawym górnym rogu, w złotym koszyku, pośród czarnych asfodeli.

Podeszła do Janeczki bliżej: — Janeczka, dlaczego namalowałaś czarne asfodele? Przecież to kwiaty śmierci. A poza tym asfodele są białe, miękkie jak aksamit.

A Janeczka na to, nie odrywając świdrującego wzroku od namalowanego koszyka: — Do dupy z białymi asfodelami.

#### RYM-CYM.

Ushyła to kucie dopiero wtedy, kiedy ostatnie rymnięcie w piwniczną ścianę zamilkło nagle.

Za chwilę wejdzie Nicole. Zdejmie zakurzony, cytrynowy szalik i zakurzony, niebieski kapelusz, i powie: — Znowu nic. Nie dokulał się.

Powie jeszcze: — Pokaż jabłka, czy udatne.

I jeszcze: — Herbaty. Tylko mocnej, czarnej jak smoła.

I jeszcze: — A ta nic, tylko pędzuje, kiedy pod podłogą zalegają skarby. Babunia by się za głowę złapała, gdyby widziała moją nędzę. I to, że muszę kuć ponemieckie zamurwane mury, żeby się dokuć. Boże, żeby tam się dokuć. Może w tej zamurwanej piwnicy jest chociaż jakaś porcelana. Boże, kiedy ja byłam mała, to miałam...

Kiedy Nicole była mała, to miała: zielnik, psa, łopiany, strój do konnej jazdy, rajske jabłuszka, strój pasterski i strój arlekina, perełki i malutki złoty pierścionczek z rubinkiem, ciepłe bochny prawdziwego chleba, mleko z kożuszką i mleko bez kożuszka, sznur bursztynów, szczotkę do włosów wykładaną srebrem i cztery lalki: jedną w krynolinie, jedną w kostiumie kąpielowym, jedną w sukni wizyto-

wej i jedną z wąsami. Miała również matkę, ojca i brata, babunię dziadunię oraz babkę i dziadka. Bładosledynową koldrę, bładosledynowe ściany, konwalie na ścianach, wymalowane ręcznie, bładosledynowe prześcieradło i jeża. Ale krótko, bo uciekł. I te maliny.

Maliny w gęstych, wonnych lasach. Na pachnących słońcem porębach. W powietrzu czystym, krystalicznym, brylantowym, poleskim, rajskim.

A soki z tych malin, dużych, takich dużych, jak teraz największe truskawki, były dokładnie tym, co zostało nazwane przez Wielkiego Adama „nektarem żywota natenczas słodkim”.

To były maliny. To była pocza. Nie to, co teraz.

Nicole potrząsnęła butelką po winie pełną malinowego soku. A nią przeszedł dreszcz obrzydzenia, bo butelka malin przypominała jej las. Rachityczny las otaczający Leśny Brzeg. Rachityczne płuca wielkiego, górniczego miasta. Ociekające wilgocią zagajniki. W nich male, zapylone maliny, które potem trzeba było długo, mozolnie przebierać czerwonymi od posoki palcami, by oddzielić owoc od białych, tłustych, wijących się robaków.

— No — powiedziała Nicole. — Pokaż te jabłka.

Drgnęła. Przypomniała sobie, że nie zapłaciła za nie. Zapomniała zapłacić kobiecie w waciaku, uciekając przed kolegą Marią.

Ale czy to na pewno był kolega Maria? Może nie? Bo jakże — ten człowiek to ktoś ze zwietrzalymi wargami, ze szczecią na porośniętych kurczem policzkach, niższy od niej i w skórzanej kurtce, z wyblakłymi oczami, w których brak krajobrazu, za to rosną grzedy kapusty, dojrzewają zagony ziemniaków; bez pszenicznego koloru włosów, bez koloru miłości pod szyją, z szyją tak napęczniałą jak gnijąca pomarańcza i na dodatek — gdzie stanie to gównu, ale chałupa rośnie mu równo!

Ciszy i spokoju. Potrzebuje teraz ciszy i spokoju — musi pomyśleć, przemyśleć. Myśleć!

Co to znaczy myśleć? Czemu życie uparło się na nią i każe jej zniemacka myśleć?

Nigdy myśleć nie musiała. Czuwać — owszem. Uczyc się, słuchać, powtarzać, podporządkowywać — to tak. Ale myśleć?

Z tym myśleniem pierwszy zaczął ojciec i rozdygotany, rozplamiony, w niczym nie przypominający zdezelowanej, niepotrzebnej śrubki: w Poznaniu POWSTANIE!

— Ale jakie tam powstanie? Toż czytaj gazety. Toż widzisz, że to



ekscesy źle uświadomionych elementów. Jakiś tam Pac-Pomarnacki. Co to za nazwisko? Pacnij się w głowę, Antoni.

— Zamilcz, kobieto.

— Ale tam, zamilcz. Gdzie ty się, Antoni, wybierasz? Przecież tam jest wojsko i kule świstają. Już się ty raz sparzył polityką. Polityka jest nie dla ludzi ale dla polityków. Słyszysz, Antoni?

— Zamilcz, kobieto. — Ojciec uśmiechnął się do Janeczki. — No, jestem spakowany.

A Janeczka od nowa: — Przecież widzisz, co piszą w gazetach: nieodpowiedzialne rozruchy uliczne. Jakie tam powstanie? I czołgi tam skierowali. I to nie tylko polskie. Pełno rosyjskich czołgów.

A ojciec do niej łagodnie: — Zamilcz, kobieto.

— Cóрко. — Zwrócił się do córki. — Nadchodzą wielkie dni. Nadzieja na WOLNOŚĆ i DEMOKRACJĘ. Patrz i MYŚL!

Ojciec wyszedł, poszedł i zginął. O czym ona ma myśleć?

Tak było dobrze do tej pory, wszystko było przez innych, mądrzejszych, dogłębnie, naukowo przemyślane. A teraz, co? Jakiś zwiariowany, bolący galimatias i ta piosenka imieninowa przetaczająca się jak nawałnica przez Polskę — sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam. I ta Janeczka otepiała z rozpacz: — A Antoniego nie masz. Zginął, zmarniał, gołąbeczek. Nie ma go. Nie ma go. Nie ma.

I ta gigantyczna radość śpiewających „sto lat”, i to gigantyczne zdumienie tych, którzy tak głupio uwierzyli, tak głupio dali się zwieść. Co jak co, ale samobiczować to oni się nie myślą. Przecież chcieli jak najlepiej. Przecież to oni przeżywają teraz tragedię. I czyż można porównać ich tragedię z tragedią ich ofiar? Zresztą, co to za ofiary. Prawdziwymi ofiarami są oni. Biedne ofiary zawiedzionych sumień i rachub, błędów i wypaczeń, kultu sukcesu i jednostki, wiary i posłuszeństwa, tam gdzie drzewo rąbią lecą drwa, dlaczego piętnuje się teraz drwali?

Udręka — Co to znaczy „kult jednostki”? Co to znaczy „okres błędów i wypaczeń”? Co to znaczy „tragiczne odstępstwa od linii wytyczonej przez marksizm-leninizm”?

Dlaczego Stalin przestał być Ojcem Ludzkości?

Kto jest teraz ojcem ludzkości?

Dlaczego ludzkość nie potrzebuje teraz żadnego ojca?

Dlaczego Łodygin nie wynalazł żarówki elektrycznej?

Tylko Edison?

I to nie Pietrow wykombinował łuk elektryczny ale angielski uczo-  
ny, Humphry Davy?

A maszynę parową zbudował nie Polzunow ale Watt?

To nie fizyk petersburski Schilling skonstruował pierwszy na świecie telegraf elektromagnetyczny, ale Morse?

To nie Jacobi, Rosjanin, pierwszy zastosował napęd elektryczny w komunikacji (łódka motorowa), ale Siemens, Niemiec?

To nie urzędnik z Riazania, Kriakutnoj, wynalazł balon, którym człowiek mógł wznieść się nad ziemią, ale bracia Montgolfier, Francuzi?

To nie w Petersburgu zbudowano pierwszą na świecie elektrownię miejską, ale w Nowym Jorku?

To Marconi NIE UKRADŁ wynalazku radia Popowowi?

To fotokomórki nie skonstruował Stoletow?

To lampę elektronową wynalazł Anglik, Flaming, a nie Rosjanin?

To nie Iwanow wymyślił film trójwymiarowy, tylko Lumiere?

To baron Bellinghauzen, Rosjanin, nie odkrył CAŁEJ Antarktydy, tylko DWIE WYSPY?

To Kutuzow nie zadał druzgocącej klęski Napoleonowi pod Smoleńskiem?

To Rosjanin, na długo przed Wikingami i Kolumbem, nie odkryli Ameryki?

To Konstanty Rokossowski nie jest już Wielkim Synem Narodu polskiego, łódzkiego kolejarza i warszawskiej nauczycielki?

Dlaczego lepiej nie wspominać o Miczurinie? Czy nie jest prawdą, że w myśl jego nauk wyhodowano na Syberii konia, który ciągnie tyle, co trzy ciężarówki?

To wielka uczona Olga Lepieszyńska nie przedłuży nam już życia i nie odwlecze starości?

To masło nie powoduje sklerozy?

A margaryna ceres przestała być najodpowiedniejszym dla socjalistycznego żołądka tłuszczem?

To coca-cola nie jest już narkotykiem?

Czy są jeszcze kulacy, czy już ich nie ma?

I co z tymi AKOWCAMI?

Albo z cybernetyką, czy jest to nauka w końcu, czy burżuazyjna propaganda?

I dlaczego ciągle o Katyniu — ciii?

I dlaczego nie ma już Stalinogrodu tylko Katowice?

I dlaczego ulica Stalingradzka jest na powrót Malinowa?

I dlaczego nikt nie zawiadomił odpowiednich władz, tylko wszyscy się uśmiechali, kiedy ten mężczyzna na Placu Defilad wrzeszczał: czy może być wielkim naród, który od czasu pierwszego zaboru myśli pra-

wie wyłącznie o wyzwoleniu? Aż do dnia dzisiejszego? Czy mogą być wielkimi pisarzami, którzy myślą o cenzurze? Czy możemy mieć wielkich filozofów w marksistowskich ramach? Czy mogą istnieć geniusze tam, gdzie się każe narodowi prawie wyłącznie BUDOWAĆ dolki pod własny grób?

I czy naprawdę cenzura w PRL istnieje?

I czy naprawdę polska młodzież nie może się już uczyć historii z podręcznika Jefimowa, Rosjanina?

I po co Polakom potrzebna jest własna Encyklopedia? Żle było bez niej?

I kto wymyśla te głupie dowcipy: pytanie dla radia Erywań — kto wymyślił kałesony. Odpowiedź radia Erywań — Kałesonnikow. — A majtki? — Majtczenko. I tak dalej.

Dlaczego takie pytania kieruje się do radia Erywań? I dlaczego radio Erywań musi na nie odpowiadać?

I dlaczego magister Truska opowiedziała im znicnacka francuski film pt. Przed Potopem? A potem kazala im napisać, co na temat tego francuskiego filmu myślą?

I dlaczego ta sama magister Truska popatrzyła na nią jak na bazyliżkę, po wysłuchaniu, nie do końca, jej wypracowania na temat tego opowiedzianego francuskiego filmu pt. Przed Potopem?

Wypracowanie brzmiało: Ten film jest mi stanowczo wrogi ideologicznie i odniosłam się do niego jako do społecznie defektywnego.

Dla mnie najlepsze filmy stworzyli filmowcy Związku Rad, ponieważ Partia i rząd Kraju Rad zwracają pilną uwagę na film naukowy i dydaktyczny. W Związku Rad są specjalne kinematografy wytwarzające filmy dydaktyczne i popularno-naukowe. Radzieckie kino pozwala pracującym opanować swój zawód.

Dla kolchoźników wychodzi więc seria filmów pod nazwą — Pogawędki Agronoma.

Dla szoferów wyświetla się serię filmów pod nazwą — Kurs Filmowy-Samochód.

Kino Związku Radzieckiego służy wielkiej sprawie, sprawie budowy całkowicie bezklasowego, komunistycznego społeczeństwa; ukształtowaniu nowego człowieka. Jakże inną jest rola kinematografii za granicą. W krajach „zachodniej demokracji” i w Stanach Zjednoczonych. Wprzęgnięte w służbę wyzysku kino burżuazyjne sieje w narodzie rozkład moralny, pielęgnuje rozpustę, rozbój i gwałt. Taką fabryką oszczerstwa i kłamstwa jest ośrodek filmowy — Hollywood; takim ośrodkiem oszczerstwa, kłamstwa i gwałtu był dla mnie opowiedziany nam film francuski pt. Przed Potopem. Nie widzę po-

wodu, żeby o wyżej wzmiankowanym filmie miała się wyrażać pozytywnie, skoro bowiem tylko kino radzieckie i dramaturgia oraz wytwórnie filmowe w krajach demokracji ludowych obozu socjalistycznego na czele ze Związkiem Radzieckim przeciwstawiają się zgubnym wpływom kinematografii imperialistycznych. Przeciwdziałają się filmami pełnymi wiary i nadziei w postęp ludzkości; wzywającymi do walki przeciw propagandzie wojny i faszyzmu...

Magister Truska, nie dosłuchawszy do końca, powiedziała — siadaj, siadaj. Po lekcjach przyjdź do mnie na rozmowę.

A to ci pech. Chyba magister Truska zorientowała się, że wypracowanie jest w połowie ściągnięte z książeczki Rosjanina, W. Niezincewa, pt. Światło i jego zastosowanie. A to ci pech.

Ale podczas rozmowy okazało się, że to wcale nie o Niezincewa chodzi.

Po rozmowie magister Turska zbladła: — DZIEWCZYNO! Ty nie jesteś wcale żadna DZIEWCZYNA tylko TEKTIKOWE PUDŁO wypchane przedpaździernikową makulaturą. CO Z CIEBIE ZROBILI? CO TY Z SIEBIE ZROBIŁAŚ? Kalekę bez oczu i uszu. Pannicę z wodogłowie. MYŚLEĆ! Pomyśl od czasu do czasu! MYŚL!

Teraz zbladła ona — matura za pasem i jak się szybko nie domyślisz, człowieku, CO teraz należy mówić, żeby się podobać, to przepadniesz, człowieku.

Ale jak się teraz zorientować, CO teraz mówić do nauczycieli, żeby to, co się mówi, sprawiało wrażenie własnych przemyśleń a jednocześnie trafiało, jak kula w środek tarczy, w ich intencje?

Stanowczo, kiedyś było lepiej. Wiadomo było, co jest, bo ci to powiedzieli inni, czarne, co zaś białe, a co czerwone.

Kogo by tu spytać teraz, co jest czarne, co zaś białe, a co czerwone.

I podobno istnieją teraz inne ważne kolory — na przykład — szafirowo-amarantowy?

Przydałaby się koleżanka Asia — ale wyjechała do Włoch. Tak przynajmniej napisał Kolka Tuchton, jedyna pisząca do niej z Leśnego Brzegu osoba. Zresztą, z tym Kolką. Po Październiku nazwał się Olkiem i ciągle pisał o gospodarce swojego papy, bo po Październiku jego ojciec przestał być RODZICEM ale został PAPĄ a gospodarka papy, też po Październiku, przestała być podejrzana kulacka, ale dobrze rozwijająca się — indywidualna. Olek po tym Październiku (co to za jakiś historyczny miesiąc) napisał do niej jakiś podejrzan list, w którym jednym ciągiem zawiadamiał o wyjeździe Asi do Włoch,

o samobójstwie Mietka Sempruna, którego nikt nie rozumiał i już nie zrozumie i o jakimś bliżej jej nieznanym Stasiu, z którym w przyszłości, on, Olek, pojedzie do krajów trzeciego świata robić rewolucję – Peru, Chile, Kolumbia, Ekwador, Boliwia, Etcetera.

A o koledze Marii ani słowa.

Ciekawe, co ten Olek naopowiadał Stasiowi, Rewolucjonście, o niej, że Rewolucjonista zdecydował się napisać do niej list: »Droga Nieznajoma Koleżanko! Na wstępie, przepraszam, że mając tym niespodzianym listem spokój i ciszę, i budzę uczucie nieposkromionej ciekawości. Przedstawiam się od razu, by wyżej wspomniane uczucie nie przerosło granic. Jestem Laskowskim Stanisławem, będącym uczniem Zasadniczej Szkoły Górniczej w Leśnym Brzegu. Dowiedziałem się od mojego teraźniejszego i przyszłego kolegi, Aleksandra Tuchtona, że kol. ma wiele dodatkowych cech charakteru, jak również wiele wdzięku, pragnę zawrzeć z kol. znajomość i korespondencję, która umożliwiłaby nam może obojgu życie, jako że ja jestem nieśmiały. Dlatego proszę o odpis, w którym znajdę przynajmniej stanowcze „tak” wyrażające zgodę, lub stanowcze „nie”, będące krzyżem moich nadziei i chęci.

Rozumiem, że trudno się będzie kol. zdecydować, dlatego schodzę na pewne ustępstwa – przesyłam swoje najostatniejsze zdjęcie z bieżącej chwili oraz za dwa tygodnie będę przejazdem w Warszawie, Dworzec Wileński, peron dwa, godzina osiemnasta zero-zero. Pół godziny do przesiadki.

Niech kol. przyjdzie na wyżej wzmiankowany dworzec, godzina osiemnasta zero-zero i zapozna mnie osobiście. O ile nie będę wtedy kol. odpowiadał osobiście, zniosę zerwanie stosunków.

Kończąc, z góry dziękuję za wizytę na peronie dwa, Dworzec Wileński. Albo za odpis. Wszystkiego najlepszego i dobrych wyników w nauce i pracy społecznej życzy Nieznajomy Staszek.

PS. Gdybym kol. nie odpowiadał fizycznie ze zdjęcia niech kol. napisze od razu. Powiem sobie wtedy: „Bezsprzecznie. Rozumiem doskonale. I współczuję”. Patrz strona 43, powieść pt. *Parchomienko*, W. Iwanow, Wyd. Min. Obr. Nar. – Stanisław Laskowski.

Nie odpisała Nieznajomemu Staszce, szkoda, może by teraz coś poradził. Do Kolki nie ma co się zwracać, odpisze nie na temat. A adres kolegi Marii, nawet gdyby go znała, i tak nie dla niej.

Idzie Nowym Światem i cierpi, choć oczy odpoczywają. Na ulicy. Malinowej, dawna Stalingradzka, same ruiny. A tu wszystko odrestaurowane, na nowo pobudowane. Wprawdzie Romeo i Julia, śmie-

ciarze, mówią, że to za ich pieniądze – co my wódki wypili! A do każdej butelki, obowiązkowo, dodawali my na odbudowę stolicy! – ale kto by sobie tam zawracał głowę śmieciarzami, nawet milicja nie zabiera ich do izby wytrzeźwień, tylko zostawia tam, gdzie padli i zasnęli.

Piękny Nowy Świat, można na chwilę zapomnieć o magister Truskiej.

Zaraz, chwileczkę, czy jej się śni, czy ulicą Nowy Świat idzie rzeczywiście obywatelka profesorka Lepiszyńska? Wierzyć się nie chce, żeby ta wzorzysta, kolorowa jak wielkanocne jajko kobieta, była tą samą, która chadzała wyłącznie w granatowych kostiumach i czerwonych męskich koszulach. Tą, która żałowała, że w socjalizmie kobiety nie noszą MUNDURU. Tą, która zrywała dziewczynom łańcuszki z szyj? I wyrzucała przez okno.

Tą, która Teresie Urydzie przycięła w szkole włosy do skóry za „niedopuszczalną w naszym ustroju abnegacką grzywkę”?

Rozwścieczona przystrzyżoną jak ładacznicą córką matką Teresy wrzeszczała: – Co pani sobie wyobraża, że szkoła to jakiś obóz?

A obywatelka profesorka na to spokojnie: – Pani i pani córce przydałby się jakiś dobry obóz.

Kobieta jest coraz bliżej. To jednak jest obywatelka profesorka. Czy jest nadal towarzyszką? Tyle osób po Październiku oddało legitymacje partyjne.

Kobieta idzie oblepiona słońcem, pyzata jak sama kontrrewolucja. Ma umalowaną twarz i czerwone paznokcie. Wchodzi do kawiarni. Pójść za nią, czy nie? Może by pomogła? To co z tego, że pani Lepiszyńska taka odmieniona. Postęp to rozwój. Może na tym polega rozwój u pani Lepiszyńskiej, że wykolorowała, odmłodziła? Może tym bardziej nadaje się teraz do tego, żeby jej, zagubionej, cokolwiek wytłumaczyć?

Wejdzie, podejdzie, zapyta: – Poznaje mnie pani? Nie powie „obywatelko profesorko”, bo po tym Październiku to jakoś głupio brzmi.

Kawiarnia nazywa się „Nowy Świat”. Co się robi w kawiarni jak się jest w takim miejscu po raz pierwszy w życiu? Po prostu się siada przy stoliku?

Pani Lepiszyńska usiadła. Pośród grupy młodzieży – czarne koszule, czarne sweterki, dekolt, końskie ogony, czarne spodnie, czarne brody, alienacja, frustracja, simondebewuar, pikasso, heminguej.

Uciekla.



Maturę zdała. Ale nie dostała się na studia. Na egzaminie wstępnym też zażądano od niej myślenia. Egzaminator zażądał: gruby, ruchliwy, wymachujący rękami. Za każdym machnięciem czarne plamy potu pod jego pachami drżały jak spłoszone, przycupnięte pod dachem zasobnej, dawnej kułackiej stodoły, jaskółki.

— Nie cytować. Nie cytować młoda damo. Dwa cytaty i milczenie, to nie egzamin na studia. Niechże pani pomyśli trochę, młoda damo. Zatem?

Zatem pytanie zostało powtórzone. Jaskółki drgnęły. Jeszcze chwila a pofruną, zaśmierdzą, zwilgotniałe, pod strop wysokiego pokoju wypchanego komisją egzaminacyjną jak popołudniowy tramwaj pasażerami.

Za oknem słońce. Zaduch i szelest przewracanych kartek na sali. Milczenie. Powietrze między nią a komisją to zasieki z drutu kolezastego. Nadziana na te druty może już tylko jedno — ocalić godność i nie płakać. Ale niczego nie ocaliła. Egzaminator machnął ręką: — Właśnie. Właśnie tego, czego teraz pani potrzeba najmniej, młoda damo, to łzy. Uprzejmie dziękuję.

— Płacz, płacz — zawołała Janeczka od progu, potrząsając koperką ozdobioną czarną obwódką i trzema ręcznie malowanymi krzyżami.

— Płacz, płacz, dziadunio ci umarł.

Po pogrzebie dziadziunia Nicole powiedziała: — Tyle lat razem. Człowiek się przyzwyczaił, że on żyje. To nie jest możliwe, że on umarł. Kto tak umiera? Stać w miejscu, powiedzieć „hu”, upaść i nie żyć. No kto tak umiera? Jak to jest możliwe, żeby ktoś był zdrowy i silny, a potem powiedział tylko „hu” i nie żył? Przedtem żył. A teraz nie żyje.

Sąsiedzi współczuli — biedne trzy kobiety. Samotne jak te ziela — chwasty w ciemnym borze. Dwie wdowy i jedna sierota.

Dwie wdowy postanowiły: Janeczka, wdowa, zostanie w Leśnym Brzegu i będzie szyła. Wynajmie warszawskie mieszkanie komu się da. Z tego też będzie grosz. Nicole, wdowa, ma rentę. Grosz, jak się go zbierze razem, nie będzie taki mały. W takim razie na tyle duży, żeby sierota mogła odpocząć przed kolejnymi staraniami na studia i po tych ciosach, które los zadał rodzinie.

Sąsiedzi pokiwali głowami: Tak. Tak właśnie trzeba. Trzeba się trzymać razem w nieszczęściu. Dwie wdowy i jedna sierota.

Sierota postanowiła: Odpocząć. Och, tak, odpocząć. Nic nie robić.

Nie myśleć. Od myślenia będzie kolega Maria. Jej jasno określona przyszłość, obłożona książkami, skryptami, zeszytami, gdzieś tam, nieważne gdzie, siedzi i myśli. A potem pewnego dnia spotkają się. On jej wszystko wytłumaczy, a ona urodzi mu dzieci, popierze, poceruje, wyprasuje, poda na stół.

Sierota zapadła jak ziarno w nieurodzajną ziemię, szczęśliwa, że nikt niczego od niej nie wymaga, że nikt jej tu nie każe pęcznieć, kielkować, przebijać epoki, zielenieć, rosnać, dojrzewać, kłosić się, wydawać ziarno. Nikt tu na nią nie czekał z kosiarką, ze snopowiązałką, z młyńskimi kołami, z workami. Żadne gęby nie czekały na nią jak na chleb. Z wyjątkiem tylko madam Polewańskiej: — Nie siedź tak. Ucz się — mówiła do niej madam. — Dostań się na te studia, przestaniesz wtedy być ciężarem, staniesz się REKOMPENSATĄ dla rodziny, która od lat, miast w górę, idzie w dół.

Nie odpowiadała madam Polewańskiej. Nie chciało się jej, tak jak nie chciało się jej uczyć, bo niby czego, może znowu jakiegoś myślenia? Czekala na kolegę Marię i odpoczywała.

Odpoczęła i doczekała się. Po co się doczekała? Kogo? Tego zmarnowanego człowieka? I tej kobiety w waciaku? Dziecka ssącego planetę? Tyle lat sądziła, że leży na zielonej wonnej łące, a leżała na wysypisku, na gruzowisku, czy nie lepiej było nigdy nie odganiać od siebie Biografa? Teraz nie istnieje już żaden jasno określony cel — niech sobie kolega Maria sprzedaje jabłka do końca życia, pokój z nim. Ale co z nią?

Przed nią czarna ściana, coś co denerwuje, mdłaco boli, prowokuje do rozpacz, co ona teraz ze sobą zrobi?

— Kapusta się przypala! — Janeczka oderwała się od swojego początku świata: dwór się już pali, a tu czarne asfodele, a tu rodzi się mała dziewczeczka, mała Litwineczka, wcześniaczek-prosiaczek. Skoczyła, odstawiła garnek z kapustą: — Mogłabyś ty, siedzisz i wolisz tylko, jakbyś akurat była bardzo zajęta.

Swąd. Nicole zatyka nos cytrynowym szalikiem i prychnęła: — Ona ma dwie lewe ręce. Ona woli, żeby wszystko było na mojej starej głowie, nawet garnek z kapustą. Idź do piwnicy i chociaż pokuj trochę, może ty się dokujesz, może się chociaż do tego przydasz.

Zeszła. Przed nią czarna ściana. Jak ta z jej wnętrza — urealniona. Jak w piekle. Wokół też czarno, a po kątach pająki. Zanim zaczęła kuć czarną ścianę usłyszała wrzask Nicole na korytarzu, wybiegła z łomem w dłoń.

Trzy dni temu młodsza pani Mieszczerska pobila Nicole za to, że ta wylała jej na głowę wiadro wody. Poszło o madam Polewańską: młodsza pani Mieszczerska stanęła pod oknem Nicole i powiedziała do pani Leduch: — A co pani kochana? Przecież to jasne jest, że jak się wypierze, to trzeba wysuszyć. A ta, kochana, mówię pani, idzie jak jakaś De Golowa i do mnie — co to za zwyczaj, kto sznury widział tak nisko wieszać, przecież się można na nich zawiesić za szyję. Aż mnie wzięło i zaparło. I do niej — Pani to już dawno powinnaś wisieć z jakiego bądź powodu. Dobrze jej powiedziałam, prawda, kochana? No bo niech tylko pani pomyśli. Przyjechało to sto lat temu z tej Francji, to sobie uważa, że jest powołana do czynienia uwag w różnych względach, a to sznury się jej nie podobają, a to maniery. A tu jest Polska, kochana madam Polewańska, Polska, nie Francja, i manierami nie ma co sobie dupy zawracać, ani żadnymi sznurami, bo ja się pani pytam, kochana, jak tu suszyć tę bieliznę. Strychu nie mamy, to wzięłam i rozwiesiłam na podwórzu. A ta idzie i mówi — co to tak nisko te sznury pani rozwiesiła. Powiesić się na nich można za szyję. To ja jej na to — pani to już dawno powinna siebie powiesić a nie czekać na moje własne sznury, co mi tu pani nosem kręcisz, może masz pani jakiegoś mercedesa, czy co? No bo niech pani sama powie, kochana, namęczyłam się, napralam, powiesiłam bieliznę i suszę i dodatkowo pilnuję, żeby mi jej kto nie ukradł, bo Polska, kochana, to nie Szwecja, gdzie nie ma złodziei, bo im dawno temu ręce poucinali, a ta idzie i fuczy — za nisko te sznury, można sobie na nich głowę zawiesić. A ja na takie coś, to mam odpowiedź natychmiastową — co mi tu pani dupę zawracasz swoją głową, myślałby kto płakać za panią. Myślałby kto, że masz pani na pokojach perskie dywany i dwie służące. Ciekawe zresztą za jakie pieniądze sobie pani tak żyjesz nie pracując, chyba że nie z polskiej renty? Co to paniusia, madam, w tej Francji robiła? Może burdelik jaki miała? Burdelmama jedna...

Nicole otworzyła okno. Zawołała: — Chlustom, bo bym spać nie mogła, wściekłość mnie na panią roznosi. Ja pani dam z madam robić burdelmamę, wywlokę jedna. Susz teraz sobie te swoje śmierdzące tafty i nylony, samaś kiedy i na rogu stała.

Młodsza pani Mieszczerska zawyla: — Zabiję skuję mordę tobie stara kurwo twojej rodzinie. — Wpadła do mieszkania i łaps Nicole za włosy. Ledwo je z Janeczką rozczepiły.

Jak się teraz młodszej pani Mieszczerskiej zamarzyło jeszcze raz bójki z Nicole, to popamięta, łomem ją w łeb. Ale łom okazał się niepotrzebny. Nicole przestała wrzeszczeć niezrozumiale i zaczęła zrozu-

miale: — MARYŚ WRACA! MARYŚ WRACA! Jej brat ukochany wraca. Przysłał depeszę, o, proszę — przyjeżdżam do ojczyzny razem z pani bratem niedziela Jan Skowronski.

— Kto to jest Jan Skowronski?

— Jak to, kto? Po nazwisku widać, że to cudzoziemiec polskiego pochodzenia. Widać razem do ojczyzny wracają w niedzielę.

Brat Nicole wraca. A ostatnio pisał, że już nigdy nie wróci, choć jest tak blisko, bo we Francji i leczy sobie żołądek, a przedtem był w Gujanie.

Nicole płacze, śmieje się. W Nicole chyba zły duch Jot Ema wstał, bo zaczyna zupełnie jak on: tatuś, mamusia, ucieczka tatusia od mamusi z młodszym bratem Marysiem, poszukam ja bab z mięsa w świecie, takie z kapusty mnie nadojadły, Betsy, mamusia wiotka, słodka, smutna, samotna, tylko z córeczką, Archangielsk, Turcja, to tatuś w Turcji, bo one — step, wysokie trawy pękające w letnie upały jak armatnie wystrzały, kapitan Ażakow, Czerwona Armia, przedtem Polesie, Polesia czar, dzikie moczary i knieje, a potem step, ale przedtem Archangielsk i rozstanie, ojezulek po królewsku pijany, pijany jak królewska bela, jak bela z królewskiego palacu, matce syna nie oddam — tak powiedział. A teraz syn sam wraca, mamusia nie żyje, ale przecież żyje ona, Marysiowa siostra.

I wrócił. Wrócił w puszcze, w urnie. A one myślały — dolary, franki, złoto, high life, whisky drink, wygodne życie.

Jan Skowronski zapytał przerażony: — To panie nie dostały mego listu?

I na co się zdały przygotowania, ten cały plan?

— Nic, tylko należy przede wszystkim ułożyć plan działania — powiedział pan Leduch. — Mówcie mi moje panie, Gienek, zresztą. Wszystko z planem. To jest słuszna zdobycz gospodarki planowej — plan trzyletni, sześcioletni, pięcioletni...

— A czy do tych planów, Gieniu, też układa się plany? — Gienio popatrzył groźnie na żonę: — Kitku!

— Gieniu?

No więc plan. Punkt jeden — zakwaterowanie. — Szanownych pań nie obrażając w takiej zdezelowanej rupieciarni ludzi z zagranicy przyjąć nie można. — On, Gienio, da stół, tapczan i oksydowany stół na kwiaty.

Panie Mieszczerskie — tak, tak, w takiej sytuacji należy się przeprosić i one obie przepraszają — przyniosą dwa poniemieckie dywany i talerze we wzór.

Panny Gerhardt — tak sobie wpadły, a tu taki traf — w dawnym pokoju nieboszczyka, Józefa-Mariana, urządzają dla rodaków z za granicy pokój kawalerski. Kawalerowie zdębieją jak zobaczą, co za dziewniasty co najmniej wiek panny Gerhardt tu zaprowadzą.

Na ściany coś się wymyśli. Klozet się pomaluje. Śmietnik przykryje się jedliną.

— Gieniu, a może by tu zostawić wszystko, jak jest. Niech zagranica widzi gołą prawdę.

— Kitku!

— Gieniu?

— Kitku, czy jak do ciebie gość z wizytą przychodzi, to czy dajesz mu jeść na ceracie, czy obrus podścielasz? Czy nie szorujesz podłogi? Nie ubierasz dziecka jak w niedzielę? Och, moje piskłę kochane, tatuś ci jeszcze przyszłość wymości piernatami. Może tatusiowi uda się wejść w bliższe kontakty z rodakami z zagranicy. Tatuś szybko myśli. Tatuś nadaje się do wielkich czynów. Tatuś żył dla ciebie wypierając jak zdarzy się okazja. Tatuś pyta się mamusię, czy nie widziała jak się, na przykład, podejmuje jakąś ważną delegację z województwa, czy stolicy? Co się wtedy robi? Czy nie maluje się fasad domów? Żeby były kolorowe a nie takie czarne? Czy nie maluje się płotów również? Czy nie wypisuje się nowych hasel? Czy nie stawia wzdłuż trasy ludzi z fabryk i dzieci ze szkół z chorągiewkami? Kto kiedy pokazał jakiejś ważnej delegacji takie miasto, jakie ono jest naprawdę na codzień?

— Tak, tak — zgodziła się madam Polewańska. — Mało, że ci ważni partyjni mają swoje sklepy, swoje przedszkola, swoje samochody, swoje wojaże zagraniczne i swoje konta dolarowe, to jeszcze im człowiek pokazuje jakąś zupełnie inną ojczyznę, jakiś inny kraj przedstawia, kawior, wódka i wiola da gamba.

No więc śmietnik przykryje się jedliną. Punkt dwa — wyżywienie. Było nie było, ale rodaków z zagranicy kapustą z ziemniakami podejmować nie wypada, on, Gienek, już coś tam z tej knajpy uszczknie, jest się tym kelnerem.

Ależ nie, ależ skąd. Nicole zastawi się a postawi. Czyż ona się nie zna na wytwornym jadłospisie? Nalewki, dzin-fizy, auszpiki, szyneczki Lukullusa, rodziniki krojone w ikrę jak w najszykowniejszych rosyjskich powieściach, solone paluszki, szynka nadziewana czosnkiem i rodzinami, poncz brzoskwiniowy, tort czekoladowy, słyszeli państwo?

Pewnie, że słyszeli, tylko czy przypadkiem młodsza pani Mieczerska podczas pamiętnej bijatyki rozumu pani Nicole nie naruszyła,

dobrze będzie jak pani Nicole dostanie zwyczajny schab. Albo jeszcze lepiej, jak ze sześć kur kupi, można wtedy będzie podawać dewolaje.

Punkt trzy — rozrywki kulturalne. Teatr tu mamy. Jest tu taki podobno na ulicy Lubartowskiego. Zabytki też jakieś powinny być. Pani wnuczka powinna je znać, szkoła ją przecież kiedyś na jakieś wycieczki brała.

Ha, ha, zabytki. Pewnie ta rzeka czarna, smarna. Pewnie może to secesyjne więzienie? Pewnie to powietrze czarne od pylin kopalniowych i te pogrzeby górnicze co dzień...

— Kitku!

— Gieniu?

Na stole stoi urna z prochami brata Nicole. Jana Skowrońskiego już nie ma, przywiózł kolegę i teraz mu natychmiast czas w drogę, przywiózł bez cła, niech panie to wezmą pod uwagę. Jeszcze zostawi na wszelki, choć nie wie na jaki wypadek, adres — Cayenne, Gujana Francuska, każdy go tam zna, i już go nie ma.

Janeczka boi się poruszyć: — Jak tu się poruszyć, kiedy na stole stoi TAKIE COŚ?

Sąsiedzi nie wiedzą, co robić. Wykosztowali się — kobiety poszły do fryzjera, pan Leduch poćwiczył maniery. Nie powiedział synowi — leniu śmierzdzący, przyczesz włosy, bo ci sterczą jak zapalki w gównie, ale — syneczku, proszę o skorygowanie fryzury. Syneczka zatkało. Niezwyczajny takich słów stanął z przekrzywioną głową jak kruk na ściernisku. A Nicole milczała przedtem. Milczała i teraz. Cała w białe plamy, milczała.

Milczała i patrzyła.

Wszystko takie zagmatwane. Janeczka bała się poruszyć, ale jednak poruszyła się. Odstawiła, żegnając się, urnę z prochami na okno a na stole postawiła półmisek z kotletami z kury i surówką, nawet wódki sobie nalala.

A ona, jej przyszywana córeczka, uciekła nad tory, na skarpe. Usiadła zdumiona, że nie myśli o zobaczonym dwa dni temu, straconym na zawsze, koledze Marii, ani o urnie na oknie, w której jest SPROSZKOWANY CZŁOWIEK, ale o tym, że jest napęczniała jakąś wiedzą i że ta wiedza, gdyby ją ująć w słowa, byłaby dla niej zabójcza. Dzień po dniu życie składało w nią jakieś prawdy jak pasoryt jajka w cudze ciało. Te prawdy nieujawnione, nie przetrawione, nie obejrzone, nie objęte przemyśleniem, gdyby się teraz znienacka z niej wydobyły — zgubiły by ją. Gdyby się ugryzła w rękę, nie popłynęłaby wcale czerwona krew. Gdyby się rzuciła z tej skalnej skarpy



pod pociąg — leżałaby na torach rozplątana jak świniak, ale nie czerwona, nie kolorowa, zamiast krwi wypłynęło by z niej to zaropiałe, złe, czarne jak leśnobrzeska rzeka. Gdyby kiedykolwiek wcześniej domyśliła się, że nosi w sobie coś więcej niż hasła, w które nauczono ją wierzyć, być może jajeczka złożone w jej ciele nie byłyby śmiertelne, ni cuchnące, może byłyby materia na tyle podatną, by stworzyć z nich kamień filozoficzny, o którym marzyli alchemicy.

Pani Krysia je dorsza. Promień słońca poraził ją. Zaciśnęła powieki. Zaciśnęła usta. Z ust wystają ości, których nie zdążyła wypluć na podstawioną dłoń.

Szef, Rysio Faks, przygląda się pani Krysi. Postukuje palcem w papiery rozłożone na biurku. Mówi — teraz cały w słonecznej aureoli. Pani Krysia otworzyła oczy i wypluła ości.

— Więc mówię pani, pani Krysiu, że nie ma nic strasznieszego na świecie nad widok spalonej gospodarki rolnej, rozwalonych płotów, chwastów na parapecie okien i martwych prosiąt bez matek.

Pani Krysia popatrzyła na szefa tak, jakby patrzyła przez mgłę na drugi brzeg Wisły. I wkręciła papier do maszyny. Palce miała zatłuszczone rybą, na papierze zostały plamy. Pani Krysia zdenerwowała się: — Raju! — Wykręciła papier, zmiała go w kulkę, wytarła ręce w ręcznik do wspólnego użytku.

Szef ciągnął — więc zacząłem organizować. Wszędzie wszystkiego było mało, nawet zwykłego budulca, a traktor, to było sennie marzenie. Ale on nie powie, co zamierzył, to i zrobił, bo najważniejsze, to kościół ideowy. Nie na darmo człowiek po nocach douczał się, nie na darmo wkuwał te prawa, ilość przechodzi w jakość, koincydencja przeciwieństw, no, i te dwa pozostałe, każdy zna. Nie na darmo uczył się też hodowli, przecież został dyrektorem PGR hodowlanego, a jaki dyrektor PGR hodowlanego ma moralne prawo nie znać się na hodowli? Jak się nie znać na tkankach, włóknach poprzecznych, czy fotosyntezie? Sześć ce o dwa plus sześć ha dwa znak wynikania sześć o plus sześć ha dwanaście o sześć. No?

No i PGR hodowlany powstał z martwych. On, Ryszard Faks, za młody był na to, żeby zginąć na barykadzie śmiercią bohatera, walczącego z faszystowskim okupantem, zresztą tam, gdzie on był, nie było

faszystowskiego okupanta, tylko sojusznicy, którzy przesunęli granice w głąb Polski, żeby ich słusznie bronić. Ale po wojnie od razu wiedział, gdzie jest jego miejsce. I mury się pięły do góry. Po kilku latach mógł się poszczycić wskaźnikami: plany mieli w stu dwu procentach. Prosił samych w stu pięćdziesięciu w porównaniu ze stanem przedwojennym.

— A co tam było przed wojną — zapytała pani Krysia — też PGR hodowlany?

— Co?

— A nie, niech pan mówi dalej.

— No i właśnie. Potem był awans do powiatu. Potem od razu do Warszawy. Potem, po Październiku, przeniesienie na to stanowisko, które obecnie zajmuje. Wracając do sprawy pani Krysi, to on jest swój chłop, z niejednego pieca chleb jadł, pod wozem był, na wozie jest, rozumie zatem tę zagniatą sytuację mieszkaniową, w jakiej znalazła się pani Krysia, należy to bezwarunkowo poprawić. Było kiedyś takie przysłowie — nihil novi sub solem. Tak mawiali starożytni ludzie. Tyle, że oni nie przewidzieli, że w Polsce Ludowej wszystko będzie nowe pod słońcem. I pani Krysia też swoje mieszkanie dostanie. Jego w tym głowa. Tyle, że nie teraz, zaraz. A teraz, zaraz, to do roboty. On jest szef łagodny, kawę pozwala pić, ale nie należy przeciągać struny.

Wstała, zabrała papierosy, zapalki i szklankę z kawą i wyszła. Pani Krysia mrugnęła do niej.

W suterenie zatechłe powietrze. Sterty wyrzuconej makulatury, niedopałki papierosów i przekrzywiona gaśnica. Smród ciągnący od damsko-męskiej ubikacji. W ubikacji urwany sznurek. Żeby spuścić wodę stanęła na sedesie, sięgnęła po dźwigienkę, pociągnęła. Przeczytała wypisane kredką do warg na ścianie — by dobrobyt miał twój kraj nie sraj głównym masłem sraj. I jeszcze — tu produkcja wina dla dzieci Lenina.

W archiwum ciemno. Wsunęła dłoń za szafkę, zapaliła światło jarzeniowe. Pył na półkach, na wąskim biurku, na telefonie, okna otworzyć nie można, na podłodze wyrzucone przez nią, powypinane z niepotrzebnych akt, spinacze. Trzeszczą pod stopami jak karaluchy. Zapaliła papierosa, włączyła radio — zacharczało jak strażnik stojący z karabinem u wejścia instytucji, w której znalazła pracę. Usiadła. Kolor sufitu przypominał jej kolor oczu babki.

Nicole zmarła w grudniu, tuż przed świętami — zagazowała się.

Ledwo minął miesiąc od pochówku Marysia: ksiądz bladł i czerwienił się. — Niby jak — pytał. — Niby jak mam pochować człowie-

ka, który się w Polsce nie urodził, w Polsce nie wychował, w Polsce nigdy nie mieszkał? Kogo nazwisko nie figuruje w żadnym rejestrze parafialnym? Kto sobie zmarł we Francji i kto, po dokonaniu aktu kremacji, został po kryjomu wywieziony do Polski jako nie nie znacząca puszka, a nie urna z prochami zmarłego? A może to jest rzeczywiście zwyczajna puszka, skąd pani, parafianko, ma tę pewność, że w tym naczyniu jest jej brat? A może jej brat został zgładzony. Może to jakaś perfidia a nie prochy brata szanownej parafianki? Niby KO-GO i JAK mam chować szanowna parafianko? Widzę w twoich oczach duży współczynniki inteligencji. Powiedz sama?

Ale Nicole milczała. I dobrze, że milczała. Bo gdyby otworzyła usta wtedy plebania zaroilałaby się — tatunio, mamunia, pękające trawy, Polesie, Polesia czar, zabory, rozbiory, rewolucje, kapitan Ażakow, ucieczki, powroty, zieleni i łopiany, los Polaka zwariowany.

Znękany ksiądz zaproponował: — Niech pani, parafianko, wstawi po prostu tę urnę, obojętne co w niej jest, do krypty Krusterów, wyjechali po Październiku do NRF — tam jest miejsce.

Minął miesiąc, spadł śnieg a Janeczka wyprowadziła się do Profesora, który zdjął z siebie prześcieradła, koce, łańcuchy i bobkowe liście, rozejrzał się wokół i zdecydował — dosyć już tych cel, teraz pomieszkam sobie zwyczajnie, w kwaterekowym mieszkaniu. Trzeba zakosztować życia rodzinnego — powiedział do Nicole i pocałował ją w rękę. Niby nie prosił o nic nikogo, a jednak wyglądało to tak, jak gdyby oświadczał się o Janeczkę. Okazało się też, że oprócz planów wspólnego z Janeczką kosztowania życia rodzinnego, Profesor miał też plan szybkiego wzbogacenia się: wyrób sztucznej śmietany, sztucznego mleka i kawy z mlekiem w pastylkach. Na podstawie prądowego wynalazku — tu ukłon w stronę madam Polewańskiej — Francuza, Braconneta. Janeczka roześmiała się — no nie! Madam Polewańska zainteresowała się bliżej wynalazkiem prądowym, tylko Nicole milczała jak głuchoniemy i ślepy. Kaleka od urodzenia. W mieszkaniu było pusto. Sąsiedzi wynieśli swoje meble a graty Nicole zwalili do dawnego pokoju nieboszczyka Józefa-Mariana. Nikt nie sprzątał — po co?

Nie wiedziała zupełnie, co robić, zbliżały się święta, ale co komu po świętach z taką Nicole i z tym czarnym zaropiałym w środku?

Wszystko takie zagniatwane a miasto sobie stoi takie samo. I sklepy takie same: na wystawach paczkowane makarony, wina, puszki konserw, cukierki, portrety. Albo nic, tylko dekoracje.

I rozmowy w sklepach takie same:

- Przepraszam najmocniej, czy może jest szynka?
- Co?
- Przepraszam najmocniej, czy może mnie pani poinformować, kiedy będzie dostawa wołowiny bez kości?
- Nie jestem encyklopedią, żebym wiedziała.
- Przepraszam najmocniej, czy jest piwo?
- A bo co?
- Chciałam kupić tylko.
- Piwo nie mleko, nie musi być co dzień.
- A mleko jest?
- Nie ma. Mleko kupuje się rano.
- To kilo cukru poproszę.
- Nie ma. Wyszedł.
- Chleba się nie dotyka. Dotknięte, kupione. No to co, że stary, trzeba się było wprzódki mnie zapytać, czy świeży.
- A skąd ja pani wezmę ziemniaków bez pleśni?
- Jabłek się nie wybiera. Jabłka się kupuje jak leci. Komu ja sprzedam te przez nikogo nie wybrane?
- Przepraszam najmocniej.
- Przepraszam najuprzejmiej.
- Przepraszam.

Usłyszała głuchy łomot. Serce zabiło jej z radości. Nicole się otrząsnęła. Założyła cytrynowy szalik i kapelusz po Betsy i zeszła kuć ścianę do piwnicy. Potem wróci, strzepnie pył i zażąda herbaty – żeby mi tylko była gęsta jak smoła. Usiądzie przy stole, którego nie zabrał pan Leduch, bo nie zabiera się katafalków, i zapyta – no, co dostałaś, co tam na święta rzucili? Uśmiechnie się i kuchnia zapachnie poleskimi malinami, powieje ciepły poleski wiatr a Nicole zacznie – kiedy byłam mała, to.

– RATUNKU! – usłyszała wysoki wibrujący głos i zaczęła niezgrabnie biec po oblodzonym podwórzu. Ktoś gdzieś wybił szybę. Drzwi do ich mieszkania stały otworem. W kuchni tłum. Pryśkały szyby pod pięściami Gienka Leducha. Czuć było gaz. Pomyślała – wszyscy powariowali. Dlaczego rozwalają nasze mieszkanie? Dopiero kiedy ktoś zawołał – POGOTOWIE – zobaczyła Nicole. Babka leżała na podłodze obok gazowej kuchenki. Była całkiem biała. I nos i usta i powieki całe pokryte szronem. I spała. I ręce zacisnęła tak jakoś. Taki wrzask w domu, wszystkie szyby powybijane, a ona śpi. Nawet nie zdjęła z głowy tego kapelusza, kapelusz się przekrzywił, a ona śpi. Do tego na podłodze.

W uszach zaczęło jej łomotać. To od gazu – pomyślała. I podesz-

ła do Nicole – trzeba ją wreszcie zbudzić. Czemu ona jakaś taka długa jest? – Nicole – powiedziała i złapała ją za rękę. Dotknęła czegoś zimnego i cichego jak śnieg na zapomnianej łące. – To przecież nie jest Nicole. To przecież śnieg na zapomnianej łące – chciała powiedzieć i wstała z wytrzeszczonymi oczami. A sąsiadki złapały ją i odciągnęły od Nicole, jak gdyby babka była parapetem na dziesiątym piętrze. Niczym nie zabezpieczonym parapetem, z którego skacze się w dół. Usłyszała płacz. Ten płacz detonował jej w żołądku, eksplodował jak ładunek dynamitu. Olśnienie omal nie rozerwało jej żołądka i płuc. Nicole nie żyje.

Milicja: rozejść się, od kiedy denatka tak leży?

Dlaczego ona to zrobiła?

Lekarz. Kostnica. Prokurator. Sekcja. Pijana kobieta myjąca zwłoki: – Sekcja? To po prostu. Przyjeżdża lekarz od sekcji. Ucina głowę toporem, wyjmuję mózg. Rozcina tułów piłą – wyjmuję serce i płuca i wątroby i żołądek, tnąc to na miążgę i bada.

Sąsiadki: – Toporem. O Jezu!

Dlaczego ona to zrobiła?

Pogrzeb – zapotniała szybka, za szybką twarz Nicole, w trumnie. Grób. Trumna dudni pod gradami ziemi. Kruki na drzewach. Dlaczego ona to zrobiła?

Sąsiadki: – Ja już pani dawno mówiłam, że ona taka jakaś jest, jak ćma na jesieni. Już dawno mówiłam – ona sobie jeszcze co uczyni. Całkiem już była bez lez, a ta jej wnuczka, to nie tylko by spała. Dlaczego ona się nie wzięła do jakiej uczciwej pracy?

Janeczka: – O nie. Mnie to proszę zostawić w spokoju, ja już się w życiu dosyć narozpaczałam. Ja już się w życiu dosyć naspowiadałam na milicji. Teraz koniec. Nie należę więcej do tej rodziny.

Sąsiadki: – I mówię pani, nawet te prochy, tego niby jej brata badali. I nawet do Francji po wyjaśnienia sprawa szła.

Madam Polewańska: – Zamieszkaś na razie u mnie. Masz, napij się wódki. Dlaczego ona to zrobiła?

Ptak na oknie – stuka w szybę. Janeczka otrzepuje fartuszek: – To dobrze, że madam Polewańska się trochę zajmie tą dziewczyną, tak już dłużej nie może być, czy ona, Janeczka, wynajęła się na całe życie na prywatną niańkę do tej dziewczyny? A ją z tą dziewczyną, to łączy tylko wspólny warszawski meldunek w warszawskim mieszkaniu. Niech sobie tam dziewczyna jedzie. Niech napisze do tych studentów, co wynajmują to mieszkanie, że przyjeżdża i niech oni się wyprowadzą. Niech sobie idzie wreszcie do pracy, jej Janeczki, narzeczony, profesor, jak każdy wie, da tej dziewczynie list polecający do pewnej



instytucji, w której ma syna swojego znajomego. Dziewczyna jest już przecież zupełnie dorosła.

**ZUPEŁNIE DOROSŁA!** Jeszcze niedawno była bolszewicką gni-dą albo stalinjugend, jak kto był w złym humorze, albo nadzieją i dziewczynką, jak kto był w dobrym, a teraz jest zupełnie dorosła, może sobie robić co chce z tymi ścianami i tym zaropiałym w środku.

Warszawa. Ulica Malinowa zmieniona. Nie ma ruin — i gdzie teraz przesypiają noce śmieciarze, Romeo i Julia? Zamiast ruin kombinat mieszkaniowy z balkonami. Parter zajęty przez sklepy i bar mleczny czynny od szóstej rano do ósmej wieczorem — mleko, kawa z mlekiem, pieczywo, masło, margaryna, kluski śląskie, pyzy, ser żółty i twaróg, śmietana, kotlet ziemniaczany, marchewka z groszkiem, jest w czym wybierać. Wybrała naleśniki z serem.

— Dopiero o dwunastej. Danie obiadowe.

— W takim razie pyzy ze słoniną.

— Dopiero o dwunastej. Danie obiadowe. Teraz są bułki z masłem i jajecznica, i w ogóle śniadania. Każdemu klientowi trzeba tłumaczyć jak dziecku.

Kasjerka ma niebieskie oczy jak pastuszek na obrazku. Lakierowanym paznokciem wydłubuje resztki ze srebrnych zębów.

W zdrętwiałych palcach trudno utrzymać kubek z mlekiem. Bułka z masłem pęcznieje w gardle. Obok trzy staruchy: jedna z nosem do brody, druga zaśliniona, prawie ślepa, trzecia z fioletową kokardą na czubku głowy. Wpatrują się w nią jak krowy na pastwisku.

— No — ryczy pastuszek. — Poszły wreszcie won!

Staruchy wstały i wykuśtykały powoli.

— Nie dadzą klientowi zjeść, co ja z nimi mam. Przychodzą wyjadać resztki i cały czas patrzą klientowi na usta. Niektóry klient zostawia wszystko nietknięte i ucieka.

Pójdzie za tymi staruchami — pomyślała — odda im część pieniędzy, które na odjeździe, na pożegnanie, wręczyła jej KAMIENICA.

Filantropią nędzy nie usuniesz, nędzę należy likwidować radykalnie, zmieniając ustrój — co za głosy słyszy w sobie i nie wychodzi za staruchami, tylko odpowiada tym głosom — przecież w Polsce zmieniono ustrój radykalnie a staruchy chodzą i patrzą jedzącym na usta. Chce się jej płakać, nie może jeść, zostawia bułkę na talerzyku, szkoda, że to pójdzie do kubła z odpadkami, przynajmniej tę bułkę mogły sobie staruchy zjeść na zdrowie.

Wychodzi z baru również kuśtykając, dźwiga ciężką Jot Emową walizkę: mówię do Bena, Ben, dlaczego wyśmiewasz się z czarów, oni

w Indiach mają czary a my mamy cywilizację, nolens volens. Każdy broni się jak może przed atakiem nieznanego. Dla jednego obroną jest czarna kura, dla drugiego plot, klucz, rewolwer, szpital, dom z łazienką, rodzina w komplecie.

Nie będzie się dłużej przejmowała starymi kobietami, ich przed nieznany nie obroni już nawet kura czarna i czarodziejska. Gorzej jest z nią — gdzie te ploty, klucze, rewolwery, domy z łazienką, rodziny w komplecie, te czary mary, czarne kury? Co najwyżej szpital jej został a i ten nie na wiele się zda jeżeli zatopi ją to czarne, wewnętrzne, zatęchłe.

Za barem mlecznym sklep z mięsem — psów wprowadzać nie wolno, nie zanieczyszczać podłogi, reklamacji po odejściu od kasy nie uwzględnia się, kobiety ciężarne i inwalidów obsługuje się bez kolejki. Kolejka. Kobieta w kolejce do kobiety w kolejce — za moich czasów to człowiek wstydził się wypinać brzuch. Za moich czasów szanowano ludzi chorych. Przeżyła właśnie operację i może pokazać zaświadczenie. I nie stać w kolejce. Ale to się po niej nie pokaże. Ale do sanatorium to pojechała, to jej prawo, bo nad tym morzem to jest tak, że w życiu nic podobnego nie widziała — morski piasek i morskie fale, morskie ptaki i morski wiatr, morskie ryby i morskie przyplawy i odpływy, morskie meduzy i pełnomorskie okręty, i ta morska sól, a kierownik to wprost starał się szalenie. Kotlety to były jak OPONY, takie duże, nie takie twarde, a jedzenie to ona docenia, bo właśnie przeżyła operację i strasznie schudła. Całe szczęście, że przyjechała do niej siostra, żeby ją zabrać do sanatorium SAMOCHODEM. Siostra była bardzo dobra, oprócz tego cały czas ją zapewniała — Lusi zobaczysz jaka tam atmosfera, opieka i kultura. Więc pojechała z siostrą SAMOCHODEM. Odpoczęła. Siostra ją SAMOCHODEM na wycieczki krajoznawcze zabierała, a w ogóle, to do córki siostry przyjechał narzeczony, ARAB, SAMOCHODEM. Takim długim, że jak zakręcał, to można go było pół godziny oglądać na zakręcie. Ten SAMOCHÓD.

Zaśmiała się. Oczy kobiety z kolejki stały się gorejące, napastliwe, nieprzejdane, jak światła nadjeżdżającego z dużą szybkością SAMOCHODU. W głosie kobiety, jazgotliwym, napierającym na nią nawalnicą tysiąc kilogramowego żelastwa, usłyszała pisk opon. Kobieta zahamowała, mimo wszystko nie przejechała jej, zrobiła tylko zwyczajną awanturę, ot, zdenerwowany kierowca: — Ty się śmiej, że kraulem do Bozi nie plyniesz.

Tak dłużej być nie może. Nie wie, co to znaczy być zupełnie dorosłą, przecież jeszcze tak niedawno temu nią nie była a i teraz

w dorosłości przeszkadzają jej te ściany w środku i to czarne zaropiałe i ten lęk, że być dorosłym, to otoczyć się zewsząd ziemią zamiast powietrzem, tak jak to zrobiła Nicole, ale dialogi dla dorosłych zna. Zwłaszcza takie ze sklepu, nigdy przedtem ich nie używała, ale teraz użyje, przecież ta kobieta omal jej nie przejechała SAMOCHODEM. — Ty stara wywłoko — powiedziała spokojnie — ty się cieszą sama, że jeszcze nie jesteś zewsząd otoczona ziemią jak powietrzem. Razem ze swoim SAMOCHODEM.

Kobiecie zabulgotało w gardle, w kieszeni zadźwięczały kulturalnie kluczyki do SAMOCHODU. Tylko nie trzeba dać się zwariować, to coś, co ją obraziło, co ją od wywłok wyzwało, nie jest niczym więcej jak kawalkiem łajna, z którym trzeba się rozprawić po pańsku, w rękawiczkach, oponami po łajnie tam i nazad, to jest wybitnie za mało.

Ale łajno nie czekało, uciekło przerażone, że naprawdę zginie.

— Widzi pani, pani kochana, jak do ludzi się zabrać z kulturą jak zaraz respekt mają, jej siostrę też wszyscy respektują, widzi pani, pani kochana, jak to łajno męczy się z walizą, wsiowa pokraka, politycznie by tych wszystkich ze wsi znowu na wieś powywalać, przynajmniej by miał gdzie człowiek kulturalnie wczasy spędzić, a tak przy tej ucieczce ze wsi do miast, to w mieście robi się tylko ścisk i mięsa kupić nie można, bo te wiejskie chamy go nie produkują, tylko przyjeżdżają do miast z ciężkimi walizkami i kulturalni ludzie z SAMOCHODAMI mają tylko przez nich kolegia orzekające. Bo też ciągnie to tę walizkę po ulicy jak taczki z gnojem i nie uważa.

Ciągnęła przez ulicę walizkę Jot Ema jak taczki z gnojem. Sama nie wiedziała jak dostała się do mieszkania, jak otworzyła drzwi. Przycupnęła nie rozglądając się na boki na stercie jakichś łachów i gazet w kącie, niedaleko polamanej, podłubanej porysowanej sekretery, jedyne go sprzętu. Wtulila się w łachowisko nie zdejmując wierzchniego okrycia. Byle dalej od tej kobiety z SAMOCHODEM i kluczykami do tego samochodu. Kobieta teraz krąży po ulicy, nie zważając na zakręty, nawet na zakręt śmierci i poszukuje. Węszy. Żelastwo spragnione krwi. Nawet nie pyta o nic ludzi. Wiadomo przecież, że łajno nie ukryje się na długo w żadnym z domów. Kiedyś będzie musiało wyjść, żeby kupić coś do zjedzenia i wtedy zobaczymy.

Dorośli ludzie polują na siebie, o tym pan zapominał — przypomniała panu Leduchowi. Ale pan Leduch ze swoją czarną iluminacją był daleko. Nie słyszał, nie widział.

Wcisnęła się głębiej w papiery i kurz — kobieta się zmęczy, kobietę zmorzy sen, kobiecie zabraknie benzyny, albo może wpadnie

sobie, bo przecież krąży bez świateł, na jakiś porządną słup telegraficzny. Będzie się wtedy można rozejrzeć po mieszkaniu. Takie ono puste, takie czarne, takie zaropiałe jak jej wnętrze. Zasnęła.

Rano, wychodząc, na przekór rozsądkowi, rozejrzała się lękliwie, czy nie czatuje na nią samochód. Ale nie czatował. Tylko krowy ciągnęły do baru mlecznego. Pastuszek już na nie czekał. Przytulila do siebie list rekomendacyjny, jak niemowlę. I poszła. Po drodze minęła milczących jak starożytne groby, Romea i Julię.

Marszałkowska wyglądała jak wieś, w którą wżenił się kolega Maria — cała zabita deskami. Z oddali widać było na niskim lodowatym niebie flagę falującą nad gmachem partii. Jej czerwień zlewała się z czerwinią lodowatego słońca, które zaświtało nad ojczyzną. Tyle lodowatej czerwieni. Ludzie kulą się pod nią zziębnięci. Chylą się pod nią niżej i niżej. Tylko pałac kultury się jej opiera. Można nawet powiedzieć, że ją wspiera — szary, wspaniały, skamieniały, jak zwycięska na placu boju wesz.

Niski mężczyzna z falującymi rzadkimi włosami przeczytał list polecający. — Tak, tak. No, dobrze. On jest swój chłop. Na wozie, pod wozem i tak dalej. Tylko to jest państwowa instytucja. Protekcji się tu nie udziela. Trzeba do personalnej i tak dalej. A personalna, wiadomo, co powie — etat? — powie. — Skąd go mam wziąć — powie — kiedy w kraju blokada etatów. Również kompresja. A wszystko po to, żeby już nigdy nie było bezrobocia. Ale, chwileczkę. Może wyjście jest. Może będzie ją można zaangażować na pracach zleconych. Instytucja ma archiwum. Czy porządkowanie archiwum odpowiadałoby jej? A jak się czuje profesor Kościancki (to Profesor ma nazwisko?) No, proszę, proszę. Żeni się. Mój ojciec zawsze mu mówił — Teofilu! (to Profesor Kościancki ma imię?) Jeżeli nie znajdziesz odpowiedniej towarzyszkii życia, to będziesz siedział w więzieniu albo zostaniesz dziwakiem. Ty masz wszelkie dane.

Pani Kryśka je darsza, jakby go jadła pierwszy raz w życiu, zerka nieufnie na pracownicę zleconą do porządkowania archiwum, kręci głową, tyle problemów, a tu jeszcze ta, okazuje się, że ma nawet własne mieszkanie kwaterunkowe, gdyby pani Kryśka miała własne, tylko dla siebie, mieszkanie kwaterunkowe, akurat brałaby się do porządkowania jakiegoś tam, nikomu niepotrzebnego archiwum. To, co robiłaby pani Kryśka we własnym, tylko dla siebie mieszkaniu kwaterunkowym, to dzień i noc seks na własnym tapczanie, pani Kryśka już od dawna, od sześciu lat, jest rozwiedziona, pani Kryśka od dawna, od sześciu lat, ciula grosz do grosza, żeby rozdzielić sobie to mieszkanie

z mężem, lobuzem, któremu tak a nie inaczej jest wygodnie. I przez to tylko narzeczony pani Krysi demoralizuje siebie z innymi kobietami, ścierkami, wyciruchami bez moralności i godności — żeby tak na cudzego narzeczonego się rzucać, tylko dlatego, że narzeczony nie może spać, z powodu błędnej polityki mieszkaniowej państwa i prawa, z własną narzeczoną. Ona, pani Krysia, nie rzuciłaby się nigdy i na nikogo. Nawet na własnego, rozwiedzionego męża, z którym już szósty rok mieszka w jednym pokoju, z którym śpi nadal na jednym tapczanie, bo państwo i prawo nie jest zainteresowane losem jednostki, ale wyłącznie losem ogółu, a kto to jest ten ogół, to nawet nie wie szef, chociaż on był na wozie i pod wozem. Ot, cierpienie ludzkie. We łzach każdemu do twarzy ale pani Krysia nie ma już łez. Ma za to sparaliżowaną matkę w tym samym mieszkaniu, co i mąż rozwiedziony, ma również syna i im jest jeszcze potrzebna.

Od pani Krysi pachnie dorszami, morzem, apteką, kurzem, ale pani Krysia jest jeszcze komuś potrzebna i czegoś potrzebuje. Choćby mieszkania.

A ona jest sama, dorosła znienacka i nikt od niej niczego nie potrzebuje — chyba, że właśnie mieszkania. Ona ma mieszkanie, ale nie odda go pani Krysi. Tak jak nie odda pieniędzy otrzymanych przed wyjazdem od leśnobrzeskiej kamienicy żadnym staruchom, krowom, pelzającym coraz niżej i boleśniej pod czerwonym, oblodzonym niebem ojczyzny, pod oblodzonymi, czerwonymi sztandarami.

Jak odda te pieniądze, to mieszkanie, to co wtedy zrobi. Czy wyśle ją ktoś daleko stąd, tam gdzie dziewczyny pośród bryzgów pian, całe opalone, uśmiechają się do podzwrotnikowego słońca. Tam, gdzie nie ma czarnych ścian i zaropiałych wnętrzy, tam gdzie nie czają się na dorosłych dorośli z samochodami? Kto i za co wyśle ją na Hawaje? Pan Leduch chciał się wysłać sam, tyle że do Gujany. Napisał list do Jana Skowrońskiego, kochanego rodaka i zaproszenie otrzymał. I co z tego wyszło? Z tego wyszedł artykuł cztery ustawy dwa o paszportach. A z artykułów i punktów i ustaw wyszło, że pan Leduch nie otrzyma paszportu od państwa ludowego, bo ono chce go mieć zawsze, nieodwołalnie, siebie, bez odwołania, aż do śmierci. — Do usranej śmierci — wołał pan Leduch. Omal zawału serca nie dostał, tak się zdenerwował fatalnie tą miłością państwa do człowieka i obywatela. — Zupełnie jak by człowiek wziął dożgonny ślub, w brzuchu matki będąc jeszcze, z krajem urodzenia, na złe zresztą wyłącznie. Czerwonoooka żona porządnie nas trzyma w garści, ja ci dam paszport, złodzieju, bandyto, siedź i pracuj dla mojego dobra, ja ci dam masło albo mięso żreć, ja ci dam wódkę pić alkoholiku jeden, esperal ci

w brzuch, ja ci dam prawa człowieka i obywatela, a Życie Warszawy, a Prawo i życie, to ci nie wystarczy? Kłęcz i służ, a małżeński obowiązek mi świadczy, zapadają ciemności i co z tego wynika? Nasza kelnerska, służalcza sytuacja wynika. Trzeszczy łóżko olbrzymki ludożony a ty człowieku gdzie nie podniesiesz znad łoża boleści oka, tam czarna ściana płaczu przed tobą. Z takich ścian zbudowane są nasze domy — oto nasze socjalistyczne budownictwo.

— Oho — powiedziała szeptem pani Leduch — tego jak napadnie taka czarna iluminacja, to może tak aż do przyjazdu karetki policyjnej. — Tryknęła pana Leducha w bok i trykając wpełznąła do kamienicy.

Kiedy dostała pierwszą pensję zamigotało jej w oczach, jakby zobaczyła stado motyli. Przycisnęła pieniądze do piersi, żeby się nie rozpięchły, jak te, otrzymane od leśnobrzeskich sąsiadów. Przyciśnięte, przyduszone, przyniosła do domu. Położyła na sekretierce, zaczęła liczyć, kalkulować, dodawać i sztukować, ale za nic z tych pieniędzy nie chciało wyjść, żadne normalne życie, tak jak z zamierającego pustynnego strumyczka nie wychodzi żadna porządna rzeka. Zamknęła oczy, w głowie najpierw huczało a potem zaćwierkało wierszykami, opadły ją jak stado wróbli —

od dzisiaj mogę wyglądać jak stara panna  
albo zarośnięty zmierzchem taras.

Od dzisiaj mogę pić truciznę  
z dziesięciu filiżanek naraz.

A nocą chodzić specjalnie po to,  
by w cudzych ogrodach, udając słowika,  
lamać zmarznięte gałęzie bzu.

Od dzisiaj mogę wyglądać jak sawanna,  
jak wypalony, szalony step,  
jak coś czego się nie określa,  
ale co jest równie straszne,  
jak wyrzucony bezmyślnie chleb.

Siedzę siedzę wpatruję się w ciszę,  
rękami zgrabiłymi z rozpacz — wierszyki piszę.

I ta czarna ściana, zaropiała jak rana, gdyby była tylko chmurą do przejścia, po drugiej stronie świeciłoby słońce, ale jest ścianą płaczu, wystarczy do niej przyłożyć ucho, żeby raz na zawsze się przekonać, że za nią nie istnieje nic, tylko szaleństwo.

Usiadła na stercie szpargałów w kącie, otębiała, chciało jej się pić



herbaty, zasnęła. Minęła noc. W zatęchłym mieszkaniu zagościł na chwilę bezradny świt.

Rozejrzał się na wszystkie strony.  
Wyszedł na ulicę okulawiony.

1974.

Pierwodruk rok 1981 — jako 162 pozycja NOWej.

*Madam Frankensztajn*

*Dedykowane A.K*

Sklep wyglądał, jakby przeszedł przez niego pijany Priapus: cytryny, rodzynki, pomarańcze. Na posadzce błoto. Na zapleczu karpie. Zwarty tłum przed oszklonymi drzwiami, w niemej, groźnej adoracji. Napięte mięśnie. Łokcie gotowe do szturmowania w tej samej minucie, kiedy zostanie zdjęta kartka z napisem: przyjęcie towaru.

To, że towar przyjęto, poczułam na pękających żebrach. Zanim zdążyłam przyjąć jakąkolwiek obronną postawę, stojąca przy mnie, w czerwonym berecie stojąca, właściwie na moim miejscu stojąca kobieta zrobiła taki ruch biodroramieniem, że zostałam wypłuta z kolejki jak wybity ząb. Sprawdziłam guziki. Nie dostanę się do środka — pomyślałam. Nie kupię karpia — pomyślałam. Rozmazałam łzę po policzku. Nie pójdę do domu — pomyślałam. Zaczaję się na tę w czerwonym berecie — pomyślałam. Mam w torebce żyłkę, szkoda, że nie jestem mężczyzną — pomyślałam. Zgwałciłabym kurwę i jeszcze bym ją żyłką — pomyślałam. Kurwę — pomyślałam.

Pst, pst — rozległo się z prawa: stara kobieta z dużą torbą. Torba rozchyliła się zniechęca i jakoś tak jak rozporek ekshibicjonisty: bezczelnie, niewłaściwie, wstydliwie. Zerknęłam do wnętrza tak samo wstydliwie, niewłaściwie: kakao wedłowskie. Zamknęłam oczy, potem otworzyłam je i obejrzałam się na kolejkę — zniknęła w sklepie łapczywie, jak wciągany do nosa smark. O, Jezu, Jezu — pomyślałam.

Z karabinem i w ciężkich butach przemierzać w kółko planetę i tępić ludzki ród.

Zostać myśliwym. Tęskniącym, tkliwym, strzelać prosto w serce.

Zabronić zawodu lekarza-chirurga-dramaturga.

Mam gorączkę — pomyślałam. Taki rodzaj gorączki.

Maala prasuje bieliznę. Od dawna już ze sobą nie rozmawiamy, tylko wynajdujemy sobie, w swojej obecności, zajęcia: ugotować, wyczyścić, wypolerować, zacerować, postukać młotkiem – mieszkanie od tego nie pięknieje, ale robi się przestronniejsze. Oddala się ściana od ściany. W dwu końcach kuchni, w tym jedynym pokoju, który posiadamy, tuż obok siebie – bywamy na antypodach. A jak już i rozmowa między nami bywa, to międzykontynentalna. Szybko. Co najważniejsze. Kilka zdań. Na linii zakłócenie. Głośniej. Nie słyszę! Co mówisz? Co? Każde pytanie i każda odpowiedź powtarzane po dwa razy. Kiedy brakuje nam zajęcia, siadamy obok siebie, jak dwu kolegów ze szkolnej, dawno zapomnianej ławy. I milczymy. I uciekamy od siebie oczami. Jak tam leci – tak zapytać to za mało. Właściwie to kolegom byłoby lepiej, niż mnie i Maali. Koledzy mogliby zaprosić się na wódkę, poklepać po plecach, pośpiewać, góralu, czy ci nie żal, wojenka, wojenka, sto lat, posiłować na rękę, eh, ty w mordę, splakać się, porzygać sobie, bracie, spaść pod stół i tam śnić białe wyspy, konie na prerii, chichotliwe baby, babskie zady.

- Kupiłaś karpia?
- Co?
- Co?
- Pytam, czy kupiłaś karpia!
- Nie.
- Co?

Wyszłam do ubikacji jak do biura. Usiadłam na klozetowej desce. Zahaczyłam drzwi. Zamknęłam piekące oczy. Smród mi nie przeszkadzał. Prawie całe życie spędziłam w małych, śmierdzących pomieszczeniach.

Wojna: noc w noc, w kiskowatym, ciemnym, gliniastym, wydrążonym pod stodołą schronie, daleko, daleko, w Bieszczadach. Około trzynastu lat tu, w leśnobrzeskiej kuchni, na kozetce wsuniętej głęboko pod zlew. Teraz śpię w tym samym miejscu, na tej samej kozetce, a w tym samym zlewie gulgoczą tłuste pomyje. Pięć lat studiów w Warszawie, w służbowce bez okna. Pięć lat z Emerykiem w wynajętej na Saskiej Kępie łazience z oknem. Wyrobiłam sobie system – do ubikacji chodzę pomyśleć i nie słyszę jak Maala woła za mną zawsze to samo – weź ze sobą siekierę, ty to się musisz odrąbywać. Gdyby знаła, jak Krystyna, włoski, wołałaby za mną – stronza.

Gdyby do któregośkolwiek z tych moich pomieszczeń wszedł morderca, nie byłoby się gdzie wycofać, człowiek kwiknąłby ze strachu jak świnia, i jak świnia dostalby od razu cios w serce, nie miałby się nawet czasu przestraszyć – mówiłam Emerykowi.

– Polska przegrała wojnę, bo była mała, gdzie się miało wojsko cofać? Uciec do sąsiada, to nie to samo, co do własnego, drugiego, albo czwartego pokoju, a gór mamy ciupeczkę, zupełnie jakby człowiek walczył na balkonie. No nie? – pytałam Emeryka.

– Nasi żołnierze skazani byli na waleczność. No nie? – pytałam go, a on ścisnął głowę rękami.

W wynajętej łazience mieścił się dmuchany materac, składane łóżko polowe, biurko z dwoma składanymi krzesłkami. Myć się trzeba było w kuchni, jak była wolna, a rzadko była wolna, toteż i my myliśmy się rzadko – na egzaminy Emeryka i na pierwszego maja, nasza gospodyni wyjeżdżała wtedy na wieś: na wilegiaturę, mówiła – nie mogę patrzeć na pochód – mówiła – nawet jak go z Saskiej Kępy nie widać. Ale oni i bez tego widoku potrafią zatruć człowiekowi pierwszy majowy dzień roku.

– Polska jest krajem schizofrenogennym – mówiła Emerykowi. – Jak się człowiek naliyka tego kraju, to zaczyna mówić „oni”.

„Oni” – mówiła jego matka: oni za mną chodzą, oni nas wszystkich wytrują, rozstrzelają, powieszą, pasami będą z nas skórę darli, paznokcie będą nam wyrwali, będą nam jeszcze ucinali języki, jakby wam waszego męża na waszych oczach rozstrzelali, to byście mnie zrozumieli, o czym ja mówię.

„Oni” – mówił też mój ojciec, kiedy wreszcie wrócił.

Stary Możdżeń załomotał do drzwi. Gdyby jedyną książką, do której przeczytania go zmuszono na przeszkoleniu zawodowym, nie była „Krótka historia WKPh”, gdyby mnie udało się kończyć prawdziwe szkoły–uniwersytety, a nie agitpunkty, gdybyśmy się spotykali, jedno zamknięte w klozecie, a drugie pod drzwiami klozetu w jakimś innym kraju, gdzie ludzie do siebie mówią słodkim śródziemnomorskim językiem, może by nasze konwersacje wyglądały inaczej, na przykład: siniorina carissima, panno Maryniu, jakbym mógł, to bym pannie pałac z dziesięcioma sraczami wystawił, ale na razie to mamy jeden wspólny, więc niech panna, cara mia, raczy go opuścić, bo mam żółdek rozstrojony. Ale Leśny Brzeg to nie żaden śródziemnomorski, tu człowiek nie ma czasu, kiedy musi żyć dla przyszłości – ryczy za drzwiami stary Możdżeń, łomocze w drzwi i dodaje: – Spierdajaj pani stąd, panno Marysiu, kurwa pani mać, panno Marysiu.

Może w innym kraju nie miałabym kompleksów, ale tutaj mam. Mój ojciec przyniósł mnie szczęciotygodniową do Maali i wcale nie chciał, żeby mnie Maala zaadoptowała. Uparł się, trafił na półgłówka i w końcu zostałam wpisana do ksiąg jako prawe dziecko ojca, ale



z nieznanej matki. Półgłówek wprawdzie protestował: wojna, panie, łapanie, panie, ja się za folksdojczę musiałem podać, żeby wykarmić żonę i dzieci, a pan mi tu głowę zasrywasz jakąś nieznaną matką, podzutek, wpiszę, panie, czyś pan nie widział, komu dziecko robisz? A jakieś nie widział, to jakieś pan poznał, że to pańskie?

Półgłówek nagadał się, ale wpisał jak chciałem — chwalił się ojciec potem, kiedy wreszcie wrócił do Maali, a Maala kazała mi na powitanie zrobić czerwone papierowe róże, umyć nogi i włożyć czyste, uprasowane majtki i stanik, zacerowany sweterek od święta i spódniczkę od akademii. Miałam przecież szesnaście lat. — On cię nie pozna — mówiła. Miała pomalowane na rudo odrosty. — Jezu mój, ja jestem dziesięć lat od niego starsza, a jak do tego dodać jeszcze te dziesięć, co się nie widzieliśmy, to ja jestem dwadzieścia lat starsza. Ale ojciec nie patrzył, ile lat jesteśmy starsze. Mój widok przypomniawszy mu, że onegdaj wygrał jednak z tym półgłówkiem folksdojczem, a potem łamiąc polski chleb podany mu na przywitanie zaczął opowiadać o chlebie syberyjskim, o homoseksualnych gwałtach, wszach, karaluchach, urkach i Herlingu-Grudzińskim, spotkanym gdzieś na etapie.

Wrócił bez lewej stopy. Ze starego poślódkiego samouczka zaczęłam się właśnie uczyć francuskiego, w szkole bałam się jeszcze, choć już pytano o różne rzeczy, spytać, czy wolno się uczyć tego języka i czy to nie będzie znaczyło, że chcę przez poznanie tego języka dać ucho na lep wrogiej propagandy, uczyłam się więc w tajemnicy, w kloziecie. Na widok nieznanej mężczyzny, który był moim ojcem, który wrócił z kraju, w którym zbudowano równość społeczną, wolność i demokrację, na widok mężczyzny oblepionego opowieściami pasującymi do amerykańskich kazamatów, na widok ojca bez stopy, zapytałam go po francusku, sądząc, że ten język używany za żelazną kurtyną, tylko ten, do niedawna, a może jeszcze teraz, wrogi język może sprawić, że ojciec popatrzy na mnie uważnie, zmiesza się i zaraz wszystko się wyda, skąd on tak naprawdę wrócił, z kim przebywał, czyj chleb jadł i gdzie stracił stopę.

— *Pourquoi vous avez un pied plus court, monsieur?*

Obudziłam się spocona. Coś stapało we mnie na palcach. Ukrywało się. Wychodziło z mojego ciała i zniecka stawało za plecami. Zapaliłam światło. Zgasilałam światło. Stałam przy oknie.

Lęk sprawił, że to, co było widoczne w poświęceniu księżycy, zobaczyłam w obcym, prawie nieznanym języku: trzy przedmioty zrozumiałe, dziesięć za mgłą, reszta niewidoczna. Całość napastliwa, najeżona, niewiadoma.

Maala chrapnęła głośnie. Przypomniał mi się jej wieczorny szelest karteluszek, mój lęk uprzedmiotowił się. Rozejrzałam się, czy te, szeleszczące wieczorem kawałki papieru, nie wiszą przylepione do wyziębłego pieca, czy kredensu; gdyby wisiały, znaczyłoby to, że Maala przestała się do mnie odzywać, tak jak pewnego dnia przestała się odzywać do ojca.

Zamiast mówić do niego, zaczęła pisać podania, prośby i rozkazy, zaczynające się od „Obywatelu”. Szanowny Obywatelu, uprzejmie uprasza się o zostawienie w kuchni na stole, słownie złotych sto, dwieście, pięćset, na chleb, na mleko, na skarpetki, na gaz, na światło, na życie.

Nie wiedziałam, co im się stało, ojcu i Maali, dopóki nie dowiedziałam się od malarza Jamuły, że ojciec zakochał się w pewnej Francuzce. A Maala kazała mu się wyprowadzić: Szanowny Obywatelu. Kiedy się wyprowadzał, powiedział: żegnaj Alicjo.

Przez moment zamiast Maali zaistniała w kuchni, na progu, jakaś zupełnie inna kobieta. Obca. Z ciemnymi od nikotyny palcami. Płaskobiusta, welnista. Posiadała merynos.

Obeszłam na palcach kuchnię, poświeciłam zapalką. Do żadnego mebla nie przypięto karteczki, zaczynającej się od „Obywatelko”.

Kiedyś, dawno temu, na włosy Feli Drübenmann spadł płatek jaśminu. Na moje włosy nigdy. To, że nie trafiła we mnie wojenna kula, było dla mnie zrozumiałe — nie byłam urodzona, mnie przyniesiono skądś w zębach. I od tej pory zawsze właśnie o mnie jedną było za dużo: na ulicy, w kinie, kolejce, tramwaju, w szkole. To ja robiłam tłok, to mnie wypływano z kolejek i gdyby nie ja, o ileż wzrósłby dochód narodowy na głowę statystycznego Polaka; przyglądano mi się w roztargnieniu, śmiercionośnie, matematycznie, albo ponad głowę, jak gdyby dopiero spoza niej, jak spoza drugiej półkuli, miał wychynąć statek pełen złota, myrry i kadzidla. Tak ponad moją głowę, jednocześnie śmiercionośnie i matematycznie patrzył Emeryk, kiedy skończył mówić. Kiedy zabębnił palcami po biurczku i zaczął czekać, żebym wyszła z jego życia, jak z kina, w którym skończył się seans, a na ekranie napis „koniec”. Nie zdziwiła mi ziemia pod stopami, dawno miałam opracowany system. Spokojnie patrzyłam w oczy Maali: — A ciebie, co przyniosło? — Nic, strach przed urodzeniem Emerykowi dziecka. Dostę tych więzów, tych postronków, tych wypływanych żył, tych dzieci w przyszłości, tego sznurka dzieci w codzienności, według mnie należałoby raczej założyć towarzystwo obrony dorosłych przed dziećmi, a nie je płodzić, polska rzeczywistość.

tość i tak jest wystarczająco krwiożerczo dziecinna, za dziecięcą naiwną, za drobiasto zachłanna.

— No, no — powiedziała Maala i zapaliła papierosa, podczas gdy ja malowałam dalej obraz: Emeryk rozpięty na drzwiach — nigdy ciebie nigdzie nie puszcze od siebie, umrę, zginę, zmarnieję.

Nie zdziaczała mi ziemia pod stopami, chociaż Emeryk bębnił palcami w biureczko, a jego złoto, myrra i kadzidło siedziało w saloniku: młoda, tłusta narzeczona. Spokojna jak Saroyan opity sorbetem. Kiedy zobaczyłam ją pierwszy raz, miała czternaście lat i było jasne, że nie może mieszkać razem z nami. W końcu młoda panienka, która gra na pianinie „Marzenie” Schumann, nie może mieszkać w mieszkaniu, w którym nie ma łazienki: — Prawda córuniu? — spytała córuni właścicielka mieszkania. A pogłodziwszy ją po głowie, dodała: — Takie ciężkie czasy, takie ciężkie, dla tych kilku groszy wynajmować łazienkę. I popatrzyła wymownie na nas. A zwłaszcza na mnie, bo Emeryk studiował i nie miał czasu. To ja pracowałam i ode mnie pochodziło tych kilka groszy. Córunia wróciła do dziadków — trzy ulice dalej. A potem minęło pięć lat.

Po pięciu latach zasiadła w obokległym saloniku, spokojnie opita, łaskawie bezpieczna, dotykająca małym, wygiętym paluszkiem „Kultury”, w której jej esej o młodym Krasieńskim: „Romantyczność”. Pobłażliwie spoglądająca na swojego dziadka, który patrząc na tę świeżo wydaną „Kulturę”, wspominał opinogórskie czasy. No nie, żeby był zaraz w samej Opinogórze, ale niedaleczko obok, nie więcej niż trzy kilometry, czasami, w dobrą pogodę, było nawet widać wieżę, nie, żeby zaraz zamku, to była chyba nawet wieża triangulacyjna, zresztą może i to nie, bo wieże triangulacyjne, to chyba dopiero po wojnie, ale wszystko jedno, co tam były za szyneczki z młodych byczków, tak to prześlicznie brykało w zagrodach ojca, a na obiady słonka: ciągnęła się ona ponad czubami drzew, a przed wieczorowym odstrzałem zapadła. A na kolacje ptaszki łapane nocą, młode, kruche, ucina się im lekki i wysysa kosteczki.

Wyraźnie to zobaczyłam: moja śmierć przysiadła pod gruszą i stroczy pióra, nie dosięgniesz mnie, pani, pomyślałam, ja mam opracowany system.

System nie okazał się zawodny, ale niedopracowany, skoro tak przeraziłam się tych Maalowych karteluszków, tego, gdzie bym się podziiała, w czyje kolejne oczy przyszłoby mi patrzeć bez mrugnienia własnymi; tego wstawania i wychodzenia jak gdyby nigdy nic i na dodatek z własnej woli.

Wczepiłam się w okienną ramę ze szczęścia, że nie muszę pakować żadnej walizki i zamykać jej wieka jak trumny.

Czegoś musiałam się uczyć. Zrobiło mi się gorąco, jak po trzecim łyku wódki; tego, co oświeślał księżyc, nie widziałam wcale, tylko ten niegdysiejszy płatek we włosach Feli, a potem wreszcie zobaczyłam to, co było do zobaczenia:

wycięzione kamienice jak stare robotnice,  
całe w strupach i liszajach.

Gwiazdy odległe i cenne jak przepita na pierwszego mamona,  
noc wodnisto czarna jak krew górnicza niedotleniona.

Kominy we wdowich sinych oparach.

Górnice miasto na górniczych podkopach,  
szywne i zimne, jak na marach.

Nie położyłam się spać: za godzinę i tak miałam wyjść, żeby już o piątej być przed sklepem. Już to widziałam: siny świt, siny bruk, sine twarze, które przyjmą mnie w milczeniu jak do masońskiej loży. Nowe sine twarze, czyjeś kasznięcie. A może rozkaszała się wszyscy, zaraźliwie jak na akademii, część oficjalna. Potem siny karp, śnięty i zimny. Siny bruk. Na podwórzu spotkać mogę Karwackiego, bo jego spotyka się zawsze, tak zawsze, że prawie przestałam go zauważać, chyba że mówi nie tylko „dzieńdoberek obywatelce dobrodziejce”, ale jeszcze dodatkowo każe spojrzeć mi na gołębie: — Niech dobrodziejka, obywatelka, popatrzy pani, panno Maryniu, na te. Porównania nawet nie ma. Nawet dokładnie latać nie potrafią, do niczego ten młody narybek. Stare, to były aż szkliste, takie żywe.

Przetarłam siną, zimną wodą oczy. Nacisnęłam mocno piekące powieki, w sinych ciemnościach zobaczyłam pingpongowe pilki.

Zabolało mnie: ta zimna woda, te oczy, te pingpongowe pilki, to, że zawsze, nawet w przerażeniu, budzę się tak samo: ja.

Żadnego wytchnienia: nieświadomości, kim i gdzie jestem, porannego zbierania siebie, kawałek po kawałku, w całość.

Zawsze: ja. Choć materia tego „ja” rozmaita, zwykle nieważna i płynna. Choć wydarzenia, które to „ja” wyznaczały, we wspomnieniu, zależnie od czasu, miejsca i akcji, raz były oświecane słońcem i pogodą, raz padał na nie deszcz górny i chmurny, raz były komiczne, raz tragiczne, ale przeważnie nijakie, spłowiłe, pożółkłe, zanikające, kłamiwe.

I nigdy nie zdarzyła mi się taka pewność jak Maali, która żalowała, że nie istnieje żadne archiwum, które zdjęciem lub specjalną notatką poparłoby jej twierdzenie, że właśnie siedemnastego lipca pięćdziesią-

tego pierwszego, a nie czwartego grudnia, to się stało. I że wcale nie padał wtedy śnieg. I że nie było to rano, bo czerwone słońce zapadało za kominy fabryczne, a wieczór sadził za nimi w wilgotnych szarych szatach, a znad stada krów, gnanego do pegeerowskiej obory, buchala mgła.

Zatem: nie było to wcale rano, protestowała Maala przeciwko pamięci Karwackiego, która podsuwała mu siwobiały grudniowy poranek jako czas i miejsce aresztowania opitego denaturatem Mikołaja Wroga.

— O, nie — powiedziała Maala. — O, nie. Pamiętam przecież dokładnie tę buchającą znad krów mgłę, kiedy Mikołaj krzychał: — Obywatele Polacy, hak wygląda dopóty niewinnie, dopóki się na nim czegoś nie powiesiło. Pejcz wygląda beużytecznie i śmiesznie, dopóki nie nabierze kształtów, tuszy i siły, prężności i zjadliwości w zetknięciu z żywym ciałem. A słowo nie jest śmiercią, dopóki się ciałem nie stało. A słowo ojczyzna też jest niewinne, dopóki znaczy chleb i sól, dopóki nie znaczy komunizm budowany potem i ostatnim oddechem obywateli. Widmo komunizmu zaczęło krążyć nad Europą, widmo głodne nowych grobów, nowych państw-grobowców-mauzoleum, widmo dławiące się cyrylicą, głodne szalonymi, pustymi stepami, ta, jarząca się czerwoną gwiazdą między oczami, kurwa.

Maala i Karwacki sciszyli głos, teraz tylko sciszyli, ale wtedy, kiedy to usłyszeli, jednocześnie, jedno siedemnastego lipca, wieczorem, drugie czwartego grudnia, porankiem, schowali się. Maala w stóg siana. Karwacki w zaspę.

Mnie słowo komunizm nie mówiło nic: komunizm to była dla mnie partia, to ręka millionopalca, to wiersz, który trzeba umieć na stopień. To było jeszcze bawole hasło na murach, w podręcznikach, gazetach. Codzienne, ale nie codziennością słońca, które zaskakiwało od czasu do czasu gorączką, kolorem, tym, że go nie ma, albo tym, że jest. Zwyczajne, ale nie zwyczajnością Karwackiego, którego na podwórzu czasami jednak nie było, a jak był, to wcale nie mówił „dzieńdoberek obywatelce dobrodziejce”, ale spluwał w bok i nie patrzył w niebo.

Słowo komunizm było nie nie znaczące, nie bałam się go, choć Maala próbowała mnie nim straszyć: ty przeklęty bachorze, ty. — Co ty wiesz o tym świecie, a ojciec już taki czas po lagrach, a kolejki, a zmarnowane życie, i ten wąsaty domokrążca, wszechobecny na każdej urzędowej ścianie, ten zaklinacz ludzkiego rodzaju w siedlisko nędzy, upadku i łez, twój Soso Dżugaszwili, ty. Ten twój komunizm.

Patrzyłam na Maalę wytrzeszczonymi oczami: komunizm to był

dla mnie jeszcze jesienny marsz, pożegnanie z Ferdynandem Garimaeux, życiorys gazetowego człowieka, niech żyje! niech żyje! walka z przyrodą, malowanka na gazetce ścienniej, cytaty, tytuły, coś zadane go na pamięć.

A życie było obok, a obok życia ja. Co z tym wszystkim miał wspólnego mój ojciec? Co miało wyniszczenie Maali. To nie wiadomo kiedy dokonane aresztowanie Mikołaja Wroga?

Nawet Marii Wawrzyńcowi, zapobiegliwemu, skrzętnemu zetempowcowi, z ciurkającym jak strumyczek krwi krawatem na piersi, nie udało się mi udowodnić, że komunizm, życie i ja — to jedność. Uciekłam od niego, kiedy na agitrandce, czerwony, spocony, uśmiechnięty, próbował dosięgnąć moich bioder, mówiąc metodycznie, jak młockarnia: zbudujemy, zelektryzujemy, zdławimy w zarodku, przekształcimy, zwalczymy, zlikwidujemy, zniszczymy.

A Krystyna, dla której taki związek istniał w sposób naturalny i emocjonalny, tylko mnie zdziwiła, kiedy rzuciła we mnie białą, długą do łokcia, koźlącą rękawiczką; kiedy powiedziała, wskazując na skrzyżowane na ścianie dwie zardzewiałe szable: wybieraj.

Jakiś żart — pomyślałam — albo jakaś dodatkowa społeczna praca — pomyślałam — na zarobienie kolejnej piątki z plusem — pomyślałam. W końcu, jak się chodzi do szkoły, to nie jest ważne, czego tam uczą. Ważne jest, żeby mieć stopnie i żeby szkołę skończyć, bo muszą minąć bezpowrotnie czasy sanacyjnego analfabetyzmu. Niech sobie komunizm śpi spokojnie w szkolnej gazetce, niech sobie się dławi cyrylicą, jak już musi, nie mu przecież nie zaszkodziła opowiedziana przeze mnie anegdota o jego akuszerze, Leninie. Czego ta wariatka ode mnie chce? — pomyślałam. Ta cała Krystyna.

Chciała pojedyńku.

Jej dom miał nie tylko szable, tradycje i herb, ale Kossaki i srebra. W jej domu jadało się wszystkie posiłki. I to nie na chybeika. Nie na brzegu stołu, z jednego talerza, zupa i drugie danie. Jej matka nie stawiała nigdy, jak Maala, nad rozżarzonym piecem, wyjadając z rynienki, kryjąc przede mną, że ogryza kość. Na śniadania u Krystyny pijało się wonną kawę z kożuszkami śmietankowym. Do jej domu przychodziły pękate baby ze wsi i zachwalały jajka albo cielecinę owiniętą w pieluchy. Stawały na progu, ani kroku dalej. Jej ojciec palił cygaro, przyglądał się i mówił: niech się zdecyduje, za ile sprzeda. Baby kłaniały się nisko. Trochę dalej od tego domu, w swojej wsi, w Lubachowie, to były normalne kobiety, bałam się ich i mówiłam do nich „proszę pani”. Tutaj, u Krystyny, to były „baby” i ja byłam w tym domu górą. Nie musiałam się im nawet kłaniać, choć mnie



znały i wiedziały, że ja jestem ta od tej Alicji, co to jej mąż z jakąś Francuzią.

Portret Lenina obok dagerotypu z wąsatym Sapichą nie zdziwił mnie, że wisi w saloniku Krystyny. Tyle tych portretów wisiało. Zdziwiło mnie tylko, że wisi sam, bez Stalina, Marksa i Engelsa. No, ale przecież ten Sapicha coś niecoś na ścianie równoważył.

Cierpiałam przez Maalę, że obwiesza ściany ponemieckimi oleodrukami: aniołkami nad dzieciątkami, a dzieciątka nad przepaściami, kwietne ogrody nad turkusowym morzem, pod cytrynowym niebem, no i te makatki. Kiedy w domu spokój panuje, to mężowi dobrze obiad smakuje. Chociaż podobno mąż w łagrze.

Krystyna uśmiechała się: — Ja bym jeszcze dohaftowała do kompletu: byt określa świadomość. Feuerbach powiedział, jak to określił Marks... Maala zdenerwowała się; wont, wy. Bo jak was nie fojerbachnę! Z oczu mi, wy, papierowe i niedouczone, od cytatów, jak pluskwy czerwone.

W domu Krystyny znowu reunion: czarne samochody w lipowej alei, okna oświetlone; w olbrzymiej kuchni krzątają się dwie urzędniczki ze stadniny koni, Dagny i Unrra. Tak nazwał je ojciec Krystyny: wicie, panowie, przez wieki moja rodzina przyciągała nietypowe, lepilo się do nas, że tak powiem; mieliśmy też zawsze talent do ksyw, nieskromnie oświadczam, że sam go również posiadam, przypatrzcie się, panowie, tym pannom, pokazywał dyskretnie, niejako jednym wąsem, kuchnię. — Ta wyższa to przecież wcielona na nowo, osobista tragedia Przybyszewskiego: te jej podkrążone oczy, w końcu jeszcze się okaże, że i ona źle skończy w jakimś Tbilisi. A ta druga to przecież sama amerykańska pomoc wojenna, czyż nie? A ten jej zdecydowanie optymistyczny chód. Ta precyzja w dosypywaniu soli do potraw. Moja ciocia, Konięcpolska, będąca przejazdem do wód...

Cierpiałam w zachwycie. Wchodziłam w sam środek bajki. Prahistoria, od której trzeba się było w szkole odcinać, i to zdecydowanie w której trzeba było węszyć zgniliznę prywaty, odór zdrady narodowej, tutaj, w tym domu, jarzyła się w kieliszkach koniaku, zakwitała anegdotą. A Maala nie ma herbu. A do jej mieszkania nie przyjeżdżają partyjni bonzowie. Nie wspomina się dawnych dobrych czasów: wicie, panowie, mój pociotek, Radziwill, kiedy zaraz po wojnie zatelefonował do mnie prosto z Londynu, to... Bonzowie śmiali się jak na wiecu — wyciągając przed siebie dłonie z cygarami, zupełnie jakby przyjmowali jakiś wniosek przez aklamację.

W mieszkaniu Maali cisza i ten wiatr hulający po Syberii, odrapane ściany, oleodruki, Karwacki z tymi swoimi gołębiami i Maala cała

w nerwach: — Ty od niego nie śmiej mi czegoś wziąć, cukierka czy czegośkolwiek, nienawidzę go, paralytyka postępowego, nawet podobny do Lenina, może też gnije od środka, jak tamten. Nastawiłam uszu, zapytałam Maali, a na drugi dzień powiedziała Krystynie: — Co ty tam wiesz. Lenin wcale od kuli nie zginął — zaczęłam relacjonować swobodnie Krystynie, przy herbacie, zupełnie jak jej ojciec rozluźniając mięśnie twarzy, brakowało mi tylko cygara, ale wreszcie i ja miałam swoją anegdotę o człowieku znanym, ogólnie szanowanym. Swoją anegdotę, bo przecież mogłam niejako powiedzieć, że Lenin jest mój, mogłam go sobie włączyć do rodziny, przez Maalę, przez Karwackiego, który jest do niego podobny, buc gnijący i mieszka w tej samej kamienicy, co ja.

Krystyna wstała blada i zaczęła szperać w szafie, w której trzymała wiersze jej matka. Wiersze, które recytowało się bonzom w wieczorowej sukni, a ja skręcałam się ze wstydu: wiersze, według mojego najgłębszego przekonania, były tylko po to, żeby się ich w szkole nauczyć na pamięć, wykrzyczeć na zebraniu, wypowiedzieć na akademii, na wiecu, ale tak? Tamte, poza wszystkim, były zrozumiałe. Nauczyciele, zanim się je przeczytało, dyktowali do zeszytu, co autor miał na myśli, ale te? Co ja mam myśleć i co myślała autorka, która na dodatek żyje, kiedy opisywała te wszystkie stare szmaty, śmietniki, cierpienia pod gołym niebem, albo w pogruźlonej, wilgotnej pościeli. Co za wstyd. Byłe dalej od tego. Że też można tak bezwstydnie. Byłe dalej, nawet za tę żelazną kurtynę, niech mnie zastrzelą na granicy, byłe dalej. A tu jeszcze na dodatek trzeba milczeć i patrzeć albo dyskretnie w sufit, jak ten bonza od agitpropu, albo też mieć taką skupioną minę, jaką robi człowiek, który dotyka delikatnie, końcem języka, bolącego zęba, taką nabożną minę, jaką miał ten drugi bonza, ten, o którym się mówiło: ho, ho, ten to zajdzie wysoko.

Ale Krystyna zamiast wierszy — na myśl, że będę miała ich słuchać w świeżym przedpołudniowym niedzielnym słońcu spocilałam się — wyciągnęła białą, długą, koźlącą rękawiczkę i rzuciła nią we mnie, celowała w twarz. I powiedziała: wybieraj.

Zraniłam ją, okazało się. Okazało się, że swoją anegdotą ugodziłam w sam środek jej wiary w człowieka, wiary w pramatkę, w praojca, kontynent Mu, z którego wziął się wszelki sprawiedliwy człowiek, kontynent, gdzie tak wolno dyszyt człowiek. Kontynent nie zginął, z tego kontynentu spływały teraz na nią wszelkie dobrodziejstwa czarnymi samochodami, bonzami, wonnymi darami. Wycedziła: — Następną niedzielą, godzina dziesiąta, bez sekundantów, absolutna tajemnica, dębowa polana, jestem zdecydowana.

— Przecież ja z tym do domu nie pójdę — odpowiedziałam stropiona, pokazując szablę. — Maala, Karwacki, no i w ogóle. — Tak. Nie pomyślałam — zgodziła się Krystyna. — Niech to zostanie u mnie. Oczyszczę ją i przyniosę.

Przez tydzień prawie nie jadłam. Nawet marmoladę odsuwałam od siebie. Maala kazala mi pokazać język i pobiegła do malarza Jamuły po termometr, a we mnie pulsował żal: bliżej nieokreślony, ale dojmujący. Żal mi było każdej chmury, pyłku, listka, nawet zmarszczek na twarzy Maali. Może będzie padał deszcz i żaden pojedynek nie odbędzie się?

Nie padał deszcz i nie wierzyłam własnym oczom: dębowa polana cała w gwiazdach ze sreberka, w kwiatach z czerwonej bibulki. Portret Lenina na najbliższym, najgrubszym dębie. Na tym, pod którym stawało się, zamykało oczy, rzucało kij, otwierało oczy, kiedy się szło na grzybobranie. Karbowany koniec kija miał wskazać kierunek poszukiwań kolonii złożonej z samych prawdziwków.

Pod dębem stała, ubrana w wieczorową suknię matki, Krystyna; szablę oparte o pień. A ja nawet porządnie nie umyłam się. Wzięłam do ręki szablę: czy ta wariatka chce mnie naprawdę zabić?

Wariatka zaczęła liczyć do trzech, tak jak było umówione. Serce we mnie zamarło, pot na górnej wardze, nogi miękkie, jak we śnie.

— Jeden, dwa, trzy. — Uciekać. Ale te nogi, sennie nogi, zupełnie nie moje nogi. Odkroczyłam do tyłu, przewróciłam się, szabla na szczęście odpadła ode mnie sama, nie musiałam jej odrzucać. Tuż obok mojej głowy zarył się w mchy świetlisty promień słońca: szabla Krystyny. Krystyna mocuje się z nią, ta wariatka. Wystarczyło lekko unieść głowę, żeby ugryźć ją w łdkę: słodkawa kwaśna, twardą jak udko królika gotowanego w zalewie octowej z dodatkiem cukru. Krystyna zaszamotała się jak stary Moździeń, kiedy chciał pokazać, jak wyglądała ta nieznana sprawa, która wleciała do ich willi na Podolu, kiedy on był mały: jakem był mały, to wleciała do naszej willi na Podolu taka nieznana sprawa, ni to ptak, ni to pszczoła. Duża jak ptak, a robiła jak pszczoła, co szuka miodu: bzzz. Babka zakryła mi oczy, nie patrz, maleńki, Jezu chroń, dżuma do nas przyleciała. Ugryzłam Krystynę jeszcze raz, a ta padła na mnie i wczepiła się w moje włosy, podarłam jej sukienkę, ona naderwała mi ucho. Zaczęliśmy płakać jednocześnie, z twarzami ukrytymi w mchach. — Ty szczurze, ty szczurze, co ja teraz matce powiem, zobacz, jak wyglądam taka pogryzioną. I ta sukienka. To jest szyfrondewelur. Tego się już w Polsce nie sprzedaje, ty szczurze — płakała Krystyna.

Wiatr szeleścił w sztucznych kwiatach. Szablę — jedna pod krze-

wem, druga zaryta w ziemię. Naderwane ucho puchło na zewnątrz i tak jakoś w głębi, jakby zapuszczało korzenie, robiło się gigantyczne. Mieściłam się cała w tym gigantycznym, spuchniętym uchu; ogarnęło mnie przerażenie, że tak zostanę na zawsze, jutro, jutro i za dziesięć lat.

— Gdzie jest krowa jutro, Maalu? — zapytałam dawno temu Maalę, patrząc na ogłuchłą od bomby krowę. — Czy ona się w nocy rodzi na nowo, czy też już dzisiaj taka jest — jutro, jutro? — Aha — odpowiedziała Maala, patrząc na łunę nad bieszczadzkim lasem, trzepiąc pierzynę, którą się na noc zatykało właz do schronu wydrążonego pod stodołą. — Aha, ona się w nocy rodzi. — A za dziesięć lat? — dopytywałam się. — Jak ta wojna potrwa jeszcze dziesięć lat, biadała czasami Maala, to ja zginę, wyschnę na wiór i wtedy niech wszystko zgnije, szczególnie, przepadnie, niech się zapadnie. — Za dziesięć lat też się rodzi — odpowiedziała Maala nieuważnie. — To ja sobie poczekam razem z krową dziesięć lat i urodzimy się na nowo, jak wszystko zgnije, zapadnie się, zeschnie na wiór, bo mnie się teraz nie podoba i ja chcę za dziesięć lat, Maalu. — O Jezusieńku, Jezusieńku, z tym bachorem. A poza tym, ile razy mówiłam, że mówi się do mnie mamu Alu. — Maalu — potaknęłam.

Ucho zmałało, za to urosła Maala, znienacka ważna. Ojciec ją rzucił dla tej Francuzicy, a teraz przyjdzie jej płacić za szyfrondewelur, którego się już w Polsce nie sprzedaje.

Sama Maala, nie tylko ja, ale sama Maala nie wiedziała, jak to się działo, że przy tylu możliwościach, jakie jej dawało wielopostaciowe, różnokierunkowe dzieciństwo i młodość, na końcu, zamiast sławy i chwały, nigdzie indziej, tylko w leśnobrzeskim mieszkaniu: pokój, kuchnia, ubikacja na korytarzu, Maala była tylko Maalą — stara, pomarszczona, z czarnymi od nikotyny palcami, welniasty merynos. A była przecież córką zamożnego fabrykanta, opasłego rentiera z cudzoziemskim akcentem, znużonego życiem zaściankowym szlachcica, który całymi dniami robił papierosy domową maszynką. A kiedy zaczęły się w Polsce arestowania za pochodzenie, Maala została córką biedniaka z podolskiej wsi: czarna ziemia, nieczym nie przysłonięta, od horyzontu do horyzontu ziemia, tylko te szyny kolejowe, przycupnięta pod jedyną w okolicy gruszą chatka i mała Ala wśród kurzych gówień, zaścilaających podwórze, jak wschodni dywan. Z czasem chatka biedniaka urosła o piętro, poszerzyła się o kancelarię, biedniak został dróżnikiem, panna Ala miała na głowie fantazyjny kapelusik i z zabaw w Złotowie wracała pokładami. Przed kolejarską budką na bosaka, żeby nie usłyszał ojciec z twarzą judejskiego boga

i ciałem pogańskim. Po październiku pięćdziesiątego szóstego szyny, pokłady zniknęły, kolejarska budka zapadła się w podolskie błota, a w okolicy przewiewanej azjatyckimi wiatrami, koło Jarczowice, wyrósł mały dworek, przez wszystkie pory roku cały w wilgotnych bzach w kolorze panieńskiej tęsknoty i ostatniej kropli krwi na mundurze samotnego żołnierza. Ojciec mademoiselle Alice, podkreślając sumiastego wąsa, mawiał: — No, to już czas najwyższy odwiedzić kochanego Schulza, może znowu opisał jakieś cynamonowe sklepy, posłuchać by go. Dość już tej wiejskiej głuszy i balów u księcia, książę ostatnio nudny jak kutia, bestia jedna.

I mademoiselle Alice zostawała sama, w czarnych jedwabkach, na przeciw czarnych nocy, postukujących do okien gałązkami wilgotnego bzu. Zapatrzona w pudło pianina, jak w trumnę. Czasami stawiała przy niej bezszelestnie Fela Drübenmann, z zapachem jaśminu we włosach. Fela ze strony winnic obrzynania, głosu synogarlic słyszanych w ziemi naszej. Bezszelestnie też zniknęła. Bezszelestnie również Maala zniknęła z dworku bżowego, by zaistnieć w bieszczadzkiej wsi okolonej Oslawą, w dwupokojowym kurzym domku, w którym nie zdążono położyć podłóg, bo wybuchła wojna. Czarne gliniane polepy, czarne okopcone kąty, czarna obora, w której nie było już mojej krowy. Zabija ją ta inna, dzika, która nazywała się Wojna. Zabija, pikując z góry, terkotliwą serią, w smrodliwe od dymów i strachu popołudnie. Już nie miałam z kim urodzić się za dziesięć lat. Z tą drugą, czarną krową, z tą dziką, pikującą z nieba, klekocącą obcą mową, wyskakującą z lasu pochylonymi, siejącymi śmierć postaciami, wybuchającą pożarami, nie chciałam mieć od dawna nic wspólnego. Kryłam się przed nią w kącie domu bez podłóg, dopóki nie został wydrążony schron. Dopóki nie została wydrążona w ziemi dziura, zatykana pierzynami, dopóki nie został mi sprezentowany cuchnący grobowiec rodzinny. Mówiłam do Maali — proszę się modlić, żeby nigdy nie nastąpiło lato i nie wyrosła trawa, to ta dzika krowa zdechnie. — O Jezuniu, Jezunieczku — jęczała Maala i znowu gdzieś szła. Ojca już nie było, wywieźli go, jego dwie siostry też. — A za co to, za co — pytały sąsiadki z kilku oddalonych o nieprzekraczalne dla normalnych krów, ale dla dzikich tak, i to kiedy chciały, miedze. — Po co on jechał do tego Lwowa, po co się tam przekradał, siostrom i tak nie nie pomógł. Lepiej już by tu na jaką niemiecką łapankę trafił. A teraz może być różnie, nawet do piachu bez ewidencji.

Zgarnięto go z Lewandówki, wyśpiewał ją sobie, wygładzając czarną glinianą polepę, utwardzając ją pod przyjęcie podłogi z dębowych desek: na Lewandówce w cichym ustroniu, tam w ciemnym gaju,

w Zalesiu tam, tam twa kryjówka była Białoniem, nabity browning twój Anioł Stróż, ty swoją wolność ratuj bandyto pośród granatów i gradu kul, bo twa kryjówka jest już odkryta, o trala la, lam, lam...

Kiedy wrócił, wrócił bez jednej stopy i bez piosenki: jego zdolność śpiewania wsiąkła w syberyjskie lasy. Pergaminowy, siwy, nie nucił nawet piosenek łagrowych, tylko raz, jakby się zapomniawszy, zagwizdał jakąś kołysankę, ocknął się, popatrzył na mnie i zapytał — jakie ty miałaś dzieciństwo, co to było za dzieciństwo...

Zastanawiałam się długo, co to ja miałam za dzieciństwo i któregoś dnia przyniosłam mu je czarno na białym. Tak on to określił. — To jest przynajmniej opis dzieciństwa czarno na białym, i to do tego wierszem, posłuchaj Alicjo, co za wunderkinda ci przyniosłem pod dach. A ja popatrzyłam mu w zęby, bo zawsze mi się wydawało, że przyniósł mnie wtedy w zębach, jak szczenię. Leżąc na kozetce Maala odwróciła się na drugi bok, zmęczona łożeniem za pegeerowskimi krowami i przetarła oczy. Byłam pewna, że nie mnie widzi przed sobą, ale krowę, krowę włączając jej w szkodę, włączając w jej zmęczenie wunderkindzimi kopytami. Ojciec czytał:

A z moim dzieciństwem, w berka, w chowanego,  
bawiła się śmierć w mundurze nie tylko feldgrau,  
czasami bywała w radzieckiej purpurze,  
szynelu, rubaszce i co tam kto miał.  
Thanatos skrzydlata, przekłeta, bogata,  
ojca mi do łagru na weekend posłała,  
a ciotki na Sybir, jak damy do wód,  
na straży snów moich trupy rozstawiała,  
i w języku obcym mówiła — sehr gut,  
charaszo, cicho sza, śpij dziecińco, dziecko,  
zabawek ci zniosłam, tyle ile kul,  
nie patrz tak na matkę, co szłocha pod niecką,  
w bimrowym rozczyńnię topiąc strach i ból,  
Czemu nie chcesz spać? Co mam dziecku dać?  
Dałam ci już przecież i domek spalony,  
i krew wycieńczoną, jak odesska bładź,  
dodam jeszcze potem ciężki szlak bojowy,  
Ojczyznę bez głowy, żebyś mogła spać.

Maala zerwała się jak rażona piorunem i uderzyła mnie kulakiem w czubek głowy: ja ci dam bładź. Skąd ty wiesz, co to jest? Ty. — I zamachnęła się jeszcze raz, została tak w zamachnięciu, z ręką do



góry, brakowało w niej tylko jakiegoś siecznego narzędzia i mogłaby być symbolem Nike, samą Nike. Nike zwyciężającą. Przestraszyłam się, że już jest z kamienia i tak pozostaniemy w Leśnym Brzegu, w leśnobrzeskim mieszkaniu z nieosłoniętą niczym żarówką, z ojcem o jednej krótszej nodze, ja przyszpilona do dzieciństwa, zapisanego czarno na białym, w rytmie i w rytmie maszerujących po świecie zdzi-  
czonych krów. Ale kamienna Nike opuściła rękę. — Bimber — powiedziała i zapatrzyła się w jeden punkt. Tak przed laty wpatrywała się w kranik alembiku, z którego skapywała wonna, ostra ciecz. — Ile to dziecko bimbru wychłalo, nie mogłam go sama w kółko próbować, od samego zapachu chodziłam pijana. Ile to dziecko wychłalo. Spal to od razu — zaperzyła się, wyrwała ojcu kartkę z moim dzieciństwem, chcąc je wrzucić do pieca, ale było lato i piec był zimny i sztywny w dotyku jak trup, jak zwłoki dzieci Karwackich, które kazano mi całować w czoło, jak sama Karwacka, zmarła przy kolejnym porodzie, której czoła nie kazał mi nikt całować, ale której ręki dotknęłam, kładąc do trumny bukiet.

Kiedy było lato, bałam się kuchennego pieca.

— Zrób coś z tym, czasy się zmieniły, ale nigdy nie wiadomo, przeczyta ktoś i zaraz potem, nie daj Boże, rewizja.

Wzięłam kartkę i poszłam do klozetu. Tak, jak poradziła Maala, chciałam ją wrzucić do kloacznego dołu, ale rozmyśliłam się, nasłuchując, czy już-już nie zbliża się rewizja: cicho, szczerze kroki, tup, tup. Jedna kobieta, nakaz w ręku. Dwu mężczyzn: wszystkowidzące Oczy Ojczyzny, która nie lubi wielu rzeczy, a już na pewno dzieci, które miały takie jak ja dzieciństwo, nieznaną matkę, Maalę, która jest obserwatką bydła wprawdzie, ale to podejrzane z jej manierami i jej sposobem wysławiania się, ojca z krótszą nogą, pourqoi, monsieur; dzieci, które najpierw nachlały się bimbru, a potem stoją w sra-  
czu z kartką papieru. Zwinęłam kartkę w kulkę i połknęłam.

Kiedy Maala została obserwatką bydła w pobliskim Pegeerze, powiedzieli jej, że pastuch to pojęcie przestarzałe, napęczniałe klasową pogardą, więc ona nie zostanie pastuchem, ale, owszem, obserwatką bydła. — Kierownikiem stada — poddał ten drugi, który też przyjmował Maalę do pracy i mówił: — Tak, tak, rozumiemy, sytuacja wskazuje społecznie, czy do malowania wzorków w fabryce porcelany pani już nie służy, ale do pilnowania krów może jeszcze będą służyły, obywatelko. — Sprawdzimy — tak powiedział ten pierwszy, który też przyjmował Maalę do pracy, podlubując w zębach i szperając wolną ręką w szufladzie biurka. — Zresztą — dodał — byłoby śmiesznie nazywać panią pastuchem, bo pastuch to powinien być, ze

względem na rodzaj męski tego słowa, mężczyzną. Pastuszka — też brzmi śmiesznie, bo przecież, przeprasząc panią, obywatelka już nie jest dzieciną, a pastuchowa, to żona pastucha. Obserwatorka bydła, to pojęcie na czasie i wolne od tysiącletnich klasowych naleciałości.

Spalam spokojnie odkąd Maala przestała malować wzorki i zaczęła pilnować krów, wydawało mi się, że jak pilnuje je ona, krowy nigdy nie zdziczeją.

— Co ty ciągle o tych krowach — denerwowała się Krystyna. — Te jej parantele — denerwowała się Maala na Krystynę. — Tego by nie wytrzymał żaden Almanach Gotajski, co dopiero ja — potrząsała wtyką, stłamszona tym, że mimo wysiłków przekształcenia swojego życiorysu starzeje się na pegeerowskiej łące, niepotrzebnie, podczas gdy czas Krystyny, jeżeli już trzymać się słów samej Krystyny, był wypełniony życiem pożytecznym dla ogółu, walką o wolność i prawo do refleksji: to ona, Krystyna, z powstańcami ukrywała się po borach-lasach, cierpiała w twierdzy Szlisselburg, przedzierała się przez kordony, Koziatulskiemu pomagała dźwigać ciężar odpowiedzialności w szalonym samossierskim pędzie, to ona elektryfikowała, walczyła z przyrodą i analfabetyzmem, współtworzyła od podstaw, to ona była przyszłością narodu, wolną, bo rozumiejącą konieczność ograniczeń. Co miały z nią wspólne krowy? Z nią, refleksją, pod którą czai się czyn — jak mawiała. Ona nigdy nie była bachorem przyniesionym w zębach, nachlanym bimbrzem dzieckiem, panną, która ma ojca bez stopy, ona nie miała babuni Lu zakłętej w gnijący od lat w piwnicy poniemiecki kufer, którym Maala ucieszyła się, kiedy wprowadziłyśmy się do leśnobrzeskiej, odrapanej kamienicy. — O, jaki pojemny kufer. Będzie w czym trzymać, jak mówią w tych stronach, kartofle.

Po latach, kiedy Emeryk nabębnił się już palcami po biureczku, zapatrzony ponad moją głowę w swoje siedzące w przyległym saloniku złoto, myrrę i kadzidło, wróciłam do Leśnego Brzegu. Maala najpierw znalazła mi pracę: dekorowanie wystaw, a potem wciągnęła do mieszkania, pod moją nieobecność, kufer.

Tego dnia bolały mnie palce od przetykania sklepowej wystawy małymi żółtymi kurczaczkami z waty, nad których wykonaniem siedzieliśmy wraz z Maalą przez tydzień jak wzorowe kwoki. Bolał mnie mózg od gadaniny właściciela, który się nie zgodził: niech inni się godzą, on nie. Tu jest piekarnia, proszę panny dekoratorki, a nie wylęgarnia kurcząt, chociaż idzie na wielkanocne święta dla chrześcijan. Pomiędzy kurczaczką a chlebem, który się tu sprzedaje masom pracującym, pracującej inteligencji i uświadomionemu chłopstwu, nie ma żadnej żelaznej konsekwencji, ja mam tylko jedno skórzane mesz-

ty, panno dekoratorko, i nie mnie już w nich do Kazachstanu od skórzanego mojego rzemyczka do żelaznego trzewiczka. — Panie — zdernowalam się wizją umykających pieniędzy — jakim językiem pan mówi, gdzie Kazachstan a gdzie Leśny Brzeg, panu się pomyliły okresy. — Mnie się nigdy nic nie myli, panno dekoratorko, a czasy są dla mnie zawsze takie same od dwu tysięcy lat. — Musiałam schować kurczaki do torby i ozłocić tekturowy bochenek narodowego chleba kłosami. Właściciel patrzył w milczeniu. Bolały mnie palce.

W domu czekała na mnie Maala z zatechłym kufrem. — Jesteś wreszcie. Trzeba go dobrze oskrobać, wymyć gorącą wodą. Nie można pozwolić przecież na to, by jedyna po babuni pamiątka rozleciała się na szczapy w poniemieckiej piwnicy.

I tak zaistniała babunia Lu: przy Maali mówiła wyłącznie po niemiecku, nawet wtedy, kiedy pokazywała jej Hallerczyków. Mnie dmuchała w usta, kiedy leżałam rozgrzebana i spocona w kołysce. To ona nauczyła mnie odpowiadać na pytanie: „kto ty jesteś”, nie jak każde dziecko — „Polak mały”, ale: „mnie się tu nie podoba, ja urodzę się z krową za dziesięć lat”. A na pytanie „jaki znak twój”, milczeć jak mogiła ciemna.

To ona stawiała moją kołyskę, albo na glinianej polepie, albo na woskowanych posadzkach, w wysokim pokoju, skąd much nie wypędzało się ręcznikami, z sufitu którego nie zwisały pajęczyny i obrzękle lepy na muchy.

Raz nawet, jeszcze przed wojną, babunia Lu, niepomna moich szczenięcych narodzin, postawiła moją kołyskę w zamku Daisy von Pless, jako że do końca nie została wyjaśniona moja parantela z Marią Teresą Oliwią z domu Cornwalis-West, Angielką z pochodzenia, ciotką Winstona Churchilla, ostatnią właścicielką Szczawna i dóbr książko-pszczyńskich. — Warto by było zacząć patrzeć na książki zamek okiem właściciela — mówiła Maala. — To nie Krystyna powinna mieszkać tam obok, ale ty.

To babunia Lu napisała pamiętniki: „Taniec na wulkanie” i się rozwiódła. — Zawsze byłam ciekawa, dlaczego ty nie tańczysz, babunia wróżyła ci zawrotną karierę. Mieć w rodzinie kogoś, kto pisze tańce na wulkanie, to przecież znak wróżebny, ale niezbadane są wyroki boskie.

W zamian za milczącą zgodę na babunię Lu, która przecież dmuchała mi w usta, aż do zachłysnięcia, raz prawie śmiertelnego, Maala nie przejmowała się moim światem. Słońca mogły w nim wschodzić i zachodzić o dowolnej godzinie dnia i nocy. A Osława mogła być

pełna jesiotrów. A ona sama, Maala, mogła w moim świecie istnieć albo i nie, a jeżeli istnieć, to w każdej służebnej roli.

Mogła w nim być nawet chłopką owiniętą w szarogliniasty koc, płaskobiustą, pędzącą bimber czarownicą, alkoholiczka z zaślinionymi oczami, półwariatką, handlującą podczas wojny papierosami i bimbrem, oszalałym sępem, wykrzykującym na widok mojego ojca ludzkim głosem: Jezu mój, ja jestem dziesięć lat od niego starsza, a jak jeszcze dodać do tego te dziesięć lat, co się nie widzieliśmy, to ja jestem dwadzieścia lat starsza.

Mogła sobie być nawet, choć bardzo tego nie chciała, welnistym merynosem pisującym do niego podania, prośby i rozkazy, zaczynające się od: Obywatelu, uprasza się.

Jednego mi tylko nie darowała, zaanektowania Feli Drübenmann. Popatrzyła na mnie i pierwszy raz zamilkła na dłużej, kiedy zawiadomiłam ją, jedząc kartoflankę ze skwarkami, że spotkałam na ulicy Felę, która powiedziała mi, że z ojcem to jest nie tak. Z żadną on jakąś tam Francuzicą, ale z samą Simone Weil. Jej umysłem zafascynował się jeszcze w lefortowskim więzieniu. Fela nie może zrozumieć, jak Maala nie mogła pojąć intelektualnej fascynacji, w końcu zdarzały się w tamtych latach i w tamtych miejscach, przeróżne, Wat na przykład zafascynował się tam właśnie Machiavellim. — Fela — wylizywała talerz — właśnie niedawno widziałą się gdzieś za granicą z Herlingiem-Grudzińskim, on tak jakby przypominał sobie ojca, z jakiegoś etapu, w każdym razie kogoś, kto z całym przejęciem mówił o Simone. Nie trzeba było dać umrzeć ojcu samotnie, Maalu. Samotnie, z francuskimi książkami, które ledwie rozumiał, w tym kłodzkim domu wariatów, Maalu.

Maala przestała jeść. Patrzyła na mnie długo. Nie odzywała się półtora dnia, nie spożyła w tym czasie żadnego posiłku.

Kiedy zaczęła jeść, znowu była kartoflanka ze skwarkami i mogło się wydawać, że właściwie nie minęło wcale półtora dnia postu i ciszy, że właściwie nie przestałyśmy jeść poprzedniej kartoflanki, że nie wypowiedziałyśmy wcale tamtych wypowiedzianych słów.

Nie wiedziałam, że pod oknem siedzi Karwacki i patrzy na swoje, nie takie jak dawniej, gołębie.

Okno było otwarte. Jego głos zadudnił jak pociąg na wiadukcie: on zupełnie nie rozumie, ile było tych Fel, raz jest to Fela od pani, obywatelczko Maalu, raz jest to Fela paninej córki. On wcale nie podsłuchiwał, to nie jego natura — dudnił pociąg.

Maala podniosła się, wychyliła przez okno i łagodnym, dawno zapomnianym głosem Chawy Zborowskiej — którą zastrzelili Niem-

cy, a która na sanockim rynku pewnego dnia w samo południe zaśpiewała mi jakąś pieśń, napominając Maalę: dziecku trzeba dużo śpiewać, żeby przeżyło – głosem śpiewnym, melodyjnym, zakotwiczonym w pieśni nad pieśniami, wyjaśniła Karwackiemu, że Fela Drübenmann nie jest jedna, że tak jak istnieją pokolenia Karwackich, tak istnieją pokolenia Drübenmannów, że nasze rodziny zawsze były w pobliżu i gotowości: takie wzajemne, rodzinne, pogotowia ratunkowe, i że każda z nas miała swoją Felę. Po prostu w rodzinie Drübenmannów pierworodną zawsze nazywano Felą. Ostatnia chodziła ze mną do szkoły, przedostatnia z Maalą na pensję, a przedprzedostatnia wychowywała się z babunią Lu.

– A jak tak, to tak – zadudnił pociąg.

Maala usiadła wyczerpana, popatrzyła na mnie jak skrzywdzone dziecko, jak merynos skazany na rzeź.

Od tego czasu zaczęły się coraz to dłuższe okresy milczenia, zapatrzenia w ścianę, bezsenności, czyszczenie, polerowanie, cerowanie, poklepywanie młotkiem, a jak już rozmowa to międzykontynentalna, ciężko opłacona, mimo to pytanie i odpowiedź powtarzane po dwa razy.

Jakaś nocna pisanina, szeleszczenie karteluszkami, a we mnie ten lęk, że po obudzeniu się zobaczę którąś z kartek przypiętą do mebla: Obywatelko, uprasza się opuścić ten lokal.

Dobrze. Żadnego karteluszka. Trzeba iść do sklepu. Zimno. Ale nie z zimna się trzęsę, ale z jakiegoś rodzaju bóleczki. Mimo wszystko przydałoby mi się jakieś z królika futro. Przebudzone kaszlnięciem Maali zerwało się ze snu zdziżące socjalistyczne jutro.

Żaden siny bruk, żaden siny poranek. Noc i pierwsze płatki śniegu.

Pod sklepem dezorganizacja. Gdyby to powiedziała ta w czerwonym berecie, której na szczęście dzisiaj nie było, nie ruszyłabym się z miejsca, wrosłabym jak patriotyczna sosna w piaszczysty, skuty mrozem teren przedsklepowy i tak trwałabym. Ale to powiedział ten, który przyniósł sobie składane krzeselko i był pierwszy.

– Oni będą te karpie sprzedawali w mięsny, tam jest więcej miejsca, ja wam to mówię, ja się znam na polityce. – I powstał z krzeselka. Konsternacja i jeszcze większa dezorganizacja.

Sklep mięsny otoczony był więzami. Podobno jakiś oficer z najbliższego otoczenia Hitlera, przejeżdżając obok tych więzów, powiedział o nich: wagnerowskie.

Podobno jakiś oficer z najbliższego otoczenia Stalina przejeżdżając obok tych więzów, wyraził się o nich... Ten, który siedział na składanym krzeselku, a potem powstał, nie chciał wyjawiać tego, w jaki sposób wyraził się o tych więzach przejeżdżający radziecki oficer: jeszcze by słuchającym damom spuchły uszy, a on zawsze dbał o uszy dam, nawet w kolejce, kiedy się trzeci dzień stoi po karpia. On się zna na politesse.

Pomyślałam sobie, że jeżeli mam już stać w bielejącym od śniegu tłumie i słuchać tego, który raz siedzi, raz wstaje i sieje niepokój, jeżeli już mam stać i tak jak wczoraj nie dostać żywego karpia, to może rzeczywiście lepiej iść pod te więzy: popatrzę sobie przynajmniej przez szerokie weneckie okna na sterylne, zamknięte wnętrza bez grama mięsa, na wybyszczone haki, na wypolerowaną ceramiczną kostkę, którą obłożono ściany, kostkę w kwiatki i bawole łby. Przynajmniej sobie postoję pod więzami, którymi zachwyciło się swego czasu dwu przejeżdżających oficerów, choć jeden z nich tak niekomunikatywnie. Przynajmniej sobie popatrzę, jak już nastanie zupełny dzień, na wykres obrazujący dynamiczny wzrost czytelnictwa w Polsce powojennej – ozdobę wystawy sklepu mięsnego.

Ale nie ja jedna tak sobie pomyślałam, w matowiejącym powietrzu zobaczyłam umykające pod tę samą wystawę, cienie. Potem okazało się, że cienie miały swoje sposoby: nie przyszły same, na wszelki wypadek zostawiły pod sklepem spożywczym kompanię, która trzymała im kolejkę.

Tylko ten, który wstawał i siadał, bo miał na czym, był sam. I ja. Ale karpia dostaliśmy. Miałam oderwane dwa guziki i nie mogłam się doliczyć dwudziestu dwu złotych. Ale karp był żywy. Nie śnięty. Ekspedientka nie chciała ogłuszyć go odważnikiem, bo kochała przyrodę i nie wiadomo, co robiła od szóstej rano z bandą rozwyrzonych chuliganów w sklepie, dzień w dzień. Karp zatem miotał się w siatce: byłam spocona, spuchnięta i szczęśliwa, choć śnieg, na który cieszyłam się, zdążył się zamienić w czarnolepkie grzęzawisko. Z widocznych w grzęzawisku śladach butów zwróciły moją uwagę tylko jedne: takie matematycznie odmierzone, beczelnie pewne siebie, zmierzające prosto do celu. Zaczęłam po nich iść, jak to czynią wilki. Trop w trop. Męczący dla mnie krok, coraz szybszy.

Aż zorientowałam się, że idę za tą wczorajszą w czerwonym berecie, to mnie zbiło z tropu.

Gdybym była mężczyzną, nosiłabym zawsze przy sobie scyzoryk, albo żyłkę: zasłabłabym tę w czerwonym berecie elegancko od przodu, jak ugrzeczniiony turysta, no i wtedy. Gwałcić w taki lepki od topnie-



jącego śniegu poranek nie chciałoby się nawet żadnemu turyście. Tylko tym scyzorykiem, albo żyłką, do wyboru.

Głowa w czerwonym berecie odwróciła się. Skrwawiona, nadcięta, spojrzała na mnie oczami Krystyny: nie mogłam się przyzwyczaić, choć właściwie, przyzwyczaiłam się od razu i już czekałam w panicznej wewnętrznej ucieczce na to, że Krystyna podejdzie do mnie, wywyższona, tak jak się podchodzi do cygańskiego taboru, by zacząć ze mną rozmowę, zaraz, natychmiast o tym swoim drugim mężu, człowieku nie do wytrzymania.

Ostatnio, kiedy się spotkałyśmy, jej drugi mąż, człowiek nie do wytrzymania, rozebrał igloo, by rozdać ubogim.

— W rezultacie, grupa Eskimosów stała ogłupiała z kawałkami lodu w podbiegunowych rękawicach, a mąż kazał mi się martwić, że oni są i tak biedniejsi niż my, bo żeby nie wiem jakie ubóstwo nas dotknęło, to i tak jesteśmy bogatsi w europejską kulturę w sensie dorobku pokoleń, nie chodzi tu o żadne doświadczenie jednostkowe. Strzeliłam do niego w momencie, kiedy zaczął deliberować, komu i jak oddać ten dorobek pokoleń, który w nas tkwi. Eskimosi odjechali i znowu przyjechali z tymi kawałkami lodu. A po strzale zniknęli, by dać znać na posterunek, choć ja wcale męża nie trafiłam. Żył sobie w najlepsze i wrzeszczał: ty morderczyni!

— No patrz, jak się spotykamy. Wracam właśnie prawie prosto z Rzymu. Wiesz, w Warszawie zdarzyła mi się nieprawdopodobna historia. Spotkałam tę. Pamiętasz tę naszą koleżankę ze szkoły. No, tę, która przyjechała z Warszawy i do Warszawy po pięćdziesiątym szóstym wyjechała. Tę, co to jej babka popełniła samobójstwo. Jak ona miała na imię?

Ani słowa o drugim mężu, człowieku nie do wytrzymania.

Powiedziałam: — Chodź do mnie.

Chciałam powiedzieć: — Zdejmij beret.

Powiedziałam: — Zaraz sobie przypomnę, mam to imię na końcu języka. Ja tu nazywają Madam Frankensztajn.

Zetempowska działaczka, która z oczu zniknęła mi jeszcze w szkole, i której imię teraz miałam na końcu języka, pojawiła się na powrót w lękliwej legendzie, że w leśnobrzeskich lasach, w zamku Książ, którego mogłabym, gdybym chciała być dziedziczką, czasami nawet na zapluty podwórkach, gdzie niedomyte leśnobrzeskie dzieci grały w cymbargaja, bawiły się w masowe egzekucje, albo węszenie szpiega, pojawia się Oko Profana.

Ktoś zerka, podgląda i milczy.

Ktoś patrzy podejrzanym trzaśnięciem leszczynowej gałązki, nie-

codziennym pianiem koguta, mignięciem na leśnej polanie, stuknięciem okiennicy, demonicznym wrzaskiem dziecka, puknięciem serca.

Sama brałam udział w obławie.

Kradnącym na pegeerowskich polach kłoski pozostawione przez żniwiarkę, mnie i Maali, ktoś zachichotał za plecami, choć za plecami powinno być tylko nagie ściernisko i lekko odorzone żniwami powietrze. Więc kiedy ogłoszono obławę, poszedł nawet Karwacki: no i widzicie, takie Oko Profana, to się zawsze okaże potem jakimś zboczeniem bez towarzystwa. Każdy zawsze widzi więcej niż trza, a temu zboczeniowi trzeba porządnie przyłożyć. Nawet jak to jest kobieta, obywatelczko.

Malarz Jamuła zaprotestował. Malarz Jamuła zamachał ręką z okna: — To jest karygodne, to się nie chce mieścić w głowie, żeby nie dać biednej kobiecie spokoju. W Polsce nie ma pustyń, żadnych Himalajów, żadnych zapomnianych przez ubeków zakamarków, żadnych niedostępnych dorzecz Amazonki, które zna tylko Fidler i łowca głów, żadnych sere dżungli, gdzie na człowieka czyhałyby co najwyżej tylko dziki zwierz, a nie slogany wbijane do mózgów pałami: więcej, lepiej, najpierw niech się naje partia. Żadnych geograficznych ucieczek, dla tych którzy nie chcą zostać ani Pstrowskimi, ani kolekcjonerami starych lamp, ani obywatelami, którzy czekają po latach na założenie telefonu. Dajcie jej spokój tej kobiecie, ja ją znam, ja jej czasami jeść noszę. Oko to nie ona. Oko to sterylne jak lekarskie strzykawki nasze gazety. Oko Profana to Polska. Polska, to...

To właściwie aż niesamowite, jak się człowiek skręca ze wstydu, kiedy tak słucha kogoś jakającego się na głos, wychylonego przez okno.

Wiedziałam, co chce malarz Jamuła powiedzieć przez „Polska to”.

Kiedy siedzieliśmy sami w jego pokoju, który nazywał pracownią, cicho szeptał. Cichym szeptem wypowiedane zdania, co to jest Polska, miały sens. Jak wszystko, co szeptane cicho i po kątach, stawały się najprawdziwszą prawdą. Nawet to, że Polska to właściwie nie Polska, ale Egipt. Że budujemy nie żaden komunizm, ale usypujemy w pocie i krwi olbrzymią piramidę, na szczycie której siedzą gnomy zaopatrzone w sierpy, młoty i kosy i odpowiednią aparaturę pojęciową, nowocześni dentyści od wrywania życia z korzeniami.

Wszystko to, wyjąkiwane z okna, w bladym popołudniowym świetle, skręcało ze wstydu.

Opuściłam głowę i zaczęłam prawie modlić się, żeby skończył. Żeby dał nam iść. Przecież nawet właściwie nie na obławę idziemy, ale

by zobaczyć to, co dostrzegły bawiące się godzinę temu, nad Zatopionym Jeziorem, dzieci.

Karwacki uzbroidł się w łopatę, a Maala wzięła stare stylisko.

Przydały się. Oko, w pierwszej chwili niewidoczne, tak wrosnięte w zaschnięte gówna, pokrwawione papiery, niedopałki i puszki po konserwach, poruszyło się. Rzeczywiście było kobietą. Wychudzoną, nieprzytomną kobietą, nie wiadomo dlaczego leżącą na usypisku śmieci, kiedy wkoło pachnące polany, a nad samym Jeziorem nawet kawalek piaszczystej, złotej plaży.

Kobieta trzymała w ręce zeszynek. Na twarzy miała świeżą szramę.

Nosze zaimprowizowano z łopaty, styliska, średniej grubości suszki, paska od spodni, pasków od mojej i Maali sukienki. Karwacki całą drogę sapał i mamrotał: kurwa, wygląda jak madam Frankensztajn. Nie wiadomo, czy to-to dożyje.

I tak już zostało: Madam Frankensztajn. Madam dożyła nawet wypuszczenia z zakładu dla umysłowo chorych, z którego nie wyszedł mój ojciec. I zamieszkała w Leśnym Brzegu w stajni, u Antona, który trzymał w niej ongiś dwa szpotawe konie.

Malarz Jamuła zdążył je namalować zanim poszły na ubój do fermy lisów.

Anton płakał: jak żywe.

Te dwa konie, to były jedyne dwa konie malarza Jamuły, które nie skakały w czerwonym słońcu przez przepaście, wszystkie inne wisiały nad odmętym wyprężone, jak strzały, tak się zresztą nazywały: Strzały. Po kropce podtytuł: Zenona z Elci.

Długo myślałam, że Malarz Jamuła ma na imię Zenon i pochodzi z Elci, kraju, gdzie słońce jest wyłącznie czerwone, zawieszane nad górami i jedną jedyną, straszliwą rozpadliną.

Malarz Jamuła zbywał mnie: O, bo tam.

Antonowi zdawało się, że tak się zostaje świętym: najpierw oddaje się konie na rzeź, potem się płacze, potem się stara o rentę, nie dostaje się jej, więc bierze się pod opiekę kogoś nieźrównoważonego, kto milczy i nie chce mieszkać w mieszkaniu, ale kto z radością zajmuje miejsce ulubionej klaczy Antona, która była za życia chrzczona cztery razy i za każdym razem wstępował w nią nowy duch: Krescencja, Komuna, Konstytucja, a na koniec, Wanna — marzenie Antona, który nigdy wanny nie miał.

Wanną też została Madam Frankensztajn, która milczała, prawie nic nie jadła, a żeby utrzymać przy życiu Antona, zebrała w okolicach Wrocławia.

Czasami, w szacie do ziemi, z kosturem w dłoni, z twarzą zasło-

niętą, stawiała na drodze do kościoła i śmiała się. — Ta się potrafi śmiać, czasami to i piętnaście minut, mierzyłem na zegarku — mówił żegnając się Karwacki. — Schowałem się za topolę i mierzyłem, śmiała się całe piętnaście minut, bestia, gadzina, ona jakiej biedy napyta.

— Waniu — prosił Anton — nie rozbustwiał narodu, chodź do domu.

Jeżeli Madam Frankensztajn napytała kogoś biedy, to mnie. I to wcześniej, niż zaczął prorokować Karwacki. Pewnego dnia, tuż po zabranu jej do szpitala na zamknięte leczenie, zapukało do moich drzwi dwu. Zawsze myślałam, że powinno ich być dwu, ale z kobietą i z nakazem w ręce. I że powinni mieć jakieś takie specjalne oczy, oczy ze specjalnym uzasadnieniem.

Tymczasem kobiety ani śladu, a specjalnie wytrzeszczone oczy miałam ja. — Maali nie ma w domu — belkotałam, a serce łaskotało mnie podstępnie.

Ale tu nie chodziło o Maalę, tylko o mnie, podobno wyraziłam się, że przyniesiona z lasu kobieta kogoś mi przypomina, szkolną koleżankę, podobno.

— Nie, nie — belkotałam. — Nie, nie, to było tylko takie pierwsze wrażenie. — I czekałam, kiedy zacznę fruwać pierze z poprutych poduszek, kiedy zaczną wylazić bebechy ze starej, wsuniętej pod zlew kozetki, kiedy będę stała odwrócona twarzą do ściany i kiedy zacznę pisać kolejną wersję życiorysu: ja, niżej podpisana.

Czekałam, kiedy wreszcie ich oczy zrobią się przymrużone, zjadliwe. Przecież nie może im chodzić tak zwyczajnie o Madam, tak zwyczajnie o nią. Nie o to przecież także, że widziałam, jak Karwacki odkopał raz pod śliwą stary rewolwer, cały zardzewiały, właściwie nie wiadomo, co odkopał: stwardniałą grudę ziemi, czy broń.

Nie o to chyba też, co wyszeptywał mi do ucha Malarz Jamuła. Przecież, co szeptane, to szeptane, ja tego szeptanego nikomu nie powtarzałam, a jak się z tym szeptanym wychylił z okna, to było mi nawet wstyd, skręcałam się przecież ze wstydu.

Nie szło też chyba o „Dzienniki” Gombrowicza, czy „Wielką Czystkę” Weissberga — przeczytane, oddane, zapomniane.

Im chodzi o coś zupełnie innego — pomyślałam. Choć tak siedząc zwyczajnie i niczego nie rozpruwając, to nawet naturalne, pomyślałam, że tego nie robią, bo to, czego szukają jest we mnie.

Oni chcą się dowiedzieć wszystkiego o tej Drübenmann.

Po raz pierwszy płatki jaśminu zaśmierdziały mi więzienną pleśnią.

Polityka, politycy, polityczne konfiguracje, ugrupowania, kojarzą mi się z pociągami — myślałam. Z szynami, z płasawiskiem szyn, po których jeżdżą dobrowolnie, albo są zmuszani do jeżdżenia, wyznawcy, ludzie, dobrowolni pasażerowie, lecz pod eskortą: rozgorączkowanie, spoceni, wykrzywieni, zmęczeni, wykrzykujący credo tego, który pociąg prowadzi. Pociągów moc, szyn płasawisko, spoconych pasażerów tłumy; brakuje wszechogarniającego oka, rzadko zdarzają się semafore i dróżnicy — za to często katastrofy, płaczące wdowy, wyjące dzieci.

Nie chcę mieć z tym nic wspólnego — myślałam — nie mam pojęcia, czyj pociąg lepszy, choć wiem na pewno, że ten jeden jedyny, jeżdżący teraz po mojej ojczyźnie jest tym najgorszym ze złych.

To, czego chcę — to przejść przez tory na drugą stronę, przekonać całą i nienaruszoną na ciele, duszy i umyśle, nienarodzona do tego miejsca, gdzie się dopiero urodzę, do tej krynicy, gdzie na włosy opadają wonne płatki, gdzie się wie, chce, rozumie po co, komu i dla czego, tam gdzie czeka na mnie Fela. W stronę Drübenmann.

Serce przestało laskotać, zabiło mocno na trwogę: daleko zabiło, nie w moim ciele, które tkwi naprzeciw tych dwu mężczyzn, ale w tamtym, na które czekam, w tamtym, o którym myślałam kiedyś, że stanę się nim za dziesięć lat razem z nowo urodzoną krową.

O to miejsce im chodzi. Przyszli dowiedzieć się, gdzie ono jest, w jakiej stronie świata. Gdybym to wiedziała i powiedziała im, czekałoby na mnie tam.

Wonne płatki jaśminu zaśmierdziały mi więzienną pleśnią.

Jeden z nich zapytał: — Co to za śmieszny mebel?

— Kufer poniemiecki — odpowiedziałam łapczywie.

— A w kufrze?

— Nic w kufrze. W kufrze trochę listów babuni Lu.

— A ten zeszynek?

Patrzyłam zdziwiona na zeszynek Madam Frankensztajn, skąd on się wziął w kufrze.

— Też babuni Lu?

— Też babuni Lu — potwierdziłam machinalnie, nie słuchając tego, co mówił jeden z nich, że podobno taki właśnie zeszynek, a oni zawsze mają dobre informacje, został zabrany kobiecie, którą podobno, tak wyraziłam się — znałam.

Milczałam, zaplątana w kombinacje, komu przypisać babunię Lu. Sobie, ojcu, czy Maali. Zdecydowałam, że ojcu, jego nie ma już na tym świecie, a Maala jest. Wróci i wypaple, że ten zeszynek rzeczywiście należał do Madam, i wtedy dwaj mężczyźni zabiorą mnie ze sobą.

No i jakbym im wytłumaczyła, że nie osłaniam swoją niewiedzą kogoś, kogo znałam ze szkoły i kogo imię miałam ciągle na końcu języka — ale stronę Drübenmann.

Co ja robię?

Na Boga, co ja robię? — Przestałam studiować na ASP i teraz jestem dekoratorką wystaw. Ale dalej maluję.

Pokazałam im swoje prace, choć przez chwilę, dla jakiejś niepoznaki, chciałam pokazać im jako swoje konie malarza Jamuły. Te podpisane: Zenona z Elci.

Patrząc na gęstą nieruchomości tamtych płócien, może zniechęciłoby na zawsze ci dwaj. A ja nie. Ja wyszłabym stąd i byłaby dalej. A ci, we dwójkę, tkwiliby poza czasem i przestrzenią przed strzałą, która się nie rusza, na zawsze. Z tym pierzem unieruchomionym w poduszkach, wcale nie fruwającym po kuchni. Ani po pokoju.

Czy mogę przyjść za tydzień do urzędu na taką poufną rozmowę? Przymusu nie ma, choć jeśli się nie zgodzę, przymus się znajdzie.

W urzędzie pokazano mi jakieś duże plansze, przed którymi osłupiałam.

Plansze pokryte były celofanem i jakimś takim bawolim pismem — jak w szkółce dla słabowidzących.

Karwackiemu, który zapytał mnie, kogo to mnie odwiedził, odpowiedziałam, że koledzy ze studiów, a Karwacki otworzył usta: tak porządnie ubrany? tacy stateczni? malarze?

Zacząłam się przyglądać temu, który siedział naprzeciw mnie, czy rzeczywiście jest tak porządnie ubrany, taki stateczny, jak nie malarz, ale on machnął mi planszą przed oczyma, i minęła jeszcze sekunda, zanim domyśliłam się, że to do niczego niepodobne pismo, którego jednym rzutem oka niepodobna ogarnąć człowiekowi przyzwyczajonemu do czytania nie tylko tego, co znormalizowane w gazetach, ale nawet hasel na murach — to po prostu sfotografowane i powiększone, aż za dużo powiększone, czyjeś prywatne wynurzenia. Zacząłam sylabizować: Zapis. Konsumpcja. Dusza i ciało.

Sylabizowałam to tu, to ówdzie. Przestałam i zapytałam, co to jest. Na to ten machający planszami, stateczny i nie malarz, przerzucił szybko kilka plansz, zastanowił się i wybrał jedną. Postukał po niej palcami, jak Emeryk po biurczku i zaczął czytać sam, wcale wprawnie: „trzeba się tylko zdecydować na powrót do źródła”.

Już myślałam, że takie postukiwanie palcami znaczy tyle, co wstać i wyjść na wieki wieków, ale urząd, w którym siedziałam, to nie prywatnie wynajęta łazienka; obok w pomieszczeniu nie siedziała pa-



nienka grająca Schumanna, ale roilo się od obrońców ludowego państwa.

Ten machający planszami obrońca, postukujący obrońca, czytał dalej: „Trzeba zdecydować się na odrzucenie konsumpcji, na wyleczenie z żarcia. Trzeba tylko przestać zabijać duszę, trzeba przestać karmić ciało”.

Przerzucił kilka plansz: „Ziemia — odrzucony świat. Wrzód Kosmosu, rak kosmosu. Pełna życia zarażonego śmiercią, pełna chorych, zakażonych ludzi, a objawy tej choroby, tego skażenia, tego kosmicznego błędu, kosmicznej skaży — konsumpcja, to zostało zakodowane w Biblii — pierwszy jedzący człowiek, nieważne, co jadł, jabłko, to symbol, ważne, że jadł. Ważny jest sam akt pożarcia, ten akt oddał go we władzę ciała i choroby—śmierci, we władzę pięciu zmysłów i rozumu, we władzę przestrzeni i czasu, które są kategoriami strachu, we władzę materialnego porządku rzeczy, we władzę materii, którą trzeba będzie pożreć, która jest nie tyle poznawalna, choć do końca nie poznana, co zjadalna, choć do końca jeszcze nie zjedzona. I to pierwsze zakodowane w Biblii kosmiczne wygnanie — pozbyto się nas, trędowatych, istniejemy teraz z dala od źródła życia, na krańcu kosmicznego wrzeciona, pozbyto się nas, kosmicznych morderców w imię życia, kosmicznych zjadaczy chleba naszego powszedniego, daj nam Panie. Czyż pożywieniem jest tylko chleb i sól, mięso i ryba? Wszystko na naszej ziemi nadaje się do zjedzenia, religia, system filozoficzny, cudza myśl i uczucie, wiersz, sława i władza, zieleni całego świata i słońce, betonujemy ten świat, aby go wygodnie jeść, na wygodnym krześle, przy wygodnym stole, nakrytym cienkim, białym obrusem, w światowej restauracji marzymy o zjedzeniu źródeł życia, upaprany mi ustami mamrając o wyższych celach, o sensie egzystencji, wierności, odwadze, honorze i ojczyźnie, rodzinie i pracy. Praca, praca, praca. Poszanowanie swobód obywatelskich i tolerancja, te wspaniałe odwaniające pigułki, cnoty nasze, żeby zjadać wygodnie, żeby nie śmierdziało. Trzeba się wreszcie zdecydować na wyleczenie z choroby, na powrót do źródeł życia nie tylko duszą ale i ciałem — trzeba wreszcie wyrąbać do prawdziwego gniazda korytarz bezkonsumpcyjny, trzeba przestać jeść, trzeba zamilknąć, trzeba przestać pracować, w pocie czoła bawić się, polować, budować, mówić, marzyć o wspaniałym społeczeństwie, w którym będzie zrealizowana jakaś mityczna sprawiedliwość”.

Ten, który tak do tej pory sprawnie czytał, przerwał teraz, pogmerał w planszach dla słabowidzących i odczytał tak jakoś z trudem i szeroko rozstawiając oczy, rozszerzając je: „szczęścia nie osiągnie

się na ziemi zakłętej w pralki, samochody, osobiste dowody, paszporty chowane do kieszeni władcy, bo nie osiągnie się go w piekle. Kto nas nauczy, jak przestać żreć? Jak rozbudzić w sobie duszę, jak dotknąć jej misternie, żeby nie rozleciała się jak zettale koronki? Nie ma na tym świecie nauczycieli serca, są tylko nauczyciele ciała i urzędnicy bezpieczeństwa”.

Zalaskotało mnie w okolicy żołądka. Przypomniał mi się dowcip malarza Jamuły: czy wiesz, co to jest UB? Ubezpieczony Bandyta.

Przez chwilę dowcip ten uwierał mnie: może ten stateczny, ten czytający teraz z takim trudem rozstawionymi oczami też zacząłby się śmiać i puściłby mnie do domu?

Skurczyć się, zmaleć, zniknąć, pojawić w domu, zostać kuchennym stołem, wsuniętą pod zlew kozetką, byle nie siedzieć tu, nie przyglądać się tym tablicom. Wreszcie domyśliłam się czym są: — sfotografowanym strona po stronie zeszytikiem Madam Frankensztajn, zeszytikiem, który trzymała w ręce, wrośniętą w śmietnik. To ten zeszyt zabrano z kufra. Teraz się zacznie. I co ja mam im wymyśleć, kto to była babunia Lu?

A może nie o babunię zacząć pytać, ale o mnie? W końcu, po co tu siedzę i słucham tego, który tak ciężko pracuje na kawałek chleba czytając i czytając? I rozstawiając oczy?

Jak ja im opowiem swój życiorys, który gdybym go tylko zaczęła, przyniesiona w zębach, śmiertelnie nieurodzona, byłby kłamliwy i nie starczyłoby całej Syberii, całego Kazachstanu, całego Magadanu, skąd wraca się z jedną krótszą nogą, by rozplątać, rozprostować to, co nagmatwało się wokół mojego pozornego istnienia.

Dobrze ubrany i stateczny, zsunął oczy, jak zsuwa się teleskop. Przyjął do wiadomości, że ja nie wiem, o co chodziło babuni Lu, której nie znałam i której zeszyt mnie nie obchodzi. Znienacka wstał i zakończył posiedzenie z tablicami—planszami.

Coś tam podpisałam. Jakieś pokwitowanie, że zeszyt nie należący do mnie, ale uprzednio znajdujący się w moim posiadaniu, nadal do mnie nie należy i jako taki przestaje być w moim posiadaniu.

Wysłałam całą absurdalnie zdziwiona, czekając na jakiś koniec, na jakiś grom z jasnego nieba.

Przestałam jeść. Jak człowiek który zagapił się w słońce i potem wszędzie widzi żółte plamy — wszędzie widziałam te bawole litery, które układały się w: „jeszcze coś się stanie”.

Nabrałam zwyczaju przemyskania bokiem, pod murami, oglądania się za siebie. Z Małą prawie nie rozmawiałam. Dekorowałam te wystawy, a potem jakoś tak wewnętrznie, ku swojemu zdziwieniu, nie

fizycznie, wyjechałam: przestał mnie obchodzić ten zeszycik, tak dalece, że nie wiedziałam w pierwszej chwili o co chodzi, kiedy Maala zapytała, gdzie się zapodział: zniknął jej w tajemniczy sposób, choć go tu, a nie gdzie indziej kładła, kiedy się skończyło z tą Madam i zabrali ją do szpitala.

Ale Maali ginęło wiele przedmiotów, była go tego nieuzasadnionego ginięcia przyzwyczajona. Przeszukawszy mieszkanie dała sobie spokój. Nakazała sobie spokój.

— Spokojnie, spokojnie — powiedziała do siebie — ludzie mi też giną i trzeba żyć dalej.

Przez chwilę pożałowałam, że nie wiem, co w nim było, jakie tajemnice były w nim zawarte. Te odsłonięte teleskopowymi wydłużającymi się oczami, nic mi nie mówiły: ot, kajaś pisanina, taka czarna iluminacja.

Krystyna usiadła przy stole, zdjęła ten swój beret, który okazał się pomarańczowy, nie czerwony i znowu nawiązała do naszej wspólnej koleżanki, której imię miałyśmy obie na końcu języka, tej, co to jej babka, ta samobójczyni, miała chyba na imię Nicole, a dziadek Jot Em; komedia, komedia.

Skupiona, bez beretu, Krystyna zaczęła wyglądać, jak kobieta, która powinna była przyjść do mnie razem z nie malarzami, z tymi z teleskopowymi oczami, ale nie przyszła.

Krystyna powiedziała:

— Madam Frankensztajn, dobre, ale ja nazwałabym ją raczej Madam Luter, bo w Warszawie jak jakiś Luter na drzwiach kościoła, tak ona najpierw na przystanku autobusowym naprzeciwko KC, a potem na tym pomniku obok, próbowała nalepić te swoje karteluszkę, te swoje tezy.

Od czasu skrzyżowania szpad, z których jedna zaryła się w mchy, tuż obok mojej głowy promieniem słonecznym, nie oponowałam Krystynie — niech sobie mówi i robi, co chce, niech sobie myśli lepiej, całosciowo, niech sobie strzela do swoich drugich mężów, ludzi nie do wytrzymania, niech rzuca nożem, pluje, niech sobie Leśny Brzeg będzie czarny czerwienią El Greca, i niech sobie będzie, że czerń obrazów El Greca jest antycypacją czerni Leśnego Brzegu, jego szansą zaistnienia, niech sobie morza widziane przez Krystynę będą szkliste jak werniks obrazów starych mistrzów, a nadmorskie, nigdy przeze mnie nie oglądane sosny — późnogotyckie; trawa, po której deptałyśmy obie, jak z Klee, nadmorski piasek jak Tycjanowska karnacja, a Tycjan porno renesansu.

Doszło nawet do tego, że milcząc i nie oponując, wodząc za nią oczami, podpowiadałam jej sama w duchu: przydymione leśnobrzaskie niebo, jak pompejańska śmierć, czemu nie? A zaparte w ziemię, stojące w kolejkach kobiety, jak sztywne, nieustępliwe, obrane z mięsa, ryby Buffeta, a stary, popękany stół, przy którym siedzimy, jak postrzępiona narracja Robbe-Grilleta. Zatem niech Madam Frankensztajn będzie Madam Luter.

— Wyobraźcie sobie — ciągnęła Krystyna — że tej całej Madam Luter karteluszkę rozsypały się. Porwał je wiatr. Zdążyłam złapać dwie.

Znowu to łaskotanie w sercu: zaraz przyjdą do mnie wypytwać o te karteluszkę. Już siedzi u mnie zwiad. W czerwonym jednak, a nie pomarańczowym, berecie.

— Wyobraźcie sobie — przy Krystynie ciągle coś sobie trzeba wyobrażać, ona nigdy nie była niczym zrażona, więc moim z Maali milczeniem też, czym się miała zresztą zrażać kobieta, która z rewolwerami, latającymi nożami i pluciem była za pan brat — myślałam, że to jakiś manifest polityczny, a na tych karteluskach obłędna filozofia: ziemia pełna życia zarażonego śmiercią, pełna chorych skażonych ludzi, a objawy tego skażenia, tej choroby, tego kosmicznego błędu — konsumpcja, tak zostało zakodowane w Biblii, pierwszy jedzący człowiek, nie jest ważne, co jadł, jabłko to tylko symbol, ważne że jadł, ważny sam akt pożarcia, ten akt oddał go we władzę ciała, choroby, śmierci, zmysłów pięciu, przestrzeni i czasu, czyli strachu.

Nawet dobrze to powtórzyła, nie ma co, osłupiałam jednak, kiedy Maala, ze specjalnie tak jakoś rozszerzonymi oczami, oczami przystosowanymi do czytania tekstów dla słabowidzących, dokończyła: „we władzę materialnego porządku rzeczy, we władzę materii, którą trzeba pożreć, którą musi się pożreć, która jest nie tyle poznawalna, choć do końca nie poznana, co do pożarcia, choć do końca jeszcze nie unicestwiona... Przestać jeść”.

— No właśnie — odzyskała głos Krystyna — tak właśnie było na tych karteluskach. Teza pierwsza — przestać jeść. Teza druga — przestać myśleć i mówić. Teza trzecia — nie pracować, milczeć i nie kochać, śmierć posługuje się miłością, zamazuje ścieżki do bytu. Śmiechu warte, pani Maalu. A pani skąd wiedziała, co powiedziała?

Maala popatrzyła na nią zalekniona, mogłabym przysiąc, że z łaskotaniem w sercu.

— Znikąd — odpowiedziała — takie rzeczy przychodzą na myśl same przez się, jako ciąg dalszy tego, co pani zaczęła mówić, w to się można wciągnąć. Zresztą to o miłości, to nic nowego, jak pani wie,

podobne rzeczy mówił już doktor Krokowski tym w Berghoffie w Czarodziejskiej Górze. Podobne tylko, bo wyrażał się nie tak po słowiańsku. Nie tak po prostu, na żywioł.

Moje osłupienie trwało. Patrzyłam teraz na Maalę i mogłabym przysiąc, że swego czasu siadywała, nie mi o tym nie mówiąc, naprzeciw tego machającego planszami, by wytłumaczyć wrośnięcie w poniemiecki podgnili kufer tego śmierdzącego zeszytiku.

— Zresztą, co to ma za znaczenie, zaparzę wam herbaty — Maala wstała.

— Jak to, nie ma znaczenia? W taki sposób, nawet jeżeli jest to sposób osoby szalonej, zatumaniać ludzi. I to gdzie? W Polsce! W której o każdy kęs chleba należałoby prosić Chrystusa, żeby przyszedł i go rozmnożył i zlikwidował kolejki. Tak mówić o dobrach materialnych, których nam brak, to przecież wygląda na propagandę czerwonych — nie jedźcie ludzie w imię wyższych celów, bo przecież i tak nie ma czego jeść, jak Boga kocham, taka sprawa mogłaby od biedy przejść nawet w takich Włoszech, gdzie się nie przelewa, a jednak sklepy skapują wszelkim dobrem, ale tu? Na litość Boga, i te historie z miłością, komu to mówić, nam? Których tylko miłość, pięć zmysłów i rozum utrzymują przy życiu, jako osoby, jako naród, bo przecież nie innego? Bo przecież nie ten kraj, który się powinien nazywać Pogrom Rodzaju Ludzkiego? Ta wariatka wygląda na naslaną przez ubeków.

— No, pani Krysiu, zaraz przez ubeków. — Maala szczerknęła czajniczkiem: — Zdarzyło się raz koło Drohobycza, że dziecko sąsiadów, zostawione w domu samo, podczas żniw, zobaczyło, że z małego olejnego obrazu, który zostawił przez zapomnienie przejezdny student, malarz, zaczyna się powoli wysuwać obuta w czarny trzewik stopa mężczyzny. Na płótnie było trzech mężczyzn, kompletnie ubranych, koło studni. Oglądałam sama. Dziecko twierdziło, że obraz zaczął się najpierw kiwać na boki. Dziecko myślało, że to wiatr, ale wiatru nie było. Potem zaczął drzeć podobno ten obraz, no i zaczęła się wysuwać ta stopa w trzewiku, wyglądało to tak, jakby jeden z mężczyzn chciał zejść z obrazu tyłem, przytrzymując się cembrowiny. Dzieciak narobił takiego krzyku, że wszyscy zbiegli się z pola a potem przyszedł ksiądz. Zdarzył się nawet jakiś wyższy urzędnik, który akurat przejeżdżał. Ksiądz odwrócił się od dziecka i tłumu spoconych chłopów — gdyby to, dajmy na to, obraz z Matką Boską zaczął się kiwać, gdyby to stopa Matki Boskiej zaczęła się wysuwać — to byłby cud. Urzędnik zaś spojrzał, kazał podać gorzałki i oskarżył ojca dziecka o prowokację, o chęć wzniesienia buntu chłopskiego. Nikomu do niczego nie pasował ten trzewik, ta cembrowina i ten język, którego

używało dziecko przy opisie — zdarzyło mu się nawet powiedzieć, że obraz po okresie drżenia zamilkł. Słowa „drzeć” dziecko chyba przedtem nigdy nie słyszało, a o „zamilknięciu” obrazu wszyscy zgodnie milczeli, bo przecież wiadomo, że żadne obrazy nie mówią, ten zresztą też przedtem nie przemawiał.

Maala położyła serwetki na pamiętającym wszystkie czasy stole, który nie wiadomo jak istnieje jutro — jutro.

— Nie trzeba zaraz oskarżać o prowokację, panno Krysiu, o nasłanie, jak to pani określiła, o szaleństwo raczej, zresztą dziewczyna, którą tu nazywają Madam Frankensztajn, nie powiedziała niczego nowego, niech pani sobie przypomni taoizm, Lao Tsy, gnostyków, czy kwietystów, co oni mówili o pracy i jej szkodliwym dla świata działaniu. Zresztą, ja panią rozumiem, pani jest oburzona, bo pani myśli kategoriami: człowiek — społeczeństwo, gdyby pani jednak zaczęła myśleć kategoriami: człowiek — bóstwo, transcendentna tajemnica, praca stałaby się mocno problematyczna, wszystko stałoby się problematyczne, i nie wiadomo, czy milczenie i niekochanie...

Odetchnęłam. Maala zaraz zaczęła cytować. Schowała te swoje przestraszone oczy, zrobiła się normalna, taka jak zawsze, kiedy przyjmuje gości, trochę jednak zziębła, bo przybyła z antypodów, z neseserkiem w ręce, a w neseserku wszystkie potrzebne do uprzejmej konwersacji cytaty.

Zrobiłam to samo.

Teraz siedziałyśmy, trzy podróżne, przy herbatce: dwie z antypodów, jedna prawie prosto z Rzymu, bez bagaży wprawdzie, ale z torbą podróżną i z pomarańczowym jednak, nie czerwonym, beretem, teraz położonym na kozetce.

Opuścił mnie też wstyd, taki rodzaj wstydu, który mnie nawiedzał zawsze, mimo strachu, czy osłupienia, kiedy zaczynało się wykrzykiwać coś z okna, coś, co powinno być szeptane na ucho; kiedy się słuchało kogoś, kto oparty o pianino deklamował o szmatach i opuszczeniu, naprzeciw wyciągniętych, jak do aklamacji, rąk z cygarami; jak zawsze, kiedy się znienacka mówiło coś o porządkach ludzkich i boskich na poważnie, bez przechernego przymrużenia oka. Odetchnęłam.

Przeszła mi też ledwo zwerbalizowana ochota, by jak mężczyzna trzasnąć drzwiami i wyjść i dojść do tej oazy męskiej wolności — budki z piwem, zaśmierdłej rzygowinami i uryną, opasanej, jak cenny eksponat sznurem, lepką damską wstydlivością, niepatrzeniem, odwrotnie niż z eksponatami bywa.



Herbata, papierosy i trzy podrózniczki, dwie z antypodów, nawet zadowolone, że na godzinę-dwie ustały gęste od nieporozumień połączenia telefoniczne, i ta trzecia, prosto z Rzymu, bez bagaży, ale z podrózną torbą i z tym beretem, który zmienia kolory. Zwyczajna podróżna – nie żadna tam brakująca tym dwu, z teleskopowymi oczami, kobieta. Madam Frankensztajn gdzieś tam sobie milczy, albo jak Luter nalepia tezy i ucieka, a my sobie same, z rzymskimi opowieściami, z rzymskim kolorytem, dla którego oddania brakłoby na palecie farb, i z tymi ludźmi o połyskliwych, śródziemnomorskich oczach, ecco.

Krystyna zabroniła Maali cytować: – Nie, nie, tylko nie to, nie mogę znieść żadnych cytatów, to była mania mojego trzeciego męża, człowieka nie do wytrzymania, tutaj słońce, Wezuwiusz, Neapol, na tarasie mężczyzna o połyskliwych, śródziemnomorskich oczach czeka na obiad, na stole leży gitara, spieczona, pachnąca jak chleb, na tarasie poniżej młode, ciche jak płatki śniegu Norweżki, a on cytuje Konfucjusza, rzuciłam w niego nożem, którym chciałam obrać pomarańczę.

Krystyna wycofuje się ze swoich nierozważnych sformułowań o prowokacji, byleby teraz tylko nie musiała wspominać tego człowieka nie do wytrzymania, który przez ten nieszczęśliwy nóż chodził przez tydzień z bandażem na nodze, komedia, celowała w głowę, trafiła w nogę, chyba przez to, że zasłaniał się rękami, zresztą na dobre wszystko wyszło, bo przez aferę z nożem i nogą poznała tego z połyskliwymi, śródziemnomorskimi oczami, tego z tarasu z gitarą, co to jak chleb – najpierw się śmiał, ale potem się zakochał, Krystyna też, od trzeciego wejrzenia, właśnie przyjechała, prawie prosto z Rzymu, żeby załatwić do końca formalności ślubne, postanowili, że wezmą ślub w Polsce, jej narzeczony trochę się boi małżeństwa a zwłaszcza małżeńskiego prawa włoskiego, polskie luźniejsze, niech mu będzie luźniejsze, poza tym jej przyszły śródziemnomorski mąż, czwarty, widać nie do trzech razy sztuka, uwielbia Dürera.

Zaczęła się zbierać. My też. Zamknęłyśmy z Maalą nesesery pełne cytatów na każdą nieprzewidzianą okoliczność towarzyską.

Ze skompletowaniem mojego miałam na początku kłopoty. Jedyne cytaty, które mi się nasuwały pochodziły albo z czterech jeźdźców Apokalipsy, jak Maala nazywała Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, albo Makarenki, albo Parchomienki, Pawki Korczagina, rzadziej z Mickiewicza.

Dopiero po jakimś czasie zaczęłam cytować: ząbkując, raczkując

w tej sztuce chowania siebie, jak kalamarnica, za czarną wydzieliną, za parawan cudzych słów.

Teraz takie drobiazgi, jak: „słowa, słowa, słowa”, „niech rycy z bólu ranny łoś”, „komu bije dzwon”, czy „był określa świadomość”, chowałam do kieszeni jak tanie cukierki, które rozdaje się mimochodem, razem z „komu w drogę temu czas”. Częstośowałam nimi Karwackiego, kiedy był na tyle widoczny, żeby go nie wyminąć w milczeniu jak sterty cegieł albo śnieżnej zasy.

Krystyna wyszła. A my z Maalą rozjechałyśmy się natychmiast na antypody. Maala zaczęła sprawiać karpia, a ja pognałam do ubikacji. Jeszcze nie zdążyłam przygotować się do myślenia i zacząć na dobre palić pierwszego papierosa, kiedy w drzwi klozetu zaczął łomotać stary Moździeń. Dobijał się nie dlatego, że musiał, ale dlatego, że dostał manii prześladowczej na moim punkcie: kurwa pani mać panno Maryniu.

Gdybym była gdzieś indziej, pośród kolorytu, którego nie odda żadna paleta świata, pośród palm, widoków na Wezuwiusz, cichych, glacialnych Norweżek, gdybym mogła patrzeć na spieczoną jak chleb gitarę, w czarne, połyskliwe oczy śródziemnomorskie, nie musiałabym wychodzić do ubikacji jak do biura.

Nie dawałabym powodu światu, żeby dobijał się do mnie starczykami, rozwścieczonymi dłońmi, nie musiałabym odgradzać się smrodliwymi drzwiami od czerwonych beretów, maszerujących w takt wojskowych marszy, od dzików krów, od ojców bez stopy, od wrośniętych w śmietniki, czy w cudze stajnie, koleżanek, których imię bywa na końcu języka, od teleskopowych oczu cichych, statecznych panów, którzy mają swoje metody i powody, i którym nie mogę przeciwstawić niczego, prócz śmiertelnego nieurodzenia, płatków jaśminu, nadzici i wiary, że urodzę się jeszcze, nie tak jak po dziecinnemu myślałam, za dziesięć lat z krową, ale po stronie Drübenmann, bo mi się tu nie podoba.

Maala powiedziała: – Ona zaprosiła nas na Sylwestra.

– Co?

– Ona zaprosiła nas na Sylwestra.

– Słyszałam.

– Co?

Trzydziesty pierwszy grudzień mokry i zgniły, jak butwiejąca w kącie, za zlewem, szmata do podłogi.

Stałam przed sklepem mięsnym: rozmiękłym, butwiejącym, jak ten ostatni dzień roku. Przed sklepem nie było nikogo, choć był czyn-

ny, otwarty. Przez zapotniałe szyby wystawowe, było widać obsługę i wiszące na hakach wędzone kurczaki. I to było niernormalne: ta ci-sza przed sklepem i te butwiejące kurczaki i te nabrzmiewające wodną puchliną wiązki, o których się tyle nagadali przejeźdźni oficerowie, nie tylko zresztą oni, bo i bonzowie partyjni nie pozostawali w tyle z wyrazami zachwyty. Tego, co powiedział najbliższy współpracownik Stalina, nie dowiem się nigdy, bo mężczyzna, który miał zwyczaj wstawiać i siadać w kolejce nie chciał urazić ucha dam, choćby nawet dam już dawno w Polsce nie było, choćby nawet samo pojęcie dam zostało zlikwidowane, tak jak się likwiduje insekty, żeby nie laziły. W każdym razie mogłam być pewna, że był to zachwyt, bez wątpienia, zaczynający się na literę „j”.

Natomiast zachwyt wyrażany co rusz przez kolejnych przodujących, i kolejno zdejmowanych z przodowania synów Ojczyzny, był mi wiadomy: sprowadzał się do tego, że niedługo się tymi wiązkami Leśny Brzeg pocieszy.

Kiedy nastaną upały, kolejka nie będzie mogła zażywać w ich cie-niu chłodu, bo z powodu nieustannych zachwyty wykopie się je i przeniesie do prywatnej posiadłości, jeszcze dokładnie nie wiadomo kogo, ale być może nawet miejscowy pierwszy sekretarz nie posadzi pod nimi, ani jego zmęczone jazdą samochodem, swoich dzieci. Zresztą z jego prywatnej posiadłości koń by się uśmieł: jakaś skromna ponemiecka willa i nawet drogi rządowej do niej brak.

Prawdopodobnie wiązki zabierze ktoś z samej Warszawy, który w jakimś zdrowotnym, podwarszawskim ustroniu ma trzy wille — w jednej mieszka, w drugiej trzyma samochód i służącego, a w trzeciej atelier: same obrazy, dzieła sztuki i meble z końca osiemnastego wieku, innych nie znosi organicznie. Zmęczony lubi drepnąć po pokojach atelier i odgrzewać sam, bez pomocy służącego, zupę pomidorową, którą przywozi w słoiku od siostry, bo już dosyć tych jesiot-rów, kawiorów, truskawek ze śmietaną zimą; tutaj to on lubi, i to bardzo, czuć się zmęczony, niezdecydowany, cierpiący i nie na świecz-niku. Wszystko by było dla niego cudownie, tylko te gole nieosłonięte niczym okna, czereśnie wyciął, kto to widział, przyjeździe jakiś zagraniczny gość i jeszcze przez te czereśnie domyśli się jakiegoś chłopskiego pochodzenia, jakiejś Fornalskiej w rodzinie; zatem wiązki są tu potrzebne — tak opowiadał ten, który w kolejkach lubił wstawiać, siadać, i który czerpał wiadomości z jakiegoś tajemniczego nasłuchu, bo przecież nie z polskich, sterylnych jak strzykawki, polskich gazet.

Stałam, słuchałam szumu wiązek, które szumieć mi będą niedługo już i nie wiadomo gdzie zaistnieją jutro — jutro.

Balam się wejść do sklepu, który był czynny, gdzie była obsługa i gdzie na hakach wisiały wędzone kurczaki; przed którym nie było nikogo, żadnej kolejki, tylko ja. Wyglądało to na jakąś pułapkę.

W środku mogła stać ta w czerwonym berecie, albo jakiś stateczny, dobrze ubrany, wcale na malarza nie wyglądający mężczyzna z teleskopowymi, wszędobylskimi oczami.

Ale nie stał nikt. Nawet obsługa siedziała na zydlach, których się nie zauważa, kiedy jest tłok.

— No, wreszcie — powiedziała kasjerka. — Rynek zaśmiecony ty-mi kurczakami. Nikt ich nie kupuje; chociaż co komu po kurczaku na Sylwestra. Chociaż i tak dobrze, bo miały być rzucone przed wigilią zamiast karpia, słoń by się uśmieł. Acha — pomyślałam płacąc — to mówi się „słoń” a nie „koń”.

Wracając, zrobiłam koło. Przeszłam ulicami tak, żeby mi droga wypadła obok domu Antona.

Zwolnilam kroku i starałam się nie patrzeć nachalnie na stodołę, na stajnię, na nic. Ale moja ostrożność była niepotrzebna, w obejściu nie było nikogo. Wszystko zaparte, zamknięte naглуcho, jakby na za-wsze, a przecież zupełnie przypadkowo dowiedziałam się, że Madam już jest i że nie dalej, jak wczoraj śmiała się przed kościołem te swoje piętnaście, mierzona na zegarku Karwackiego, minut.

Niby to milczy a śmieje się — zdenerwowałam się, choć wiedzia-lam, że by wydostać się ze szpitala dla nerwowo chorych, musiała się przecież odezwać, nie tylko śmiać, czy uśmiechać, musiała przecież udowodnić swoją poczytalność, mimo tego swojego nakazu milczenia, nieruchomości i niekonsumpcji, która nie wiadomo gdzie miała pro-wadzić, ale widać prowadziła do jakiegoś źródła, skoro ta, której imię miałyśmy obie z Krystyną na końcu języka, wierna swoim teozom, wrosła w śmietnik nad jeziorem, w śledczą celę i szpitalne, wariac-kie łóżko, wreszcie w stajnię Antona. Widać, mimo wszystko, odkryła jakieś tajemne przejście między sprawami tego świata. I choć nigdy nie dowiem się, co zawierał zeszytek — od teleskopowych oczu, Ma-ali, Krystyny, nie dowiedziałam się właściwie niczego, a sama Madam nie rozmawiała przecież, zwłaszcza na ten temat — bo jako nie nale-żący do mnie, choć będący niegdyś w moim posiadaniu, został nale-życie i gdzie trzeba zabezpieczony, to chciałam przynajmniej uważnie przyjrzeć się człowiekowi, który wyjeżdża z Warszawy, gdzie podobno miał mieszkanie i pracę, i zachowuje się jak Luter.

Zwolnilam kroku i nawet poprawiłam sznurowadła, a potem uda-lam, że wacham wędzonego kurczaka, jakby mi zniecka, przy schy-laniu się do buta, zaśmierzdziła, ale w obejściu Antona nie drgnęło

nic. Napuchnięte wodą, namiętne, jak wiązy koło sklepu mięsnego, stało sobie nieruchome, swoim napuchniętym spokojem kpilo sobie ze mnie, stało milczące, w milczeniu wiedząc, gdzie będzie nie tylko jutro — jutro, ale i za miliony lat.

Tylko ja niczego nie wiedziałam i było mi wstyd, że przechodzę mimo, że się ruszam, że moja ruchliwość stwarza mi problemy schizofrenika, jak by to określił asystent Wolniewicz.

— Tak by to określił asystent Wolniewicz — powiedział kiedyś Emeryk, kiedy zapytałam go, jak według niego istnieje pierzyna, pod którą śpimy, jutro. — O co ci chodzi? Co za pytanie? Najpierw, gdyby to pytanie poważnie potraktować, trzeba by określić, co to jest czas — Emeryk ścisnął głowę rękami — a w ogóle, to asystent Wolniewicz powiedziałby ci, że są to problemy schizofrenika, tylko mi nie mów, że czasami dziwisz się również, że „ty” to jesteś „ty”.

Wróciłam do domu, cała zdziwiona że „ja” to jestem „ja”. Zawsze ja. Maala stroiła się, jakby miała do dyspozycji służbowy samochód, a nie parę kaloszy, które zostały jej z czasów, kiedy była obserwatorką bydła. Kaloszy, które posłużą jej teraz do przejścia po napuchłej od wilgoci drodze do willi ojca Krystyny.

Wyszliśmy o zmroku. — W końcu ojciec Krystyny, ani ona sama, nie będą robili kanapek dla wszystkich. Trzeba im pomóc w końcu.

Wyszliśmy. Maala w sukience z czerwonej podszewki. Szyla ją całą noc i to było lepsze od szeleszczenia karteluszekami, po których nie wiadomo, czego się można spodziewać. Ja w amerykańskim dżerseju, który podarowała mi matka Emeryka na moje imieniny. Miałam ten dżersej nosić godnie. Matka Emeryka była w nim w Cortina d'Ampezzo, w czasach, kiedy to miasto jeszcze istniało dla wszystkich ludzi, nawet dla Polaków, w czasach, kiedy nie zostało ogrodzone sprawiedliwością paszportową, równością pieniężną i braterstwem w zamknięciu, w czasach, kiedy jeszcze nie było dla Polaków fantomem z zaświatów, bajkową, śnieżną nazwą.

Na sukienkach miałyśmy napuchłe od wodnistego powietrza płaszcze, na głowach wełniane czapki: namiętne, opasujące skronie jak kompresy. Kuśtykałyśmy w gumowych kaloszach: pantofle Maali i moje letnie sandały w torbie. Sylwestrowe podróżniczki, przerażone tym, że za dwadzieścia minut, jak pozwoli błoto, dotrzemy do wielkiego świata. Obie pamiętałyśmy dobrze, ja z bywania, Maala z opowieści, czasy czarnych samochodów, pachnących cygar, kłaniających się w progu bab i paranteli, których by może i nie zniósł żaden porządny Almanach Gotajski, ale które sprawiały, że obok domu Krystyny

przechodziło się jak obok zbójeckiego zamku — tak przynajmniej mówiła Maala, kiedy niegdyś wypadało jej okrążyć szerokim półkołem siedzibę Krystyny, poganiając w pośpiechu pegeerowskie krowy, byłoby niebezpiecznie, gdyby wlażyły w szkodę akurat tutaj. Ci, co Maalę przyjmowali do pracy, tak dbając o jej samopoczucie, jako obserwatorki bydła, mogli równie dobrze z tej pracy ją wyrzucić, jako element nieodpowiedzialny wyniesiony, na tak niewątpliwe klasowo stanowisko.

Opuszczony dom. To było pierwsze wrażenie. Śmieszne, bo opuszczony dom kojarzył mi się zwykle z jesienią, z wichrami, które wymiatają nie wiadomo skąd biorące się papierzyska, z jesiennymi szeleszczącymi liśćmi, z piachem mogilnym. Koło opuszczonego domu nie powinny stać lipy.

W ogóle lipy powinny być tylko w lecie, kiedy kwitną, potem nie powinny nigdzie stać.

Zwłaszcza zimą, w napuchłym, nawilgłym powietrzu. To nie ma sensu: lipa — zimą.

Ucieszyłam się, że nie zobaczyłam tych lip w śniegowych czapach, bo to byłoby jeszcze bardziej bez sensu, tak bez sensu, jak to, że potknęłam się o kamień i pomyślałam, potykam się o jakiś początek świata, o tę epokę wyrzuconą do podręczników archeologii, o której nawet myśli ludzkiej sformułować nie można, o której nie wiadomo, czy naprawdę istniała: taki czas, kiedy oddzielały się wody od lądów, a na lądzie coś w rodzaju pralawy kamieniało w kamień, o który się teraz potykam.

Dobrze, że nigdy nikomu nie zadałam pytania, jak istnieją przedmioty wczoraj, bo to pytanie było trwożliwsze, niechętniejsze ludzkiemu językowi i jego niewinnemu poczuciu trwania, które to trwanie, jak by to określił asystent Wolniewicz, zakłócają jedynie schizofrenicy, pytając o formę istnienia czegoś, co jest kwestią definicji, a nie potykania się o skamieniały na początku świata kamień.

Madam Frankensztajn podobno powiedziała, że czas i przestrzeń to formy ludzkiego strachu. Kant, że to kategorie umysłu: postanowiłam zobaczyć Madam w jej stajni, natychmiast po powrocie i przeczytać Kanta. Może wyjaśni mi się wreszcie absurd potykania się o coś, co nie wiadomo jak istniało ani wczoraj-wczoraj, ani jutro-jutro, bo nie wiadomo, co to jest czas i przestrzeń, czy to jest strach, czy umysłowa zalecanka.

Popatrzyłam na lipy i przyznałam rację literaturze, która zimą je kasuje, nadając rangę wyłącznie drzewom iglastym i krzewom. Popat-



rzyłam na siedzibę, do której prowadziła lipowa aleja: tak, to było opuszczenie przez świat — ten dom nie opuszczony przecież przez mieszkańców, pełen przedmiotów, z ojcem Krystyny stojącym w progu, bez cygara w ustach, bez nabożnie kłaniających się innych bab, innych niż my dwie, Maala i ja; z Krystyną pachnącą francuskimi perfumami, Krystyną stojącą przy ojcu.

Rozjarzone elektrycznym światłem i dodatkowo świeczkami, pachnące choinką, napuchłą od zapachu jabłek — to mieszkanie było opuszczone przez świat.

Ojciec Krystyny zmieniony, nie do poznania, tak jak nie do poznania był pusty podjazd bez jednego samochodu. Jak nie do poznania był fortepian, bez opierającej się o jego kant matki Krystyny, bez mojego wstydu za jej wierszowany bezwstyd.

Krystyna miała na sobie wieczorową toaletę: róż pompejański i sieneńskie złoto. Z podszewkową czerwinią sukni Maali i moim zjadliwym fioletem z cekinami stworzyliśmy kolorowy trójkąt tak niemożliwy dla oczu, że przymrużyłam je, jak w pokoju, w którym za dużo papierosowego dymu. Powieki zapiekły nie tylko mnie. Ojciec Krystyny zaproponował na początek otworenie okna na oścież. — Co ty, tata — roześmiała się Krystyna i zaczęła, uspokajając nas rękoma, że wszystko przygotowane, trzeba tylko parę zakąsek, opowiadać o swoim pierwszym mężu, człowieku nie do wytrzymania, który też tak namiętnie wietrzył, i to nie była jego jedyna wada, na przykład bez przerwy, wietrząc narzekał, że zabrano mu z życiorysu sześć lat życia, z czego trzy latał z naganem po okolicznych wsiach, namawiając tym naganem chłopów do dobrowolnego wstąpienia do spółdzielni produkcyjnych. A trzy przesiedział w warszawskiej centrali bez naganu, bo centrala miała lepsze, niż nagan, zabezpieczenia. A potem przyszedł październik. A potem musiała się na niego natknąć Krystyna, zresztą tu, w tym ojcowskim mieszkaniu. Sama nie wie, co ją do niego pociągnęło, może właśnie te brakujące mu sześć lat. — Sama wiesz, jaka w swoim czasie byłam. — Obejrzałam się nerwowo na ścianę, na której powinny były wisieć dwie skrzyżowane szable, jedna z nich jak przygważdżający do ziemi promyczek słońca, ale szabel nie było, nie było też portretu Lenina, nie został po nim nawet jaśniejszy, otoczony ciemną obwódka, prostokąt. Ściany były pomalowane na pstry groszek, a poza tym były nagie, gołe, nie reprezentowały niczego, Almanach Gotajski byłby zdziwiony, widząc tę skromną pustkę.

— Ale — kończyła Krystyna, zapalając papierosa i zapraszając mnie, bym zajęła miejsce — przejrzałam wreszcie na oczy i zwyczajnie na niego naplułam, opowiadałam ci zresztą o tym nie raz. Pamię-

tasz te żalne płacze byłych stalinowców z naganami i bez, co mogłam innego zrobić z jednym z nich, jak nie zwyczajnie napluć i pójść.

Zatrwożyłam się o tego przyszłego męża, tego ze śródziemnomorskimi oczami, który się śmiał, śmiał, aż się zakochał i teraz będzie brał ślub, nie znając Krystyny, jej manii płucia, strzelania, fascynowania się i wariackiej nienawiści. Ciekawe, że rzucanie nożem niczego mu nie powiedziało, przed niczym nie ostrzegło, wywołało tylko pusty śmiech, jeszcze nie wie, co go czeka. Krystyna opowiadała, że ci Włosi, to śmieszny naród, każdy, mimo zakazu trzyma w domu jakąś broń, na przykład rodzice jej włoskiego, czwartego przyszłego męża, mają w piwnicy, jak kartofle, bomby na wszelki wypadek. Na przykład na wypadek ponownego rozbicia Włoch na miasta — państewka, o czym wszyscy tam marzą. — Oni nie mają żadnego poczucia narodowego, Garibaldi jest im nienawistny i tylko w Polsce lata po podręcznikach za wielkiego bohatera narodowego. Wspólnota narodowa Włochów jest krótka jak jeden wspólny popołudniowy posiłek, żaden z nich nie powie ci, jestem Włochem, ale: jestem Sardem, Wenecjaninem, Sieneńczykiem i tak dalej, pomyśl tylko.

Maala z ojcem Krystyny wyszła do kuchni. — No i dobrze — powiedziała Krystyna — bo ja już dostaję kolki nerwowej, nie wiem, co się ojcu stało. Nie mogłam zwyczajnej wigilii przygotować, bo chodził za mną w odległości metra, za plecami, i mówił równym, nawet o ton nie podniesionym głosem: ten garnek nie jest do gołąbków, a w tym się nie gotuje grzybów, ten nóż nie jest do skrobienia ryby, a ten nie jest do marchewki, każda jarzyna ma swój nóż. Zupełnie jakby jarzyny to były piłkarskie teamy, z których każda ma swojego trenera. Dostanie się w kuchni pani Maali, zaraz się zacznie: tak się nie kroi chleba na kanapki i nie tym nożem napoczyzna się kiszony ogórek, a jak się go już napoczyzna, to na pewno, z całą kartezyjańską jasnością i oczywistością, nie z tego końca.

Napiłyśmy się żytnej wódki, jeden za drugim, trzy kieliszki, żeby zdążyć przed wkroczeniem do pokoju tamtych dwojga, ukrytych w kuchni, z których jedno mówi drugiemu z całą kartezyjańską oczywistością i jasnością. Jeszcze nie pozwolą, jeszcze powiedzą: wódka nie dla pań, wódka dla pana domu i to tylko dlatego, że wino szkodzi mu na wątrobę.

Wypiliśmy tak, jak śpieszący się do pracy urzędnicy piją w przydrożnych krzakach. Raz, dwa i trzy. Zrobiło mi się jasno przed oczami, nawet zapomniałam zatęsknić do zapachu jaśminu, a Fela zaczęła mi się wydawać czymś tak komicznym, że raz po raz wybuchałam śmiechem, chociaż właśnie do niej szłam w tej oslepiającej jasności. Wysz-

łam z nawilgłego, napuchniętego deszczami świata i szłam prosto, sztywno stawiając stopy, przez oślepiające światło, ku Feli, której suknia jarzyła się pompejańskim różowym pyłem z wybuchłego przed chwilę Wezuwiusza i starym, zachodzącym słońcem z innego miasta, którego nazwy zapomniałam, choć miałam je na końcu języka, jak imię tej wrośniętej w Antonową stajnię, szkolnej koleżanki.

Fela podała mi kolejny kieliszek wódki. Wódka eksplodowała mi w żołądkuwłoskimi bombami składowanymi w piwnicy jak kartofle. Zapadłam w czern, usłyszałam jeszcze głos Maali: — Co jej się stało? Na litość boską, przecież nie było nas najwyżej pół godziny. To może serce!

Ale to nie było serce: ocknąłam się z zacisznego, pijackiego omamienia, żeby po ilustamnstu minutach straszliwych żołądkowych męczarni w łazience na tyle dojść do siebie, by powitać razem ze wszystkimi Nowy Rok.

Zjadłam kanapkę, wypilam, znowu prawie trzeźwa, kieliszek wódki, wysłuchałam noworocznego przemówienia Gierka, podejrzewając wszystkich o spisek i o to, że są pijani. Gierek również. Tak jakoś zamazywał się na ekranie telewizora. Raz był, raz go nie było, głos słychać, osoby nie widać. Podłoga zresztą też falowała a żyrandol opuszczał się i podnosił, jak na gumowej lince jo-jo.

Krystyny jakby wcale nie było, a tych dwoje: Maala i ojciec szepotało w pulsujących ciemnościach.

Z tego szeptu wynikało, że Gierek pieprzy, jak pieprzył Gomula, i jak pieprzyć będą inni, aż do skończenia świata, ratunku nie ma, a babunia Lu pisała powieści, to wspaniale, wspaniale.

— Rodzinnej tradycji stanie się zadość — to mówi ojciec Krystyny. — Wspaniale, wspaniale. Z Maalą u boku.

Z Maalą, która również, by dorównać rodzinnej tradycji, pisze powieści, jak babunia Lu.

Z Maalą, która straszy po nocach szeleszczącymi karteluszkami i człowiek nie wie, co rano zastanie. Może jakiś nakaz eksmisji. Zaczynający się od „obywatelko, uprzejmie zawiadamia się niniejszym”.

Tak więc tradycja zostanie zachowana, co jak co, ale tradycja w narodzie nie ginie. Najpierw były czarne samochody i wiersze wyszeptywane gruźliczym głosem kobiety opartej o fortepian, teraz będzie literacka sława Maali. Przywołać nią będzie można nowych bonzów w polskich warszawach, w czeskich skodach, w niemieckich trabantach, z ukrytymi pod skromną karoserią, silnikami renaulta. Nowe cygara. A shardziale co nieco lubachowskie baby, baby z tele-

wizorami, baby z synami na uniwersytetach, zaczną od nowa klaniać się na progu. Z nowym cygarem w ustach będzie można zacząć: do mnie Ignęło zawsze to co nietypowe. Tylko portretu Lenina ani Sapichy już się nie powiesi: było, nie jest, nie ten rejestr. Ale przydałby się jakiś nowy przodek, początek jakiegoś nowego serialu. — Czy prócz kufra zachował się jakiś portret babuni Lu?

Zachował się: malowałam go na lapu-capu, nie dbając o kolejność schnięcia farb ani o uprzednie, klasyczne, lawowania.

Maali się śpieszyło. Nie można było zawieść ojca Krystyny. Powie mu się, że świeżość płótna jest konsekwencją pieczołowitego, pietystycznego konserwowania; ma się przecież kogoś w rodzinie, kto studiował na ASP.

Maali nawet bardzo się śpieszyło. Ślub z ojcem Krystyny miał się odbyć najpóźniej za półtora miesiąca. Ale już teraz Maala w pośpiechu opuściła antypody, miała się gdzie śpieszyć.

Wreszcie będzie miała prawdziwą córkę, co do której pochodzenia, choćby nie wiem jak miały z tego powodu cierpieć Almanachy Gotajskie, nie było najmniejszej wątpliwości.

Tej córki nikt nie przyniósł w zębach. Jej matka nie była wojennym fantomem, tylko leżała pogrzebana na leśnobrzeskim cmentarzu przykryta płytą nagrobną z datą urodzenia i śmierci.

Tej córki ojciec nie miał jednej krótszej nogi, nie był dziesięć, ani dwadzieścia lat młodszy, nie wspominał wszy, ani Herlinga-Grudzińskiego, nie kochał się w żadnej Francuzicy.

Krystyna nie zadawała pytań i nie chciała się urodzić za dziesięć lat z żadną krową, po głupiemu.

Krystyna była zawsze żywa i cała, prestidigitatorka, zamieniająca szablę utkwioną obok cudzej głowy w promyki słońca.

Krystyna pluła, strzelała, rzucała nożami i jeszcze dożyjemy jak podłoży bombę. Pachniała perfumami, znała trzy języki i wyjeżdżała do Włoch w ogóle, a teraz, niedługo, do Warszawy, żeby dopiąć sprawę ze ślubem na ostatni guzik. Mieszkanie miała w Warszawie załatwione u pewnej wariatki, którą poznała we Włoszech.

Babunia Lu otrzymała rysy Madam Frankensztajn.

Nie tej Frankensztajn, której nie pamiętałam prawie ze szkoły. Nie tej, również z rysów nie zapamiętanej, wrośniętej w śmietniko nad Zatopionym Jeziolem. Ale tej, którą zobaczyłam na trzeci dzień po Sylwestrze. A właściwie na trzecią noc, bo do stajni Antona podkrađłam się wieczorem, niby to idąc na spacer wolnym krokiem. Kro-

kiem człowieka dorosłego, samodzielnego, dekoratora wystaw, zmęczonego nawałem pracy przed świętami, a to ustrój choinką sklep warzywniczy, a to zawiesz bombki w piekarni, a to daj temu wszystkiemu, co wiąże się ze świętami Bożego Narodzenia i Nowym Rokiem akcent świecki, jeżeli już nie można inaczej, to przynajmniej ludowy, maluj, skrob, przypinaj, napinaj, wycinaj i kłóć się w właścicielami, nie tylko przed świętami, ale nawet po Nowym Roku, właśnie wtedy, kiedy opuszcza cię, już na drugi dzień po osobistym poznaniu go, matka dla wdowca, do którego zawsze Ignęło wszystko nietypowe, dla wdowca o takich parantelach, że Almanach Gotajski mógłby zachorować na ostrą nerwową wysypkę. Matka, choćby tak naprawdę twoją matką nigdy nie była, to zawsze jest smutne i niewłaściwie, kiedy opuszcza cię matka.

Bo po ludzku właściwy jest mechanizm odwrotny — to ty opuszczasz matkę, choćby nieprawdziwą.

To ja powinnam zabrać swoje tobołki, to znaczy jeden niewielki tobolek — dżersejową, fioletową sukienkę z Cortina d'Ampezzo, sztalugi, kilka szkiców, Leśny Brzeg nocą, Leśny Brzeg rankiem, kominy, kominy, kominy i zdziczałe, poniemieckie śliwy w ogródkach działkowych, konie malarza Jamuły, strzały Zenona z Elei — i odejść i nie nasłuchiwać żadnych szeleszczących karteluszków.

Ziemia zrobiła się płaska. Nie było już żadnych antypodów.

Nie było również poniemieckiego kufra.

Wyciągnęłam kozetkę spod zlewu, przesunęłam na środek kuchni, chcąc przepchnąć ją do pokoju Maali, ale opadło mnie zniechęcenie.

Nie musiałam już wychodzić do ubikacji. Mogłam w dwu pomieszczeniach myśleć sobie do woli.

Stary Możdżeń niewątpliwie wyleczy się teraz z nerwicy. Może zacznie sobie teraz spokojnie oglądać telewizyjne światła odbicie zamiast siedzieć i czyhać na to, kiedy wyjdę i zahaczę od wewnątrz klozetu drzwi: kurwa pani mać, panno Maryniu.

Zatem, niby to wolno poszłam na spacer, spacerowym krokiem człowieka zmęczonego, a w rzeczywistości cała wewnętrznie spięta, cała nastawiona na podkradanie się i podglądanie, z oczami niby utkzionymi w przestrzeń, w fioletowy opar znad czarnej, przepelnionej ściekami, nigdy nie zamarzającej, leśnobrzeskiej rzeki.

Stajnia była wpół otwarta, jakby specjalnie dla kogoś, kto się skrada i podgląda. Przynajmniej tego oszczędzono podglądaczowi: wspinał się na palcach i przykładania przekrwionego oka do szczeliny między zmurszałymi deskami.

— A więc to tak — pomyślałam, patrząc, niby nie patrząc, ale podchodząc na tyle blisko, by widzieć.

— A więc to tak.

Madam Frankensztajn rzeczywiście leżała na miejscu ostatniej nieodżałowanej klaczy Antona, ale leżała na łóżku przykrytym koldrą. A Anton klęczał obok, stary i bezzębny i podawał Madam parujące mleko w kubku.

— A więc to tak. Niby wszystko jest konsumpcją, więc nie konsumujemy niczego, ale ona je, pije. Niby milczeć i nie pracować, ale mleczko smakuje i Antonowi na pytania się odpowiada. Niby wyrwać się z tego świata, z tej ziemi, wyrwać się z duszą i ciałem, żywemu, nie zmarlemu, niby wyrwać jakiś korytarz bezkonsumpcyjny, ale kolderka ciepła jest. A więc to tak.

Ale tak na dobre, mimo jakiejś takiej nienawistnej werbalizacji nie wiedziałam, co „a więc to tak”. Skąd i do kogo bierze się we mnie nienawiść śmierzcząca jak leśnobrzeskie ścieki. Do tego mleka? Do tej koldry? Tak naprawdę, co „więc to tak”?

Wróciłam do domu właściwie na palcach, choć stukot moich ciężkich, pożyczonych na zimę od malarza Jamuły, buciorów, słychać byłoby na antypodach, gdyby te jeszcze istniały, gdyby na nich przebywała jeszcze Maala, ale nie przebywała.

W mieszkaniu śmierzdziało pośpieszną samotnością, terpentyną, kozetką wyciągniętą spod zlewu i stojącym pośrodku kuchni, napiętym, zagruntowanym stolarskim klejem, płótnem, na którym miał powstać portret babuni Lu, portret który się zachował.

Nie minęło i dwa tygodnie od Sylwestra a okazało się, że babunia Lu była wyłącznie babunią Maali. Ze mną babunia Lu nie miała nigdy nic wspólnego, ona nie stawiała mojej kołyski nigdzie, ni to tu, ni to tam, a zwłaszcza nie w komnacie von Plessów, do których nie mam żadnego prawa, co za wymagania. Babunia Lu była uczciwą szlachcianką, panie świeć nad jej duszą. Żydzi mówią — dusza jej w raju — i to jest właściwsze określenie, a przynajmniej bardziej odpowiadające właściwemu stanowi rzeczy.

Zatem babunia Lu była uczciwą szlachcianką i pisała powieści, które musiała ku swojej udręce palić, bo w owych czasach nie była do pogodzenia kobieca uczciwość z zawodem pisarza. Teraz też jest nie do pogodzenia, ale tym razem nie tylko kobieca, ale żadna uczciwość z żadnym zawodem i Maala nie będzie kontynuatorką rodzinnej tradycji, chyba że w tym względzie, że co napisze, to spali, jeżeli ma jeszcze żyć. A jeżeliby miała drukować, to co się drukuje, to raczej sama



spalilaby się ze wstydu. Ona woli uczyć się, znaczy kontynuować naukę gry na fortepianie.

Madam Frankensztajn uśmiechała się z portretu jako babunia Lu krzywo i posępnie. Malowałem tę posępność w oblędzie równym oblędowi Foux Rouge z Arles.

Babunia Lu zaistniała na portrecie blada, szczupła i miała zaczerwienione, płonące, oblędne oczy. Sukienkę dodałam później. Taką, jaką zamierzała sobie uszyć Madam.

Mimo mrozu i skamieniałej, strupieszalej ziemi, w pośmiertnym stężeniu wyciągającej ku niskiemu niebu posztywniałe, powykęcane konary drzew, drzwi do stajni Antona stały znowu współtworem. Właściwie szparą. Co wieczór, przez krótką chwilę, mogłam się natrzeć do woli na Madam i odpocząć od tego patrzenia, wracając do domu na palcach. Zastanawiałam się, co Madam z taką gorliwością wyszywa, czy przyszywa.

Aż pojęłam: była to długa, biała suknia, uszyta chyba z prześcieradła, do którego ta kobieta, przylepiająca do pomników swoje tezy, przyszywała jeden koło drugiego, koraliczki i guziki.

Jeden koło drugiego, do opętania.

Portret babuni Lu wykończyłam i oddałam. Zniknął.

Na środku kuchni została kozetka.

Zostało mi chodzenie na palcach. Przestałam chodzić do pracy. Przestałam dekorować wystawy — nie mogłam już tego robić. Nie mogłam przecież dekorować wystaw, chodząc na palcach. Taki chód nadawał się wyłącznie do bibliotek, więc zaczęłam chodzić do bibliotek. Tylko, że nie wiadomo właściwie po co. Nikt nie wiedział, żadna bibliotekarka, gdzie można przeczytać Lao Tse, czy o kwietyzmie. Odesłano mnie do Encyklopedii. Niewiele się z niej dowiedziałam, tyle że kwietyzm, to jest subtelna herezja, zupełnie jakbym słyszała Krystynę.

— A w taoistycznym świecie, podobno, człowiek nie powinien ingerować w naturalny porządek rzeczy, bo kto usiłuje to robić, czyli podporządkować świat swoim osobistym interesom, poniesie nieuchronne fiasko.

Za Kanta się nie wzięłam.

— No i co? Nie rozumiesz? — zapytała Krystyna. Przyszła pocałować przyrodnią siostrę przed wyjazdem do Warszawy.

— Co się nad tym wszystkim tak zastanawiasz. Jeżeli przeczytałaś, że tao jest naturalnym prawem rzeczy, że tao wraz z substancją stanowi podstawę świata, to jasne, że dzięki tao następują zmiany,

a każda ingerencja człowieka, jeżeli jest możliwa, jest wroga i deprawująca, czyli praca i cywilizacyjne zapędy człowieka do lamusa, oto kwintesencja twojego Lao. Zresztą, żeby coś naprawdę orzec, trzeba by tego Lao Tse przeczytać w całości, a nie tak, jedno zdanie z czegoś tam, co się nazywa Encyklopedia polska. A jeżeli chodzi o tę twoją Madam Luter-Frankensztajn, to ja wiem mniej więcej, dlaczego ona milczy, i jak to określasz, wrasta w śmietniki i cudze stajnie. Rozmawiałam na jej temat z Mamą Alą.

No i zaczęło się. Mało, że do Maali mówi się już „mamo Alu”, to jeszcze trzeba polknąć następujący monolog: systemy, systemy, te wszystkie filozoficzne systemy. I naukowe systemy. Wszystko można udowodnić i wszystko obalić. I to, że istnieje materia, substancja, Bóg, i to że nie ma niczego. Pułapką jest każde pojęcie, zwłaszcza czasu i przestrzeni. Albo wszystko jest i trwa od początku, którego nie ma, albo niczego nie ma i nie trwa. Nawet my, myślące trzciniki, postrzegające trzciniki, nie istniejemy. Albo nie, albo i koza i owca i porzeczka i granat. Wybuch. Eksplozja. Albo cisza, absolut. Absolutne dno. Zatem wszystko, co robimy, myślimy, ujmujemy w logiczne, konkretne systemy, to tylko penetracja pola zmęczonej ludzkiej wyobraźni. Logika i koherencja, to jej granice. Żaden system filozoficzny nie dotyka tego, co naprawdę jest, ani temu, co naprawdę jest, a o czym nie umiemy w żaden sposób ani się przekonać, ani tego wyrazić, nie przeczy. Systemy obalają systemy, puste słowa puste słowa. To, co nieudolnie nazywamy rzeczywistością, to, co nieudolnie próbujemy złapać w pole widzenia naszej zmęczonej wyobraźni, leży poza tej wyobraźni granicami. Zagranicą. Poza systemami. Jesteśmy otoczeni zasłoną gumową, jednorodną, rozciągliwą myślą, którą można tarmosić do woli słowami, nie pęknie, czasami tylko na tyle się rozciągnie, że prześwieci przez nią Tajemnica Bytu. Udało nam się, jak do tej pory, zatimizować coś, o czym nie wiemy, czy istnieje — materię. Rozłupano atom, stał się grzybiastą eksplozją, nowoczesną muzyką sfer. A gdyby tak spróbować rozłupać atom myśli, zatimizować myśl i ją rozłupać? Spowodować eksplozję kokonu? Może wtedy odsłoniłaby się przed nami nowa jakość, ten świat, w którym naprawdę przebywa Bóg i gdzie od tej pory przebywałby jeden doskonały człowiek, człowiek składający się z trzech elementów. Człowiek — nie tylko mężczyzna, nie tylko kobieta i ich zwyrodniałe pochodne, nie tylko ciało, nie tylko duch, ale to trzecie, coś, co daje boską równowagę.

— Czy rozumiesz, dlaczego ona milczy? Ta nasza szkolna koleżanka? Bo pojęła, że zatimizować myśl można jedynie przez milczenie.

Milczeć i nie pracować, bo każda praca pociąga za sobą i pcha przed sobą dyskursywne myślenie. I nie ubierać się w cnoty, te pigułki, jak ona to nazywa, odwanające. I nie kochać, bo miłość zamazuje ścieżki do bytu. Siedzieć, wrastać i czekać na rozpęknięcie powłoki. Nie naciągać słowami myśli i tak dalej. I tak w kółko.

Krystyna to sobie wszystko doskonale wyobraża, ale nie ma tego swojego wyobrażenia w cenie. Krystynę przerażają nawet, mimo iż potrafi je zwerbalizować, to znaczy zrozumieć, te wszystkie pomysły filozoficzno-praktyczne, manipulujące na pograniczu człowiek — Bóg.

W czasie, jaki został nam dany, kiedy żyje się w podległym, poległym, biednym państwie, wszystkie te trele morele, łącznie z wrastaniem w śmietniki i cudze stajnie, mogą stać się młynem na polityczną wodę tych, którzy stoją i manipulują na styku człowiek — państwo, bardzo konkretne państwo. Dla tych tam na górze, gdzie kwitną gwiazdy i róże, a na dole nie mogą nawet wzejść fiołki. Dla których milczenie manipulowanych ludzi jest podstawą ich rozgadanej egzystencji. Którzy zmęczenie swoich poddanych, zależnie od okoliczności, zamieniają na sabotaż, albo ojcowskie napomnienia.

Ja niech robię, co mi się żywnie podoba. Podoba mi się latanie po bibliotekach i podglądanie czyjejsz szalonej egzystencji, może nawet w pewnym sensie twórczej, to niech sobie latam i podglądam.

Ale jej, Krystyny, to nie nie obchodzi. Każdy artysta jest bratem zbrodniarza i szaleńca, i ona ma tego dosyć. Po dziurki w nosie, tak jak swojego pierwszego narzeczonego, artysty, który.

Przestałam słuchać. To nie było fair. Cytowanie należało do mnie i do Maali. To zdanie z Manna o artystach leżało sobie na honorowym miejscu w moim neseserze. To nie było fair — sięgnąć bezceremonialnie do cudzego neseseru i przywłaszczyć sobie to, co się przywłaszczającemu nie należy, tak jak nie należała się mu Maala, zwłaszcza taka skora do rozmów, do całonocnych dyskusji. Z Krystyną żadnego tam „co?”. Żadnych dwa razy powtarzanych zdań, żadnego polerowania, czyszczenia, oddalania się.

Usłyszałam: powinnaś zająć się czymś, dosyć tego dekorowania wystaw, masz przecież studia, czemu nie malujesz? Powinnaś zacząć wreszcie na dobre. Mieć jakieś kontakty, towarzystwo, powinnaś kupić sobie samochód, to nietrudno, postaraj się o malowanie wnętrza statków handlowych. Kupiłabyś sobie samochód, nałożyłabyś szeroki kapelusz, zapaliła papierosa i powolutku pojechała, aparat fotograficzny na szyi, koszyk z jedzeniem na tylnym siedzeniu i koniec z glu-

pimi myślami. Do roli wodza ani wyzwoliciela narodu przecież się nie nadaje według Krystyny, a ona wie, co mówi.

— No, ale a propos samochodu. — Krystyna ma nadzieję, że uda się jej w Warszawie, przed wyjazdem, znaleźć model kabrioletu o sprychowych kołach sprzed trzydziestego piątego roku. Kupić talerze z Włocławka i lunetę. Zapytać, jak się załatwia kanadyjską wizę. Sprawdzić, czy nie sprzedają czerwonych kanarków. Sprawdzić, ile kosztuje namiot z pokojem i przedpokojem.

To też nie było fair. Przyjść sobie niby to z siostrzanym pocałunkiem, nie z żadną tam szablą u boku, usiąść i gadać o milczeniu, czerwonych kanarkach i sprychowych kabrioletach, wygłaszać monolog, z których wynika, że kobieta ze stajni Antona jest zbrodniarzem albo szaleńcem.

To nie było fair: mówić to wszystko człowiekowi, który się przestraszył czegoś, zagubił i przestał wierzyć w to swoje zaistnienie u źródła, skąd tryska woda życia i poznania, po stronie Drübenmann, kto zaczął się bać, że oni go jeszcze, nie dziś, to jutro dopadną, pasami z niego skórę zaczną drzeć, język zaczną wyrwać, może nawet rozstrzelają. Oni. Komuś, kto chciał znaleźć ratunek dla swojego śmiertelnego nieurodzenia w kontakcie z tym wrośniętym w stajnię koniem karmionym gorącym mlekiem, z koniem, który się nie boi ani tych z teleskopowymi oczami ani nawet żywotności Krystyny.

Krystyna wyszła. — Pa, pa. Przyjeżdż do Warszawy zanim ja wyjadę.

Zostałam sama jeszcze bardziej zdumiona, jeszcze bardziej niczego niepewna, nie czująca prawie od tego chodzenia na palcach, nóg. Cicho, pusto, ciemno, wilgotno. Na dworze również. Trupie stężenie przeszło ziemi. Odtajała. Zmiękła. Na powrót napuchła wilgocią.

Usiadłam na kozetce i sama nie zauważyłam, kiedy zasnęłam. Za to aż za dobrze wiedziałam w jakiej minucie się obudziłam.

Kilka dni temu wykopano w nocy stare więzy sprzed rzeźniczego sklepu. Ten, który w kolejkach lubił stawać, siadać i mówić, powiedział: — Oto stoimy nad grobem Ojczyzny. — I przysunął się do wykopów po więzach.

Gdyby dane mu było, w chwili mojego obudzenia, stanąć nade mną, powiedziałby zapewne o mnie: — Oto stoimy przed zagładą ludzkości. Nastal czas potopu.

Ale jego tu nie było, był za to stary Moździeń łomoczący do drzwi: — Panno Maryniu, ze sracza na korytarz gównu wali strugą.

Moździeń nie obwieścił potopu, ale pozwolił mi na zidentyfikowa-

nie ryku za oknami, jako ulewy, może trochę zbyt gwałtownej, ale jednak ulewy, o której od drugiej po południu zrobiło się czarno na świecie, tak czarno, że w pierwszej chwili pomyślałam żółądkiem, bo na pewno nie myślą, że to zaczęła się wojna, że szare niskie niebo stało się jeszcze niższe od samolotów, których przeciągły jęk wieści mi teraz zagładę, obojętnie czy jestem, czy nie jestem urodzona.

Ten ryk, ten jęk, niskie czarne niebo — to była ulewa.

Wysłałam na śmierdzący od przelewającego się szamba korytarz. Był tam już Karwacki, a przy nim jakiś mały, utylany kot.

— Chowa się zwierzyzna niewiadomego pochodzenia, na zle to wróży, żeby na początku lutego stało się oberwanie chmury.

Nieczystości gulgotały, cuchnęły, przybywało ich. Kot dygotał.

Luty i ulewa. Nie pasowało to do niczego, chyba tylko rzeczywistości do wróżb o końcu świata, który nie wybiera pory.

Na początku lutego powinien być mróz. Okutane dzieci powinny o drugiej po południu zjeżdżać z góry sankami, a ich rodzice powinni — żeby obrazek nie był zbyt lukrowaty, taki szczęśliwy, słoneczny i niepolski — stać o tej porze w kolejce pod sklepem, sprzed którego wykopano wiąz. A ten, co staje, siedzi, zawiadamia, mówi i wieszczy, powinien tych stojących w kolejce rozweselać, tupiąc po śniegu dla rozgrzewki: — Patrzajcie ludzie, jak to jest w sklepach Peerelu, zupełnie jak w siedzibie Oenzetu: potrzebujący, chcący, pracujący i dający. Krzyk, hałas. Od czasu do czasu przemówienie w obcym urzędowym języku — łacina vulgata. No i obserwatorzy. Stoją, patrzą, kalkulują, czy im się opłaci stać po ten towar do usranej śmierci.

— Ludzie — zachrypiał Karwacki, bo Możdżeń stał i patrzył tylko osłupiony — też to wygląda jak, jak...

— Jak ziszczenie apokaliptycznych przypowieści — dał się słyszeć głos z góry i zobaczyliśmy malarza Jamulę. Powiedział: — Chodźcie do mnie, na pierwsze piętro się nie nie wleje, nawet przy takim nie-normalnym oberwaniu chmury.

Ryk na zewnątrz — nie żadne tam junkersy, meserszmity ani żadne kukuruźniki, nie żadne dzikie krowy w ochronnych mundurach nie tylko koloru feldgrau — ale oberwanie chmury w lutym.

Pobiegłam do mieszkania, jakbym miała z niego rzeczywistość co wynosić. Złapałam sukienkę z fioletowego dżerseju, te konie zawieszane nad przepaścią i pobiegłam do malarza Jamuły.

Za mną przyszedł Karwacki z paczką pełną starego chleba i walizką pełną nie wiadomo czego. A potem Możdżeń cały utylany gównami, które zaczęły się wlewać mu do mieszkania w chwili, kiedy mocował się z wynoszonym telewizorem.

Zaczął się myć. W piecu się paliło. Patrzyliśmy na siebie i nie wiedzieliśmy, co robić. Patrzyliśmy też na kota i na piec, nasłuchując tego tam na zewnątrz, które zniemacka przestało. Deprymujące uczucie — tyle hałasu o nic.

Poczuliśmy się oszukani przez żywioły: trochę śmierdzącego szamba, cuchnący obcy kot i telewizor zostawiony w strudze gówna na korytarzu. To miałoby być wszystko?

Malarz Jamuła otworzył okno, żeby się przekonać. I wtedy uderzyła w naszą kamienicę ściana wiatru, odrzuciła nas od otworzonego okna. Zawyło, zadrzętało, w kuchni zawirowało nie wiadomo czym, pękła szyba.

— Zrywa dach — krzyknął Karwacki, a ja zdziwiłam się, dlaczego jest z nami, skoro mieszka na pierwszym piętrze, dlaczego wtachał tu walizę i ten stary chleb, mógł przecież zostać u siebie i troszczyć się tam o te swoje gołębie, którym teraz zrywa dach.

Malarzowi Jamule udało się zatkać okno pierzyną — taki powrót do bieszczadzkiego, wydrążonego w glinie, pod stodołą, schronu.

Zgasło światło, nastała ciemność, za pierzyną głucho stękało, a potem rozryczało się równomiernie. Deszcz. Kot się schował, zaczęliśmy się modlić. Światło nie wracało, telefonu w naszej kamienicy nigdy nie było, zostaliśmy odcięci od świata, dziwne tylko, że poziom gówna na korytarzu był ciągle ten sam. Karwacki zdawał nam sprawę mierząc ten poziom długą listwą do oprawiania obrazów.

— Nie podnosi się zaraza — mówił i odkładał tykę nie myjąc jej. — Ale też i nie opada. Wasze mieszkania zalane, ale tylko chyba tak do kostki, to się wyczyści — pocieszał.

O północy z kranu przestała ciec woda.

Deszcz przestał padać po trzech dniach, które były bezustanną nocą, nie ryczącą, nie łamiącą drzewa, nie wypychającą do mieszkania pierzynę, ale monotonicznie szeleszczącą jak szarańcza.

Karwacki z Możdżeniem dostali jakiejś dyzenterii i stękali w kuchni nad słóikami po dżemach, wyrzucanych potem przez okno, które otwieraliśmy bez strachu: było nam wszystko jedno.

Nigdy nie wyobrażałam sobie siebie w podobnych okolicznościach. Pierwszego dnia myślałam, że nastał czas przemyśleń ostatecznych, jakiegoś obrachunku sumienia, a okazało się rychło, że owszem, nastał czas, ale zastanawiania się, jak zdobyć wodę zdatną do picia i jak uspokoić kota, który dostał hysterii. Potem, jak z deszczówki i starego chleba Karwackiego zrobić supę. Jak podzielić makaron



i kaszę. Jak odseparować Karwackiego od Możdżenia, którym zabrakło słoików i gazet do podcierania. I to było właściwie wszystko.

Kiedy przestał padać deszcz i kiedy przez mgłę zaświeciło słońce Karwackiemu wpadł do głowy pomysł, że wypuści gołębie w świat, a przy każdym gołębiu karteczka z wołaniem o pomoc.

Po ulicy chodzić nie było można, to było pewne. Czarna Rzeka, leśnobrzezski koksowniczy ściek, wylała, i trudno było się dopatrzyć w rwącym, pełnym smarów i kopalnianej zawiesiny potoku czegoś ludzkiego, co możnaby było oblaskawić.

Łódź nie mieliśmy przecież. Nad dzielnicą zaczął krążyć helikopter, a kobiety z naprzeciwległej kamienicy zaczęły do nas wołać – ratunku.

Kiedy można już było wyjść, kiedy woda na tyle opadła, zupełnie jakby z nieba pojawiła się na ulicy milicja na koniach, które człapały w zamarzającej teraz mazi, i okazało się, że prawdą jest to, co usłyszeliśmy, nie dając temu wiary, że w rwącym potoku zginął Anton.

Podobno niosło go z rozcapierzonymi rękami. Zawadzał nie wiadomo o co. Ci z przeciwległej kamienicy przysięgali, że wessało go głową naprzód w tę obokległą fabryczkę części zamiennych do traktorów, której żelazne wrota rozwarły się właśnie w tym momencie, jak dopływał do nich.

Ponure, milicyjne patrole. Wyciągnięto trupa Antona z fabryki i rozstawiono czujki przed sklepami. Światła ani wody nie było nadal. I dopiero na szósty dzień zawyły syreny i pod eskortą mundurową przywieziono cysterny z wodą i chlebem.

Zmobilizowano nas pod odpowiedzialnością sądową do czyszczenia mieszkań, podwórek i ulicy.

Pojawiły się ekipy ubrane na białe – zastrzyki przeciw durowi brzuszemu.

Zaświeciło słońce. Możdżenia zabrano do szpitala, a ja z kotem, który przyłgnał do mnie, zeszałam do zaskorupiałego od fekalii własnego mieszkania.

Kiedy zabłysnął ekran telewizora Możdżenia, doprowadzony do porządku przez Karwackiego, okazało się, że byliśmy odcięci naprawdę od świata, że ogłoszono dla nas alarm powodziowy, że przestały działać telefony, że do naszego miasta nie było wjazdów, nie było też wyjazdów z niego, ofiar zaś śmiertelnych, licząc Antona, było tylko pięć.

Maż na ulicy, która stała się na powrót ulicą, zastygła, stężała. Mroźne lutowe powietrze chroniło nas od zarazy.

Maala czuła się wyśmienicie – willa ojca Krystyny zaopatrzona

była w jedzenie, miała studnię na podwórzu gospodarczym a poza tym stała przecież daleko od miasta zagłady z jego rzeką.

Krystyna wreszcie zatelefonowała do ojca, że udało się jej wsiąść szczęśliwie do ostatniego pociągu, który odszedł z Leśnego Brzegu jeszcze pierwszego dnia potopu i że wszystko jest „o key”. Mężczyźni z połyskliwymi śródziemnomorskimi oczami, bomby składowane po włoskich domach stoją przed nią otworem, niedługo, a odleci.

Byłam zmęczona i marzył mi się kawałek normalnego świata, jakiś taki zakątek na ziemi, gdzie kozetki nie stoją na środku kuchni na zaskorupiałej, śmierdzącej podłodze.

Taki kąt mogłam znaleźć u Maali i dlatego tam poszłam, ale to nie była Maala, ta pani w loczkach i z czerwonymi paznokciami, z metronomem na fortepianie, wpatrzona w portret babuni Lu. Pani, która zaczęła do mnie mówić: „Moja droga”, „moja droga przyjaciółko”, pani, która Krystynę nazwała „córęnką”.

Malarza Jamuły też miałam dosyć. Te jego wykłady monograficzne, które wygłaszał w czas potopu przejadły mi się. Wtedy musiałam ich słuchać nawet w pewnym sensie zadowolona, że zagłuszają stękania dwu pozostałych mężczyzn przykucniętych nad słoikami w kuchni. Tamtym dwu było wszystko jedno, a ja słuchałam malarza Jamuły zdumiona, że koniec świata przeżywa się tak po mieszczańsku i że znaczy on: brak wody, powietrza i strawy. Malarz Jamuła gadał długo, wydawało mi się, że całą tę trzydniową noc bez przerwy, a wszystko, co miał do powiedzenia, dało się streścić jakoś tak nijako, że literatura, dobra literatura, to jest słowo, które można namalować, słowa, które można zamienić na obraz, a dobry obraz, to taki, który staje się słowem, kiedy na niego patrzymy.

— Dobra, dobra — myślałam obojętnie, patrząc na gotującego się w deszczówce gołębia. Kolejny poświęcony dla dobra ludzkości gołąb Karwackiego, nie jemu przecież poświęcony, jego przecież zmogła dyzenteria i chociaż wołałby poświęcić nam kota, to przecież rozumie, że kot jest tylko jeden a gołębi więcej.

Karwacki kuczał, kot żył, malarz Jamuła gadał, a stary Możdżeń stękał razem z Karwackim i mówił, że to jest zaraźliwe, i że on nie rozumie, dlaczego my, malarz Jamuła i ja i kot nic sobie z tej zaraźliwości nie robimy.

Widać ja dodaję coś specjalnego do jedzenia jemu i Karwackiemu, który przecież poświęcił dla dobra ludzkości swoje gołębie, swoje i nie tylko swoje, bo przecież każde dziecko wie, że on, Możdżeń zbierał dla tych gołębi zboże na pegeerowskich polach, zatem może powiedzieć, że gołębie są także i jego własnością i że on również

poświęca się dla dobra ludzkości, czego nie może powiedzieć o mnie: kurwa pani mać, panno Maryniu, ja na panią patrzę, nawet jak śpię nerwowo, niech pani uważa.

— Dobra, dobra — odpowiadałam pół jemu, pół Jamule, pół gotującemu się gołębiowi.

Rósł we mnie opór i chęć znalezienia się w takim zakątku świata, gdzie byłoby cicho, myślałam że ciszę znajdę w tym, co nazywałam po przebudzeniu — „zawsze ja”, ale tu gdzie „zawsze ja” było równie hałaśliwie jak w mieszkaniu Jamuły, jak w mieszkaniu Maali, pani w loczkach i z córeczką na wydaniu. Za gadatliwie i za pusto. W tym „zawsze ja”. Jakieś w nim zawilgłe zakamarki, nawilgłe, butwiejące wspomnienia, stare, przypominane zdarzenia i rzeczy, kikuty zdarzeń i rzeczy. Zmartwiałe, odrapane życie, któremu nie chciałam się poddać, bo mi się tu nie podoba.

Ale właśnie tu i w tym mieszkaniu zaskorupiałym od nieczystości zrozumiałam, jaki zakątek świata jest mi potrzebny, jaki rodzaj ciszy i jakiej gadatliwości, jakie słowo mogłoby mnie uratować. To właśnie tu wypadło wodzić mi się z Krystyną i tym, który mnie stworzył i zniknął nie wyjawiając swojego imienia. Tu przyszło mi też kuśtykać w poszukiwaniu kota, który się gdzieś zapadł. Kuśtykać, bo pośliznęłam się na schodach.

Kamienica była nietypowa, jednopiętrowa ze strychem i gołębiarnią: wchodziło się do niej, nie wstępując po stopniach, ale zstępując trzy schodki niżej, jak do piwnicy. Kartka z ostrzeżeniem, które wywiesił tajemniczy marynarz, wynajmujący pokój u malarza Jamuły i który mawiał o sobie — ja, marynarz, co ja tu robię — kartka z wypisanym „uważaj na schodnię, przyjacielu”, zniknęła dawno z ubikacji.

Była właściwie bez sensu. Nikt oprócz marynarza nigdy się na tych zaczajonych schodach, które on nazywał schodnią, nie przewrócił, tylko on, pijany.

Zanim się wyprowadził opowiedział temu kto chciał słuchać ze sto razy ze szczegółami, jak to podniósł nogę i opuszczył przygotowany albo na grunt płaski, ziemski, albo na stopień prowadzący w górę, kiedy zamiast niewinności ziemskiej, czy boskiego wywyższenia ogarnęły go piekielne czeluści i bolesna niemoc. Na dnie przepaści lkał, kiedy odnalazła go Maala.

Prawie nikt tej kamienicy nie odwiedzał — a listonosz i Krystyna wiedzieli swoje. Wiedzieli również swoje ci z teleskopowymi oczami, stateczni i nie malarze. Oni nie musieli być przez nikogo o niczym

ostrzegani. Ich nikt nigdy i tak nie zaskoczył. To oni zaskakiwali bez ostrzeżenia.

Kuśtykając, szukając kota, wykrzykiwałam do Krystyny, która sobie gdzieś tam w Warszawie u tej wariatki poznanej we Włoszech szykowała manele, żeby wyjechać i podłożyć bombę pod tego z blyszczącymi, śródziemnomorskimi oczami, który śmieje się i kocha i jeszcze nie wie, co go czeka.

Wykrzykiwałam, kuśtykając dookoła kozetki stojącej pośrodku kuchni, krążąc wokół niej jak wkoło objawienia.

— Bóg się przed nami ukrył. Tak jest. Najpierw stworzył świat. Cały, od początku do końca. A dopiero potem człowieka. Tak dalece na końcu, żeby ten nie domyślił się tajemnicy „fiat”, żeby nie podejrzwał dzieła stworzenia, żeby nie pojął początku, a zatem przyczyny, a zatem sensu: po co, dla czego i jak. Tego, jak istnieje jutro — jutro.

Bóg nie stworzył człowieka po to, by ten był świadkiem, ale na wieczne odgadywanie.

Odgadywanie nawet tego, co takiego powinien odgadnąć: w jakiej szaradzie bierze udział, w jakim konkursie.

W jakich śmiertelnych żywych obrazach.

Przyprowadzono mu, człowiekowi, wszelkie stworzenia i kazano mu je nazwać. I to była pierwsza boska kryjówka Boga — nazwanym przez człowieka światem człowiek może manipulować, ale nie może dociec jego sensu, istoty, bo nieznanym mu jest właściwe imię rzeczy.

Również swojego imienia, zatem swojej istoty, nie objawił Bóg człowiekowi. I to jest jego druga boska kryjówka.

Dano człowiekowi ogród, ale bez drzewa poznania, a kiedy sięgnęła po nie ręka człowieka, kiedy zaczął pojmywać w czym bierze udział, sprowadzono na niego śmierć i pracę w pocie czoła, by nie miał czasu na manipulowanie jedyną bronią jaką ma w pojedynku ze stworzycielem — właściwym słowem. Słowem, z którego wszystko powstało i do czego wszystko wróci, być może, bez względu na wynik pojedynku.

Trzecią boską kryjówką i pułapką dla człowieka jest wielosłowie, którym nas obdarzył. Pustosłowie, możliwość pogubienia się w słowach, jak w gęstym lesie.

Tyle, że ta kryjówka jest zarazem wskazaniem, gdzie należy szukać.

Bóg schował się przed nami poza przestrzeń i czas, poza ludzkie wielosłowie, poza miłość, która nie pozwala człowiekowi wejść na lowiecką, boską ścieżkę. Choć dał nam wolną wolę wejścia na nią.

Nie wiadomo, po co to zrobił: odkryje to ten, który, może przez przypadek, wypowie to jedno jedyne słowo, słowo nasze zbawienie, właściwe imię rzeczy i jej stwórcy. Ten zobaczy Boga żywego, nieśmiertelny zobaczy nieśmiertelnego. A może ten pierwszy i jedyny powie za dużo i zginie bóg? Może dlatego chowa się w swoich boskich kryjówkach.

Na razie ludzie wypowiadają tylko te słowa, które mają moc porażania tylko ich, ich ludzkiego świata, na ten świat swój są w stanie sprowadzić zagładę. Na razie wypowiadamy tylko to, co zamyka nas w polach własnej śmierci, ale przyjdzie czas.

Nie w milczeniu nasze zbawienie, nie w dowodach na istnienie Boga i nie w wierze w Niego. On jest. I z ukrycia patrzy, komu zdarza się, choć żyje tak krótko, zbliżyć do granicy.

I miesza rozum potem, strada im rozum na manowcach, bo ci są najniebezpieczniejsi — to oni najprędzej mogą trafić w słowo — boską zagładę.

Tak, kuśtykając, wyrzaskiwałam Krystynie, jakby stała tu gdzieś obok, w jakimś kącie i patrzyła.

— Nie milczenie, nie plucie i rzucanie nożami, nie podkładanie bomb ale poszukiwanie słowa magicznego — właściwej nazwy rzeczy i stwórcy. Oto czego trzeba.

Kot wreszcie wylazł z ukrycia. Miauknął. Zawstydziałam się kota. Skręciło mnie ze wstydu. Zupełnie jakbym jednocześnie była malarzem Jamulą wykrzykującym przez okno, to co powinno być szeptać na ucho, albo zmilczane, i sobą, słuchającą tego co się wykrzykuje, trzymającą żerdkę w dłoni i wijącą się w bolesnej wstydlivosti, że ktoś może się tak obnażyć, poniżyć. Przecież przez okno powinno się wyłącznie wołać — hej, bachory, czas na obiad.

A zresztą, dlaczego akurat do Krystyny się zwracałam? Do Krystyny, której to wszystko nic nie obchodzi, która pakuje manele, przeglądając po raz setny drobiazgi i z pewnością już wie, gdzie można kupić czerwonego kanarka i model kabrioletu ze szprychowymi kołami.

— Pójdę do Madam — pomyślałam. — Tylko ona może pojąć. Tylko jej może się zdarzyć po latach milczenia trafienie znielacka w słowo właściwe. Ona musi zacząć mówić. Przecież znalazła się na boskiej ścieżce, skoro Bóg pomieszał jej rozum i każe śmiać się po piętnaście minut z zegarkiem w ręku. Przecież inaczej nie zobligowałby jej do milczenia. A poza tym, jak ona sobie radzi, Anton przecież nie żyje.

Trzeba posprzątać — popatrzyłam wokół. Trzeba pojechać do miasta i zaangażować się z powrotem do dekorowania wystaw. Ma-

dam musi jeść. Dużo. Żeby mogła przemówić. Przecież nie pozwolę jej zginąć tylko dlatego, że została skazana na wycieńczenie.

Zresztą trzeba też karmić kota.

W mieście panowała cisza. Przeraziłam się tej ciszy, bo nie była to cisza zwyczajna, cisza, która jest dodatkiem do popołudniowej sjęsty i która przywodzi na myśl czerwone jabłuszka gnijące w zasobnych piwnicach.

To nie była cisza kota wylizującego sobie łapy, wygryzającego pchły. Ani cisza zielonkawozłocistych, bzykających nad krowim łajnem, pomiędzy piołunami, much. Ani cisza śniegowych zasp za węglem domu.

To była cisza doskwierająca, męcząca, emanowała z szeroko otwartych oczu kobiet stojących pod sklepami.

To była cisza emanująca z szeroko otwartych oczu mężczyzn stojących przed komitetem wojewódzkim.

Cisza przed komitetem, i cisza głucha i niezadowolona, groźna i lepka, w komitecie.

Cisza przed wraskiem — chleba, wolności, konstytucji, demokracji.

Na placik z tyłu komitetu zajęchały milicyjne wozy i zastygły w ciszy, zupełnie jakby nad miastem zastygły w bezruchu konie malarza Jamuły.

Rozejrzałam się na boki. Stałam na palcach, tak jak niedawno temu, w mieszkaniu Maali, przy oknie — cała załknioma, z bijącym sercem. Nie poznającą w przestrachu przedmiotów, ani tego, co za oknem. Oczekującą, że któraś z szeleszczących karteluszek Maali okaże się rozkazem, zaczynającym się od „obywatelko”. A wkoło stare kamienice, jak stare robotnice, całe w strupach i liszajach. Kominy we wdowich, siwych oparach i górnicze miasto milczące i sztywne, jak na marach.

Jeszcze moment i zaświstają nahaje, zabłyszcza trupią białą gumowe palki, posypią się razy, rozkazy, ukazy, zatrzasną się kraty przed nosami obywateli, nastanie płacz i zgrzytanie zębów, gazy dławiące, gazy łzawiące, jakby mało było łez na tej ziemi jałowej, spustoszonej, ciemnej i zimnej, jak powstańcza mogiła.

Z milicyjnych wozów zaczęli bezszereśnie wyskakiwać milicjanci.

Jak by tu bezszereśnie wycofać się z tego miejsca? Z tego miasta? Z tej ziemi skąd mój ród, gdzie zaistniałam w zębach ojca? Jak by tu nie krzyczeć ze strachu, jak by tu pogrześć mowę tę zwyczajną i jak by tu sprawić bym jak jakiś Parsifal umiała zadać wyskakującym takie



pytanie, jedno jedyne pytanie, po którego zadaniu milicyjne pałki zamieniłyby się w oliwne gałązki, miast strupieszalej późnej zimy nastalaby wczesna wiosna, ruszyłyby wody, zazieleniły się łąki i pola, na które runęłyby gromadnie i te spod sklepów, takie milczące i z wytrzeszczonymi oczami kobiety, i ci spod komitetu, ci wszyscy cofający się teraz w milczeniu po twardym macoszym bruku, krok po kroku w tył, przed milicyjnymi spojrzniętymi ludziami.

W tył, w tył — mamrotałam do siebie. Przed milicją, jak przed królami — grzecznie, spokojnie i koniecznie tyłem do wyjścia, bacznie uważając na każde drgnienie białej palczki.

W tył, za ten węgiel, za ten róg, byle dalej, byle w tył i byle w tyle nie natknąć się na takiego z teleskopowymi oczyma, który wszystko wie, wszystko widzi, wszystko czuje i słyszy, bo jest okiem i uchem, i gigantycznym nosem ojczyzny, tak dużym okiem-uchem-nosem, że potrafi dostrzec, wyczuć na odległość nawet tego, który ciemną nocą, w najciemniejszym kącie swojego mieszkania, pomiędzy kredensem a ścianą, wywała język, miast flagi przez okno.

Na placu drgnęło, zachrząściło, rozwrzeszczało się, konie malarza Jamuły zaczęły wierzczać i walić kopytami.

Popędziłam przed siebie o niczym już nie myśląc, byle dalej.

Dopiero kiedy moje serce zaczęło ważyć więcej od mojego ciała i strachu, przystanąłam, zgięta wpół, z dysydenckim jęzorem na wierzchu.

Tramwaje nie chodziły. Autobusu nie było widać od kilku godzin, resztę drogi przeszłam piechotą, z piaskiem w ustach, z szumem w uszach, z niesmakiem, że nie zostałam, bo gdybym została, to.

Zaczęły mi się roić bohaterskie pertraktacje, bohaterskie czyny, nastawianie piersi, tłum wiwatujący na moją cześć i chwałę, skandujący moje imię, skandowane dotychczas wyłącznie przez Możdżenia — pa-anno-maryniu kur-wapa-ni mać.

Zziębnięta i zgłodniała doszłam do stajni Antona. — Co ja tu robię — pomyślałam. — Nie mam jej nic do zaoferowania — i szarpnęłam drzwiami. Ani drgnęły, zwykle takie wpół otwarte. — Nawet chleba nie mam w domu, czym ja ją nakarmię i co ja jej powiem, że niby tak ma sobie wstać i iść ze mną i jeszcze do tego szukać słowa? — napęczniałe od mrozu stajenne dechy skrzypiały pod naciskiem i szarpaniną. — Pójdę sobie lepiej — pomyślałam i w tym momencie otworzyłam odrzwia.

W szarości stajni, w szarości popołudniowej godziny nie było niczego innego do zobaczenia tylko Madam Frankensztajn.

Lewitowała.

Widziałam. Coraz lepiej widziałam. Do wytrzeszczenia oczu widziałam jak lewituje.

Widziałam jej bose, brudne stopy na wysokości krzesła. Niczym nie podparte, lewitujące. Zawieszone w czasie i przestrzeni. Nieruchome. I ten skraj wyszywanej guzikami sukienki.

Nie patrzyłam w górę, na twarz lewitującej — patrzyłam na wypiężone stopy i myślałam, że danym mi zostało po raz pierwszy w życiu zobaczyć lewitującego.

Powiał wiatr, zaskrzypiało, stopy lewitującej poruszyły się wahadłowo.

Najpierw poczułam serce bijące w całym ciele, ale przede wszystkim w oczach. Miarowo, boleśnie. Potem we własnych stopach, które stały na ziemi, którymi mogłam poruszać, bo nie były stopami świętego, który wznosi się ku bezlitosnemu niebu, nie pytając praw natury o pozwolenie.

Zgroza, dla której nie ma słów, niech więc tak zostanie — zgroza.

W górę nie było co patrzeć. Już wiedziałam, co mogę zobaczyć w górze, pod powalą. Mogłam tam zobaczyć tylko sznur i wszechwładną rękę Boga, który ten sznur utrzymuje w równowadze — żeby nie za wysoko i nie za nisko, żeby w sam raz, żeby w bezpiecznej dla boskiego istnienia pozycji.

— O, Boże — chciałam powiedzieć, ale z mojej krtani wydobył się skrzek. Krtani miałam porażoną i serce tłukące się w oczach.

Jak paralityk, na szeroko rozstawionych, trzęsących się nogach odeszłam kilka kroków i stanęłam. Tylko, żeby nie paść tutaj, jak ten zdychający w polu dziki kwiat, na którym kiedyś motyl siadł. Skąd ja to znam?

Trzęsące się, rozstawione szeroko ramiona. Paralityczne nogi. Tłukące w oczach serce. Wszystko to jakoś doszło do stacji, z której nie odchodziły żadne pociągi.

Późnym wieczorem, około dziesiątej, okazją, którą była prywatna szybka lancia beta niespotykana na polskich drogach często, dojechałam do Warszawy.

Krystyny nie było pod adresem, który mi zostawiła, wyjeżdżając. Nie było jej w domu. Mnie nie było też w domu. Usiadłam na schodach, na których nie było światła. Nie było po co stać, siedzieć, zresztą, również nie. W stojącej, czy siedzącej, nie było we mnie poczucia bezpieczeństwa, wszystko lewitowało, nawet to, czego od dawna nie było we mnie, a nie było płatków jaśminu, krainy Kanaan, do której miałam kiedyś dojść, żeby się w niej urodzić. Nie było we mnie żadnej

odpowiedzi, i gorzej, bo żadnego pytania, tylko to ciało spękane, jalone, samotne, przed którym ukryto nie tylko właściwie imię rzeczy i imię tego, który pomaga ludziom lewitować, ale i Krystynę, której nie było w domu, i cały świat, który okrył się ciemnością, żebym nie widziała niczego więcej, tylko moje palce u rąk i stwardniałe, popękane trzewiki malarza Jamuły.

Siedząc na zaszczanych schodach przytuliłam głowę do zimnej, trumiennej ściany jak do zrębu murowanego grobu i zaczęłam polukać łyzy.

Zza nie opodał leghych drzwi, jak z kwatery bliźniaczej mogły, dolatywało mnie mamrotanie o kluczu. Z innego świata, z jakiegoś niezrozumiałego świata żywych, nicumarłych, wyłoniła się z mojej pamięci twarz Emeryka, cała najczona, jak świeżo skoszona łąka, mówiłam właśnie o kluczu — cała Polska kluczem stoi, według klucza rozdziela się stanowiska, według klucza mianuje dyrektorów i profesorów, według ustalonego klucza reglamentuje się towar, marzy się o kluczu do mieszkania, żeby oni dali, o kluczu do samochodu, żeby oni pozwolili kupić, o kluczu, według którego można być pewnym paszportu, z kluczem w dłoni należy czytać gazety i książki. A jak nie ma klucza, to z wytrychem, może się który dopasuje, może otworzy na zrozumienie, dosyć tego, nie będę dodatkowo opracowywała klucza dla ustalenia budżetu domowego, jeszcze może mi każesz w tym sakramenckim sraczu, nad dmuchanym materacem, wymalować hasło — kojarzenie dyskusji z działaniem jest kluczową zdobyczą demokracji socjalistycznej.

Emeryk nie ścisnął głowy rękami, moje słowa przyjął jak ostateczne machnięcie kosą, twarz zjeżyła mu się jak świeża skoszona łąka, z saloniku właścicielki mieszkania dolatywało Marzenie Schumanna, wysoko wyrośnięta córeczka grała już zupełnie nieźle, teraz chyba siedzi nadal rozparta tam, gdzie ją zostawiłam, z Kulturą w dłoni. Cała opita poczuciem bezpieczeństwa, jak Saroyan sorbetem, patrzy na drzwi łazienki, słucha dziadka, dziadka od słonek, triangulacyjnych, a może zamkowych wież i młodych byczków, dziadka od wysysanych ptasich kosteczek. Spokojnie tam, cicho, niezadusznie. W tym świecie żywych może być ratunek — pomyślałam. — Trzeba do nich iść.

Pomyślałam, pomyślałam, pomyślałam i wstałam z grobu. Stwardniałe trzewiki skrzypiały na śniegu, brudne palce moich dłoni kulily się, tuliły do siebie w kieszeniach. Ten, którym miałam zapukać do Emerykowych drzwi, był najważniejszy, rósł, wskazywał drogę.

Emeryk zachował się tak, jak zachowują się ludzie na widok du-

chów — nie zdziwił się. W jego przerażeniu nie było miejsca na zdziwienie, ani nawet na pytanie z jakiego cmentarza przychodzi.

W jego przerażeniu była ulga, że podejrzenie, co do ziemskiego bytowania duchów skonkretyzowało się, stało się ciałem — i oto jedno z nich stoi przed nami w brudnej kurcie, mrużące oczy, całe skostniałe, nie mogące wydobyć głosu z porażonej krtani, machające rękami, że ono zaraz sobie pójdzie, że ono tylko na moment.

— Ależ nie — powiedział. — Jak to miło — powiedział, kiedy odzyskał głos. — Koko zaraz wróci, poczekaj na nią, zrobię ci herbaty.

I tak zaczęłam przegląd mieszkania, w którym mieszkalam kiedyś za życia. Pokój jeden, pokój drugi i trzeci, kuchnia, spiżarka, tapety, parkiety, meble, w łazience żadnych materiałów ani biureczek, w łazience szwedzka błękitna kostka, to Koko ją zdobyła, pojechała, dzielna dziewczyna na saksy do Szwedów i zdobyła, i język szwedzki też zdobyła i trochę doświadczeń życiowych, które się przydają. W jednym z pokoi spało dwoje dzieci Koko, które zdobyła, siedząc sobie w saloniku, trzymając Kulturę w dłoni i słuchając dziadunia.

— Prawda, że do niej podobne? — zapytał Emeryk. Spadkobiercy opinogórskich tradycji spali, nie wyczuwali obecności czegoś martwego, zza grobu, które wraca do życia, zmartwychwstaje przez nienawiść, czegoś czym byłam ja po wycofaniu się z dzieciennego pokoju i po ponownym stanięciu na progu łazienki, całej błękitnej, całej pachnącej, całej wymiecionej z mojej niegdysiejszej egzystencji.

Emeryk stał teraz za moimi plecami zdenerwowany, już tylko po ludzku zdenerwowany nagłą wizytą i swoim przerażeniem.

— Napijesz się herbaty — zapytał ponownie, ale zaraz niezachęcająco dodał — Koko zaraz wróci.

Natychmiast wyczuł, że się zmieniłam, że jestem na powrót żywa, czymś napęczniała, tego nie powinna była zobaczyć Koko, dzielna dziewczyna, która tyle w życiu zdobyła; ducha zobaczyć mogła.

Pomyślałam, pomyślałam, pomyślałam i postanowiłam wycofać się z tego mieszkania. Odżyłam w nim, to fakt, przynajmniej przez nienawiść, która zaczęła się plenić we mnie jak górski osiet na skale. Plenić na tyle, że mogłam sobie teraz wyjść stąd i pójść wcale nie do grobu.

Wycofując się do przedpokoju zobaczyłam choinkę, moje zdumienie przywróciło Emerykowi mowę całkowicie, ale zanim zaczął mówić zasmakowałam przez chwilę bezczasu, czy też bezsensu, sama nie wiedziałam dokładnie czego, oba mają jednakowy smak: może wcale nie ma teraz późnej zimy, ale jest znowu Boże Narodzenie i to nie wia-

domo które, a ja nigdy nie urodzona, przyniesiona w zębach prosto w ramiona Maali, krążę teraz po planecie w poszukiwaniu słowa, jak rycerz okrągłego stołu, krążę po tym skrawku ziemi, który kazano mi pokochać jako ojczyznę, po tym skrawku ojczyzny, gdzie jak osty na bezpłodnej glebie panoszą się czerwoni, niestrudzeni w malowaniu sobie ust, pazurów i serc kolorem ludzkiej żywej krwi, a ziemia pusta, szara, pełna kopczyków po zmarłych nadziejach, że przelana krew zakwitnie szkarłatem, rajskim kwiatem. Odkąd Madam Frankensztajn lewituje, słowo odnaleźć muszę ja, zresztą może zawsze musiałam ja, zawsze, jak po przebudzeniu, ja.

Emeryk mówi: — Dzieciaki zakochały się w tej choince, mowy nie było, żeby ją zlikwidować w odpowiednim czasie, na szczęście Koko przywiozła ze Szwecji specjalny rodzaj sztucznego drzewka, nie do odróżnienia.

Zazgrzytał klucz. Weszła Koko, dzielna dziewczyna, taka niby nie — mała, niepozorna, w szafie ma na pewno osobno szwedzkie suknie letnie, osobno zimowe, osobno paski do pończoch, osobno rajstopy i pończochy pozwijane w pulchne ruloniki, na pewno nie śpi nigdy w starym swetrze i pamiątce, naddartej spódnicy, tylko po szwedzku, umyta i naga; a beret odkłada, strzepnąwszy go uprzednio, do osobnej przegródki na berety.

Spojrzałam na jej wysoko uniesione brwi, na oczy skierowane na Emeryka, usłyszałam jego wyjaśnienia — Zobacz, Marysia przyszła. — I jeszcze dodatkowo pokazał mnie palcem, jak rysę na nieskazitelnym, błękitnym, lazienkowym kafelku, rysę, której się nie chce widzieć, ale którą w końcu trzeba palcem wskazać. — Widzisz?

Koko zdjęła beret, nie powiedziała: dzień dobry, dobry wieczór, nie. Tylko zdjęła ten swój czerwony beret.

Zimna, żmijowata, posępna myśl — gdybym była mężczyzną przebrałabym się za świętego Mikołaja, weszła do tego szwedzkiego domu i udusiła kurwę pod szwedzką choinką rozgorzałą od landrynkowych latarenek, pachnącą sztucznymi jabłuskami nie do odróżnienia, duszną od papierowych aniołków i cackowatych cukierków. Dosyć tej czerwieni, pomyślało we mnie i rozkazało mi dopaść Koko w momencie kiedy wyciągała do mnie rękę na powitanie, szarpnęłam ją chcąc ugodzić pięścią w brzuch, ale uprzedzono mnie.

Widać poznano po moim wyrazie twarzy, co chcę, co zamierzam, do czego jestem zdolna: silny cios w kark a potem w okolice nerek uświadomił mi wreszcie, jak to jest, kiedy się jest mężczyzną.

Nie było tu dla mnie pobażania, żadnej litości. Wszystko odbyło się zgrabnie i w miarę cicho, bo nie wiem, czy ciszą można było

nazwać moje stękanie i głos Emeryka: — Zawsze ci mówiłem, że to jest wariacka, teraz się to sprawdziło.

Nie była też cichą odpowiedzią: — Jezus Maria, zatelefonuj po milicję, może ona przyszła zadłgać dzieci.

Nie wiem jak, w każdym razie znalazłam się na ulicy cała poskręcana z bólu jak konar starej samotnej gruszy pod którą siada śmierć i stroszy pióra.

Bywają na tym świecie powietrza szalone, chore z urodzenia, falujące, drgające, pełne majaków, fatamorganowatych miast, odwróconych do góry kilem statków, galopujących stepów, powietrza gorączkujące, wobec których gorączka i szaleństwa człowieka są tylko słabą repliką umysłowej choroby przestrzeni.

Tutaj, w chłodnym, rozsądnym, pełnym respektu dla siebie powietrzu północy, powietrzu z kindersztubą, w dobrze wychowanej przestrzeni, w której wymyślono szpital psychiatryczny, dowód osobisty, pięć dowodów na istnienie Boga i milicyjną pałkę, każde szalone słowo jest obrazą, fałszywym krokiem, po którym mogą się rozleć syreny karettek pogotowia albo milicyjne.

Zgięta wpół pod latarnią, pochylona nad koszem do śmieci, czekałam, poskręcana jak konar gruszy, na znak zagłady. Lekki śnieg skrzypiał, ziemia i niebo oddalały się od siebie. Kiedy usłyszałam warkot samochodu pomyślałam: ten wóz, to radiowóz, ucieknę, pomyślałam, nie dam rady, pomyślałam. I oparłam się o latarnię w oczekiwaniu spokojnym i takim, jakbym miała za wiele czasu, jakbym sobie leżała na plaży, jakbym pomiędzy jedną leniwą chmurą a leniwą drugą leniwie czekała na promienie słońca.

Słońce w końcu świeci, przeciągam się, brązowieję, przeciągam się i szukam kontaktu z ziemią, która niech nigdy nie będzie mi pickłem, wrogiem, ale schronieniem na wicki wieków przed tym, który, kiedy zostanie wytępiony ostatni człowiek, i kiedy powieje wiatr bez granic, zstąpi na glob, by dokonać przeglądu, który rozgarnie rękoma miliony kartek papieru, pokrywających ten glob i zacznie je czytać — pisać co dzień, co noc, do tego, który się przed nami schował. Białe bielutko na ziemi i niech tak będzie dalej. Kiedy nastanie znów czas zmartwychwstania, niech nastanie, ale beze mnie, niech ja zostanę w ziemi, biała, bielutka, niech moje oczy nie oglądają tego, który po tylu męczarniach da nam odżyć w innej cielesności, zamęczwszy uprzednio tę daną nam cielesność, czasami każąc nam lewitować, czasami wtłaczając na nas tony żelastwa, rakowatą chorobę, pękające



z przerażenia płuca, rżenie, i zabierając nam ostatni ziemski oddech w bólu i trwodze.

Lekki śnieg skrzypiał, ziemia i niebo oddalały się od siebie, a z tyłu ten nadjeżdżający wóz. Pomyślałam sobie — zaraz mnie dosięgnie gumowy głos władzy.

Ale to nie był radiowóz. Koło mnie, latarni i kosza na śmieci zatrzymał się wóz przedsiębiorstwa oczyszczania miasta. Zeskoczyło dwu, capnęło kosz na śmieci; coś tam zazgrzytało, brzęknęło, i kosz stanął koło mnie pusty, pustką śmierzdzący. Nikt się do mnie nie odezwał.

Krystyna cała w paskach, kremach, lokówkach, pakowaniu walizek, ta chyba za mała, ta chyba za duża. Jak tu utrafić te dwadzieścia pięć kilo, ona nie ma zamiaru płacić za nadwagę; cały czas mówiąca, wzdychająca, już ona tam swoje wie, nostalgia jest nostalgią i ona siebie zna, doskonale już to sobie wyobraża: tylko przekroczy barierę celną a zaraz owa nostalgia, ta polska dżuma, dosięgnie ją, ledwie człowiek ujdzie z bagażami do tej bezkrwistej przestrzemi między państwem a państwem — nostalgia już staje przy człowieku i każe mu się zastanawiać nad decyzjami, które podjął: czy nie za pochopne.

Wypiła łyk wódki. I znowu o tej nostalgii. Jakby zapomniiała, że jedzie podłożyć bombę pod te swoje wytęsknione, wymarzone śródziemnomorskie, połyskliwe oczy.

Nie zapytała, skąd się właściwie wzięłam u niej, co za decyzja mnie tu do niej przywiodła, tak bez uprzedzenia. Tylko tyle: — Tam już się uspokoiła ta wariacka powódź? Były ofiary w ludziach? — I nie czekając odpowiedzi, parząc kawę, zaczęła opowiadać temu siedzącemu przy stole, z delikatnie wijącymi się, ciemnymi włosami, którego twarzy nie dostrzegłam przy prezentowaniu, a teraz wstydziłam się przyrzec, że zdarzyło się jej przeżyć powódź nad Rio Bravo. A to już zupełnie śmieszne, jak się zważy, co to za, nie w sezonie deszczowym, upiornie cicha, anemiczna, wątła rzeczka, można powiedzieć wyschły potoczek, strużka, właściwie kilka kropel wody, właściwie korytko bez jednej kropli wody. Dziecko przeskoczy i nie zauważy. Aż się zaczął sezon deszczowy i zaczęło się. Od tego czasu boi się wszystkiego, co ciche, anemiczne, wątłe, z cicha pęk, straciła poczucie bezpieczeństwa za granicą. Zresztą Polakowi trudno jest o jakiegokolwiek poczucie bezpieczeństwa za granicą. Ta obcość pejzażu.

Tylko dwa razy udało się jej tak na dobre zadomowić za tymi granicami. Raz na plantacji kawowej — co to za zachwycająca rzecz, ta-

ka plantacja kawowa, cała sztyletowozielona, cała w kropkach krwi, a ta krew, to właśnie ziarenka kawy.

A drugi raz na plantacji bananowej — zupełnie jakby się wchodziło w sam środek chleba. Właściwie nie wiadomo, dlaczego w środek i to chleba: plantacja bananowa to przecież turkus liści i spalona ochra owoców i wiatr w rozcapierzonych turkusach, wiatr szalony, przerywany, jak oddech gonionego przez milicję człowieka.

Ale mimo wszystko plantacja bananowa to środek chleba, mimo że jej drugi narzeczony powiedział, że drzewa bananowe, to porno przyrody i ona musiała w niego cisnąć filiżanką meksykańskiej kawy. Wcale nie było jej szkoda tej kawy. Taka sama lura, jak amerykańska. Dużo tego i na dodatek podaje się jeszcze do tego wodę z lodem, całe szczęście, że osobno lura, a osobno woda z tym lodem.

Człowiek o delikatnie wijących się, ciemnych włosach, roześmiał się i zapytał, gdzie Krystyna schowa „te rzeczy”. I wypił łyk wódki.

Krystyna odpowiedziała, że nigdzie nie schowa, bo taką już ma metodę — nie chować nigdzie tego, co Państwo wymyśliło, że jest do schowania. Zawsze się jej tak udawało. Po prostu włoży wszystko do podręcznego neseseru, zaś neseser do koszyka, który będzie trzymała w ręce. I cześć. I wypił łyk wódki.

O czym też oni mówią — pomyślałam i wypilam łyk wódki również. — Co też takiego może Krystyna wywozić, co by było do schowania? Na pewno te swoje noże, ślinę, bomby, szable i filiżanki gorącej kawy do rzucania w twarz. Wiadomo, co może tajnie przewozić Krystyna. Ale jedno jest dobre — nikt nie zna jej adresu, to znaczy polskiego adresu tej poznanej we Włoszech wariatki, a Krystyna zdążyła już mi powiedzieć, pomiędzy plantacją kawową a filiżanką kawy, która jeszcze nie pofrunęła w gorącym meksykańskim powietrzu, że mogę sobie tu spokojnie mieszkać do śmierci, nikt mnie nie ruszy, chyba, że poznana we Włoszech wariatka wróci. Zatem, jeżeli nawet umrę tutaj, pomyślałam, to nikt nie będzie wiedział, gdzie, nawet ci z pałkami z Leśnego Brzegu, ani ci z gumowymi głosami, którzy mogli nadjechać i zabrać mnie znad kosza na śmieci, ani ci z teleskopowymi oczami, ani może nawet sam Bóg, taki przed nami schowany, taki zajęty podtrzymywaniem w bezpiecznej dla niego odległości lewitującego ciała Madam. Uspokoiliłam się i uspokojona przyjrzałam tym dwojgu — o czym oni mówią?

Ośmieliłam się zajrzeć mężczyźnie w twarz — sztyletowozielone oczy, jak ta plantacja kawy, której nigdy nie widziałam.

Wypilam łyk wódki, popatrzyłam na krzątającą się Krystynę a potem jeszcze raz znienacka w te zielone oczy, sztyletowo zielone,

ale niewiele w nich zobaczyłam, przez tych kilka łyków wódki zamamotało mi powietrze, zaciemniło, zafalowało. Zafalowała podłoga, a w żołądku ogień, jakbym siedziała w środku gorącego, dopiero co wyjętego z pieca, chleba. Albo pod szalejącym nad szaloną plantacją bananową słońcem.

Potem jakieś zaciemnienie, jak podczas wojny, potem łyk jasności i Krystyna, siostra moja jedyna, cała ubrana i bez lokówek, w turbanie na głowie — prześpi się gdzie indziej. Bliżej lotniska. Stąd za daleko i rano o taxi trudno na tym nowoczesnym wygwizdowie.

Potem otworzone przez Krystynę drzwi a za nimi ciemność. A potem ani murów ani ścian, tylko pulsująca odcieniami zieleni. Zielona droga, niczym nie osłonięta. Słoneczne promienie pikują wprost w ciemność. Ciężko tą drogą iść, ale trzeba — tam na końcu ktoś czeka, kto to może być?

Jeszcze jeden łyk słońca i stanie się obok tej oczekującej postaci, która daje cię.

Jeszcze jeden mały wysiłek i wrośnie się w ziemię obok tego cienia, w cieniu cienia.

Otworzyłam szerzej oczy i wreszcie zobaczyłam, kto to jest: Drübenmann.

Znalazłam się wreszcie po tej stronie, gdzie zaczyna się świat, gdzie pęcznieją winogrona, gdzie ludzie się rodzą z miłości i trwają w niej łagodnie jak opadający płatek jaśminu.

Zielone oczy wcale nie miały sztyletowozielonego koloru, były łagodne jak łan wschodzącej pszenicy.

Coś we mnie stężało — wyszłam do łazienki.

Lawina czegoś niezidentyfikowanego, czegoś, co nie miało nazwy, ale konsystencję wybełkotanej rozpacz, przesunęło się z żołądka i gwałtownymi zrywami, jak ataki wiosennej burzy, zaczęło wypełniać klozetową muszlę.

Obudziłam się w czymś miękkim i nie obco pachnącym, wokół mnie noc delikatna jak czarne pieluszki.

Objęła mnie ręka stwórcy. Wiedziałam od razu, że to jest ona — ręka mojego stwórcy.

Pierwszym zapamiętanym odruchem serca, tuż, tuż po moim urodzeniu, była wdzięczność.

W pokoju pachniało tym nie obcym zapachem, pudrem Krystyny, wypitą wódką.

Drübenmann nie pytał mnie o nic — nie pyta się przecież o nic

nowo narodzonego człowieka. Uśmiechał się i tym uśmiechem sprawił, że ciemności, które mnie do tej pory spowijały rozświetliły się i nastąpiła jasność; ja sama zaś byłam głębią, w którą wrzucono ziarno. Ziarno to sięgło dna. Opoki. Gruntu.

Różowe pasemko na wschodzie — tak musiało być, chociaż z pokoju nie było widać wschodu słońca, zresztą było na nie za wcześnie o tej porze roku.

Światłość objaśniła kieliszki, pustą butelkę, pety w popielniczce, niektóre z nich jeszcze po Krystynie, siostrze mojej przekraczającej granice, pety różowe od szminki, zakłopotane, rozrzuconą bielizną, otwartą szufladę biurka tej poznanej przez Krystynę we Włoszech wariatki i oczy Drübenmanna, zielone uważne oczy.

Pomyślałam, że od tych oczu zrodzę ziele zielone i dające nasienie i drzewo rodzajne, owoc czyniące według rodzaju swego.

Świat, w którym się znalazłam, urodzona, bardzo urodzona, nie przyniesiona w niczyich zębach, ale urodzona w czułości, w łagodnej zieleni, miłośnie owinięta czarnymi pieluszkami, raj, w którym się znalazłam, wcale się nie różnił zewnętrznie od tego świata, w którym śmiertelnie nienarodzona, trwałam do tej pory. Żadnego osłepiającego słońca, kwitnących, tajemniczych drzew, des peleuses encombrees par les fleurs, taka była definicja raju, wyczytana w starym samouczku francuskim, żadnych kryształowych pulsujących strumieni.

Za oknem martwa, rozcapierzona od mrozu ziemia. Kikuty drzew. Nowoczesna, klockowata dzielnica, w której wiadomo, jak nowoczesnie się mieszka — brak wody, śmierdzące zsypy, insekty, rury na ścianach, a w ścianę nie wbijesz niczego, prędzej już wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż wbije się igła w ścianę nowoczesnego, wymarzonego mieszkania, podłogi ze sztucznego tworzywa, telewizory, na ekranach telewizorów sztuczne życie jak w Madrycie i te twarze wpatrzone, zatęsknione, zdałoby się jakieś z królika futro kobiecie, wstań do pracy jak junacy, goń uciekający autobus, zbieraj grosz do grosza, jak ziarno do ziarnka, może kiedyś przebierze się miarka.

Jakaś biała zawieszina w powietrzu. Wschodu, zachodu, ani słońca w ogóle, nie było.

Zimno. W kaloryferach ledwo-ledwo ćmi, jak w popsutym zębie. Ludzie biegnący, podani do przodu, nie mają czym osłonić twarzy przed białą zawiesziną, bo ręce zajęte teczką, siatką, tobołkiem, już od rana. Kruki i gołębie nastroszone. Wróble pochowane nie wiadomo gdzie.

Ale była w raju, w którym się znalazłam, nagość rajska, bezwstydną, skóra od niej pękała, rozżarzona od czułości, jak od słońca, które

nigdy nie zachodzi i zielone oczy; oczy łagodniejsze od murawy, oczy z granatową plamką — ze znakiem wieczności.

Nie było rozmów. Było mało rozmów. O czym mogą mówić ci, którzy spotkali się w raju: ja, z życiorysem wybelkotanym do kłozetowej muszli, zaraz potem urodzona, owinięta w czarne pieluszki, i on, zielonooki, stwórzyciel, który zasiał we mnie ziarno.

Jedliśmy stary chleb, stary makaron, wyglądaliśmy przez okno, ziemia zmiękała, pokryła się błotem. Krople deszczu skapywały z żelaznych barier balkonów.

Człowiek idący ulicą popatrzył na przegub ręki. Drübenmann popatrzył na zegarek — tak zaistniał czas.

Okazało się, że Drübenmann ma imię, nazwisko i obowiązki.

Stwórzyciele mają wiele atrybutów niezrozumiałych, im wolno wszystko, byle byli, byle wracali w to miejsce, w którym czekamy na nich. — Jakaś ty dziecinna — powiedział Drübenmann — ale wróć, wróć na pewno.

I wyszedł.

Serce we mnie załomotało, skóra zwiędła. Tego się nie spodziewałam — że jednak wyjdzie.

Mogłam sobie mówić, co powiedziałam, że jemu wszystko wolno, mieć imię, nazwisko i obowiązki, ale tego się nie spodziewałam, że jednak wyjdzie.

Moje ciało z zieloną, ledwie kielkującą, delikatną, jak jego wijące się włosy, rośliną wewnątrz, oczekiwało innej odpowiedzi — dam ci swoje imię, nazwę cię swoim nazwaniem, podzielimy obowiązki, za drzwiami raju nie ma przepaści, są schody, jest korytarz, jest winda, a potem jest ulica, po której pójdziemy razem. Nauczę cię chodzić.

Nie trzeba było mieć zegarka, żeby liczyć upływające sekundy ofiarowanego mi czasu, czasu, który zużyję na czekanie, bezradna, koścista, objadająca się o sprzęty obcego mieszkania, na czekanie — oczekiwanie, że otworzą się drzwi, że stanie w nich on, albo że przynajmniej w moim oku zakwitnie również granatowa plamka, tajemny znak przynależności do niego. Rozejrzałam się po tym obcym mieszkaniu, za którego drzwiami — przepaść. Za oknem też. Nie należało do Krystyny — to było wiadome. Nie należało do ojca Krystyny, do którego Ignęło wszystko, co nietypowe, mogło i przylgnąć to mieszkanie. Ale nie przylgnęło, do niego przylgnęła tylko Maala w jedwabnej sukni, grająca na fortepianie wstawki i gamy, patrząca na portret

babuni Lu, portret, który się zachował, babuni Lu, która ma rysy Madam Frankensztajn, a nogi Madam kołyszą się, kołyszą.

Mieszkanie należało do poznanej przez Krystynę we Włoszech wariatki — to było też wiadome. Krystyna, która teraz, jeżeli na podłożenie jakiegokolwiek bomby jest jeszcze za wcześnie, popija sobie kawę na Piazza Navona, kawę taką czarną, gęstą, jak to ona lubi, i jaką tylko Włosi potrafią przyrządzić, spotkała tę wariatkę jakiś czas temu na plaży w Anzio. Na wydmuszysku pełnym śmieci i ciężko, jak bombowiec pachnących lilii, na Lido dei gigli.

Wariatka zbierała kawałki białego marmuru, podrygując śmiesznie, bo była na bosaka i rozżarzony piasek parzył ją w stopy, piasek, w którym za dużo żelaza i słońca, piasek z lido białych pachnących lilii. Zbierała, podrygiwała i klęła po polsku. Porozumienie było proste — ten, który siadywał na tarasie z gitarą, śmiał się i kochał i jeszcze nie wiedział, co go czeka, uprawiał jogging, biegał zakosami, tuż nad morzem, omijając języki fal, można było porozmawiać. Klucz od warszawskiego mieszkania wariatki prawie natychmiast przeszedł w ręce Krystyny, Krystyna nie dziwiła się temu, ani temu, że sama wariatka mówi o sobie — ja jestem wariatką, ho, ho, jaką ja jestem wariatką, a potem siadała na brzegu, chłodzi nogi w morzu i jeden po drugim wrzuca do niego uzbierane kawałki, jeszcze gorące od słońca, białego marmuru. W morze turkusowe, w morze z granatowymi plamkami. W morze łagodne jak łan wschodzącej pszenicy.

Mieszkanie wariatki: trzydzieści metrów kwadratowych, zielona podłoga ze sztucznych plastikowych płytek, żeby nie było złudzeń, że stoi się na trawniku, zieleń zjadliwa, zimna, betonowa. Żyłkowane, różowe tapety, żeby nie było złudzeń, że patrzy się na wschód, czy zachód słońca, różowe tło poprzedzielane białymi pasmami. Cepeliowskie, stare biurko, stół z sześcioma nogami, wiklinowy, ogromny fotelik i drugi fotel wyściełany egipską tkaniną, krzesło, pianino, w kuchni naczynia na podłodze, w pokoju książki na podłodze, w łazience przybory toaletowe na podłodze, wszystko, co możliwe, na podłodze, żadnego regału, półki, podpórki, na suficie parasolka zastępuje abażur, kretonowe zasłony na oknach. Biurko nie zamknięte, w biurku papiery, tyle tych papierów, a w jednej z szufladek pełno zapisanych karteluszków włożonych do szarej dużej koperty, na której napis — Księga Zażeń.

Ciekawe, co tak zapisują skrzętnie, wkładając zapisane do szarej koperty, wariatki, ciskające do południowych mórz kawałkami marmuru.



Wyjęłam kilka kartek, tak na chybił trafił wyjęłam i zaczęłam czytać: „mam ochotę być bezmyślną bezmyślnością sędziego najwyższego, który nie ma wątpliwości, że istnieją hierarchie wartości i wzorce postępowania godne naśladowania. Na śniadanie dobra kawa, po śniadaniu dobra sprawa. Ryby bez ości, brak wątpliwości. I cała rodzina szczęśliwa – brylant na palcu żony, perfuma na dłoni kochanki, wszystko we właściwym czasie. I to wzrastające szczęśliwie dziecko. Ten wzrastający zbiór dzieci – może któregoś z nich sięgnie głową stropu pałacu, a moja Rebeka z utęsknieniem czeka, aż przyjedzie po nią pan i zabierze ją jako żonę swą aż do pałacu bram, i dalej i dalej, za bramy, już się o to postaramy, burzyć Bastylię panowie, naprzód wiara. Naprzód wiara, nadzieja i miłość – do sukni ze złotogłowiu, do patroszonego drobiu, do złotych wykalacek, do brokatowych wycieraczek, do szczęścia z przejedzenia. Ludzkości daj mi skrzydła, niech nad martwym wlecie światem, tu ląd, tu morze, a tu cichy zakątek, w sam raz dla mnie, bez skorpionów, bez płaskich wścibskich jaszczurek, na stole kraby i kokosy, za drzwiami–portalami bezpieczne psy, gdybym tam mieszkała, miód i wino bym piła, po brodzie by mi się lalo a w lustrach nie poznawałabym siebie przypadkiem, nie dotykałabym swojej głowy ostrożnie, jak głowy wściekłego kota. Nie stałabym, jak często stoję, jak niedawno stałam na dziedzińcu biblioteki Ossolińskich: liście, wiedźmowaty szelest liści, szelmowate kłaskanie kropel deszczu o jakąś plandekę i ja z tym pragnieniem leżenia w tajemnicy przed wszystkimi w ziemi, plecami do góry, twarzą w dół, z pięściami pod czołem. Nie siedziałabym, jak często siedzę, jak siedzę teraz, by zapisać kolejną kartkę książki zażaleń, kto co, kogo czego, komu czemu. W radio mówią: pracujemy usilnie, żeby odbiorca był zadowolony z parametrów energetycznych, dlatego niejednokrotnie dajemy z siebie maksimum, żeby bilans roku zamknął się bilansem dodatnim. Kolejarze odprawili tysiąc osiemset pociągów, wiatr wieje z szybkością piętnastu metrów na sekundę, dziesięć tysięcy gości w Bukowinie Tatrzańskiej, górale słyną z gościnności, Jarocka w Trójmieście”.

Wyjęte na chybił trafił karteluszki skończyły się, nie czytałam dalej, niczego nie zrozumiałam, niczego nie chciałam zrozumieć. Czego chciałam się dowiedzieć o kobiecie, która biega po gorącym piasku bosymi stopami i wypożycza mieszkanie nie pytając, kto co, kogo czego, komu czemu. Nie w morze łagodne jak łan wschodzącej pszenicy powinna była wrzucać kawałki marmuru, powinna nimi była cisnąć we mnie. Nadużyłam zaufania.

Rozejrzałam się podejrzliwie wokół, czy nie widzą mnie, naduży-

wającej zaufania, zielone uważne oczy, oczy z granatową plamką, ale Drübenmanna nie było. Drübenmann nie przyjdzie, z bólu można tylko wyć a kiedy się wyje, nie ma literatury, żadnych pięknych opisów. Zapatrzyłam się w karteluszki białe, bielutkie, bez kropli krwi, zmarznięte w bieli, bo takimi karteluszkami będzie kiedyś zasłana ziemia, kiedy zejdzie na nią ten, który się przed nami schował, który zacznie je czytać i nie nie zrozumie i powoła ludzi na sąd, żeby tłumaczyli, co w księdze zażaleń jest, a czego nie ma, tylko mnie niech nie powołuje, niech ja będę schowana głęboko, twarzą w dół, plecami do góry, Drübenmanna nie ma i potem też go ze mną nie będzie, po co mi życie wieczne. Wysłałam na balkon. Głodna. Upřednio schowawszy karteluszki do koperty, niech czekają.

Ja też jeszcze czekam, jestem głodna. Stare ziemniaki, pomarszczone jak twarz kolektywizowanego chłopca, to nie jest jedzenie, a Drübenmann poszedł do swoich obowiązków, zostawił mnie samą i już nigdy nie wróci, zabrał zieleni i granatową plamkę wieczności i nadzieję, że ziarno we mnie posiane owoc zrodzi. Ziarno jeszcze jest, czuję to, szamocze się w czerni po omacku, potrzeba mu zielonych, uważnych oczu, nadziei wieczności zawartej w granatowej plamce, żeby zakiełkowało, ale Drübenmann nie wróci, nawet tak mimochodem, żeby sprawdzić czy żyje, czy serce mi bić nie przestało, jak mimochodem sprawdza przypadkowy przechodzień zboże, czy już dojrzało. Wysłałam na balkon. Głodna. Sprawdzam, ile czasu leciałoby moje śmiertelnie urodzone ciało tam na dół, na te wertepy pod oknem, wertepy, które w lecie zakwitają dzikim szczawiem i piolunem, bodiakami i dziką marchewką. Teraz jest to goła ziemia, obnażona, nastroszona, wstęp do grobu, opoka, o którą rozbiję się, cofnęłam się.

Drübenmann wrócił. Ogarnął mnie wstyd za moje zwątpienie. Wrócił cały rozjarzony, czuły. Gorejący krzak. Jego dłonie parzyły. Jesteś – mówiłam w kółko, jesteś, wreszcie jesteś, jesteś, który jesteś. Wyszlismy na ulicę, za drzwiami nie było przepaści, były schody śmierdzące zjełczałym masłem. Trzeba było napisać do Maali, obojętnie, czy siedzi i gra wstawki fortepianowe, czy nie, czy wpatruje się w portret babuni Lu, czy nie, trzeba było do niej napisać, tego sobie życzył Drübenmann – żadnych komplikacji, pamiętaj. Oni tam muszą wiedzieć, gdzie jesteś i że jesteś cała i zdrowa, zwłaszcza teraz, kiedy kilku naszych wpadło w drukarniami z całym materiałem. Teraz skład materiałów będzie tu, a ja będę go pilnowała, chłopcy będą dzwonili dwa razy cicho raz dłużej i głośniejsze i na powitanie będą

mówili „hej”. Drübenmann mówił szybko — zupełnie nie wiedział, co się stało, od Krystyny żadnych wiadomości, a miała dać znak zaraz po przylocie do Rzymu. I te wpadki. Chłopcy zaczęli przychodzić od jutra.

Pilam kawę, nalepiałam znaczki na kartce pocztowej, tarłam zalazwione oczy: nie zostawiaj mnie samej, prosiłam, proszę, proszę, tak bardzo proszę, prosiłam. Wróciliśmy z zakupami. Do raj, który już od jutra się rozdzwoni, dwa razy ciszej raz głośnie — „hej”. Ale teraz raj był jeszcze cichy, zielony, miękki, trwający do świtu. O świecie poprosiłam o kilka dni więcej, tylko o kilka dni więcej, kilka dni więcej razem, nie teraz, powiedział Drübenmann, nie trzeba się spieszyć, niczego popędzać, to przyjdzie samo, taki czas, kiedy będzie można razem więcej dłużej. W desperacji zapytałam, czy wykąpie się ze mną w morzu, taki mi przyszedł do głowy ślub, skoro żaden inny nie był możliwy, skoro nie było możliwe razem długo zawsze. Takie mi przyszło do głowy połączenie — południowego spokojnego jak łan wschodzącej pszenicy morza, zielonego z granatowymi plamkami, z zielonymi uważnymi oczami Drübenmanna, z granatową plamką w jego oku, wieczności z wiecznością, żywioł wieczny, i ja w tym żywiole naznaczona na wieki, z zieloną rośliną owoc dającą, która owoc da, byle tylko znaleźć się razem, wspólnie w południowym morzu. Morze koło Anzio, a jeszcze lepiej to, które okala wyspy włoskie, pojedźmy razem na Ischię, poprosiłam, kocham ciebie, powiedziałam, w desperacji czekając na potakujące kiwnięcie głową, na odpowiedź, ja również, po takiej odpowiedzi, po stronie Drübenmanna, byłam pewna, że słowa ciałem się stają i zaczynają żyć, czyniąc wszelkie odejście niemożliwym. Ale Drübenmann uśmiechnął się i zapytał mnie — pływasz? A potem dodał — nie popędzaj mnie, jeszcze przyjdzie czas na mówienie i plany, poczekaj, nie śpiesz się, i wyszedł. Wyszedł, a ja nie zemdlalam, ani nie posiwiałam, ani nie umarłam, zamknęłam za nim drzwi na zasuwę, postałam, wyszłam na balkon, popatrzyłam na wertepy i cofnęłam się.

Raj rozdzwoniony. Ci wszyscy chłopcy mówiący „hej”. Zostawiający papiery, teczki, skoroszyty, powielane ręcznie teksty. — Jak się masz — pytali mnie — wszystko o key? — O key — odpowiadałam, wiedząc, że nie pytają mnie ani o mój ból, ani o tęsknotę za tym, który wyszedł, ani o moje kolana starte do krwi klęceniem przed drzwiami, Boże daj, żeby to był Drübenmann. Wiedząc, że pytają o tych z teleskopowymi oczami, czy tu czasami nie filowali. O tych, których głos śmierdzi gumową pałką i władzą. Tych z za dużymi oczami, żeby cię lepiej widzieć, z za dużymi uszami, żeby cię lepiej słyszeć,

tych z za dużymi zębami, żeby cię lepiej pożreć, pozuć, przerobić na makulaturę, wysać z ciebie kosteczki jak z ptaszka, który chciał do Jasia, a wpadł w sidła, żeby cię podruzgotać, a podruzgotanego zamienić na kopczyk ziemi z krzyżykiem — Polska to muzyczny kraj, co krok to cmentarz, a na nim krzyże, cała Polska od wieków jest w tonacji molowej.

Polska to schizofreniczny kraj — mówiła Krystyna zanim wyjechała za granicę, trzymając to coś, co było do ukrycia w koszyku i neseserze — zwróciłaś uwagę, że w Polsce co krok mówi się ONI? ONI i my? ONI — ten odwieczny wróg ludzkiego rodzaju, owinięci w czerwone flagi dla niepoznaki, żeby im tak od razu nie było widać tych zębów, tych oczu, tych uszu, tych ust — tak mówiła moja siostra zanim moją siostrą została, a ja dziwiłam się skąd Krystyna wie to, co od czasu do czasu wyszeptuję na ucho sama sobie, nigdy przecież tego „oni” nie opowiadałam nikomu, zwłaszcza Krystynie. Emeryka przecież nie знаła.

Dostałam list od Maali, Maala w pierwszych słowach swojego listu donosiła, że minął miesiąc jak się widziałyśmy, że jej mąż czuje serce, że moje mieszkanko wysprzątane z gównem, która nazwała „popowodziowym szlamem”, że jakiś kot wałęsa się koło moich leśnobrodzich drzwi i miauczy, że stary Moździeń wyszedł ze szpitala, nie poznaje ludzi i wszystko mu się myli i nie chce wyprowadzić się od malarza Jamuły do swojego lokum i tylko na widok Karwackiego jęczy z zachwyty i nienawiści, przypominając mu, jak go kiedyś wybierali do rady zakładowej, oddano na niego — syczy, pokazując Karwackiego, który sinieje ze złości — tylko jeden jedyny głos, na reszcie kartek były wyrysowane barany z baraniami głowami, a potem okazało się, że wszystkie kartki były ważne. Karwackiemu oczy na wierzch wychodzą ze złości, na was, Moździeń, syczy Karwacki, za mało więzień wszystkich czasów, wam by się przydała dobra szubienica, co tam szubienica, jakaś gilotyna to dla was za mało, Moździeń. Ale ja ci tu gadu-gadu, pisała Maala a w Leśnym Brzegu same pogrzeby, pochowali my tę całą Madam, powiesiła się, i Antona.

Przestałam czytać, zrobiło mi się zimno od wiadomości z nie mojego świata, że świata sprzed mojego urodzenia, że świata, którym rządzą ONI.

Ci, przeciw którym w moim raju piętrzą się papiery. Zrobiło mi się jeszcze zimniej na myśl, że list od Maali jest pierwszym sygnałem, że trzeba będzie raj opuścić.

I tak się stało.

Przez kilka dni nie przychodził nikt, nawet wody zabrakło. A potem przyszedł Drübenmann. Objął mnie – moje serce bijące coraz szybciej. – Na nic nie ma czasu – powiedział. – Musisz wyjechać do Leśnego Brzegu, czekaj tam na mnie, ja do ciebie przyjdę, dam ci znak, teraz jedź.

Dowiedziałam się, że ONI skończyli raz na zawsze z Krystyną, ścignęli ją w ostatniej chwili z samolotu. Przez miesiąc siedziała w areszcie śledczym, nikt o tym nie wiedział, dopiero niedawno przedostała się wiadomość, że Krystyna nie żyje, popełniła samobójstwo. – Twoja siostra nie żyje. Uciekaj stąd, likwidujemy ten punkt, nie wolno, żeby cię tutaj teraz ktoś zobaczył, mimo iż przez cały czas uwięzienia Krystyny nikt się tym punktem nie zainteresował. Jedź, nie ma czasu na nic, na żadne tłumaczenia. I trzeba, żebyś była na jej pogrzebie, jeżeli będzie chowana w Leśnym Brzegu. Koniecznie. Tak oddamy hold twojej siostrze, nikt z nas na pogrzebie nie może być.

Zapakowałam w milczeniu do tobołka moją wiarę, nadzieję i miłość.

W Leśnym Brzegu same groby, miała rację Maala, chociaż pisząc list nie wiedziała, że grobów będzie jeszcze więcej, że pochowamy nie tylko Krystynę, ale i ojca Krystyny, który nie wytrzymał wiadomości o śmierci córki.

W Leśnym Brzegu Maala cała inna, czarna, zmalala, zaczadzona, zapowietrzona, zakapturzona, bez przerwy siedząca na ławeczce cmentarnej. I ja.

Ja, z pomyłonym językiem, z pomyłoną mową, w mieszkaniu wysprzątany, z kotem pod kozetką, która nie stoi już na środku kuchni. Ja z czerwonymi oczami, z palcami zaciągniętymi nikotyną, jak żałobą. Ja cała odurzona, nieszczęśliwa, że oddalona od Drübenmanna, szukająca w tym oddaleniu jego wyłącznej winy, ja, zaczajona, jak wąż w stogu siana, czekająca aż spłowieją wspomnienia, aż zabraknie mi dla niego, jak dla Atlantydy, najprostszego dowodu istnienia.

Ja, opętana, patrząca w otępieniu na poranki siwe od dymów kopalń i wiosennych mgieł przemykających pomiędzy domami, ja, paląca papierosa za papierosem, ściskająca głowę rękami. Ja, niespokojna nocami – moje sny rozpełzały się cicho, jak pająki po ścianie. Ja, rdzewiejąca w bezruchu do krwi, butwiejąca w niecierpliwym czekaniu.

Ja, oskarżająca Drübenmanna, że zamiast oceanu wspólnoty, słubnego wspólnego morza, wspólnego choćby na kilka chwil, bo ile można pływać, dał mi ocean niespełnienia, bólu. Wokół mnie wody

brudne i kipiele, wiry i kotłowiska, topiłam się w nich co krok. Źródło płynące z oczu nie wysychało.

Że zamiast ziemi pewnej swego czasu i istnienia, zamiast kilku dni jedności, wspólnego bycia razem, choćby kilku dni tylko, ile więcej można trwać w jedności, skoro przypadkowa wiewiórka jedność taką może spłoszyć, dał mi ziemię nieobiecana, pełną wadołów i grobów.

Zniknęły jego zielone uważne oczy, oczy z granatową plamką. I zniknie, uschnie drzewo we mnie i owocu nie zrodzi.

Zamiast w raju ocknąłam się w szalasie, trzęsąca się z zimna i strachu. Samotna, z tobołkiem, w którym trzeba było upchnąć w ciągu godziny całą nadzieję, wiarę i miłość.

Wygmana, z trzema bukiecikami, które wręczono mi na pożegnanie. Trzy czerwone róże, dwa pęki frezji – cały mój jaśmin.

Zeschły i sztywny, kruszący się, stoi w wazonie na poszczerbionym stole, patrzę na niego, na ten cały mój jaśmin, cała pomieszana, z pomyłonym, niewspólnym językiem, z mową pomyłoną, zeschła, sztywna, krusząca się. Pracująca. Dekoratorka wystaw leśnobrzeskich, tym razem sklepiki jarzynowe, nowalijki na wystawie, pomiędzy nowalijkami portrety kolejnych przywódców, obserwatorów bydła, pilnujących zrównanego w braterskim strachu stada.

ONI.

Trzeba mi było miesiąca, żeby dojść do tego, że nie zostałam wygnana przez Drübenmanna, że to nie on, ale ONI wygnali mnie.

Oni nie muszą wcale strzelać, drzeć skóry pasami, wyrwać języków, skracać o nogę, kazać wrastać w śmietniki, czy w cudze stajnie, oni mogą równie dobrze pilnować stada, powodując rozstanie, wyganając z raju.

Powodując, że stado tęskniące tym że jest stadem, i że sobie nawzajem przeszkadza, zacznie samo z siebie, z karabinem, w ciężkich butach przemierzać planetę i tępić siebie – ludzki ród, tęskniącym tkliwym, strzelając prosto w serce, zabraniając zawodów lekarza–chirurga–dramaturga.

Ale przyjdzie czas, kiedy stado tęskniących i tkliwych złoży sobie przysięgę na wierność, skoro nie potrafi tego żadna armia świata, i z karabinem, w ciężkich butach urządzi polowanie. Jeszcze zostaną myśliwym. Jeszcze przyjdzie na to czas. I na nich.

Przyjdzie na nich jeszcze czas, jeszcze czas, jeszcze czas.

Nie znalazłam słowa, które zmieniłoby ziemię jałową w życiodajną zielen, na razie znalazłam tylko zielen w oczach z granatową plamką,



I one do mnie wrócą, a jeżeli nie, to zanim mi przyjdzie umrzeć bez niego, kiedy zrozumie, że przed śmiercią zielone może być już dla mnie tylko niebo a granatową plamką wieczności tylko chmura na horyzoncie, poszukam śmiercionośnych słów dla tych, którzy to sprawili, dla tych dla niepoznaki spowitych w czerwone flagi, spotwornieję w Madam Frankensztajn; żeby nią być niekoniecznie trzeba wrastać w śmietniki, można sobie żyć cichutko w normalnym mieszkaniu, w normalnym obozie dla zdrowych umysłowo. Tylko oczy będą miała coraz większe, żeby ich lepiej obserwować i uszy coraz większe, żeby ich coraz lepiej słyszeć, i zęby moje też wyrosną, a będą nimi karteluski, które zapisują na wypadek, gdyby po rodzaju ludzkim miały pozostać tylko białe bielutkie papiery, papiery oczekujące, aż zejdziesz na ziemię ten, który się przed nami chowa. Który się schował przed takimi jakimi jesteśmy.

Kiedyś zacznie je czytać, te nasze księgi zażaleń, wcale nie białe i nie martwe, ale pulsujące od przelanej krwi.

I nie chcę już więcej leżeć wtedy w ziemi, niech wszyscy wstaną i niech wstanę ja, na sąd ostateczny, na świadkowanie przeciwko tym, przeciwko którym rosną mi uszy, oczy, ręce, przeciwko którym, na pohybel którym, mimo wszystko zasiane ziarno we mnie kiełkuje, staje się coraz większe i owoc wyda według rodzaju swego: kołysz, hołubi je moja odrodzona, wyciągnięta z tobołka wiara, nadzieja i miłość; będzie ono moją ucieczką, kiedy przyjdzie czas walki. Będzie moim pałacem ze stu pokojami, już nie jestem sama, nie tylko „ja” i nie więcej; jeszcze przyjdzie czas.

Koniec kwietnia. Wystawy udekorowane, fasady domów pomalowane, przez sklepy jakby się przeszedł pijany Priapus, wszystko jest, owoce cytrusowe, kielbasa zwyczajna, holenderskie masło, kolejki przed sklepami i nawet ten, który w kolejkach siada i wstaje i wszystko wie, bo się zna na polityce, też jest. Wszystko gotowe na pierwszego maja. Głośniki ryczą, grają marsze. Wiwaty, wrzaski, wszystko, co potrzebne, by zagłuszyć dźwięk kajdanów tysięcy niewolników, którzy wyjdą w dniu święta pracy na defiladę, na pochód, w całej Polsce. Nawet fajerwerki przygotowano do zagłuszenia i te sklepy pełne jada, żeby się lżej stąpało, żeby mniej słyszalny był kajdaniarski chód, żeby twarze jaśniały w nadziei na dobrą kolację. Coraz lepiej to widzę i słyszę, choć jestem zmęczona wystawami i czerwienią, której tyle dookoła. Zapada zmierzch, patrzę:

Jak stare robotnice wycięte kamienice,

cale w strupach i liszajach.

Na zaplutej podwórkach dzieci zachłanne jak drób przestały z mrokiem grać w cymburga.

Górnicy lejdą – fabrycznym syrenom, przodownikom pracy – górniczym panom dżentelmenom, zapatrzonym w telewizyjne światła odbicie marzy się jakiś gospodarczy cud – jakieś życie jak w Madrycie, jakieś desu by kobiecie, jakieś by z królika futro.

W ogródkach działkowych, pomiędzy zdziczałymi śliwami układa się do snu zdziczałe socjalistyczne jutro.

Na niebie błysnęły gwiazdy odległe i cenne jak przepita na pierwszego mamona.

Oknami i drzwiami sączy się noc czarna, jak krew górnicza niedotleniona.

Przed snem, jak przed zapadnią, bronią się tylko chuligani i kominy we wdowich siwych oparach.

Górnice miasto na górniczych podkopach leży sztywne i zimne jak na marach.

Warszawa, styczeń 1980.

Pierwodruk: Przedświt, 1984

*Historia choroby,  
historia żałoby*

## Rozdział I:

### Pistolety Pana Wondera

— Mein Gott! — zapiała hitlerówka. — Mein Gott — zapiał jej syn.

Szwabka darła sobie siwe klaki z głowy. Syn Szwabki dostał histerii i musieli go siłą wsadzać na ciężarówkę. Ciężarówka zatęchła jak na sąd ostateczny i zabrała siwą Szwabkę i jej szwabskie potomstwo. Szwaby miały czerwone oczy.

Z góry, z samego nieba, patrzyło na znikających duże, przekrwione słońce. Za ciężarówką gnał skomlący pies. Miał przekrwione ślepia. Z pyska kapiała mu ślina. Bobo nie zdążył go nawet kopnąć.

Kopnął za to grającą szafę, którą Szwabka próbowała przed jej wywleczeniem bezskutecznie zatarasować wejście do mieszkania. Szafa odezwała się melodią, którą czasami nuciła babunia. Babunia stanęła jak rażona:

— „Dla Elizy”!

Bobo popatrzył na babunię podejrzliwie. Żonę tatuńcia, Elizę — Bobo musiał nazywać ją mateczką — zakopali przecież na praruskim cmentarzu. Zakopali potajemnie, całą podziurawioną kulami jak durzłak.

Tatuńcio, kiedy wreszcie dotarli do niego po nocnym, strachliwym przedzieraniu się przez granicę, której jeszcze kilkanaście dni przedtem w tym miejscu nie było, która jeszcze kilkanaście dni temu nie oddzielała ogniem z pepesz domu z tatuńciem od wilegiatury z mateczką Elizą i babunią, tarzał się z bólu i bez przerwy kazał sobie opowiadać o ostatnich chwilach tego świętego Anioła, jasnowłosego promienia, mojej jednej, jedynej — jak powtarzał w kółko.

Ostatnie chwile jasny promień tatuńcia, jego jedna jedyna, jego Anioł święty, jego Eliza, przeżyła przed szóstą rano 25 września trzydziestego dziewiątego roku. Bobo dokładnie wszystko widział.

Przed willą Wonderów stała ciężarówka, do ciężarówki wleczono tłustą Niusię Wonder i panią Wonder.

Pan Wonder zwiślał z gałęzi kasztanowca.

Wisielec miał na imię Mojżesz i nie dalej jak poprzedniego wieczoru straszył Bobo:

— Pan jesteś niegrzeczny kawaler. A ja mam specjalny glejt u Pana Boga. Ja mam na imię Mojżesz. Mnie nic nie przeszkodzi, kiedy



ja będę chciał ciebie dotknąć laską, kawalerze. A jak ja już ciebie dotknę tą laską, to kawaler zmieni się w cichą skalę, z której popłynie ruczaj, taka wyraźnie czysta woda. I będziemy mieli wtedy z ciebie, kawalerze, pożytek. Bo z takiej wyraźnie czystej wody zawsze jest pożytek, a mieć z czegoś pożytek, to zawsze wygrany punkt u Najwyższego. Niech zatem kawaler siedzi cicho jak myszka. Mateczkę kawaler boli głowa.

Bobo nie cierpiał mateczki.

Przy mateczce zawsze trzeba było siedzieć cicho jak myszka i zbierać te punkty u Najwyższego. A jakby mało było tych punktów, to jeszcze trzeba było się uczyć na pamięć wierszy, które mateczka bezustannie pisała. Trzeba też było się uczyć na pamięć wierszy innych poetów. Bo poeci to sumienie narodu.

Czasami zaś mateczka przerażająco całowała go gdzie popadnie nawet po gołych piętach i nazywała swoim pieścidełkiem. Jako pieścidełko musiał paradować w sukieneczkach. We włosy wpinano mu kokardy – laleczce mateczki.

Przy mateczce nigdy nie było wiadomo, czy sad jest sadem, czy siedliskiem rozpacz.

Rankami sad najczęściej był wonnym sadem, a kwiaty radością życia.

Po południu sad stawał się bzykającym piekłem, kwiaty przeraźliwie cuchnęły zielskiem, a drzewa stawały się przykładem złe pojętego patriotyzmu: nie tylko sterczały i sterczały w jednym miejscu i nie dawały ochłody ani wytchnienia. Siąpiło przez nie światło tego bajecznego dziwołaga, tej wulkanicznej, opętanej gwiazdy, zwanej słońcem.

Wieczorem gwiazda z wulkanicznej stawała się zwyczajnym słońcem, niezwykłą, precudną czarodziejską kulą, a potem, w zależności od tego jak zanikała za horyzontem – malinową zasłoną, cytrynową poświatą, spojrzeniem ognistego Archaniola.

Rankami to ostatnie spojrzenie, wieczorne spojrzenie ognistego Archaniola, było tylko zapowiedzią. Czymś tak słodkim i tajemnym jak tajemne spotkanie.

Rankami mateczka nie trzymała przy skroni trzeźwiących soli ani nie pisała wierszy. Rankami wybiegała do wonnego sadu, by pośród kwietnej radości życia odnaleźć siebie po męczącej nocy. Po nocy pełnej majaków, oszalałymi snów, nagłych przebudzeń, skrzypiących szaf i podłóg, jakichś kroków pod oknami, szczekania psów, albo co gorzej, ich złowróżbnego milczenia.

Kiedy mateczka, przeżywając swoje ostatnie chwile przed szóstą

rano w trzydziestym dziewiątym roku wybiegła do wonnego sadu, Bobo nie zdziwił się.

Zastanowił go tylko jakiś warkot i przeciągły jazgowski. Wyjrzał przez okno i zobaczył tłustą Niusię Wonder ciągniętą do ciężarówki pękatej od jazgowskich ludzi. Zobaczył wleczoną panią Wonder.

Pan Wonder zwił z gałęzi kasztanowca.

Do jazgowskiej ciężarówki wleczono także wierzgającą mateczkę. Mateczka wrzeszczała jak jakiś brzuchomowca:

– Mordercy–bolszewicy–mordercy.

Ciężarówka odjechała. Na skraju lasu stał czołg i stali żołnierze.

Babunia dopiero po kilku dniach dowiedziała się, że nie ma po co i u kogo interweniować. Panią Elizę rozwalono serią z automatu.

Pani Eliza wyskoczyła z ciężarówki i zaczęła uciekać według wszelkich reguł – zygzakiem. Dostała serię.

Okoliczni chłopcy pochowali ją potajemnie, podziurawioną jak durzłak, w cudzej mogile.

Tatuńcio mogiły nie zobaczył. Od pierwszych dni wojny, tym bardziej po wojnie, miejscowość, do której co roku jeżdżono na całe lato – stała się świętą, praruską ziemią. Polacy nie mieli do niej prawa ni wjazdu, w odróżnieniu od szwabskiej ziemi, do której mieli prawa i wjazd, bo im się to od prawników należało – powiedział ten, który stemplował ich przesiedleńcze papiery. I który dodał:

– Panie, tam gdzie pan jedziesz z łaski mojej, z prośby swojej, złoto na ulicy sztabami leży. A tutaj co: gówno i smród. Mieliliśmy na przymusową wywózkę odstawić całą wioskę Ukraińców, Własowców niejakich, taka ich mać, uczciwszy dziecka uszy, a oni co? W nocy wszyscy gdzieś spieprzyli!

– To nie Ukraińcy, tylko Łemkowie, nie żadni Własowcy – wymaskło się tatuńciowi.

Ten, który chuchał w pieczątki nagle zastygł. Nadęło mu brzuch, jakby zamiast pistoletu miał w kaburze cekaem. Zapytał:

– Panie coś pan taki prawdomówny? Jedź pan, gdzieś się pan wybierał z łaski mojej, z prośby swojej. Sztos im w głos, Łemkom, Ukraińcom, Własowcom. Pan się naucz powojennych realiów. Co ich pan bronisz. Przesiedziałeś pan wojnę u Hitlera za piecem, czy na robotach?

Bobo zdrętwiał. Za chwilę wszystko się wyda.

Wyda się, że tatuńcio nie nazywa się Brylak Jan, i że prawdziwy Brylak Jan leży pod szczątkami swojej zwęglonej chaty. Że leży tam

razem ze swoim zwęglonym synem, Brylakiem Mieczysławem, synem Jana i ze swoją matką, Brylak Antoniną z domu Wiśniewska.

Wyda się zaraz, że ludowe wojsko polskie zwęgliło rodzinę Brylaków za to, że rodzina Brylaków nie uważała ludowego wojska polskiego za swoje ludowe wojsko polskie, wręcz odwrotnie. Za swoje narodowe siły zbrojne uważała, jak i reszta zwęglonych mieszkańców wsi, ten zawieszony, źle umundurowany, z przekrwionymi oczami, oddziałek tatuńcia.

Tatuńcio nie zwęglił się wraz z całą wsią, w której się stołował i gdzie miał leżeć, tylko dlatego, że pozwolił sobie na odwiedziny u syna i teściowej zmyślnie ukrytych w szopie innej lemkiowskiej wioski.

W jakiejś nie zwęglonej blaszanej kasetce odkrył papiery i metryki Brylaka Jana, syna Władysława. Jego syna Mieczysława. I jego matki, Brylak Antoniny z domu Wiśniewska.

Bobo nazywał się teraz Brylak Mieczysław. Mieczysław zaczął szlochać, wyć i puszczać wiatry. Nauczył się tego jako Bobo bezustannie ukrywający się wraz z babunią; takie wycie, szlochanie i puszczenie wiatrów okazywało się błogosławieństwem w razie czego.

Bobo zdenerwował się, że jego własny ojciec naraził go teraz na takie „w razie czego”. Puszczał wiatry, wył i wierzał nogami jak tłusta Nusia Wonder ciągnięta do ciężarówki. O tatuńciu zaś myślał:

— Skurwiel jeden. Jeszcze sekunda a powie, co już raz powiedział do babuni: jak się dowiedziałem, że Gucio Paszkiewicz dowodzi w tym rejonie ludowym wojskiem, to nie trzeba mi nawet mojego rozwalonego oddziału, żeby chcieć się na lewe papiery na Zachód przedostać, by tam osobiście zapoznać Andersa z tym, co też teraz robią jego rodzeni koleżkowie, bitni generałowie.

Gdyby Bobo jak Miccio, nie musiał teraz, dla uratowania sytuacji, wyć i puszczać wiatrów, to wyrecytowałby tatuńciowi wiersz mateczki Elizy:

żał jak cmentarz opis na kartce papieru,  
kartkę spopiel, kartkę spal, jak spaliło wielu.  
Idąc ścieżką, tą do nieba, cierniową,  
wesprzyj serce ostrym nożem, niemową.

I dodałby — włóż sobie do serca ten nóż, ale przedtem wyprowadź mnie stąd na te złotodajne szwabskie tereny. Teraz nie wolno ci mówić niczego, co sprawiłoby, że zostanę znowu sam na sam z babu-

nią tutaj, w tej miejscowości, z której w ciągu jednej nocy spieprzyli wszyscy Łemkowie—Ukraińcy—Własowcy—Bandyci.

Nie do wyobrażenia było, by znowu musiał się zacząć ciągać po wertepach, cudzych piwnicach i schronach. Jeść podgnile ziemniaki albo oskubywać, jak koza, witki łożyny. Tak się zdenerwował na tatuńcia, że chętnie by go usadził pod ścianą jak trzydzięści lalek Niusi. Bobo usadził je pod ścianą jej własnej willi i natychmiast rozstrzelał, mierząc do nich z wysmukłego, ozdobnego pistoletu. Babunia belkotała:

— Proszę ten pistolet natychmiast położyć na miejsce.

Bobo wynalazł ten pistolet i jeszcze jeden pistolet, dokładnie taki sam, w kasetce, kasetka leżała w szufladzie biurka pana Wondera — i ani myślał kłaść go z powrotem.

Lejtnant Bubowkin konał ze śmiechu patrząc jak Bobo dokonuje egzekucji. Lejtnant Bubowkin trzydziestej szóstej lalce wpakował nawet prawdziwą kulę w porcelanowe, podmalowane, ocienione woalką oczy: — Ot, kakoje scjerwo.

Mateczka Eliza, zanim została podziurawiona jak durszlak, ciągle recytowała taki wiersz:

— Popatrz popatrz ile rzeczy na tym świecie.  
Popatrz popatrz ile serc na tej planecie.  
Popatrz popatrz — zamknij oczy, nikt nic nie da,  
na tę drogę, tę ciernistą do nieba.

Przy lejtnancie Bubowkinie nie trzeba było zamykać oczu ani ciągle myśleć o jakiejś tajemniczej ciernistej drodze do nieba. Lejtnant nie powtarzał w kółko, że nikt nic nie da, tylko dał mu od razu wszystko.

Sam sobie wziął tylko pięć futer, odstrzeliwszy zamek od szafy pani Wonder. Przy okazji odstrzelił również Mojżesza Wondera z gałęzi kasztanowca. Był już na to najwyższy czas, bo kiedy nad sadem stawała noc wysoka i przeświecona jak dworzec we Lwowie, od pana Wondera ciągnęło smrodem. I Bobo, żeby mu się móc przyglądać z bliska, musiał trzymać tuż przy nosie trzęziące sole. Sole te też musiał trzymać przy nosie, kiedy tak sobie siedział w bibliotece pana Wondera i darł systematycznie książki. Nie było w nich ani jednego obrazka. Pan Wonder kłamał, kiedy siadywał jeszcze pod kasztanowcem i, postukując swoją czarodziejską laską, mawiał:

— Te książki, kawalerze to wielkie obrazy świata, to oceany mądrości. Kiedy podrośniesz pozełgujesz po nich. Każde w nich słowo to

ład tajemniczy, pelen skarbów, to złote klucze do losu i przeznaczenia. Teraz patrz na nie z daleka i siedź cicho, bo panią Elizę głowa boli, siedź, patrz i rośnij cicho.

— Nie rycz jak zarzynane cielę, bądź cicho — temu chuchającemu w pieczętki, temu z napęczniałym cekaem na brzuchu złagodniały oczy: — Nie rycz jak zarzynane cielę. Też mam panie, jak tam panu z nazwiska, panie Brylak, takiego berbecia. Też nerwowo taki. Wojna, sztos jej w głos, takiego go zrobiła. Z łaski mojej, z prośby swojej, przechodzić.

Przeszli.

W szwabskim mieszkaniu można się było taplać w przedmiotach. Szwabka (babunia cicho mówiła — nie mów Szwabka) niczego ze sobą nie zabrała, chociaż miała aż dwie i pół godziny do spakowania. Zamiast wszystko układać w stosy i kupki biegła z kąta w kąt, płakała i machała przez okno chorągiewkami, czerwoną i białą-czerwoną.

— Jezdem autochtonka. Nicht Deutsche. Jezdem Ślązaczka — chrypiała i pokazywała chorągiewkami na siebie i swojego syna: — My Ślązaki, Alianci dobre, Polskie dobre i Ruskie dobre. Hitler kaput i to dobre.

W końcu musiano ją wlec, chociaż zagroziła się grającą szafą.

Bobo wyjął schowane w skrzynce z ziemniakami wysmukle, ozdobne pistolety pana Wondera i powiedział do grającej szafy: — Bach, bach.

Babunia go skorygowała — nie Bach tylko Beethoven, wnusiu.

Tatuńcio wyjął chorągiewki z dzbanka z kompotem. Wetknęła je tam szwabka, zanim ją wywlekli. Powiedział do babuni:

— Już od dwóch miesięcy mama nie ma prawa wiedzieć, kto to był Beethoven. Mama jest Brylak Antonina z domu Wiśniewska. Niech synek odłoży te pistolety.

Synek nie odłożył pistoletów. Nigdy ich sobie nie dał odebrać. Nawet wtedy, kiedy babunia przebierała się w wyszywaną krzyżkami w czerwone i czarne kwiatki koszulę, chłopskie łapcie i syczała jak gąsior:

— Zostaw te pistolety, wnusiu. To jest własność świętej pamięci męczennika, pana Mojżesza.

Bobo po raz pierwszy spróbował wtedy wycia, szlochania i wierzenia nogami. Poskutkowało. Lejtnant Bubowkin mógł w każdej chwili zajrzeć do nich i zobaczyć, co się święci. Babunia się tego wystraszyła i skapitulowała.

Do tej pory babunia była krucha i zwiewna, aż się bał siadać jej

na kolanach, że się załamie. Teraz wyglądała w tych babiastych spódnicach i łapciach jak zwalista Paraska, której mąż wyjechał aż do Brazylii, skąd napisał, że to jest taki kraj, gdzie się chodzi do góry nogami i gdzie wszystkie baby są krwiste, więc Paraska zgłupiała.

Bobo zaczął chodzić za babunią krok w krok, mierząc do niej z uratowanych pistoletów. Nie zwracała na to uwagi, cała wyczulona na to, co robi lejtnant Bubowkin i jego towarzysze-bolszewicy-mordercy.

Żarli właśnie śledzić nad stawem, popijali wodą i opierali się o czołg.

Zanim babunia spakowała tobolek Bobo zdążył jeszcze w ogołonej spizarce powiesić na sznurze do kielbas trzydzieści sześć rozstrzelanych lalek, tę trzydziestą szóstą za nogi, bo nie miała głowy.

Wymknęli się tylnymi drzwiami i od razu zaczęli biec. Babunia denerwowała się:

— Szybciej, wnusiu, szybciej i ciszej, bo jak nas zobaczą, to upieką jak tego wieprzka.

Nie uwierzył jej ale się przestraszył skwierczenia skóry i bąbli na ciele.

Kiedy tatuńcio powiedział — wszystkich nas zaaresztują, Brylaku — nie mają prawa posiadać pojedynkowych pistoletów — nie uwierzył ale się przestraszył piwnicy, szczurów, żarówki świecącej prosto w oczy i białego orla bez korony na ścianie, na której jeszcze tylko wisiała mapa Polski w jej powojennym, pojaltańskim kształcie.

Opowiadał o tym wszystkim jeden z przesiedleńców, bezzębny i z wybitym okiem. Wybite oko nie było przesłonięte żadną przepaską. Przesiedleńiec wskazywał na nie palcem:

— Czy to oko nie widziało czasami gdzie Ognia? — zapytała mnie władza. — A jakże panie władza, widziało, co dzień w piecu ogień huczy. — Władza bach mnie w szczękę i kontynuuję: pytałem, czy to oko widziało niejakiego Kurasia. — A jakże panie władza. Widziało tomiki jego poezji, moja pamięć do dziś dzień pamięta tytuły: „Dzwon chłopska pieśni”, na przykład. To był ludowy poeta, zmarł w roku dwudziestym dziewiątym. Żywego moje oko nigdy go nie widziało.

Palec władzy sięgnął oka przesiedleńca: — Za dużo masz oczu wykształcony bandyto, judasz.

Wykształcony bandyta, judasz, uśmiechnął się, kiedy tatuńcio powiedział do niego cicho: — Pan jesteś taki nieostrożny, nie należy powtarzać tej tragicznej dyskusji.



Uśmiechnięty, nieostrożny, wykształcony bandyta, judasz, odpowiedział:

— Nieostrożnie jest być ostrożnym. Ostrożność pozwoliłaby mi mieć dwoje oczu, ale zabrałaby honor, duszę i tożsamość. Z takim brakiem byłbym większym kaleką.

Bobo oddał tatuńciowi pistolety, ale się zastrzegł, że je odbierze jak tylko znajdzie dla nich schowek.

Babunia usiadła: — Trzeba się rozpakować. Nie wyszedłbyś się przespacerować, wnusiu? Tylko nie za daleko, pas trop loin!

Tatuńcio zaczął przemówienie:

— Mamo, dwa miesiące już uczę, że mama jest niepiśmienna chłopka, mama nie zna żadnego francuskiego. Mama powinna mówić do Miccia Miccio a nie wnusiu ani Bobo. Mama powinna mówić na przykład tak: idźse Mietek polataj po polu. Albo: chodźse Mietek żwawiej, bo wiece przeciąg. Albo patrzy mama przez okno na rododendrony, ale nam nie wolno wiedzieć, że to są rododendrony, nam wolno wiedzieć tylko tyle, że to są jakieś krzaki, tylko takie dziwne, więc mama mówi: dyć ale śmieszne krzaki, polataj se po polu Mietek kole tych dziwnych krzaczysków.

Mietek przecisnął się obok grającej szafy. Chętnie by ostrzelał tatuńcia, ale nie miał już czym. Wybiegl se więc polatać po polu kole dziwnych krzaczysków.

Pole okazało się tym samym, czym było przed godziną: podwóreczkiem, na którym stała kamieniczka. Za kamieniczką była szosa. Nad szosą wisiało ogromne, czerwone słońce.

W krzaczyskach za podwóreczkiem, naprzeciw okna, w którym widać było głowę babuni, stała tablica z napisem, a pod nią jakiś taki szczuplutki, małutki mężczyzna. Bobuś się wystraszył, że to jakiś szwab-hitlerowiec, ale szwab-hitlerowiec odezwał się po polsku:

— Popatrzcie chłopcze na to przykazanie.

Wskazał na napis na tablicy: NIECH ŻYJE I UMACNIA SIĘ WŁADZA LUDOWA.

Mietek przeczytał na głos wskazany napis i przeląkł się jeszcze bardziej. A może on powinien być analfabetą? Jak babunia?

Szczupły, małutki powiedział:

— Ja tam, chłopcze, w żadne przykazania już nie wierzę. Szedłem sobie nie tak dawno temu spokojnie szosą a tu patrzę na parkanie namalowane damskie usta a pod nimi napis: chcesz mieć przyjemność, pocałuj. No i w trakcie tego całowania drzazga mnie w język weszła.

## Rozdział II:

### Pięć lat później: Podwieczorek

Taras willi zasłany był dywanami, obwieszony lampionami. Na dywanach stały stoły. Na stołach stała wódka w wiaderkach z tłuczonym lodem i miski ze śledziem w oliwie i z cebulką. Wkoło stołów siedzieli goście. Mietek próbował ich policzyć ale mu się myliło.

Ojciec Franka Sokalskiego siedział trochę na uboczu i grał na grzebieniu owiniętym bibulką do papierosów: — Lecą świetliki, lecą, lecą. Świecą świetliki, świecą, świecą.

Z kuchennych drzwi wybiegła panna Władzia. W rękach trzymała dymiący baniak. Goście zaczęli wykrzykiwać: — Bigos, bigos. Dawajcie talerze. Gdzie są łyżki. Kto by jadł bigos łyżką. Przecież nie je się bigosu widelcem.

— Pozwól caryco czarnobrewa — powiedział do panny Władzi kwadratowy mężczyzna w czarnym, zaprasowanym na sztorc garniturze. Odebrał jej baniak z bigosem i ustawił na stole. Potem nalał do szklanki wódki i podetknął pod usta panny Władzi. Upiła, przykucnąwszy, bo kwadratowy mężczyzna był od niej niższy. Polalo się jej po brodzie. Zachichotała.

— Do dna, caryco — ponaglił ją mężczyzna.

— Do dna — zażądali goście.

— No pij-żesz do dna — rozkazała matka Franka Sokalskiego.

Panna Władzia wypila do dna, zakaszła, zasłoniła usta dłonią i pobiegła z powrotem do kuchni.

— A gdzie to? — zdumiał się kwadratowy.

— Ma jeszcze roboty. Torty trzeba pokrajać, kawy zaparzyć — odpowiedziała mu matka Franka Sokalskiego.

Mężczyzna popatrzył za panną Władzią jak za ginącym za zakrętem pociągami. Zdecydowanie zgasił papierosa. Pochylił się nad ojcem Franka Sokalskiego.

— No to i ja trochę te torty pokrajam. Tak czy nie?

Zanim zamknął kuchenne drzwi przyglądał włosy. Goście krzyknęli za nim: — Uuuu! Gorzko!

Tego Mietek nie przewidział. Że i tu mężczyźni będą przyglądali włosy.

Ojciec Franka Sokalskiego często wynajmował z kamienicy, w której mieszkał Mietek kobiety na podwieczorki, a to obywatelkę

Felicję Bakledową, a to panią Kilowską. Trzeba było kury zabijać i patroszyć. Kremy ubijać trzepaczką. Kiedy pani Kilowska powiedziała do babuni, że tym razem Sokalski zaprosił do willi tę szkirę, hamankę i szlaję, Mietek od razu domyślił się, że tu chodzi nie o trzy różne baby, tylko jedną — pannę Władzię.

Panna Władzia według pani Kilowskiej nie żyła jak człowiek po bożemu — tylko Boga w sercu nie miał, nie ubierała się — tylko sztafirowała, hadra. Nie piła wina, jak inni, tylko wódkę żłopała, czerpucha. I nigdy nie kłaniała się pierwszej, murga jedna. Mytka, szlompka i syromudra.

Chmary mężczyzn przechodziło przez podwórze Mietkowej kamienicy. Wszyscy szli do panny Władzi. Zanim zapukali do drzwi pokoiku na pierwszym piętrze przyglądali włosy. Niektórzy zanim je przyglądali odlewali się w korytarzu za cynkową wanną.

Panna Władzia zdejmowała dla nich kaprony.

Mietek to podpatrzył przez dziurkę od klucza. Ale to był zły punkt obserwacyjny. Potem znalazł lepszy: tablicą z napisem NIECH ŻYJE I UMACNIA SIĘ WŁADZA LUDOWA.

Tylko, że w jakiś czas potem pan Stasiulek wszedł mu w paradę. Pan Stasiulek bardzo się zdenerwował, kiedy zobaczył wspinającego się na tablicę Mietka. Tablica niebezpiecznie się przechyliła pod dwoma na raz obserwatorami. Ale pan Stasiulek nie był chytry gnój, tak powiedział.

— Nie jestem chytry gnój, patrzaj i ty sobie gnytku. Taki ty ci to ty już nie jesteś. Ale — trącił Mietka łokciem — ona ma cyce. To jest jakiś szwindel, takie zjawisko przyrody, nie może istnieć. Gdyby cyce mojej starej miały takie same strome brzegi jak u panny Władzi, to zakwitłbym co noc jak ta grusza i jabłonia.

Miccio zsunął się z tablicy i pognął do pralni, żeby też zakwitnąć jak ta grusza i jabłonia i się uspokoić.

Już nie próbował się uspokajać na polówce w kuchni, wciśnięty między zlew a kredens Niemry, bo kiedy raz spróbował ciemną nocą, to szklanki i talerze w kredensie tak zaczęły podzwaniać, że babunia obudziła tatuńcia.

— Słuchaj no, Tońciu — zawołała zza szafy. — To chyba bombowce lecą, że tak dzwoni.

— Ssss! — zasyczał tatuńcio ze swojej leżanki. — Już od jakiegoś czasu nasłuchuję, ale to chyba nie bombowce, tylko czołgi idą na Wrocław.

I zaraz zdenerwował się: — Tylko nie Tońciu, mam, tyle lat ucze,

że Jan mi na imię, niech mama wreszcie zapamięta. Przecież musimy jakoś wszystko przetrwać.

To był prawdziwy fiś tatuńcia — jak tu przetrwać na cudzej ziemi, w cudzym mieszkaniu, w cudzej skórze, z cudzymi papierami wciśniętymi w szufladkę cudzej szafy. Szwabka nie miała biurka.

Mietek z wściekłości na kwadratowego, że tak sobie przyglądał te swoje siwe kłaki, aż wcisnął twarz w poszycie, w igliwie i zeszcł liście. Taki kawał drogi biegł, że aż go w boku klulo. Tak przemysłnie się schował, żeby patrzeć z daleka jak panna Władzia podaje do stołu podczas podwieczorku, a tu okazało się, że będzie dla kwadratowego kaprony w kuchni zdejmowała i nawet tego nie będzie można podpatrzeć.

Błysnęło po raz ostatni pomarańczowe duże słońce. Zapadło się za lasek. Zrobiło się chłodno. Igliwie zapachniało piwnicą i zgniłymi ziemniakami. Potem trzasnęły kuchenne drzwi.

Z willi, zapinając zegarek na rękę, wyszedł kwadratowy.

— Wszystko gra? — zawołał do niego ojciec Franka Sokalskiego. Kwadratowy podszedł do stołu, nalał sobie wódki, wypił i odpowiedział:

— Gra. Orałem jakim mógł. Orka zaś nie ślub ani nie wesele, że się tak ośmielę. Tak czy nie?

Goście zaczęli się śmiać. Matka Franka Sokalskiego aż krzyczała — trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam, ha ha ha — i biła się rękami po udach.

Kwadratowy popatrzył na zegarek, na rząd samochodów stojący przy parkowej bramie i odciągnął ojca Franka Sokalskiego pod sosenki, pod którymi kuczał Mietek.

— Zmartwię was, kolego. U was, zawsze jak w raj, ale ja muszę jutro z rana do centrali, choć niedziela, ale dla nas kolego piątek, świątek zawsze robotny. A dzisiaj chciałem jeszcze dokończyć tę lekturę, bo klasówka za pasem. Wy, kolego, nawet nie podejrzewacie, co to za męka. Wam nikt matury nie każe zdawać. Co mnie obchodzi ten pieprzony Gogol z tym swoim pieprzonym Cziczikowem. Tak czy nie? Ot jeździ sobie taki pieprzony Cziczikow i węszy. Swoją drogą ten pieprzony carat był głupi głup. Tak sobie pozwalać, żeby jakiś niezidentyfikowany obywatel jeździł i węszył za martwymi duszami. Teraz, to by mu nie uszło nigdzie na pół kroku, bo wyobraźcie sobie, że przyjeżdża taki do naszego miasta i dawaj węszyć i kelnera z hotelu przesłuchiwać: czy dyrektor zjednoczenia, to lajdak, kto to jest pierwszy sekretarz i jak żyje z żoną, kim jest prezes sądu a kim prokurator i kto i na co w mieście choruje, na jaką gruźlicę. Zanim

wywęszyłby taki jaką martwą duszę, sam by nią został, pieprzony. I to z artykułu o szpiegostwo. Tak czy nie?

Mietek zdrętwiał od tego kucania, więc zaczął się wycofywać jak mógł najciszej, na lokciach i kolanach. Tak cichutko, żeby go tu kto nie dosłyszał i nie zlikwidował z artykułu o szpiegostwo.

Wydawało mu się, że minęły wieki, zanim doczłogał się do ciągnących się po czarnej linii horyzontu zagonów kapusty.

Świecił już księżyc, choć ledwie, ledwie. W jego świetle główki kapusty nie wyglądały jak zwyczajne główki kapusty, ale jak głowy umarłych, wystające z czarnej otchłani ziemi. Mietek w sąd ostateczny nie wierzył, ale się przestraszył, że to może jednak wcale nie żadne główki kapusty, tylko głowy umarłych, a ta największa głowa, o którą się potknął, to głowa pana Kilowskiego.

— Na tym świecie pewny jest tylko brud — mawiał pan Kilowski, kiedy jeszcze żył, choć już tak kaszlał, że pani Kilowska szeptała do babuni: — Niedługo pociągnie. Na księżą oborę już mu się patrzy, nieborakowi.

— Brud tylko jest pewny. Nic nie jest tak pewne jak brud. Nawet śmierć nie jest taka pewna. W końcu Henoch żyje sobie chyba nadal do tej pory. Kto to wie. A Łazarza wskrzeszono. Powiedziano mu: wstań i idź, i on wstał i poszedł, choć już był nieboszczykiem. Ale nie jestem taki przekonany, że mnie się akurat uda wywinąć śmierci — pytał się pan Kilowski tego, który miał czas, żeby go słuchać.

Słuchający przestępował z nogi na nogę i uciekał wzrokiem na boki; przypatrywał się z uwagą temu, co się do patrzenia nadawało: tłustej plamie na ceracie stołu, świętemu obrazkowi na ścianie. Niebu: czy czasami z niego coś nie zacznie padać. Jakiś grad albo deszcz. I czekał, aż pan Kilowski wypowie wreszcie z namaszczeniem, jak każdy umierający, swoją ostatnią wolę.

Tę jego ostatnią wolę wszyscy już znali na pamięć. Mietek też.

Na Angielskim Bulwarze, w słońcu słodkim pożarze,  
nad Nicejską Zatoką Aniołów,  
kawiarenka malutka, w kawiarence wątlutka,  
Matka Boska zasiada u stołu.  
Też na chwilę bym usiadł w cieniu jej kapelusza,  
wypił kawę, przeczytał gazety.  
To ostatnie życzenie, to ostatnie marzenie,  
nieznanego polskiego poety.

Na trzy dni przed oczekiwaną od dawna śmiercią pana Kilowskiego, okazało się, że o kulturze narodu polskiego będzie decydowała ilość będących w obiegu rdzennych, narodowych słów. Tak powiedział ojciec Franka Sokalskiego schowany za czarną, lśniąca wolę, przypalający papierosa za plecami szofera.

Szofer osłaniał go od wiatru i od zgniłych, przemokłych liści zwiewanych ze źle zamieczonego podium.

Na podium odbywała się uroczystość nadawania orderu żonie pana Stasiulka.

Dyrektor Państwowego Gospodarstwa Rolnego „Jutrzenka” przekrzykiwał dujawicę:

— Naszą chlewnią czujnie dyryguje obywatelka Felicja Bakleda, fanatyczka w pracy i rodzeniu. To ona wykryła w rododendronach zbrodniczą rękę, która podniosła się na zdobycze ludu pracującego miast i wsi.

Zona pana Stasiulka miała jak zwykle czerwony nos. I jak zawsze sterczał jej brzuch. Pan Stasiulek przestał wierzyć w cokolwiek od czasu, kiedy pocałował usta wymalowane na parkanie tak, że weszła mu drzazga w język. To, że z brzucha jego żony wyjdzie kiedyś takie zjawisko przyrody, jak żywy człowiek, też już nie wierzył, choć próbował: — Tak, tak — biadał. — Co rok się czeka na proroka, ale zariutko umiera chudzina albo i nieżywa na świat przychodzi.

Zaledwie urodzonych umarłych proroków państwa Bakledów wynosiło się w małych, zbitych z sosnowych, chropawych desek, trumienkach i chowało za cmentarnym murem bez księdza, chrztu i krzyża. Obywatelka Bakledowa nie uznawała takich zabobonów.

Czasami tylko żalowała, że innym, to dzieci umierają trochę później. Gdyby jej dzieci — żalowała — umierały na przykład dopiero dwudziestoletnie, to można by im było chociaż Międzynarodówkę zagrać.

Ojciec Franka Sokalskiego popatrzył z niesmakiem na dyrektora Państwowego Gospodarstwa Rolnego. Potem rozejrzał się po otaczającym podium tłumie, po uczniach karnie ustawionych w czworobok, po przedstawicielach prasy, przytrzymujących skórzane płaszcze, których poły szarpały rozszalałe podmuchy. Potem wzrok jego spoczął na Franku i Mietku, wyróżnionym, bo pozwolono mu stać nie razem ze szkołą, ale obok Franka, ojca Franka, szofera i czarnej wółgi. Potem pochylił się i powiedział z namaszczeniem: wiatr zelżał.

— Wiatr zelżał i pamiętajcie chłopcy, co powiem. O kulturze narodu polskiego świadczy ilość, będących w obiegu, rdzennych, narodowych słów. Nie mówi się już „rododendrony”, bo to jest germanizm,



czyli hitlerizm. Rododendrony po polsku nazywają się podkarpackie azalie, chociaż rosną na Śląsku. Wszystko w Polsce Ludowej ma swoją rdzenną, narodową nazwę, a obce ideologicznie słowa należy tępić jak dzikie chwasty. Jak wrogów ludu: akowca, czy jehowitę, czy Jamulę artystę niejakiego.

Urwał, bo znowu zawiało, popatrzył na niskie, ołowiane niebo i prawie wrzasnął:

— Zimno mu będzie teraz, artyście niejakiemu, Jamule. Chłodno mu się teraz robi, artyście, teraz sobie zaśpiewa na stos, na stos. Za trzy dni spadnie śnieg.

Mietek ucieszył się — za trzy dni napada skrzącego, puchatego śniegu. Podwórce przestanie cuchnąć szambem. Zacznie na nim pachnieć jak od suszącej się na stryszku bielizny panny Władzi. Ojciec Franka Sokalskiego nigdy się nie mylił.

Jak powiedział, że to Amerykanie rzucają stonkę na polskie ziemniaki, to trzeba było tę stonkę zbierać aż do wykopków.

Stonka miała panczyk jak amerykańska flaga, tylko nie w tym kolorze były paski i nie miała gwiazdek.

Trzeba było ją wtlaczać do butelek po wódce i zabezpieczać jako dowód rzeczowy, ustawiając te dowody na półce w gabinecie geograficznym tuż pod olbrzymią planszą z namalowaną pierwszą, bezimienną małpą, schodzącą właśnie z drzewa, żeby się wreszcie uczłowieczyć.

Pewnego dnia odkryto na planszy malutki podpisik: KOMU W DROGĘ TEMU CZAS.

Była awantura i śledztwo. Początkowo śledztwo utknęło na martwym punkcie. Chociaż Mietek był przekonany, że napisik napisał pan Kilowski, bo tylko on jeden nie wierzył w Darwina.

— Panie — mówił do tatuńcia. — Panie, co to za logika. Powiadają, że małpa zeszła z drzewa, schwyciła za narzędzie i zaczęła myśleć, a jak zaczęła myśleć, to zaraz przestraszyła się błyskawic, skał, drzew, z których zeszła i pomyślała, że to bóstwa i zaczęła się do nich modlić. Ja się pana pytam, panie Brylak, czy jakby pan był szpakiem i od zarania jako szpak żał czereśnię z czereśni, to czy odrunawszy z czereśni, zacząłby pan sobie myśleć, że czereśnia to bóg i bałby się jej pan?

Mieciec powiedział o tych szpakach Frankowi. Franek jednak następnego dnia pokręcił przecząco głową.

— Coś ty, jakie szpaki. Nie nadają się. Ojciec mówi, że napis napisał niejaki Jamuła. Już go aresztowali.

No i okazało się, że to naprawdę niejaki Jamuła. Jak się za niego

wziął trzech braci Goła, milicjantów, to sam się przyznał do wszystkiego.

Pan Kilowski nie był z tego zadowolony, choć rozumiał Jamulę.

— Też bym się przyznał do wszystkiego, gdyby mnie właśnie oni wzięli w obroty. Wystarczyło mi jak się mną raz zajęli na ulicy. Nie mogłem dojść do domu, bo dusił mnie kaszel, patrzę, a tu oni przede mną stoją i wmawiają mi, że jestem pijany pijak i się zataczam. Mówię, że to nie wódka, tylko gruźlica a oni na to, że przez takich jak ja gruźlica jest dżumą dwudziestego wieku i psuje władzy statystyki, choć władza z taką troską pochyla się nad chorymi i kalekami. I pac mnie w czoło, aż się sturlałem z pobocza do tego ścieku w rowie, ale się nie utopiłem, bo mnie wyciągnęli i powiedzieli, że jeszcze czego, topić mi się zachciało i pac mnie w czoło...

Napis pod małpą został zamalowany a Jamuła wyszedł z aresztu po miesiącu.

Jamuła był malarzem i podtykał ludziom pod same oczy jakieś kartoniki. Ludzie przerażeni uciekali od tych kartoników i od malarza, bo wiedzieli, że z Sokalskim nie ma co zaczynać, zwłaszcza, że na kartonikach były wymalowane takie sprawy, że każda z nich podpadała pod karny kodeks, jakieś hałdy węgla oblepione czerwonymi pluskwami, jakieś twarze bardzo, bardzo podobne, które zamiast oczu miały sierpy i młoty i ptaki pokoju z gąsienicami od czołgów zamiast odnóży.

Tylko babunia patrzyła litościwie na Jamulę i dawała mu kromki chleba, czasem chochlę kapuśniaku: — Nic więcej nie mogę zrobić dla pana, panie Jamuła. Tylko niech pan przestanie malować, bo to się źle skończy.

Malarz chleb przyjmował, kapuśniak zjadał i śmiał się głośno, że ma wariackie papiery, a mieć wariackie papiery, znaczy wolność.

— Jest takie przysłowie teraz — odpowiadał babuni — że wolność to uświadomiona konieczność, a ja na to się nie zgadzam, bo wolność, to wariackie papiery. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza też jest wolna dlatego, że sobie wyrobiła wariackie papiery i teraz robi, co chce, z kim chce i jak chce. To też wielka artystka i nie pytając nas o zgodę zamalowuje Polskę na czerwono.

Babunia chociaż raz miała rację, że dla Jamuły źle się to skończy, chociaż zwykle racji nie miała, uczyła na przykład Miecia, jak był jeszcze Bobo, że nie rzucać ziemi skąd ich ród i nie dawać pogrześć mowy, a tymczasem ziemię rzucili i tak wyrwali, że aż ich w boku kłuło, tak gnali bez tchu przez łąki, laski, cudze sady, omijając ścieżki, szosy i większe zgrupowania zabudowań. A mowę też musiała porzucić,

odkąd przestała być szlachcianką i stała się prostą chłopką. Nie mogła już mówić, jak niegdyś – o *quel malheur*: ale: to Jezusieczku najmiłszy, a to ci mam zgryzotę – kiedy Mietek komu proca okno wybił.

Kiedy na chlewni Państwowego Gospodarstwa Rolnego „Jutrzenka” zbrodnica ręka wymalowała napis – UBÓJ JEST TO NASZ OSTATNI, to nie trzeba było ojca Franka Sokalskiego, żeby wiedzieć, kto kocha w miasteczku robić nielegalne napisy.

Bakledowa zeznała pod przysięgą, że widziała Jamulę osobiście na czynieniu czynu oraz że widziała osobiście jak potem skrył się wśród rododendronów, tam go też za rękę złapała i mocno przytrzymała, choć się wrywał.

Stało się tak, jak ojciec Franka Sokalskiego przewidział. Nie minęły trzy dni, kiedy niebo z czarniawego, czasem ołowianego i dującego wiatrem stało się jakoś dziwnie jasne i zaczął padać śnieg. I to od samego rana.

Była akurat sobota i Miccio nie musiał iść do szkoły, wybiegł więc sobie na ten świeży, pachnący śnieg. Śnieg lśnił jak bielizna panny Władzi. Koronkowa i śmieszna. Haleczki. Paseczki, koronkowe majteczki. Babunia takich nie miała. Babunia miała rozciągliwe, olbrzymie, pocerowane, szare majtki, wielkie jak dryfkotwy, tak orzekł pan Stasiulek, który dryfkotwy widział na morzu.

Miccio brzydził się bielizną babuni gorzej niż wiosną. A goła babunia była jeszcze gorsza od gołej, zaśmieconej, brudnej, całej w wądołach, wylaniającej się spod szarawego, topniejącego śniegu – ziemi.

Świeży, nie wiosenny, zapačkany, śnieg, to było zupełnie co innego, skrzył się i błyszczał jak bielizna panny Władzi, jak jej oczy, jak guziczki od jej stanika, jak jej plecy, po których spływały, wijąc się, jak szyny po zaśnieżonym krajobrazie – czarne warkoczki.

Na świeżym śniegu Mietek czuł się mocarny jak ojciec Franka Sokalskiego. Sama babunia przyznawała, że ojciec Franka jest mocarny, a tatuńcio potwierdzał: – Jego trzeba się strzec. On jest taki jak ci, którym była dana moc nad czwartą częścią świata, aby zabijali mieczami i głodem i morem przez zwierzęta ziemskie i morskie.

Kiedy Mietkowi przywykły już oczy do bieluśkich zasp – zobaczył maki. Kwitły sobie rządkiem.

– O, kurwa – pomyślał zdumiony. – Maki kwitną sobie rządkiem.

Pobiegł w stronę maków. Ale z bliska były to tylko plamy świeżej

krwi. Plamy poprowadziły go prosto do pana Kilowskiego. Pan Kilowski siedział wśród podkarpackich azalii w samych skarpetkach a oczy mu płonęły jak ogniska. Tymi ogniskami oświeślał drogę zbliżającemu się Micciowi.

Nie mówił nic, tylko charczał. A potem oczy mu ściemniały, jakby na te płonące ogniska chluśnięto wodą, aż poszedł od nich swąd i zaszły siwym dymkiem. Akurat takim samym, jaki smużył się ze spalonej, łemkowskiej wioski. W tej łemkowskiej wiosce tatuńcio nakazał:

– Zapamiętaj to synu. To dusze zmarłych w mękach, niewinnych ofiar tak się snują.

Syn zapamiętał: dusze zmarłych w mękach, niewinnych ofiar straszliwie śmierdziały.

Panu Kilowskiemu opadła głowa i rozwarły się usta.

Mietek zaczął wyć.

Pani Kilowska mówiła potem babuni, że myślała, że to wilki podeszły razem z pierwszym, niespodziewanym śniegiem pod miasteczko i tak zaczęły wyć:

– Sąsiadko kochana, pani Baryłakowo. Kazik, nieboszczyk, świeć Panię nad jego duszą, tylko na chwilę zniknął mi z oczu, myślałam, że do wygodki wychodzi, a on w skarpetkach wyszedł z mieszkania i już nigdy nie powrócił do niego żywy, anim się z nim nie pożegnała na wieki wieków. Nie zwróciłam na to uwagi, że wychodzi, nawet się cieszyłam, że wstał. Akurat przebierałam rzeczy, które do sprzedania, a które nie, żeby było dla niego na śmietanę i jaja. Radio jużem przedtem sprzedawała. I ten kostium, com go z UNRRY dostała, ten szary z kremowymi wstawkami też jużem sprzedawała i nawet pantofle, com znalazła raz onegdaj w śmietniku, ktoś głupi wyrzucił, a one były jak nowe i do chodzenia. I nie żałuję, że je sprzedawała. Jak bym mogła, to bym jeszcze raz sprzedawała, byle tylko Kazikowi życie wrócić, bo strach tak samemu, chociaż z siostrami, z tym dzieciakiem żyć, a jak byłam panienką, to niczego się nie bałam. Raz my z tą siostrą, co wzięła i uciekła stąd zaraz po pogrzebie, włożyły na dwie sosny w stanisławowskim niejakim, tak koło Jarczowiec. Ja włożyłam na jedną sosnę, a siostra zamężna wtedy, ale potem jej męża wojna zamęczyła na śmierć, na drugą. I dawaj na tych sosnach się kołysać – kołys, kołys. A tu gajowy akurat idzie. Jak nas zobaczył na tych sosnach, to siadł na ziemi i choć nas od dziecka po imieniu znał, to po nazwisku do nas zawołał: Biesiadecka – to do mnie, bo ja z domu Biesiadecka. Tymoniewicz – to do siostry! Złazcie, bo aż mnie mgli na ten widok. A siostra Tymoniewicz w siódmym miesiącu była, gajo-

wy to wiedział. Za brzuch się złapał i znowu woła: kochana Tymoniewicz, jakbyś nie była żeniona, to bym się z tobą ożenił, tylko zleż mi zaraz. Przecież jak na tej sośnie zaczniesz rodzić wcześniaki, to jak to się w księgach metrykalnych zapisze. Jak panienką byłam, kochana pani sąsiadko, to mówię pani, wszędzie wlałam i niczego się nie bałam, a jak się ożeniłam, to zaraz na Rumunię bałam się szwarować. A teraz, to święci pańscy, Zyni się boję. Przez okno patrzę — strach. Z głośnika jakie przemówienie słyszę — aż dygoczę. Milicjanta zobaczę — omal nie mdleję. A kiedyś? Co to był strach kiedyś. Kto to słyszał? Perspektywa stała przed człowiekiem.

W trumnie pan Kilowski wyglądał niedorzecznie z tym swoim krogulczym nosem i oczami, które nie dawały się zamknąć, takie jakieś były jakby szorstkie i zamarznięte jak owoc tarniny. Jedna z sióstr Biesiadeckich, które przyjechały na pogrzeb szwagra, zaczęła mu do tych oczu przykładać błyszczące monety.

Żona pana Stasiulka zastanawiała się, z daleka nie było dobrze widać, co to za monety takie duże, czy to czasami nie złote dolarówki, ciekawe skąd. Ale pan Stasiulek w złote dolarówki nie wierzył, bo już od dawna w nie nie wierzył, odkąd te drewniane usta pocałował, choć sam zastanawiał się, czy to czasami nie carskie ruble, ciekawe skąd.

Trumna z panem Kilowskim stała pośrodku pokoju państwa Kilowskich. Okna w pokoju były zasłonięte kocami, lustro przykryte czarną chustą.

Z trumny oprócz krogulczego nosa pana Kilowskiego sterczały jeszcze ogromne, świeżo podzielowane półbuty.

Babunia znalazła je w jakimś zakamarku w komórce i nie wiedziała, co z nimi zrobić, bo dla Mietka były za duże a dla tatuńcia za małe. Wtedy pani Kilowska uznała, że będą w sam raz dla pana Kilowskiego, który został na zimę w samych skarpetkach, bo mu się meszty rozlazły, ale ona do tej pory się tym nie przejmowała, bo po co Kazikowi meszty, jak już tylko w łóżku leżał i oczami wodził.

Mietek zaczął się na głos zastanawiać, czy czasami Szwabka w jakimś innym schowku nie zostawiła tego złota, co to sztabami miało na tych terenach leżeć, ale babunia ofuknęła go stanowczo, że dosyć już tego nazywania Szwabki Szwabką, należy mówić Niemka. Niemka to też człowiek.

### Rozdział III:

### Zatrute ziarno

Nie sądził, że tak szybko biega. W szkole uzyskiwał jedno z gorszych wyników. Był za wyrośnięty. Teraz, kiedy uciekał z zagonów kapusty, które wyglądały jak ostateczny sąd — po raz pierwszy od czasów bieszczadzkich miał w sobie lekkość piórka, puszkę, kwiatowego pyłku. Teraz wygrałby każde międzyszkolne zawody. Trybuny mogłyby skandować: Bry-lak! Bry-lak!

Od tego biegu aż zapiekło go w dołku i zaszczypało w oczach. Jakby biegnąc wyrwał sobie z nosa włos.

Dobiegł wreszcie do swojej piętrowej kamieniczki i zemdlilo go. W mdłących ciemnościach zaatakowała go całą siłą rozbzykanego lotu jakaś rozwścieczona mucha, omal jej nie połknął. Zamknął usta i oparł się o ścianę kamienicy.

Po chwili sam się zdziwił, dlaczego tak się bał i tak uciekał, ucieczył się, że poświęta księżycowa była nikła, w takiej poświęcie nikt chyba nie rozpoznał, że to tak ucieka ten wyrośnięty od Brylaków.

Wiedział, że tak go przezywają i nawet cieszył się z tego. Bo to znaczyło, że nikomu nie przychodzi do głowy, że nie ma lat czterestu ale bez mała siedemnaście. Tylko panny Biesiadeckie jakby się czegoś domyśliły ledwie przyjechały na pogrzeb i w kółko mówiły — ale ten pan Mietek to całkiem jak dorosły mężczyzna a nie jakie dziecko.

W jedynym pokoju państwa Kilowskich na środku panoszył się katafalk i nie miały gdzie spać. Babunia zaprosiła je do siebie. Pościeliła im w pokoju za szafą, gdzie miała swoje leże. A tatuńcio zaprosił je nawet do stołu, bo były zdrożone i głodne.

Miecieo zaciskał szczelnie powieki, żeby nie widzieć ze swojej wciśniętej między zlew a kredens połówki jak ich strategicznie wysunięte zęby wpijają się we wszystko, co leżało na stole. W chleb z margaryną. W salatkę z buraków. W kartoflane placki.

Siostry Biesiadeckie, mimo że udawał, że już śpi, co rusz zwracały się do niego z jakimś pytaniem, na przykład: panie Mietek, czy pan już śpi?

Po pogrzebie wyjechała tylko jedna z nich, Tymoniewicz, wdowa. Dwie zostały, żeby pomóc pani Kilowskiej w wychowaniu Zyni, bo Zynia była Psychiczny Fenomen.

A oprócz tego była znajdą i jeszcze dodatkowo zawsze się chowała



i trzeba jej było szukać. Raz się nawet schowała w roku z kartoflami i nikt jej w tym worku nie zauważył, dopóki sama nie wylazła.

Pan Kilowski znalazł znajcę w czterdziestym trzecim roku w górach Tatrach, jak się szwarcował na Węgry. Pani Kilowska twierdziła, że nie na Węgry tylko na Rumunię i że Kazik jej zawsze naprzeciw jest i coś innego ma na języku. Kiedy się szwarcowali na tę Rumunię, to pani Kilowska bardzo się bała, że znajda będzie podczas tego szwarcowania się płakała w głos i wszystkich ich zastrzela jak jeden mąż. Więc się nie przeszwarcowali, tylko wrócili do Sanoka.

Po drodze pan Kilowski dał znajdzie swoje nazwisko. Pani Kilowska, choć znajdzie ogólnie nie była przychylna, też musiała dać jej swoje nazwisko, bo pan Kilowski popatrzył na żonę jak na wroga i powiedział:

— Po pierwsze, Lalu, jesteś moja żona. Po drugie, Lalu, to jest zaścigane dziecko. Tylko lew ściga wołu, tygrys owcę, a człowiek nie powinien ścigać człowieka i ja się z tym moralnie nie zgadzam. Jak dziecko wyjdzie z szoku, to dowiemy się jakim językiem zacznie mówić i jak będzie trzeba, nauczmy po polsku.

Ale Zynia, jak wyszła z szoku, sama, bez nauki, zaczęła mówić po polsku, tylko że zamiast — byłam, zrobiłam i tak dalej, mówiła — byłem, zrobiłem, poszedłem i tak dalej.

Raz, na przykład, poszła tylko kawalek do ogrodu i natychmiast wróciła a panu Kilowskiemu i jego żonie opowiedziała: poszedłem do lasu by poszukać ziela świętojańskiej nocy, szczęścia i wesela. Nagle słucham, Boże, o co tutaj chodzi. Dlaczego po lesie śmierć jak czapla brodzi. Gałęziami skrzypi, we pnie postukuje. Trumny dla mnie szuka? To na mnie poluje?

Kiedy znajda skończyła mówić do rymu pani Kilowska zaczęła natychmiast na wszelki wypadek płakać, ale pan Kilowski powstrzymał żonę od łez, patrząc na nią jak na wroga:

— Lalu, przecież dziecko recytuje tylko jakiś zapamiętany wiersz. To jest bardzo dobrze rozwinięte dziecko, można powiedzieć, to jest nawet jakieś cudowne dziecko.

Ale Lala rozsłochała się na nowo, no bo — niech mi pani powie kochana pani Brylakowo, po co mi cudze cudowne dziecko, wołalbym głupie, ale swoje... Kazik mi na to, kochana pani Brylakowo, że rabbi powiedział dawno, dawno temu; bądź raczej wśród prześladowanych aniżeli pośród prześladowców, i że biada domowi, którego okna otworzone są na ciemność. Ja mu na to, Kazik, coś ty, odkądś chorowity i jest ta wojna, to okna zawsze na durch pozamykane stoją, a wtedy ta znajda, znaczy się moja córeczka, zaczęła się śmiać. Ja nie

wiem ile ona ma lat, wygląda, że z dziesięć, ale ja nie jestem pewna, czy ona czasami nie jest starsza nawet ode mnie. Ostatnio, to chociaż zaczęła mówić normalnie jak dziewczynka ale jak zaczęła; przychodzi do mnie do kuchni i tak: dokładnie się rozejrzałam i stwierdziłam, że rosną mi cyce, to znaczy że jestem babą, a ja myślałam, że mi się uda i że nie będę.

Mietek nie cierpiał pani Kilowskiej. Bez przerwy przychodziła do babuni i się wyplakiwała.

A to się jej śniło wielkie morze, a jak się śniło wielkie morze, to znowu kto jeszcze umrze, może nawet ona. A to pisiu w nocy wstawała, bo ją jakieś stukanie budziło, a ona nigdy w nocy do tej pory pisiu nie wstawała, to chyba jakiś zły znak — bo ja, kochana pani Brylakowa nigdy pisiu w nocy nie wstaje, tylko z rana jestem taka pełna, że zaraz pisiu lecę, a tu nagle w nocy wstaje i od razu słyszę to stukanie i jakieś mlaskanie, jakby Kazik, świeć panie nad jego duszą, po kuchni chodził, choć on nigdy za życia nie mlaskał, co to, to nie. Od razu wiedziałam, że to jakiś zły znak i nogi mi od razu spuchły i do krzyży jakby kto gorącą rurę przyłożył. Jak Kazik żył, to się jemu skarżyłam, jak mi nogi puchły albo zły znak się przyśnił, ale on nie zważał, tylko mówił, że to jest histeria. I że prawdziwe nieszczęścia się zdarzają ludziom. Na przykład tym lekarzom, co to ich oskarżono, że w całym powiecie chcieli studnie ludziom pozatruwać. Że oni niby niewinni, tylko prześladowani, jak malarz Jamuła. A prześladowcy, którzy nie sieją, nie orzą ale orać i siać innym każą, a sami samochodami sobie jeżdżą na narady i przemówienia, w gabinetach na fotelach siadają, albo za cyngiel sobie pociągają jak ich już znużyło słońce, co nad nimi nieustannie świeci.

Mietek dziwił się panu Kilowskiemu, że tak trzyma twardo sztamię z prześladowanymi. I że ciągle powtarza, że prześladowani będą wywyższeni. Mietek sam był z babunią prześladowany i musiał uciekać, ale nie wynikało z tego żadne wywyższenie.

Mietek osobiście wołałby już należeć do tych prześladowców, nad którymi świeci nieustannie słońce.

Przed nimi otwierały się wszystkie, nawet te najbardziej zabarykadowane, drzwi.

Oni mieli skórzane płaszcze, a nie jakieś tam kitajki z nie wiadomo czego.

Mieli wille a nie pokoje z kuchnią.

Mieli samochody i służbę.

Jadali nie tylko kaszanke i chleb z buraczaną marmoladą, ale bingos popijany zamrożoną wódką i grywali sobie na grzebieniach owi-

niętych w bibułkę – lecą świetliki, lecą, lecą, lecą świetliki, świecą, świecą...

Nie wstawali o czwartej rano do pracy, prawie że nie kaszlali i mieli więcej zębów.

I nie umierali w samych skarpetkach w śnieżnych zaspach, jak pan Kilowski, który z nimi sztamy nie trzymał i ciągle czekał na ich poniżenie.

Mogli też sobie do woli zakładać i zdejmować zegarki w obecności panny Władzi i nie sypiali wciśnięci na połówkach między kredensy a poniemieckie zlewki.

Mieli własne garnitury i nie pożyczali nieustannie części ubrania, jak na przykład pani Kilowska, która na pogrzeb męża pożyczyła od żony pana Stasiulka czarną spódnicę, bo pani Bakledowa zawsze miała czarną spódnicę na pogrzeby swoich proroków.

Nie musieli zakładać do trumien półbutów wyciągniętych z zakamarka komórek, jak pan Kilowski; ani jak tatuńcio pożyczać od zmarłych kapeluszy; tatuńcio pożyczył od zmarłego pana Kilowskiego kapelusz, żeby w nim pójść na jego pogrzeb. I żeby się na tym pogrzebie godnie prezentować.

A pogrzeb i tak nie był reprezentacyjny.

Padła podczas niego jakaś taka szklista breja z nieba i wszyscy się ślizgali. Trumna z panem Kilowskim chwiała się niebezpiecznie na ramionach sąsiadów, pana Stasiulka i tatuńcia z kamienicy, i dwu pożyczonych sąsiadów z sąsiedniej kamienicy. Pani Kilowska dostawała spazmów, że Kazik jest jej nawet po śmierci naprzeciw.

Panny Biesiadeckie i wdowa Tymoniewicz dygotały z zimna i mówiły, że to nie jest pora na chodzenie w taką pogodę. A znajda łypała tylko przekrwionymi oczami i syczała – sss, zupełnie jak tatuńcio do babuni, kiedy się zapominała, że jest chłopką. Po pogrzebie, kiedy wszystko wróciło do normy, okazało się, że nie wszystko wróciło do normy, bo znajda zaniemówiła na powrót i od nowa zaczęła te sztuczki z mówieniem jak chłopak a nie dziewczyna i z włożeniem do worków z kartoflami.

Poza tym w mieszkaniu państwa Kilowskich zaczęło straszyć. Wszyscy myśleli, że to pan Kilowski tak chodzi po mieszkaniu i dudni i skrzypi i trzaska szklankami i nawet mlaska, chociaż za życia nigdy nie mlaskał, ale pan Stasiulek powiedział, że był na morzu i wie, że to nie duchy, tylko znajda jest taki Psychiczny Fenomen i że to ona wywołuje omamy słuchowe.

Pan Stasiulek widział taki Fenomen Psychiczny na morzu. Był to kuchcik okrętowy, zawsze coś przy nim hukalo albo stukało i potrafił

nawet łyżeczki dotykaniem głąć, zanim go marynarze namówili, że może – jak ma taką silną wolę i osobowość jak jakiś Ossowiecki – by tak sprawił, żeby niemieckie U-booty waliły w swoje okręty a nie w konwoje.

Pani Kilowska tak się przeraziła Psychicznego Fenomenu, że zaczęła nazywać znajdę swoim ukochanym pieścidelkiem i córeczką, choć nie bardzo dowierzała panu Stasiulkowi, że w konwoju po Atlantyku chodził, bo jakby chodził, to jakby jednocześnie teraz bez przeszkód mógł sobie stąpać po Polsce Ludowej. Uważała nadal, że to jednak Kazik z zaświatów znaki jej daje, żeby znajdy nie wyrzuciła z domu. Poprosiła więc, by siostry nie wyjeżdżały, tylko zostały z nią razem córeczkę ukochaną wychowywać, bo samemu strach wychowywać aż taką protegowaną Wyższych Psychik.

Jednakże jedna z siostr, wdowa Tymoniewicz, uciekła, bo nie dla niej takie Psychiczne Szopki, ale dwie zostały.

Hala zaangażowała się za pastucha do Państwowego Gospodarstwa Rolnego „Jutrzenka”, bo dyrektorowi spodobało się, że wygląda jak staropolski dąb, a druga, Frania, dostała posadę w fabryczce porcelany imienia I Armii Wojska Polskiego.

Żona pana Stasiulka protestowała stanowczo w imieniu Ligi Kobiet, czyli organizacji zrzeszającej kobiety pracujące i niepracujące miast i wsi głównie po to, by aktywnie uczestniczyć w życiu społeczno-politycznym kraju oraz w życiu kulturalnym, by pannę Halę pastuchem nazywać. Panna Hala to obserwatorka bydlę – wywodziła – a pastuch, to pojęcie sanacyjno-kapitalistyczne. Za czasów sanacyjno-kapitalistycznych kobiety dzieliły się na kapitalistki i na czworaczne. Obywatelka Felicja była czworaczna i widziała na własne oczy, jak kapitalistka Radziwiłł paznokcie sobie malowała jak jakaś zdzira z Madagaskaru i jak jadła na śniadanie ostrygi. Obywatelka Felicja raz się zakradła do kuchni kapitalistki Radziwiłł, pod nieobecność kucharza, i zjadła jedną ostrygę i popiła czymś, co w język szczypało; mówili na to szampany. Jako członkini Ligi Kobiet w odrodzonej ojczyźnie nie radziła nikomu zjadać ostryg – były śliskie i cuchły. Gdyby obywatelce Bakleda Felicji teraz jakaś międzynarodowa pomoc dla głodujących przysłała w paczce ostrygi, to ona ani by tkła czegoś takiego niedostępnego, bo ona się wzwyczała jeść rdzennie narodowe polskie potrawy łatwo dostępne, bez takich pancrzy, które nawet siekierą trudno rozłupać; chleb z margaryną ceres jest łatwiej dostępny dla polskiej kobiety; także duszone z margaryną pokrzywy, które sobie ostatnio upodobała; takie pokrzywy nawet w lagrze się

jadło i nie umierało się od nich, a natomiast zanim by się otworzyło siekierą to śliskie i cuchnące, to obywatel by zdechł, zamiast umrzeć.

Nie radziła też nikomu paznokci sobie malować, zwłaszcza kobietom. — Przyjdzie znowu kiedyś taki dzień na takie co malują — mówiła. — Dzień zapłaty ponownej. I takie z pomalowanymi paznokciami będzie się zwyczajnie strzelało jak kaczki na polowaniu.

Pan Stasiulek jak to usłyszał, to niewiele się zastanawiał. Walnął ją w szczękę, żeby dalej nie mówiła, bo żona pana Sokalskiego malowała paznokcie, a teraz nastały takie czasy, że pan Stasiulek wołałby zejść z pokładu prosto w paszczę rekina ludojada, niż dostać się pod paznokietki żony pana Sokalskiego. On widział paszczkę rekina ludojada i wie, co mówi, i nigdy nie mówił, odkąd pocałował te drewniane usta, bo przestał w cokolwiek wierzyć, ale wierzy w jedno, woli swoją rodzoną gadzinę zatłuc raz na śmierć i tak dzieciaka nie potrafi urodzić, niż narazić się na zarzut zbrojnej chęci odwetu na żonach tych, co szli od Lenina do Berlina.

Mietek wprawdzie nie widział jak wygląda paszczka rekina ludojada, ale wystarczyło mu to, co tatuńcio mówił o paragrafie, z którego znikł z powierzchni ojczyzny dyrektor PGR „Jutrzenka”, był to jakiś bardzo nieprzyjemny paragraf, coś o rozpracowywaniu i lokalizacji obiektów gospodarczych jednostek wojskowych polskich i radzieckich na użytek niemieckich pracodawców z Bonn i Waszyngtonu, aż ciarki chodziły po plecach, ale ostatnio już tak bywało; jak nie urok, to sraczka.

Toteż powiedział sobie w zaufaniu, że koniec z jakimś uciekaniem przed nieprzyjemnymi paragrafami, którymi groziła przyjaźń Hali Biesiadeckiej z babunią. Babunia często płakała, że ma już dosyć bycia chłopką, że już się jej zbrzydło nazywać się Brylak Antośka i że chętnie powróciłaby do swojego nazwiska, mianowicie — Adelajda Zauer.

Ale tatuńcio słusznie zakazał bywać babuni Adelajdą Zauer. Pozwalał jej na to tylko, bo go żalność zbierała, w niedzielne poranki. W niedzielne poranki Miecio budził się sam z siebie, nie przynaglany, i patrzył jak Adelajda Zauer smaży pączki na oleju.

Adelajda Zauer opowiadała podczas smażenia o swej paniieńskiej młodości, kiedy to jako młoda panienka wybrała się z ojcem do Afryki, żeby zobaczyć plantację kawy, bo ojciec chciał kultywować kawę i kupić sieć małych hotelików na Lazurowym Wybrzeżu, a także kupić dom w Le Lavandou, bo tam było jeszcze cicho i porcik mały a nad brzegiem, rzadkiem, tuż przy plaży, rosły słone od bryzy tamaryszki; pan Kilowski to potwierdzał, bo był w tym raj.

Mietka aż skręcało z powstrzymywanego śmiechu, bo babunia była od zawsze stara, sam to od zawsze widział; musiało to komicznie wyglądać jak tak stara baba w ponemieckich latanych lachach, prawie łysa i bezzębna, chodzi pod rękę z młodym mężczyzną z wąsami i w helmie tropikalnym na głowie po Afryce. I mówi do niego: Ojcie.

Mietek oglądał, jak jeszcze był Bobo, zdjęcie tego mężczyzny — Ojca w tropikalnym helmie na głowie; lejtnant Bubowkin podarł to zdjęcie na kawałeczki, a drąc mruczał: wot, kakoje sejerwo.

Ten mężczyzna — Ojciec ze zdjęcia pokazywał w Afryce babuni krzewy kawy obsypane białym kwiecikiem jak pustynia Synaj manną.

A raz pokazał jej nawet tajemniczy błyszczący przedmiot na niebie, przedmiot najpierw wyglądał jak cygaro a potem, jak olbrzymia pieczarka jaśniejąca dziwnym, pomarańczowo różowym światłem na seledynowym niebie.

Tubylcy przed tą pieczarką, kołyszącą się nad ich głowami, jak jesienny, opadający powoli na ziemię liść, padli na kolana. Pieczarka w pewnym momencie zawisła nieruchomo i zniemacka wystrzeliła w głąb nieba z taką szybkością, że aż jęknęli.

Na pytanie ojca Adelajdy Zauer o powód i naturę tych turystycznych atrakcji, tubylcy odpowiedzieli, że to było oko Boga, który patrzy na nich czasami, czy już przyszedł czas, by zabrać ich z powrotem do gwiazd, z których do tej Afryki ich zesłano na początku świata. Po prostu spuszczone ich po miedzianym drucie i tyle.

Mietek bardzo, bardzo żałował, że nie może się zamienić w takie oko, by sobie popatrzeć na babunię, jak spaceruje po pastwisku z obserwatorką bydła, przyjaciółką Hala.

Pokołysałby się na seledynowym niebie jak ta różowa pieczarka i od razu by wiedział, o czym rozmawiają kochane przyjaciółki, czy czasami babunia nie zmienia się na łące w Adelajdę, mimo zakazu tatuńcia i przestrogi, że jak komu co chlapnie, to po nich; w końcu był czy nie był oficerem, który nie podporządkował się lubelskiej władzy ludowej.

Tak na podwórku, w pralni, przy wieszaniu na sznurach wypranej, ponemieckiej pościeli mówiły ciągle o tym samym; o tym, co by tu na obiad, że trzeba stanąć w kolejce, o gołębiach na rozwalonym stryszk, że czas je wykurzyć i o pannie Władzi.

Hala nie nazywała panny Władzi inaczej jak panną Bładzią, od czasu jak panna Władzia przyniosła i porozsypywała, gdzie się dało, czerwone, zatrute ziarno, bo bała się grasujących, nawet w biały dzień, szczurów, i potruła kury pani Kilowskiej.

Według Miccia, dobrze zrobiła, bo przecież sam widział, jak taki



grasujący szczur nie przestraszył się nikogo, tylko wyszczerzył zęby. Pan Stasiulek zatłukł go łopatą, ale zanim szczur dał się rozplatać, skoczył na stylisko łopaty i wbił się w nie zębiskami.

Pani Kilowska nie mogła nic zrobić ze zdechłymi kurami, na przykład rosółu, bo bała się konsekwencji, więc stanęła pod oknem panny Władzi i zaczęła jej wymyślać od złodziejek i morderczyń.

Panna Władzia wychyliła się przez parapet i odpowiedziała wyniosłe na zarzuty, że nie będzie chodziła po świecie z łopatą na szczury w dłoni, bo w dłoni to ona ma zwyczaj trzymać elegancką torebkę, takie bowiem ma już usposobienie.

Nie ma na taką potopu — poskarżyła się pani Kilowska, zamiatając zatrute czerwone ziarno i zakopując je pod tablicą z napisem NIECH ŻYJE I UMACNIA SIĘ WŁADZA LUDOWA. Napis był już lekko przytarty i spurchlony. — Takiej by tego ziarna, co je teraz zakopuję, zatrutego ziarna by takiej podać!

Panny Biesiadeckie zaczęły rzucać zdechłe kury w okno panny Władzi ale nie trafiały, bo panna Władzia mieszkala na pierwszym piętrze, a kury swoje ważyły.

Wobec tego Hala Biesiadecka nazbierała krowich placków do wiadra i obsmarowała nimi drzwi panny Władzi, wypisując dodatkowo tym smrodliwym mazidłem: tu mieszka Bładzia.

Hala Biesiadecka była zatem bardzo, bardzo niebezpieczną kobietą pod każdym względem i Mietek postanowił ją otruć jak kurę.

Hala Biesiadecka nieraz prosiła babunię, żeby babunia, pozwolila wnusiowi w jaką wolną od szkoły sobotę przyjść do niej na pastwisko. Na pastwiskach szczawiu dużo, kusiła.

I bukiety można nazbierać, mamila.

I wiadro z krowimi plackami miałby kto nieść, bo takie ciężkie.

A krowimi plackami, jak je dobrze wysuszyć i nie zmarnować na taką pannę Bładzię, to można świetnie pod kuchnią palić.

Wnusiło się zgodził.

W lipcową, słoneczną sobotę, kiedy babunia miała zajęcie z praniem, płukaniem i rozwieszaniem bielizny na podwórku, powiedział, że pójdzie po te krowie placki, czemu nie, będą na niedzielę, na rozpalikę pod smażenie pączków. Tylko niech mu babunia butelkę ze zbożową kawą raczy dać, bo gorąc bucha.

Po drodze na pastwiska, jak już był pewien, że nikt go nie zobaczy wyspał do butelki z kawą trochę zmiażdżonych, czerwonych, zatrutych ziaren, które wykopał spod tablicy.

Zastanawiał się, czy panna Hala przyjmie poczęstunek, miał

nadzieję, że tak. Panna Hala wszystkie poczęstunki dotąd przyjmowała bez zastrzeżeń.

— A to ci pan Mietek — zawołała Hala zaczerwieniona od upału i z wrażenia, że przyszedł. — Pan Mietek wcale nie taki sakramencki leń na jakiego się wydaje. Niech sobie pan Mietek przysiadzie na mojej kapotce, żeby się nie uwalal czym.

Miccio przysiadł. Serce mu biło z przejęcia: wypije, czy nie wypije? A jak wypije, to co się właściwie stanie? Kojtnie czy nie kojtnie? A jak kojtnie, to od razu, czy jak? Kury zdychały jakby od razu, strasznie przy tym wyciągały szyje.

Ale panna Hala kawy wcale pić nie chciała, choć mówił, że ją sama babunia specjalnie naszykowała, bo gorąc bucha.

Za to napierała jakoś tak mocarnym ciałem na Miccia i za rękę go tak jakoś capala, że aż się przestraszył, że jak wypije kawę i kojtnie, to mu tej ręki w życiu nie wypuści.

Jak Mietek był jeszcze Bobo, to widział nieżywego żołnierza. Nieżywy żołnierz leżał wśród łopianów i wyciągał ku górze sztywne ręce z zaciśniętymi palcami. Mietek nie mógł mu nijak wyjąć czegoś blaszanego, co żołnierz trzymał kurczowo w zaciśniętych, twardych i zimnych, mimo lata, pięściach. Pięście były dodatkowo zasmarowane czarną, zakrzepłą krwią, wtedy Mietka zemdlilo i już mdliło zawsze, ilekroć wspominał żołnierza nieostrożnie.

Zemdlilo go i teraz, zerwał się z kapotki i zaczął uciekać, uciekając, potknął się o butelkę.

Korek z niej wyskoczył i kawa się wylała.

Panna Hala chciała choć trochę kawy uratować, ale się nie udało:

— No coś takiego — krzyczała za nim.

— No coś takiego. Przyniósł kawę i wylewa. Ledwo usiadł a ucieka. Nie jestem przyzwyczajona do takich chamów, co tylko wyglądają jak buhaje. Pewnie się buhaj sam branzluje albo na chłopców ma febika!

Wieczorem, kiedy Hala przyszła do babuni po proszki z krzyżykiem, bo ją trochę głowa bolała, aż skurczył się, czy znowu nie zaczęło o tych buhajach i reszcie, ale Hala była roześmiana i figlarna:

— Ten pan Mietek! Taki skromnie wychowany, a nawet posiedzieć przy kobiecie jeszcze nie potrafi. Przyleciał i poleciał i ot.

Po miesiącu na pannę Halę przyszła kryska na matyska bez kawy.

Po miesiącu przyszła do domu skulona, biała, spocona i położyła się.

Pani Kilowska włosy sobie rwała z głowy: — Ledwie Zyni przeszły te huki i trzaski, ledwie przestała mlaskać za ludzkimi plecami, to te-

raz siostrunia się spsuła i krwawi — płakała do babuni, myśląc, że nikt jej nie słyszy.

— Pani Brylakowo, kochana sąsiadko, pani co pomoże ze swojego doświadczenia.

Babunia aż podskoczyła:

— Co też pani po głowie lata. Nigdy żadnego zabiegu sobie nie robiłam i potępiam tego rodzaju praktyki, to znaczy chciałam powiedzieć, dyć tego, że życie jest święte, ale pannę Halę trzeba ratować.

Ludziom się mówiło, że pannę Halę oblaźła jakaś wysypka, czerwotka, różyczka, czy jakaś wietrzna ospa, pani Kilowska oddała jej własne łóżko w pokoju, bo do tej pory Hala spała w korytarzyku. Hali nie podobało się to, i mimo że wracała z pastwiska pijana od nadmiaru powietrza, kiedy kładła się spać w tym przedpokoju, zrywała się co chwilę i krzyczała, że ścian tu jest za dużo i że siostry serca nie mają dla niej, śpiąc sobie w pokoju, jak panie, na co pani Kilowska miała zawsze odpowiedź, że ona i Frania nie mają takiego przydziału powietrza na dzień, co ona, to w nocy sobie wetują. Znajda sypiała w kuchni, jak Mietek, tyle że pod oknem.

A potem nastał czas, że Hala już się podnieść na własne nogi nie mogła sama.

Mietka wołano, kiedy trzeba było pannę Halę unieść, żeby pokrwawiony sennik pod nią zmienić, słoma szybko w nim gnęła i tarła się na sieczkę. Hala patrzyła na wszystko jak spod ziemi, nawet na niego.

Już nie była taka tęga, można ją było na rękach utrzymać. Raz koszula się jej zsunęła i zobaczył jej piersi. Zrobiło mu się żal, że nie pokazała mu ich na polu. Byłoby na co popatrzeć.

Do tej pory myślał, że kobiety albo nie mają piersi, jak znajda, podpatrzył ją w kąpiele. Albo, że mają takie, jak babunia — dwa zwiśające worczki, w których się coś telepało. Tylko panna Władzia miała piersi. A teraz okazało się, że nie.

Kiedy ją tak trzymał, pani Kilowska napychała siennik nową słomą i płakała:

— Takie już i moje życie, Hala, jak Kazik już na księżą oborę spoziera.

Oderwał się od kamienicy, otrzepał spodnie, wytarł o ścianę dłoń i z przyzwyczajenia sprawdził, czy na tablicy z napisem NIECH ŻYJE I UMACNIA SIĘ WŁADZA LUDOWA nie siedzi pan Stasiulek, ale pan Stasiulek nie siedział.

Zresztą po co miałby siedzieć. Wiedział przecież, jak wszyscy, że panna Władzia jest wynajęta.

Wszedł do korytarza i natychmiast, jak lunatyk, wyciągnął przed siebie ręce. Światła jak zwykle nie było: żarówka przepalona albo wykręcona. W kamieniczce mieszkaly tylko trzy rodziny i panna Władzia, a nikt nie wiedział, kto wykręca żarówkę. A jak żarówka była wykręcona, to można się też było porządnie nadziać na cynkowaną wannę.

Wanna stała w korytarzu, bo była własnością wszystkich. Kiedy wprowadzano się do kamieniczki wanna już stała na korytarzu i nikt nie śmiał ogłosić, że jest jego wyłączną własnością. I tak zostało — wspólna cynkowana wanna.

Musiała zatem, jako wspólna cynkowana wanna, stać na ogólnodostępnym korytarzu. Wanny nie można było wstawić do kąta, bo w kącie stała już grająca szafa, którą babunia kazała wynieść, żeby jej niczego nie przypominała, żadnych spraw rodzinnych, ani żadnych kompozytorskich popisów muzyków, których nazwiska należało wykreślić z rejestrów pamięci.

Wanna wyglądała jak trumna bez wieka, a człowiek mógł się w niej wyciągnąć na całą długość, jak nieboszczyk.

Mietek, trzy lata wstecz, jeszcze jako Bobuś, zawsze się w tej wannie uważnie sobie przyglądał, czy czasami nie sztywnieje. I raz zobaczył, że sztywnieje. Zapytał Franka Sokalskiego, co to znaczy, że sztywnieje a nie umiera, a Franek Sokalski na to, co ci sztywnieje, a on, wiesz, no to, co to za zagadka, dwie kulki i armatka, a Franek Sokalski pac go w czoło, jak milicjanci Gola pana Kilowskiego, kiedy sturlali go z nasypu do ścieku: tak późno? I tylko czasami? Ty chyba jesteś jakiś niedorozwinięty, choć taki wyrośnięty. Bobuś przypatrywał się potem długo sobie w lustrze, czy jest jakiś niedorozwinięty ale nie dostrzegł niczego, natomiast po raz pierwszy w życiu zauważył, że jest blondynem i że ma lazurowe oczy.

Wszedł do kuchni. Wchodząc omal nie zderzył się z wychodzącą właśnie Franią Biesiadecką.

— Aleś się zlekła, ja za drzwi, a tu drzwi same się otwierają. No to liczymy na pana, panie sąsiadzie kochany — powiedziała w stronę tatuńcia, ominęła Mietka i wyszła.

## Rozdział IV:

## Strzyga

Od czasu kiedy Hala Biesiadecka zachorowała, pani Kilowska, i jej siostra Frania, bez przerwy liczyły na tatuńcia. Do dnia, kiedy Hala wróciła do domu blada i skulona, same rąbały drzewo, same zbierały chrust w lesie na rozpalkę, same tachwały ciężkie baniaki z praniem, same nalewały wiadrami wodę do cynkowanej wanny, same przynosiły węgiel i worki z kartoflami.

Od kiedy Hala zaległa w łóżku, nawet karniszy z firankami nie umiały same zdjąć, bo to za wysoko. Listwy do podłogi przybić, żeby nie wiało, bo to za nisko. Okna do mycia wyjąć, bo to za ciężko. Gwoźdź do ściany wbić, bo to nie na kobiece ręce. Gazety zrozumieć, bo to nie na kobiecą głowę.

Przybiegały do tatuńcia na wyprzódki:

— Panie sąsiedzie kochany, trzeba coś zrobić, żeby zło ograniczyć, bo tablica z napisem NIECH ŻYJE I UMACNIA SIĘ WŁADZA LUDOWA tak się już przekrzywiła, że jeszcze kogo w głowę trafi; to może by ją całkiem wyjąć: kto to zauważy, a nam będzie wygoda.

Albo: — Panie sąsiedzie kochany, liczna rzesza pracujących w naszej rodzinie ma to do siebie, że stwarza warunki, w których niemożliwością jest, by zaspać, ale jednak zawsze istnieje taka możliwość, gdyby pan zastukał w nasze okno, wychodząc do pracy, byłabym wdzięczna — prosiła panna Frania i ciągnęła — liczę na pana, panie sąsiedzie.

Albo: gdybyż tak kochany pan Jan kran naprawił, bo ciurka i mieszkankie zalewa, a one od dzieciństwa bały się przyboru wody, bo odkąd widziały tam, gdzie mieszkają, powódź, rozdętego utopionego w powodzi konia i staruszka, odtąd, kiedy myślały o starości, albo słyszały o powodziach, lzy same im z oczu płynęły.

A ledwo tatuńcio kończył ten gwoździec wbijać, obraz wieszać, pęknięty gwint pakułami owijać i smolować — na stół wjeżdżała śliwowica swojej roboty i końska kiełbasa cięta w duże, eleganckie, skośne kawały. I grube kromki chleba:

— My tam nie poskąpimy niczego, drogi panie sąsiedzie, Frania i ciastek by napięła migdałowych, gdyby czasy były inne. Ona nawet szynkę uwędzić potrafiłaby, gdyby czasy były inne. Niech się sąsiad

częstuje. Bez krępacji, co w sercu, to na stole, kochany panie Janie. Choć tyle radości, bo nasza chora w krytycznym, oplakany stanie.

— Przytłoczyła naszą chorą bezlitosna dłoń losu, przytłoczyła. Już tylko oczami wodzi i czasami życzenie wyraża, żeby ją do lasu wziąć, a do jakiego lasu ją tu brać, ptak nie zaśpiewa, pszczoła nie zabrzęczy. U nas tam, w rodzinnych stronach, to jak nie było lasu, to nie było ani drzewka, a jak już był, to knieja. I nie było ciszy martwej, jak w tych lasach tutaj, co to je tylko sypią i sypią proszkami DDT, i ani nie usłyszysz oddechu ptaka, ale rozgardiasz w kniei był, a zwierzyńca pełno i taka jakaś majestatyczna. Jak w powieści przemyciała ta zwierzyna majestatycznie to tu, to tam.

Babunia znosiła wszystko spokojnie, kiedy pani Kilowska i panna Frania liczyły na tatuńcia wyłącznie jako na kochanego pana Jana, sąsiada, ale kiedy, zaczęły liczyć na niego jako na kochanego pana Jasia, to ona ze swojej strony zaczęła szczekać fajerkami i przypalać obiady:

— I czemu ty się tak na wszystko godzisz, Tonieczku, swoją rodzinę masz, a one nic, tylko kochany panie Jasiu i kochany panie Jasiu.

Teraz też, ledwie panna Frania, pięknie się kłaniając, dobranoc pchły na noc a jak was będą chlać, to dajcie nam znać, wreszcie zamknęła za sobą drzwi, babunia rzuciła się do pieca i zaczęła szczekać fajerkami.

— Kochany panie Janie to, kochany panie Janie owo. I siedzi taka do północy. Wykąpać się nie można, choć dzisiaj wanna była nasza. I kolacji zjeść nie można. A ta siedzi i nic tylko: kochany panie Janie kapustę jej w niedzielę poszatkuje. W niedzielę się dzień świąteczny święci, a nie kapustę szatkuje. Zresztą, kto tak wcześniej kapustę szatkuje. Tylko się zwurdzi, a nie ukisi. I jeszcze jej dzieciaka pożycz, żeby tę kapustę deptał.

O, co to, to nie — zdenerwował się Miecio. Był obrażony na pannę Władzię, że tak późno, a ona jeszcze nie wróciła a poza tym jutro miał co innego do roboty, niż komuś kapustę deptać, już od dawna Franek Sokalski pacał go w czoło i mówił:

— Coś ty taki niedzisiejszy. Idź do tej Irki, mówię ci. Ona po prawdzie trochę kopnięta, ale jak się do niej puka, to zaraz okno otwiera. I wpuszcza i płyty nastawia i robi białe tango.

Więc pójdzie do tej Irki i niech go wpuści i robi mu wreszcie to białe tango. Nie będzie więcej podglądał panny Władzi, ani przez dziurkę od klucza, ani z tablicy z napisem: NIECH ŻYJE I UMACNIA SIĘ WŁADZA LUDOWA. Niech sobie na tej tablicy śladuje



pan Stasiulek; zawsze mówił, że to mu robi przyjemność, bo przypomina czasy, kiedy musiał siadywać na maszcie i wypatrywać U-bo-otów.

No i przede wszystkim Mietek nienawidził deptania kapusty — zęby mu przy tym cierpły.

Najpierw to było takie niby nic, wlażyło się do beczki jak do zwykłej beczki, kapusty w niej było mało i chrzęściła jak Szlecha, kiedy zżerał te swoje jabłka.

Szlecha mieszkał w kamieniczce krótko. Wprowadził się z matką jako ostatni. Najpierw w kamieniczce zamieszkał pan Stasiulek z żoną, potem Mietek, jeszcze jako Bobo, razem z tatuńciem i babunią. Potem pojawili się państwo Kilowscy ze znajdą.

Szlecha nie bawił się z nikim. Do szkoły i ze szkoły i cały czas w domu. W domu stał w oknie i zżerał jabłka, które kradł w Państwowym Gospodarstwie Rolnym „Jutrzenka” — była po temu pora, jabłka pięknie obrodziły. Franek Sokalski mówił, że tak bez przerwy w oknie, to stoją tylko wariaci, tylko że wariatom nie wolno tak jabłek wpierniczać.

— Coś ty, mówię ci — opowiadał.

— Jakem mieszkał z rodzicami jeszcze we Wrocławiu, to naprzeciwko był dom wariatów, wariaci stali tam całymi dniami za zakratowanymi oknami. Ten Wrocław, mówię ci, to nic, tylko wariaci i Plac Nankera. Ojciec mi tam rower kupił i jeździłem, na wieczór przychodzę do domu, a ojciec, gdzie rower. A ja: na polu. A ojciec: naprzeciw wariatów rower zostawiasz? A ja: oni za kratami. A ojciec: za kratami, nie za kratami, wariat zawsze coś wykombinuje, nie mam litości dla wariata, taki sobie myśli, że politycznie może sobie pozwalać i na państwowym wickie żyć za darmo. I taki mi wtedy wpierdolił spuścił, żebym nie wierzył wariatom, że aż matka się popłakała. Wy tu nie wiercie temu Szlesze, aż zęby cierpną, jak on żre te jabłka. On wam jeszcze coś wywinie, chociaż rower ma własny.

Szlecha rower miał, ale rowerem nie jeździł, rowerem jeździła jego matka. Jeździła po okolicy i wołała: skóóó-rii i skóóó-rkiii! — skupując skórki zdarte z królików.

Szlecha był najbiedniejszy w kamienicy, nawet onuce miał podarte ale numer rzeczywiście wywinął. Pewnego dnia jego matka rower sprzedała i oświadczyła, że zaprasza wszystkich na poczęstunek, bo mąż wreszcie wszystko załatwił przez Czerwony Krzyż i ona teraz jedzie do męża razem z synem. Jej męża w Niemczech Amerykanie wyzwolili i stamtąd pojechał do Ameryki i od razu zaczął jej szukać.

— Mąż jest figura w tej Ameryce — oświadczyła, częstując sąsia-

dów, na pożegnanie, pieczonymi kartoflami i potrawką z lisa. Dostała go za darmo z fermy. Zwykle oskórowane lisy ferma zakopywała, ale na okoliczność poczęstunku pożegnalnego wydała Szlechowej jedno ściervo. Ściervo było słodkawe, ale Mietek uznał, jak inni, że można je zjeść, koty były gorsze; koty trzeba było doprawiać majerankiem i dzikim czosnkiem.

Sąsiedzi na poczęstunek przyszli, bo wyjazd był legalny, i nikogo nie można było oskarżyć o kontakty z obcym mocarstwem. Ale milczeli. Tylko pan Kilowski rozpalil się do białej gorączki:

— Pani Szlecha, pani tam koniecznie musi zobaczyć wodospad Niagara i Kolorado. A jak pani zobaczy tornado, to niech pani nie myśli, że to cud, choć to cud.

Pan Kilowski był w Ameryce jako małe dziecko i zobaczył tam tornado, czyli myszkującą po planecie, wysysającą trąbę powietrzną. Trąba porwała krowę pasącą się niedaleko oceanu. Pan Kilowski jako małe dziecko pomyślał, że to cud: fruująca krowa. Zaraz potem zobaczył inny cud — jak lodyga trzciny przebija na wylot dębową deskę. Mimo że wuj tłumaczył mu, jako dziecku, że to wcale nie cud, tylko niesamowitej szybkości pęd powietrza, czyli tornado, które wszystko potrafi, jakby nie działały prawa fizyki, kiedy ono schodzi na ziemię niszczycielskie jak jeździec Apokalipsy — pan Kilowski nie uwierzył wujowi, bo przecież widział na własne oczy cud: fruującą krowę. I ten drugi: żeby trzcina przebiła na wylot dębową deskę, czy to nie cud? pytał.

Kiedy dorósł, przyzwyczail się, że to nie był jednak cud i ostrzegał innych.

— Cud — ostrzegał panią Szlechową — to jest to, że pani jedziesz do Ameryki. To jest chyba ostatni cud jaki widzę na tej ziemi.

W dwa miesiące po cudownym wyjeździe Szlechów, do kamienicy przyszli bracia Gola w cywilu i zapytali ogólnie, kto tu się przyznaje do paczki z Ameryki. Nikt się nie przyznał, nawet panna Władzia, która zamieszkiwała w pokoju z kuchnią po Szlechach, a ona mogła się przyznawać do wszystkiego, pan Stasiulek mówił, że ona ma takie koligacje jak kontradmirał, nawet armie zaprzyjaźnione u niej nocami bywają.

Tylko pan Kilowski się wyrwał. Pani Kilowska zaczęła płakać i żegnać się ze wszystkimi, znajda się schowała, a pan Kilowski powiedział do żony:

— Lalu co mi tam, ja już zrobiłem testament. Mnie jest już wszystko jedno i Ameryki się nie zaprę nad grobem.

Bracia Gola pokiwali głowami:

— Jak tam pan uważasz panie gruźlik.

Spodziewano się nie wiadomo czego, Mietek spodziewał się, że zjawi się czołg i ciężarówka i zastanawiał się jak będzie wierzyła nogami pani Kilowska, kiedy ją będą wlekli. Zastanawiał się też, czy znajda znajde, ale o dziwo, nic się nie stało. Tylko pan Kilowski dostał paczkę z Ameryki. Wszyscy oglądali ją ze wszystkich stron, choć była przepakowana w polski karton i otworzona.

W paczce były same skarpetki: w poprzeczne paski, w prążki, w smużki, w kwiatki, kolorowe: czarne, czerwone, żółte, zielone i nawet lazurkowe. Pan Kilowski umarł w lazurkowych skarpetkach.

Na podwórzu zaskrzypiał żużel i żwir, trzasnęły drzwi od korytarza, zadzwoniła jak dzwon cynkowa wanna, ktoś się o nią walnął a potem wolno, przystając, zaczął się wspinać po drewnianych schodach na pierwsze piętro.

Tak zwykle wracała panna Władzia. Tylko ona jedna przystawała na schodach, żeby sobie poświecić zapalnikami.

Mietek postanowił nie myć nóg, ale babunia przerwała dyskusję z tatuńciem i powiedziała, że Tonieczonek o syna nie dba, ale syn musi nogi umyć, bo już jak Tonieczonek pożyczka syna do deptania, to ona nie będzie świecić oczami za brudne stopy wnuka, poza tym jednym jest już jej wszystko jedno.

Syn umył zatem nogi w misce, do której nalał resztki letniej wody z czajnika i skulił się w kłębek na polówce. Polówka ostatnio robiła się coraz krótsza, a panna Władzia to hadra i szlompka, bo co ona robiła tak długo u Sokalskich?

Przyglądał włosy jak kwadratowy mężczyzna i wcisnął głowę w poduszkę.

Kiedy babunia skończyła płakać — biedna moja córeczka, nawet imienia jej wymówić nie wolno, nawet pacierze za jej niewinną duszę tylko w kącie za szafą wolno mi odmawiać, nawet rodzone dziecko o niej zapomniało — na podwórzu znowu coś zaskrzypiało.

Tatuńcio wstał i wyrżał przez okno a za oknem coś jakby mig-mig.

— Co to? — zapytała babunia, a tatuńcio — nic, cienie od księżycy a zaraz zaczął coś bredzić o karaluchach.

Że babunia nie rozumie, że oni są teraz jak te karaluchy i każdy na nich dybie. Każdy chce ich zniszczyć, posypać proszkiem DDT. Każdy uważa za robactwo, bo nie rozumie specyfiki cudzego istnienia, a jak nie rozumie, to by zabił. — Więc niech mama nie narzeka, że jest jej wszystko jedno, i że on nie dba, bo dba, dba o to, żeby zach-

wali to, co najświętsze — życie, a w życiu, to co najświętsze — wartości nienaruszone, swoją historię świata i tradycję, Boga w sercu i twarze swoich przodków w pamięci, ale jak mama chce, to nikt kapusty nie będzie szatkował ani deptał, a żonę, aniola swojego jedynego, pamięta i pamiętać będzie po wiek wieków.

Babunia już zaczęła, że jej jednak wszystko jedno, i tak umrze, i pochowają ją na cudzej ziemi, jak córeczkę, kiedy za oknami znowu coś zaskrzypiało, a za oknem mig-mig.

— Co to? — zapytała babunia i zanim tatuńcio zdążył odpowiedzieć, jak coś nie zadudni po schodach, jak nie wpadnie na wannę i na ich drzwi, jak nie załomocze, jak za tymi drzwiami nie zawyje.

Tatuńcio rzucił się do korytarza, żeby sprawdzić co to, a Miecica poderwało na równe nogi. Usłyszał jak tatuńcio drzwi otwiera i jak coś w przedpokoju szamoce się, potem do kuchni wtoczyła się strzyga.

Mietek poczuł wyraźnie, jak każda z jego nóg waży teraz tonę. Strzyga miała oczy w słup, na głowie strzygi sterczały jakieś strzępiaste kępki włosów, a z kącika jej wykrzywionych warg wypływała strużką ślina. Strzyga była biała jak kreda, a ubrana była tylko w koronkową halkę, spod której widać było różowy stanik i czarne haltery, na nodze miała tylko jedną, cielistą pończochę z przekrzywionym, czarnym szwem.

Strzyga przyhamowała przy kuchennym piecu i zatrzepotała gołymi ramionami, jak zarzynana kura skrzydłami.

Mietkowi zrobiło się zimno, zaistniał nagle w jakiejś polarnej krajinie. Podłoga zachybotała pod nim, jak dryfująca kra. Nie wiedział, co się robi na dryfującej krze. Z gęstej, osaczającej go mgły dobiegł go głos babuni:

— Jezusie Nazarejski, toż to panna Władzia.

Tatuńcio, stojący do tej pory w drzwiach nieruchomo, jak samotna grusza na miedzy, podszedł do babuni i zdjął z niej chustę. Okrył ją chustą pannę Władzię, jak trupa. Razem z głową.

Panna Władzia szamotała się, zerwała z siebie narzutę i zawyla, jak wilczyca:

— Zapłacicie mi za to, wszyscy mi zapłacicie.

I wybiegła.

## Rozdział V:

## Krótki pobyt w raju

Tatuńcio zaczął się kręcić: to podbiegał do drzwi, jakby chciał dogonić pannę Władzię, to wracał i podchodził do babuni. Babunia powoli trzepała podniesioną z podłogi czarną chustę.

Po chwili przez uchylone drzwi kuchni wsunęła, całą w papilotach, głowę, panna Frania:

— Panie Jasiu kochany, co się dzieje, że takie hałasy? Jużem myślała, że co z panią starszą.

Weszła do kuchni na palcach, przytrzymując rozchyłający się na piersiach szlafrok, zaczęła się podejrzliwie przypatrywać babuni, bo babunia nadal trzymała chustę i milczała. Tatuńcio zapalił papierosa, zakaszał.

Za panną Franią do kuchni wsunęli się cicho: pani Kilowska, znajda, a na końcu pan Stasiulek ze świeczką w dłoni:

— Panie sąsiedzie, co to za sztorm?

Babunia skończyła trzepać chustę i odpowiedziała:

— To panna Władzia krzyczała na nas. Jakaś oskubana była, czy co.

Popatrzyli po sobie:

— Dlaczego panna Władzia?

— Jak to oskubana?

— Na pewno panna Władzia?

— Może tak pójść i sprawdzić, dlaczego oskubana.

— Ale, aby cicho. Żeby nie wiedziała. Bo może pijana. Ona wtedy, jak pijana, gania po kamienicy.

To był pomysł. Panna Władzia rzeczywiście biegła po kamienicy, jak się upiła, waliła w drzwi i wołała: chamy, chamy, zabużańskie chamy, prostytutki, analfabeci.

Za obsmarowanie krowimi plackami drzwi zagroziła im nawet bronią palną i więzieniem do dziesiątego pokolenia, a kiedy raz zobaczyła pana Stasiulka na tablicy z napisem NIECH ŻYJE I UMACNIA SIĘ WŁADZA LUDOWA, zaczęła się na swoim pięterku w oknie, żeby go oblać siuszkami, ale nie trafiła, taka była pijana.

Pan Stasiulek naburmuszył się wtedy i dopisał na tablicy jedną

literkę „i”. Tablica zaczęła głosić: NIECH ŻYJE I UMACNIA SIĘ WŁADZIA LUDOWA.

Pani Bakledowa jednak, osobiście stojąc na drabinie, to „i” wydrapała i jeszcze dodała, że panu Stasiulkowi też wydrapie, ale oczy, zanim pan Stasiulek zgnije w kryminale.

Akurat potem była Wielkanoc i wolno było wszystkich oblewać, pan Stasiulek zaczął się w pralni i kiedy panna Władzia otworzyła okno w oblewany poniedziałek, żeby wywietrzyć papierosowy dym — oblał jej przez szlauch całe mieszkanie, aż przez strop przeciekło do pokoju niżej i babunia za głowę się łapała, bo właśnie wyskrobała motyką tydzień wstecz cały sufit, bo się tryszczył, i zamałowała wapnem.

Panna Władzia musiała wynieść cały dobytek na podwórze i suszyć. Żeby wysuszyć zieloną, pluszową, w czerwone kwiatki kanapę, trzeba było ją znieść po wąskich, drewnianych schodach. Przy znoszeniu pomagali jej wszyscy, nawet pan Stasiulek, bo się wystraszył, że odbiorą mu pracę, a pracę miał lepszą niż kulawy Śłużyński — podawał dania gorące, dania zimne i piwo z wódką w ludowej gospodzie.

Panna Władzia tylko do Miccia nie miała żadnej pretensji. Kiedy się mijali w korytarzu albo na podwórku patrzyła na niego spod zmrużonych powiek i nic. Choć raz się odezwiała: rośnie się jak ten Pałac Kultury ku chwale ojczyzny, co?

Cicho, na palcach, wyszli na korytarz. Pan Stasiulek przyświecał świeczką. Mimo, że przyświecał sobie potknął się o jakiś nocnik.

Z nocnika wypelzały żmije.

Kiedy tatuńcio schylił się i wziął żmije w ręce okazało się, że wcale nie jest taki odważny, bo to były tylko warkocze.

— Patrzajta, warkocze.

— Odcięte.

— I w nocniku.

— Dlaczego w nocniku?

— Bo ją wystrzygli, szłojdre — zdecydowała panna Frania.

— Kogo?

— No przecież, że nie mnie, tylko tę mytkę, sam pan mówił kochany panie Jasiu, że taka oskubana była u państwa z wizytą.

— Z jaką wizytą, cała była goła i wyla.

— Bo się doczekała swego, wystrzygli ją wreszcie.

— Jakiego swego? Swój by jej nie wystrzygli.

— To kto?

— Świat mnie nie przestanie zadziwiać dzisiejszej nocy — oświad-



czył pan Stasiulek. — Dobrze, że moja kobita pilnuje dzisiaj w nocy chlewni, bo to jej kolejka. Ona by zaraz wiedziała, kto.

— A może to panu zbytki w głowie? — zapytała pani Kilowska.

— Pan lubi zbytkować z tą szkirą.

— Pani sąsiadko kochana, pani się puknie w czoło. Co innego zbytki, co innego strzyć włosy, strzyżenie włosów kobiecie, to zawsze polityczna sprawa.

— Zaraz polityczna — zdenerwowała się pani Kilowska. — Wszystko teraz takie polityczne, Jamuła sobie kucnął w krzakach, żeby się wypróżnić i też zaraz z tego była polityka.

Zamilkła. Wszyscy zamilkli.

Babunia przerwała to milczenie: — Ona powiedziała, że wszyscy za to zapłacimy.

Wycofali się z powrotem do mieszkania.

— Jak to zapłacimy, za co?

— Za warkocz?

— Za wszystko, dyc — babunia zagroziła tatuńcowi, że już dyciać w życiu nie będzie nigdy, że koniec z tym dycianiem raz na zawsze i jak sobie Tonieczek chce być kochanym panem Jasieczkiem, niech sobie będzie, ale ona dłużej chłopką, co umie czytać tylko takie duże, namalowane, jak na tej tablicy przed oknem, nie zostanie, jednak teraz dyćnęła.

— Jak to za wszystko — dociekał pan Stasiulek. — Czemu pani starsza od razu nie meldowała. On od razu przecież powiedział, że to polityczna sprawa. Co tu tak będą stali, każdy po cichu chodu do swojego mieszkania i nic nie widział i nic nie słyszał, od urodzenia był głuchoniemy. U państwa Brylaków jeszcze żarzą się węgle w kuchni, spali się w piecu te warkocze i sza, nigdy państwo Brylakowie nie widzieli żadnej oskubanej, czy ostrzyżonej.

Wybiegł na korytarz, złapał za warkocze wbiegł do kuchni Mieciowej i wrzucił warkocze do pieca.

— A teraz do kajut marsz — zadysponował.

— A co z nocnikiem — przestraszyła się Franja.

— Nocnik niech stoi, gdzie stoi, my go nie dotykali i dotykać nie zamierzamy — pan Stasiulek zgasił świeczkę.

Coś stuknęło i zachrobotało. Popatrzyli podejrzliwie na znajdę, potem niepewnie po sobie. Uciekali na palcach.

Babunia z tatuńcem pogasili światła w jednej sekundzie, położyli się w pokoju: tatuńcio na swoją leżankę, babunia za szafę.

Miecio został sam, położył się też na przykrótkiej polówce i wcis-

nął głowę w poduszkę. Poduszka śmierdziała tłącymi się w piecu warkoczami.

Odkąd wybiegł tylnymi drzwiami, uciekając z babunią przed bolszewikami — mordercami—bandytami — zawsze i wszędzie coś śmierdziało.

Za życia drugiej żony tatuńcia, mateczki Elizy, nie było wokół aż tak smrodliwie, ale kiedy zakopano ją podziurawioną jak durszlak w cudzej mogile na pruskim cmentarzu — świat zaczął cuchnąć.

Cuchnęły zgłiszczona i dusze popalonych.

Trupy rozkładały się smrodliwie.

Wszędzie wały się szczątki, szmaty, papiery, podgniłe kości, połamane meble — i trzeba było zatykać nos.

Śmierdziało stęchlizną, zepsutymi ziemniakami, zjełczałym tłuszczem, kocim mięsem, niepranymi łachami, niemytymi nogami, szczurami, zepsutymi zębami, ściwem zwierząt, czarną skawaloną krwią, łzami — lzy śmierdziały specjalnie: moczem i rybnią łuską.

Plakali wszyscy, nawet tatuńcio, chociaż tatuńcio tylko dwa razy: po raz pierwszy, kiedy się dowiadywał jak zginęła jego jedna, jedyna, jego Anioł ukochany, drugi raz, kiedy zakopywał pod roztrzaskaną sosną swój mundur i broń i furażerkę z ukoronowanym orzełkiem.

Swoich łez Miecio nie lubił, bo zawsze znaczyły jedno, że trzeba się bać i uciekać. A uciekać zawsze było przed czym. Ledwie się zapomniało o jednym śmierdzącym moczem i rybimi łuskami strachu, a tu trzeba się było bać czego innego.

Tego jednak nie przewidział, że będzie się bał obciążonych warkoczy panny Władzi.

Panna Władzia zawsze pachniała. Myślał, że będzie mu tak pachniała wiecznie, jak wiecznie świeci słońce. Przyzwyczał się do tej myśli. Tymczasem pan Kilowski, trzeba mu było oddać sprawiedliwość, dobrze wiedział, co mówi, kiedy powiedział, że nie należy się przyzwyczajać do żadnej myśli, nawet do tej, że wiecznie świecić będzie słońce, że ziemia się kręci i jest opoką, że człowiek na tej opoce brzmi dumnie, że nie ma cudów, ale choć ich nie ma, a krowy to ssaki nie ptaki, to jednak czasami fruwać.

Pan Kilowski na przykład przyzwyczał się do myśli, że będzie powszechnie znanym i cenionym poetą, że będzie jeździł od kraju do kraju po planecie i pisał, odczuwając głęboką krzywdę i fałsz, bo miał być poetą lirycznym.

Że będzie mieszkał na Lazurówym Wybrzeżu na stałe, bo Lazurów Wybrzeże, to raj, w którym rosły wszelkie rajske rośliny: tama-

ryszki słone od morskiej bryzy, palmy, oliwki, pinie, piolun, dzika mięta i bazylija, koper, drzewa migdałowe i oblepione pomarańczowego koloru jabłkami drzewa cydrowe, winna latorośl i wysokie trzciny bambusowe, pomiędzy którymi przechadzał się Bóg a one mu się, szeleszcząc, kłaniały. Pan Bóg zadowolony pogwizdywał sobie w nich czasami cichutko i rzewnie a ludzie to podpatrzyli i robili z trzciny ustniki do klarnetów, bo w tych trzcinach bambusowych zakłute były boskiego kompozytorstwa melodie. Na Lazurowym Wybrzeżu rosły też eukaliptusy.

W eukaliptusach zakłute był zapach oddechu pana Boga, a w kwitnących mimozach radość Panny Marii. Pokazywała małemu Jezusowi kwitnące, złote okiście, pełne drobnutkich, kwiatowych kulek, przytrzymując kapelusz wąską dłonią, bo kiedy kwitną mimozy wieje miśtral.

Czasami rajska ziemią gnał Szatan, ziejąc ogniem; ziemia schła i pękała od gorącego podmuchu, popielili się sady, a ludzie siweli ze zgrozy i czekali na powrót Pana.

Wracał i znowu wszystko się zieleniło i złościło.

Złoty nadmorski piasek obmywały lazurowe fale. Lazurowym przestworzem płynęły obłoki. Anioły kąpały się w Nicejskiej zatoce a w białej kawiarence pod palmami przysiadowała na chwilę wątpa dama w kapeluszu o lazurowych oczach. Wklęśle policzki ocieniało jej rondo białego kapelusza.

Pan Kilowski nigdy nie podszedł do tej damy. Kiedy raz zdecydował się, że to robi, zawezwano go do kraju w ważnych rodzinnych sprawach.

Nigdy już tej damy nie zobaczył, bo nigdy już nie wrócił do raju.

Od tamtych czasów zawsze jednak nosił ze sobą coś niebieskiego, jako wieczną pamiątkę po damie, w której zakochał się na zabój.

Mogło to być cokolwiek: niebieska wstążka, niebieska nitka, niebieski odprysk szkła.

Na śmierć ubrał się w niebieskie skarpetki, ale zanim umarł, zachorował na gruźlicę i był nieszczęśliwy, bo przyszła wojna i nie lew ścigał wołu, nie wilk owcę ale człowiek człowieka. Wierszy, które pisał, nie chciał nikt czytać, ani ścigani ani ścigający. Nawet panna Lala nie chciała ich czytać, choć była też nieszczęśliwa, i też miała złamane serce.

Panna Lala pochodziła z tych samych stron, co pan Kilowski i była jedną z córek dróżnika Biesiadeckiego.

Córki dróżnika przypatrywały się dzień po dniu ginącym w dali szynom i tęskniąc za światem widywały różne tajemne rzeczy — dusze ludzkie wirujące w powietrzu jak wstążki i wołające — modlitwy,

modlitwy. Śmierć chodzącą po pokładach w białej sukni z trenem i nawet diabła.

Diabeł był bez rogów i cały czarny. Błyskały mu tylko białka oczu i śnieżne zęby. Śpiewał po diablemu, czekając przy rampie aż podjedzie pociąg. Rampa była na korbkę i siostry bały się nią pokręcić, kiedy pociąg przejechał. W końcu diabeł schylił się, przeszedł pod rampą schylony, wyprostował się i zniknął wśród lanów.

Od tego czasu panna Lala Biesiadecka szwankowała na zdrowiu, choć nie bardzo, ale raz nawet umierała, zaś Pan Jezus nie dał jej umrzeć. Zastąpił jej duszy drogę: — A dokąd to panno Lalo — zapytał. — Za młoda jeszcze jesteś na taką daleką drogę.

Kiedy Lala ocknęła się, natychmiast opowiedziała wszystkim, że widziała Pana Jezusa, który jej zastąpił drogę. Na końcu tej drogi świeciło świetliste światło.

Wszyscy orzekli, że to jest znak i niedługo potem Lala straciła na swoich oczach narzeczonego.

Naręczony wyskakiwał z pociągu, bo pociąg na przejeździe tylko trochę zwalniał, ale nigdy nie stawał, i naręczony skoczył prosto pod koła.

W tym miejscu, w które wsiąkla krew narzeczonego Lali, słychać było zawsze coś, jakby bicie serca, zwłaszcza jak się przyłożyło ucho do szyny.

Lala płakała, kiedy się jej tłumaczyło, że to tylko dudnienie odległego pociągu wstrząsa ziemską skorupą.

Panu Kilowskiemu było Lali żal i się z nią ożenił, mimo że nie miała niebieskich oczu, nie była wątpa i nie czytała jego wierszy, a jak ją czasami uprosił, by choć jednego posłuchała, była na niego zła, bo nigdy nie słyszała — mówiła opryskliwie, żeby jakiś poeta na świecie nazywał się Kilowski.

Wtedy pan Kilowski zaczął jej recytować innych poetów, którzy się nie nazywali Kilowski ale Lala wyszydziła go:

— Widzisz, ten Dante, on chociaż od razu do piekieł wstąpił i to opisywał. A ty tylko raz do raju na krótko wstąpiłeś, obiecałeś, że mnie do niego też zaprowadzisz, a tymczasem żyję tylko pośród wojny i niepewnych czasów.

Pan Kilowski postanowił ją przeszwarować do raju, ale podczas szwarcowania znaleźli znajcę i pan Kilowski postanowił zająć się praktycznie prześladowanymi, a sam zrozumiał, że nie będzie już nigdy nikim ważnym a tylko polskim nieznanym nikomu poetą. Miał nadzieję, że Zynia zostanie tym, czego mu nie dano, ale los to jest znany figlarz i bardzo lubi płatać figle:

— Los nigdy nie próżnuje. Zawsze ma czymś ręce zajęte, jak nie kosą, to karabinem. Jak nie szabelką to pętelką. Historia człowieka to właściwie tylko historia choroby i historia żaloby, nie więcej. I to nie tylko historia człowieka prześladowanego, ale i prześladowcy. Tyle, że ludzie za bardzo się przyzwyczajają do myśli, że jest inaczej. Ta myśl, jak parkan, zasłania ludziom groby, które na nich czekają. Czasami na tych parkanach figlarny los wymalowuje jakieś kolorowe fidrygalki. I człowiek je widzi i się mocno myli. Panu Stasiulkowi na przykład los wymalował na parkanie damskie usta, pan Stasiulek je pocałował i się bardzo pomylił, teraz już w nic nie wierzy, i też się myli. Zaś jego żonie los postawił przed oknami tablicę, a na niej napisał: NIECH ŻYJE I UMACNIA SIĘ WŁADZA LUDOWA. Pani Stasiulkowa w to wierzy i jeszcze nie wie, że mocno się pomyli.

## Rozdział VI:

### Nasi

Obudził się spocony: był zdziwiony, że zasnął. Śniło mu się, więc jednak zasnął.

Śnił mu się pan Kilowski, jakieś błękity, pan Kilowski wciągał go w te błękity i mówił: wciągam cię, bo masz niebieskie oczy a ja zawsze przy sobie muszę mieć coś błękitnego, nawet po śmierci. Miecio zaczął uciekać ale nogi ciążyły mu tak, jakby w kuchni koło pieca stała jeszcze strzyga. Pan Kilowski złapał go za głowę, głowa zaczęła bardzo boleć, ból śmierdział.

Przetarł oczy. Świtało. Był niedzielny poranek. Koło pieca nie stała żadna strzyga, a pan Kilowski od dawna już się rozkładał na pierwiastki. Jednakże coś śmierdziało.

Przypomniawszy sobie tłące się warkocze i że to polityczna sprawa. Przemyślał oczy zimną wodą z kranu, to go trochę otrzeźwiło i olśniło: skoro polityczna, to warkocze panny Władzi jak nie obcinali ci tatuściowi Nasi.

Tatuścio bezustannie na nich czekał. Cekał już wtedy, kiedy zakopywał pod roztrzaskaną sosną mundur i furazerkę, w której schował rewolwer. Cekał też tutaj, na tych złotodajnych szwabskich terenach, choć czasami można się było nachapać różności — nawet pani Kilowskiej trafiła się maszyna do szycia marki Singer i chodzący i bijący godziny zegar ścienny, a w komórcie bobsleje.

Wielu się nachapało — tylko nie tatuścio.

Tatuścio od razu, na wstępie, zaznaczył, że nie jest złodziejem cudzego mienia i że mu dosyć, że musi kobietę z dzieckiem z mieszkania wyrzucać. Ale gdzie niby ma zamieszkać z własną rodziną? On inaczej chciał dla Polski.

A teraz, skoro musi żyć w cudzej skórce, to wejdą do zagarniętego cudzego mieszkania i zamieszkają, jak wszyscy przesiedleńcy.

Mietek niewiele się nachapał: trochę tego kompotu się napił, kobieta z dzieckiem — jak nazywał tatuścio Szwabkę — zostawiła go na stole w dzbanku razem z chorągiewkami. Chorągiewki też się przydały.

W szufladzie szafy znalazł ołowiane żołnierzyki, bańki na choinkę, broszkę w kształcie szarotki i zielony kalendarzyk i sople ze szkła.

Baniek i sopli nie mógł schować — babunia się nimi zachwyciła:



— O, patrz no, takich nigdy nie widziałam, ptaszki, kwiatki, i jaki piękny czubek z dzwoneczkami. I te sople, czegoś takiego nikt nie miał nawet w mojej rodzinie, sople ze szkła! Szkoda, że do Bożego Narodzenia daleko, pięknie to będzie wyglądało na zielonym chojaczku. Ta kobieta miała gust.

Kalendarzyk był w środku niezapisany. I nie wiadomo do czego przydatny. Jak chłopiec od Szwabki niczego w nim nie zapisał, to co miał w nim zapisywać Miccio? Zapisał na próbę: majonez — dupa — bo babunia znalazła jajka i chciała zrobić z nich majonez, ale majonez się nie udał, trzeba go było wyrzucić razem z obierzynami na śmietnik.

Tatuńcio zdenerwował się, kiedy przeczytał zapis w kalendarzyku: — Po pierwsze ty nie umiesz jeszcze pisać i dopiero pójdziesz do szkoły, po drugie: co to za brzydkie wyrazy moje dziecko zna?

Zdenerwował się jeszcze bardziej, kiedy nie znalazł pistoletów pana Wondera tam, gdzie je położył. — Gdzie się podziały te przeklęte pistolety, jeszcze publicznie wyjdą na jaw i nie Naszych się doczekamy, tylko jakiegoś pogromu.

Ale pistolety się nie znalazły, leżały sobie schowane pod kołyską, która stała na obłuzowanej desce w podłodze stryszk. Razem z broszką, żołnierzykami i kalendarzykiem, do którego po wprowadzeniu się Szlechy dopisał: Szlecha lubi jabłka.

— Sztos ci w głos — pomyślał Miccio — jak ci się te pistolety znajdują.

Tatuńcio przestał ich szukać i zaraz potem został górnikiem:

— No bo kim tu mam zostać, mam? Niczego fachowego nie umiem. Nawet Franco mógłby tutaj zostać górnikiem, górników tu mało, nikt się pod ziemię nie pcha, to i kadrowe nosa za bardzo do papierów człowiekowi nie pchają. Poza tym kopalnie stare, metan się w nich ulatnia, co szychę kogoś zabija, nikt metanu wcześniej nie potrafi wykryć.

Zaczął wracać do kamieniczki z podczernionymi węglowym pyłem oczami. Babunia witała go jak cudownie uratowanego i śmiała się:

— Wyglądasz jak przedwojenna aktorka.

A tatuńcio na to: — Mama nie ma prawa wiedzieć niczego o przedwojennych aktorkach, mama jest chłopka, analfabetka i takiej cywilizacji, jak kino, na oczy nie widziała.

— I nie zobaczy — odcinała się babunia. — Ja jestem przyzwyczajona do porządnego kina, gdzie się cierpi jak w życiu, a nie do takiego, gdzie Świat Się Śmieje razem z Lubow Orłową, kiedy inni cierpią.

— Ciii — uciszał ją tatuńcio. — Tutaj nawet ściany mogą mieć przeciecz uszy. Trzeba umieć to wszystko przeczekać.

I przeczekiwał, czekając na desant i na to, że jak przyjdą Nasi, to wszystko wróci do normy, oni do swych imion i nazwisk a babunia dodatkowo do języka francuskiego.

Miccio nie wierzył w ten tatuńciowy desant i Naszych, ale babunię kontrolował ostro, czy czasami, poza niedzielami, nie zostaje Adelajdą Zauer. Wolął, żeby się nimi nikt w skórzanych płaszczach nie zajmował, nie lubił znikać jak zeszloroczny śnieg.

Złościło go tylko, że tatuńcio tak tylko czeka i czeka a tu sobie inni wille zajmują i złote rybki w akwariach hodują, jak Franek Sokalski. Ale ojciec Franka Sokalskiego na nic nie czekał, oprócz posady w centrali, a potem w rezydencji ambasadorskiej w jakimś w miarę ciepłym kraju.

— Mój ojciec ma oczy i uszy otwarte i wie czego chce — mawiał Franek Sokalski. — I nigdy się nie myli.

Co do tego, to Mietka nie trzeba było przekonywać, bo już był przekonany, że ojciec Franka nigdy się nie myli.

Za to tatuńcio bezustannie się mylił.

To niemożliwe, żeby Okulicki został skazany.

To niemożliwe — mówił — żeby Tatar został skazany, przecież on przywiózł złoto.

To niemożliwe, żeby się przyjął ten ruch stachanowski.

Niemożliwe, żeby władza nie wiedziała, że naród zdycha z głodu. Niemożliwe, żeby niszczyć indywidualnych chłopów jako kulaków, to po co im dawali ziemię z reformy. Niemożliwe, żeby was uczyli, że religia to opium dla mas. Niemożliwe, żeby wam wkładali do głowy, że to Rosjanie wszystko wymyślili, łącznie z radiem, telefonem, żarówką i wyrobem szkła i porcelany. Niemożliwe, żeby zabijać ludzi po kapturowych sądach. Niemożliwe, żeby Zachód nie wiedział, co się dzieje w komunistycznym bloku; żeby wierzył, że tu jest wolność, równość i demokracja. To niemożliwe, żeby skazywać ludzi jako wrogów ludu, za to że ludzie chcą jeść. Niemożliwe, żeby tak niszczyli gospodarkę i ludzki potencjał. Żeby ludzie bez przygotowania i wykształcenia zajmowali eksponowane stanowiska. Żeby mój własny syn nie modlił się wieczorami.

Najbardziej się pomylił kiedy powiedział: — Ścigają i skazują takich jak ja, to jeszcze zrozumiałe. Ale żeby zaczęli swoich brać i skazywać, to już zupełnie niemożliwe. Przecież nie zrobią procesu dyrektorowi pegeeru i jego żonie. To są przecież ich ludzie.

Ale zrobili. Przyjechali po nich przed piątą rano, otoczyli kordonem wojska i zabrali.

Dyrektor z żoną wolali: jesteśmy niewinni — ale kto ich miał słuchać, pytał się w gospodzie pana Stasiulka inwalida Śłużyński.

— Szkoda mi — powiedział przy dziesiątej butelce piwa — żony dyrektora, latawica była aż miło — rozgadał się, chociaż normalnie był milczący jak omszały kamień.

— W domu nie usiedziała tylko ciągle latała z aparatem fotograficznym i fotografowała wszystko, na przykład chłopów okolicznych, jak się zapisują do spółdzielni. Przy okazji kupowała to i owo, za darmo nie brała: a to jakiś malowany w różyczki poniemiecki zegar, a to kubek z przykrywką jak kiść winogron, a to talerze z napisem Meissen.

Najbardziej łąsa była jednak na obrazy. Takie, na których przyroda i ludzie w niewinnej gołości. Raz nawet kupiła — Śłużyński splunął — parę tańczącą. Para była wymalowana na tekturce, on był przyłizany i w czarnym smokingu i oprócz tego sanacyjnego smokingu nic mu zarzucić nie można było, ale za to ona! Kobieta tańczyła w czarnej małej sukieneczce, miała pończoszki i w ogóle, tylko jej majtki spod sukienki wystawały, tak zadzierała nogi.

Śłużyński był u dyrektora Państwowego Gospodarstwa Rolnego „Jutrzenka” za praczkę, sprzątaczkę i kucharkę. Sieczkarnia nogę mu ciachnęła i dyrektor zlitował się nad swoim pracownikiem.

— Teraz jest Polska Ludowa — powiedział mu. — Nie żyjesz jak w przedwojennych czworakach na cudzej łasce. Teraz będziesz u mnie sprzątał, prał i prasował, bo żona nie ma czasu, a ty, jak każdy obywatel, masz prawo do pracy, to ci gwarantuje odrodzona ojczyzna.

Śłużyński lubił pracę u dyrektora: o nic się nie musiał martwić, wszystko miał powiedziane, co i jak i na kiedy. Poza tym nigdy nikogo w domu nie było, a jak był, to słuchał radia albo czytał książki:

— Byłem ja kiedyś wolny król — powiedział w gospodzie do pana Stasiulka — a wy — machnął na pijących piwo — zawsze będziecie tylko kurwa-dziady. Ja tam sobie po pokojach wypastowanych chodziłem i jak jakaś sekretarka wszystkiego dotykałem, nawet aparatu fotograficznego, choć dyrektorka nie lubiła tego za bardzo. — Nie dotykaj — mówiła, bo spsujesz, łapę za ciężką masz. — Ale nie psu! Wy byście zaraz spsuli, kurwa-dziady, jakby wam aparat do ręki dać dotknąć.

I wszystko byłoby dobrze i Śłużyński byłby dalej ostrzył noże, czyścił widelce i siekał koperek u dyrektora i jego żony, gdyby nie przy-

szło jej do głowy fotografowanie konwoju wojsk radzieckich, jadących do Legnicy.

Zaraz potem sama konwój dostała.

— Niemożliwe — mówił tatuńcio. — Wzięli dyrektora i jego żonę? — i patrzył w sufit. — Boże, kiedy wreszcie przyjdą Nasi, skoro oni do swoich już się zabierają.

Tylko raz tatuńcio przestał myśleć o Naszych i zaczął budować dom nad Zatopionym Jeziorem. I omal to się źle nie skończyło! Tak się rozjuszył w tym budowaniu, że prawie zdradził swoją zatajoną tożsamość, a tak niby nakazywał nieustannie babuni: — Mamo, zatajaj swoją tożsamość. Na tożsamość jeszcze przyjdzie czas.

Zatopione Jezioro leżało siedem kilometrów od miasteczka. Wkoło Jeziora był tylko las. Nie prowadziła do niego żadna droga, steczka, żaden turystyczny szlak.

Z jednej strony było otoczone wysoką piaszczystą skarpą, z której sterczały poskręcane korzenie drzew. Z drugiej okalał je płaski, dostępny brzeg.

Na tym brzegu, w odległości kilku metrów od tafla Jeziora, wznosiła się tajemnicza budowla. Ni to piec hutniczy, ni wieża.

Miecio, kiedy się przez otwór u podnóża wśliznął do tej budowli, aż się za brzuch złapał, jak gajowy na widok kołyszących się na czubkach sosen panny Biesiadeckiej i pani Tymoniewicz. Siadł jak on na podłożu.

Wieża w środku była czarna, szklista, twarda i zwężała się aż ku rozwalonemu stropowi, z zewnątrz wydawała się niższa. Przez otwór w stropie widać było przepływające obłoki. Wieża, jak drzewo, chwiała się, a poza tym skakały w niej ropuchy.

Miecio zdenerwował się tymi ropuchami i chwianiem wieży, wśliznął się w nadziei, że się tu uspokoi, jak w pralni, bo był zły, że musiał iść z tatuńciem i panem Kilowskim całe trzy godziny, zanim to Jezioro się znalazło w głuszy.

Czym prędzej zaczął się wycofywać ale zaczepował się w małym otworze i tatuńcio z panem Kilowskim musieli go wyciągać jak martwego noworodka z brzucha pani Bakledowej.

— Co tam jakaś ropucha. Nie przejmuj się — zaśmiał się tatuńcio. — Ropucha nie nosorożec, nie ubodzie.

Pan Kilowski zawtórował: — Zaraz ją wyciągniemy, tę ropuchę. Ropucha z wieży, koniom lżej.

Miecio musiał polecieć aż pod olchę, żeby się wysikać, bo go

w pęcherzu bolało od strachu i obrzydzenia do tych ropuch, a tymczasem tatuńcio z panem Kilowskim zwariowali.

Zaczęli się tarzać po brzegu, śmiać jak wariaci i przekrzykiwać:

— Idzie ropucha borem lasem, podśpiewuje sobie czasem.  
— Stoi ropucha w czerwonym wieńcu, my się kłaniamy jako księżęciu.

— Stara ropucha mocno śpi, jak się zbudzi, to nas zji.  
— Na ropusze czapka gore.  
— Pasuje jak ropucha do kozucha.  
— I w Paryżu nie zrobią z ropuchy ryżu.  
— Lepiej z mądrym zgubić, niż z ropuchą znaleźć.  
— Co tam, ropucho, w polityce?  
— Materializm a ropuchokrytycyzm.  
— Rola polityki w ucłowieczaniu ropuchy.  
— Widmo ropuchy krąży nad Europą.

Potem wstali, stanęli na baczność i odśpiewali: wykłety powstań ludu ziemi, powstańcie, których dręczy głód, ropucha blaski promieniami, zawiedzie nas na bóg na trud.

I zakrzyknęli, wznosząc do góry zaciśnięte pięści: — Niech żyje i umacnia się ludowa ropucha!

— A jak by ją tak zatopić w jeziorze? Niech się tak nie umacnia.

Pan Kilowski aż zgął się w pół ze śmiechu: — Zatopić, zatopić, tylko ropucha jest niezatapialna, bo każda ropucha zanurzona w wodzie traci na swej wadze tyle, ile waży woda przez nią wyparta!

Zaraz potem, nie zwracając na Miccia najmniejszej uwagi, zaczęli się ganiać, baraszkować, siłować na pięści, rzucać kaczki kamkami po wodzie a na koniec stawiać dom.

— Kazik, ale by się tu mieszkało.

— Jasiek. Z tej wieży, jakbyśmy tu dom wybudowali, zrobiliby się piec centralnego ogrzewania.

— A tu werandę.  
— A tu pracownię. Nie, pracownię tam, żebym miał spokój.  
— A tu sypialnię, a tu gabinet. A tu pokoje dla gości.  
— A tam łazienki. Dziesięć...  
— A tam Luwr.

I Galeria Uffizi, i ta twoja kawiarenka, Kazik. A Jezioro, to twoja Zatoka Aniołów, zobacz jakie niebo nad nim lazrowe.

— A tu, Jasiu...  
— Jaki tam ze mnie Jasiu! Bracie...  
— A tyś myślał, bracie, że mnie jest Kazik?...

Micio zdrętwiał. przyszli tu ryby łowić a nie domy stawiać i swoje

imiona zdradzać, ściany wieży może uszu nie miały, ale nie wiadomo, co się kryje w lesie:

— Lepiej chodźmy stąd, jeszcze brzeg się zawali — krzyknął.

Tatuńcio i pan Kilowski otrzeźwieli, popatrzyli na jezioro, jakby je pierwszy raz zobaczyli.

— Co ma się zawalić — powiedział posępnie tatuńcio. Przyszliśmy ryby łowić, to będziemy łowić, prawda panie Kilowski?

— Święta racja, panie Brylak.

Usiedli na brzegu i zarzucili wędki. Szybko się jednak zniechęcili. Ryby nie chciały łknąć ani czereśni, ani wijących się polówek dżdżownic, ani much, jeszcze trzepoczących skrzydełkami, ani nieruchomych okruszyn chleba.

Podpływały leniwie i tak samo leniwie odpływały, spasioone i duże. Pan Kilowski zafrasował się.

— Może to i prawda, co mówią, że tu ludzi potopili.

Jezioro było owiane złą legendą. Mówiło się, że autochtoni opowiadali, iż w tym miejscu była kiedyś wytwórnia szkła lustrzanego, że grunt pod fabryką tąpął nie wiadomo dlaczego, i że na miejscu fabryki pojawiło się Jezioro Zatopione, zaś kamienne przypory widoczne spod tafli wody są pozostałością zatopionej fortuny.

Inni — że autochtoni swoje, a oni wiedzą swoje. Jezioro nie nazywałoby się Zatopione, gdyby dno nie obsunęło się na zawrotną głębokość, a jego poziom nie wzrósł.

Jeszcze inni, że w tym Jeziorze, ze względu na jego niegruntowność, zatopiono pomordowanych, nikt nie wiedział jednak, kto mordował i kogo.

Wszyscy byli pewni jednego — wokół Jeziora brzeg jest niepewny. Raz się w nim coś zatopiło, obojętne, dno, fabryka czy trupy pomordowanych — w każdej chwili może się powtórzyć kataklizm.

Nikt się w Jeziorze nie kąpał. Nikt nie łowił leniwych ryb — leżało za daleko. Tylko dla tatuńcia z panem Kilowskim nie leżało za daleko, bo mówili, że jak głód trzewia ściska, to człowiek nie patrzy na kilometry. Teraz sami się przekonali, że ryby w tym Jeziorze naprawdę nie biorą i wycofali się.

Na podwórku rozdzielili się, każdy poszedł do swego. Mietek jak najszybciej do pralni, żeby się wreszcie uspokoić po męczących przeżyciach, pan Kilowski do swojej gruźlicy i testamentów, a tatuńcio do swoich Naszych.

Usiadł na ławce, zwinął nylonową linkę z haczykiem, odstawił kij wystrugany z leszczyny i zapatrzył się swoim zwyczajem w niebo.



## Rozdział VII:

## Adelajda Zauer wychodzi zza szafy

Tylko tatuńciowi Nasi mogli tak za oknami mig-mig. Ale dlaczego obcięli pannie Władzi warkocze, jak jakiejś hitlerowskiej kolaborantce, i uciekli, zostawiając ich na pastwę zemsty oskubanej i jej żądz zapłaty.

Nie wierzył tatuńciowi w tych jego Naszych, aż tu nagle taki szpas.

Wdział spodnie i zaczął patrzeć przez okno, czy nie podejrzanego się za nim nie dzieje, a jakby się działo, to czyj kordon ich okraża, czy państwa ludowego, czy tych Naszych. I jak tu się wytłumaczyć, że się jest ich, gdyby to byli ci Nasi. W końcu przykład pana dyrektora Państwowego Gospodarstwa Rolnego „Jutrzenka” dowodził, że nie ma żadnego tłumaczenia, jak człowiek jest otoczony.

U pani Kilowskiej zegar wybił szóstą rano, po podwórzu zaczęła człapać Bakledowa. Wracła z chlewni. Pilnowała jej całą noc z karabinem w dłoni i była ze swej pracy dumna, tylko kiedy wracała do domu nad ranem, jak nikt nie widział, pozwalała sobie na bumelanckie człapanie. Zwykle chodziła sprężyste.

Pod oknem zakaszła. Odchrząknęła i splunęła.

Babunia nie sypiała — tak mówiła — całymi nocami, a już od trzeciej, czwartej nad ranem oko otwierała i z całą pewnością nie przemykała go do czasu, kiedy było trzeba wstać i Toniczka albo wnusia budzić. Powinna była słyszeć jak wraca Bakledowa i spluwa.

Powinna była wstać i krzyknąć do zamkniętego okna: — Niech Bakledowa sobie z orderów spluwaczkę zrobi.

Babunia mało czego nienawidziła, ale spluwania na pewno.

Tymczasem nie wstała. Nie zakrzyknęła, jak była zwykła, kiedy Bakledowa jej pod oknem odchrząkiwała i pluła.

Nie zakrzyknęła się też koło pączków. Piec był zimny. Miecio zajął, czy warkocze się spaliły. Buchnął spod fajerek swąd. Warkoczy nie było, tylko na kupce żużlu leżała jakaś taka spieniona brązowawa papka. Poruszył ją pogrzebaczem, papka rozpadła się.

Z pokoju wyszedł tatuńcio ubrany tylko w kalesony. Zdjął z wbiętego w kuchenne drzwi gwoźdź waciak, narzucił go na ramiona i wyszedł kłapiąc kapciami do ustępu.

Wrócił i powiedział: — Czegoś wstał tak wcześniej? Niedziela przecież.

Wszedł z powrotem do pokoju, jakby nic. Aż zadziwił tym Miecia. Cała niedziela zeszła właśnie tak jak się tego Miecio najmniej spodziewał: niby nic, choć prawie wszystko w niej się działo na „nie”.

Panna Władzia nie wróciła i niesamowicie jakoś było myśleć, że biega po świecie w samej halce z jedną pończochą na nodze.

Nie wrócili też Nasi, ani nikt ich nie otaczał kordonem. Pani Kilowska zaś nie szatkowała kapusty a Mietek nie musiał kapusty deptać.

Ucieszył się z tego, jakby dostał na śniadanie nie tylko pączka ale przedtem świeże jajko do wypicia. Tyle, że pączków też nie było.

Adelajda Zauer odmówiła wstania i wyjścia zza szafy.

— Jestem stara baba — powiedziała ponuro, kiedy tatuńcio spytał, czemu nie wstaje. — I nie wstanę i nie wyjdę. Dostyc się nawstawałam przez całe życie. Dostyc się napięłam, nasmażyłam, nazmywałam i napaliłam w piecach. Wszystko mi jedno nawet, jak się nazywam, Adelajda, czy Antonina. Jestem zmęczona. Przez pięć lat nie przeczytałam ani jednej książki, tylko jak nikt nie widział zeszyty Emila. A jak widział, to sylabizowałam tę tablicę naprzeciwno — Niech żyje i umacnia się władza ludowa. Jak ta władza chce, to niech się umacnia, ona jej nie będzie w tym przeszkadzała, ale ma już dostyc tego, żeby każdy miał ją za nic i jej groził konsekwencjami. Nawet taka panna Władzia, która niegodna była się jej kłaniać nawet z daleka, a tu przybiega do mieszkania goła i grozi, że płacić się jej będzie za postrzyżyny.

Mietek przestał słuchać, bo musiał się zastanowić, kto to jest ten Emil, któremu babunia, jak nikt nie widział zeszyty czytała i czasami poprawiała.

Z pomocą przyszedł mu tatuńcio: — Mamo, proszę, mama jest zmęczona, mamy prawo. Ale niech mama przestanie nazywać Mietka Emilem. Zachowajmy swoje imiona na lepsze czasy. A śniadanie sami z Mieciem zrobimy i jeszcze mamie przyniesiemy do łóżeczka. Niech mamusia leży spokojnie.

A babunia na to: — Zięciu, zamilcz. I nie chcę żadnego śniadania. Ani obiadu. Róbcie sobie, co chcecie i czekajcie końca.

Babunia nie wyszła i nie napaliła w piecu, nie zgotowała nawet obiadu. Pani Kilowska kiedy się dowiedziała, że babunia odmawia wyjścia zza szafy, zaofiarowała się przynieść coś ciepłego do zjedzenia.

— Kochana pani Brylakowo, mu tu już z Franią obrządzimy syna i wnuczka, pani się nie trapi i leży. I pani też podamy kapuśniaczek na króliczych nóżkach.

Kiedy wyszła, babunia wyjęczała: — Zięciu, możesz sobie iść szatkować do niej kapustę, nie będę nikomu wchodziła w paradę. Idźcie sobie do niej i do panny Frani obaj na te królicze udka i kapuśniak, mnie się nie chce jeść.

W końcu powstało takie zamieszanie, że nie szatkowano kapusty, nie deptano jej i nikt do nikogo więcej nie przychodził. Tatuńcio sam napalił w piecu i ugotował zupę z chleba, kraszoną resztą rzepakowego oleju.

Panna Władzia nadal nie wracała, ale też nadal nic się nie działo. Mietka zmęczyło zerkanie za okno, z podwórza zresztą nie było widać nic, tylko podkarpackie azalie i tablicę z napisem: NIECH ŻYJE I UMACNIA SIĘ WŁADZA LUDOWA.

Po obiedzie pobiegł na stryszek — ze stryszku przez lufcik widać było ulicę prowadzącą do śródmieścia i w dali kilka większych budynków, więzienie, budynek partii, także jego szkołę.

Nie świeciło słońce i nie było wiele widać. W słoneczne dni, jak wyteżał wzrok, mógł za dużymi budynkami zobaczyć nawet Śnieżkę, a dzisiejszej niedzieli nie.

Postanowił odnaleźć za wszelką cenę Franka Sokalskiego, jak będzie trzeba — wdrzeć się nawet do jego domu, byle się tylko dowiedzieć, czego można oczekiwać.

Micio pożałował, że tak późno wpadł na pomysł odszukania Franka. Przed sumą Franek niedzielami stawał przed kościołem i liczył kolegów ze szkoły, którzy wchodziłi do środka.

Teraz było za późno. Była jeszcze szansa, że może go zastać w stadninie, jak ujeżdża konie, albo na strzelnicy.

Wybiegł z domu, ledwie usłyszał jak tatuńcio woła za nim: — Idę na nocną szychę, wróć wcześniej.

Franka nie było na strzelnicy, w ogóle nikogo nie było na strzelnicy. Śłużyński, który znalazł pracę po opuszczeniu domu dyrektora Państwowego Gospodarstwa Rolnego „Jutrzenka”, stał oparty za ladą i patrzył na kilku chłopców, próbujących wejść na oślisły słup, na szczycie którego nie było, żadnej nagrody, platforma była pusta. Nie było na niej kielbasy ani wódki.

Za Śłużyńskim czerwieniły się, złościły i niebiesciły drewniane ptaszki z farbowanymi piórami gęsi. Ptaszki stały na długich, drucianych nóżkach gotowe do ustrzelenia. Śłużyński machnął w stronę Miccia strzelbą, ale Micio pognał dalej.

Franka nie było też w stadninie. Hipodrom był pusty, maneż był też pusty. Nie było na nich ani koni ani masztalerczy.

Pobiegł do willi. Okrążył ją z daleka. Od razu domyślił się, że w willi nikogo nie ma.

Pozamykane drewniane, zielone okiennice z powycinanymi serduszkami znaczyły jedno: wszyscy gdzieś wyjechali.

Stał i nie wiedział, co robić dalej. Było mgliście, zimno i chaotycznie. Był głodny.

Patrzył na taras, na którym jeszcze wczoraj stały stoły, które jeszcze wczoraj zasłane były dywanami i oświetlone chińskimi lampionami. Teraz po tarasie zasłanym liśćmi zwianymi z parkowych drzew przechadzał się kot.

Zaczął wracać do domu wczorajszą trasą, poprzez skupisko sosenek, w których kucal, poprzez kapuścisko. Teraz, w mgłach, kapusty wyglądały jak kapusty a nie jak sąd ostateczny.

Wszedł na nasyp kolejowy, popatrzył na dalekie dymy kopalniowych kominów, skręcił jeszcze raz na strzelnicę; przynajmniej sobie postrzela, jeszcze nie jest za późno.

Na strzelnicy zaświecono już latarnie. Nikt nie strzelał, jakaś inna grupa małych chłopców próbowała wejść na szczyt słupa, na którym w ludowe festyny stały na platformie nie tylko kielbasa i wódka, ale czasami nawet komplet filiżanek z fabryki porcelany. Mietek zdobył kiedyś taki komplet. Od tego czasu zaczęła się jego przyjaźń z Frankiem.

Franek zazdrościł, że Mietkowi wolno się wskrabywać na słup:

— Mnie nie pozwala matka — powiedział. — Ale ty masz bracie nieźle, mówię ci, że nie masz matki. Też by ci niczego nie pozwalała i co krok mówiła, żeby się nie pospolitować.

Kiedy już miał wychodzić z terenu strzelnicy, usłyszał jak woła go Franek. Stał oparty o kiosk z napojami i pił oranżadę. Był ubrany w długi, watowany na ramionach płaszcz z materiału w jodełkę, na głowie miał wysoką, baranią czapkę.

Mietek widział człowieka opartego o kiosk i pijącego oranżadę, ale do głowy mu nie przyszło, że ten poważny gość, to Franek.

Podali sobie ręce. — Co porabiasz — spytał Franek. Mietek milczał, jakoś wszystko wydało mu się nieważne w obliczu poważnego, ubranego jak dorosły Franka, wzruszył ramionami: — Ot tak łązę.

Franek splunął: — Mówię ci brachu, alem się najeździł, wizytowaliśmy hufce Służby Polsce. Ledwo żeśmy się tam znaleźli a tu powitał nie z grochówką i plackami ze śliwkami. Niestety dla mnie wypadło tylko cztery kawałki ciasta. Wy tłumaczyłem matce, że taka przygoda powinna cieszyć a nie doprowadzać do rozczarowania, czy złości. Udobruchała mnie trzema kawałkami więcej, które zabrała ojcu spod

nosa. I ledwo zjadłem, myślałem, że pękne. Na szczęście była herbata i popilem. A potem rozboleł mnie brzuch. Od tego czasu piję bezustannie wodę sodową. Przed chwilą wróciliśmy dopiero, bo trzeba było oglądać, jak chłopaki tam śpią, jak maszerują, jak śpiewają i jak im tam nie brak żadnej rodziny. W domu nie do picia nie było, bo wczoraj wszystko goście wychłali, to wybrałem się na strzelnicę do kiosku. Napijesz się też? Nie? No to cześć, mówię ci brachu, muszę zaraz wracać, bo matka nie lubi sama w domu siedzieć, jak ojca nie ma, a ten ledwo przyjechał zaraz dostał telefon, że ma być na kopalni, bo na kopalni jest sprawa.

Na odchodnym dodał: — Marsze jesienne niedługo.

Za chwilę go nie było. Nic nie powiedział o pannie Władzi, o żadnych Naszych ani się zająknął, w ogóle jakby nigdy nic, więc Miecio nadal nie wiedział, czego oczekiwać.

Wrócił do domu. Tatuńcia już nie było. Piec wygasł, na płycie kuchennej nie stało jedzenie, na patelni nie walał się nawet jeden najmniejszy placek kartoflany. Babunia odezwała się zza szafy: — Emilku, to ty?

Aż nim szarpnęło ze złości: — Ja — powiedział i rzucił się wściekły na połówkę, okrył kocem i spróbował zasnąć. Patrzył na sufit. Nie słychać było kroków panny Władzi, znaczy że nie zamierza wrócić. Pan Stasiulek klócił się z żoną, bił zegar u pani Kilowskiej, potem pani Kilowska zaczęła się wydierać z okna: — Zynia, Zynia!

Zaszurało coś w kuchni. Otworzył oczy. Przed nim stała babunia, cała w koronkach i w czymś na głowie:

— Emilku, przez dziesięć lat nie miałam na sobie porządnej sukni. Uszyłam ją sobie teraz z firanki, a kapelusz z tego pluszu, co został po poduszce. Przyjrzyj mi się, bo ubranej jak cywilizowana kobieta nie widziałeś mnie od lat. Zapamiętaj, że twoja babunia, matka twojej drugiej matki, Elizy, to ja — Adelajda Zauer, a twoja pierwsza matka, pierwsza żona ojca, nazywała się Zofia Maria Bergerac. Była jasną blondynką, studiowała na Sorbonie. Umarła przy twoim porodzie.

Przestraszył się babuni gorzej niż ducha: miała podmalowane oczy. Czasami, w niedziele, podmalowywała je przypalonym korkiem.

Po kuchni zaczęły krążyć jakieś wskrzeszone przez nią istoty, napoleońscy oficerowie, karety, w nich damy i patriotki, dziadowie bitni i oddani wolnej ojczyźnie, konie, zajazdy, dworki, Hallerczycy, Piłsudczycy, falujące łany zbóż, jeden wielki chaos.

Kiedy babka odeszła za szafę w tych firankach i pluszowym kapeluszu pikiły go usta, miał spocone ręce i panicznie bał się.

W środku trzepotliwego strachu postanowił, że odejdzie do huf-

ców Służba Polsce. Chłopaki żyją tam zdrowo, jedzą do syta placki ze śliwkami, śpiewają, maszerują, popijają wodą sodową i nie brak im żadnej rodziny. A rodzone babki nie straszą ich żadnymi opowieściami o dawno wymarłych czasach, o skamieniałej w nagrobne płyty tradycji, nie mrugają podczernionymi przypalonym korkiem oczami i nie wskrzeszają zapomnianych istnień; odciętych, odstrzyżonych w pośpiechu, jak warkocze panny Władzi, istnień.



## Rozdział VIII: Błyszczące biurko

Rano babunia była normalną babunią, martwiła się tylko, że nie wrócił jeszcze z szyci Tonieczek, ale Miecio i tak postanowił odejść do hufców Służby Polsce. Zapyta tylko Franka Sokalskiego, jak tam się idzie i po krzyku.

Poszedł do szkoły, było ciepło. Z podwórza popatrzył na okna panny Władzi. To mu przypomniało, że zapomniał z tego wszystkiego pójść, jak zamierzał, do tej Irki, ale w końcu nie żałował. Frankowi Sokalskiemu to ona otwierała zaraz, jak tylko zapukał, ale jemu nie musiała.

W żółtku chlupotała mu śpiesznie wypita słaba herbata. Do herbaty zjadł tylko kawałek chleba, dalej piekły go usta. Marzył o kawałku pasztetowej. Franek Sokalski mówił, że chłopaki ze Służby Polsce śmieją się i śpiwają, więc pewnie zażerają się też co rano pasztetówką, bo inaczej z czego by się tak cieszyli.

Franka w szkole nie było, poza tym w normie. Apel, klasy w kar-nym czworoboku i prasówka. Świat nadal był podzielony na kapitalistyczny i socjalistyczny, nic się nie zmieniło od soboty.

Kapitałiści od soboty też nie zmienili się, komunizm krajów słowiańskich jak im stał kością w gardle, tak im stał. Franco z Titem nadal latali po globie z krwawymi toporami, Niemcy zamiast bytować pokornie, zbroili się i zapychali tłuste gęby sytnym planem Marshalla, Ford gnębił robotników a Coco Chanel ubierała wydry, szlompki i hadry.

W komunistycznym bloku ścieliły się pod nieboskłonem łany państwowej pszenicy a robotnicy wyrabiali 200 procent normy, górnicy i hutnicy już wzywali towarzyszy do współzawodnictwa, bo Rocznicą Rewolucji Październikowej była za pasem, przemawiali też na wiecach i mówili stanowczo wszystkim wrogom ludu swoje stanowcze NIE.

Potem zaczęła się lekcja.

Na dużej przerwie poszedł do niego kierownik szkoły. Miecio poszedł za nim ochoczo, często był wzywany do gabinetu, bo miał w ręce dryg i jak nikt inny umiał wycinać duże litery na hasła i malować gazetki ściennie, wołał to, niż siedzenie w ławce z rękami założonymi do tyłu, prosto, bez garbienia się i słuchanie nauczycieli.

Teraz jednak poprosił go do gabinetu sam kierownik szkoły, to było wyróżnienie i widział jak się wszyscy patrzą na niego.

W gabinecie czekało na niego nie zajęcie przy gazetce ale dwu mężczyzn.

Powiedzieli, że ma z nimi iść, a kierownik skinął głową. Ani się obejrzał jak siedział z nimi w samochodzie.

Cała szkoła to widziała, że siedzi w samochodzie i że ten samochód prowadzi kierowca. I że wiozą go gdzieś, może na obiad, jak Franka Sokalskiego do restauracji, bo ojciec sobie życzył, albo do wili, do matki, bo matka sobie tego życzyła.

Pożalował, że nie widzi tego sam Franek.

Po chaosie następuje ład, po godzinach beznadziei nadzieja, po strachu i klęsce triumf — temu nie zaprzeczyłby nawet sam pan Kilowski, gdyby nadal żył cały uwikłany — jak to określał tatuńcio — w te swoje paradoksy, maksymy, wspomnienia i napomnienia.

W niedzielę myślał, że nastąpił dla niego niekorzystny koniec świata — teraz siedzi w samochodzie i ma przed sobą przyszłość, panna Kilowska nazwałaby to, że perspektywa stanęła przed człowiekiem.

Przeglądał się jak migają domy po obu stronach ulicy i jak inaczej wyglądają ludzie z okien samochodu: tacy jacyś pomniejszeni i mniej ważni. Gdyby na przystanku stał sam ojciec Franka Sokalskiego, byłby pomniejszony i mniej ważny. Nawet komendant Hufca Służby Polsce też mniej korzystnie wyglądałby po tamtej, migającej, stronie.

Dopiero kiedy dotarli do śródmieścia zaczął się zastanawiać nad powodem tak niebywałego wyróżnienia.

Przypisał je Frankowi — nie było go w szkole — na pewno zaważwał swojego najlepszego przyjaciela na spotkanie w sprawie harcerstwa. Ostatnio mówił, że jego ojciec szykuje się do reorganizacji harcerstwa, żeby bliżej związać jego końce ze Związkiem Młodzieży Polskiej.

Oczywiście, że jedzie do gabinetu ojca Franka w tej sprawie.

Wyjrzał przez szybę samochodu, żeby go lepiej przechodnie widzieli. Niech sobie pomyślą, że ma pod połą marynarki kaburę z pistoletem, jak ci dwaj obok. Wyczuł to, bo siedzieli blisko.

Samochód stanął przed jakimś gmachem.

Miecio rzadko był w tej części miasteczka i zanim zdążył odszukać oczyma tabliczkę z nazwą, już siedział w jakimś pokoju oświetlonym małą, nieosłoniętą niczym żarówką. Okienko było za wysoko, tuż pod sufitem, i za wąskie, żeby w pokoju było wystarczająco jasno bez elektryczności.

Stało w nim, prawie pośrodku, czyściutkie, błyszczące biurko. Jak

u kierownika szkoły. Stało też tu dwa krzesła, spluwaczka i popielniczka w kształcie czarki na długiej stalowej nodze. Na ścianie wisiał orzeł na czerwonym tle, a jedna ze ścian była zabudowana żelazną szafą.

Podłoga była pokryta linoleum. Mężczyźni zniknęli. Franka Sokalskiego nie było, za to w pokoju brzęczała mucha. Zaczął śledzić jej lot. Trzasnęły drzwi. Odwrócił się. Wszedł szczupły, wysoki mężczyzna. Położył na biurku kartkę papieru maszynowego i długopis: — Siadaj. Napisz imię, nazwisko i życiorys.

Miccio zdumiał się, że ma siadać i pisać imię, nazwisko i życiorys. Jak go tu przywieźli, to chyba wiedzieli kogo. I dlaczego życiorys. Uzasadził sobie to żądanie: nie chodzi o reorganizację harcerstwa, ale o komitet organizacyjny marszów jesiennych. Został zaproponowany do tego komitetu. Zapytał wysokiego i szczupłego:

— Podanie też?

Szczupły usiadł i zaczął na niego patrzeć. Po chwili powiedział to samo:

— Imię, nazwisko, życiorys.

Wstał i podszedł do żelaznej szafy, otworzył ją i się do niej schował.

Mietek pomyślał, że śni: taki wysoki i ważny mężczyzna, ma takie czyste, przycięte krótko paznokcie, a chowa się w szafie. Co on w tej szafie robi schowany? Wstał, ruszył ku niej, delikatnie uchylił odrzwia, szafa okazała się drzwiami. I to podwójnymi. Podwójne drzwi zgrzytnęły. Mietek skoczył na swoje miejsce i zaczął pisać.

Ja, niżej podpisany, urodziłem się, pochodzenie społeczne, chłopskie, pochodzenie społeczne ojca, chłopskie...

Pisał i pęczniał z dumy, że jechał dzisiaj samochodem.

W samochodzie było miękko, tylko trochę ciasno między tymi dwoma z pistoletami pod połami marynarek, ale dawali popatrzeć przez okna. Śmierdziało wewnątrz benzyną i był zawiedziony, że nawet w czymś takim jak samochód potrafi cuchnąć, ale co tam, jeszcze nigdy w życiu nie jechał samochodem i tylko to się liczyło.

Jeździł pociągami, furmankami i bryczką, jeździł nawet karocą, jakby wynikało z tego, co mu powiedziała wczoraj wieczorem babunia okutana w firankę. Jeździł nawet ciężarówką pod plandeką, nawet bobslejami, które chapnęła pani Kilowska — ale osobowym samochodem — nigdy. Nie widział też nigdy w życiu takich żelaznych, wyglądających jak szafa, drzwi. Patrzysz — myślisz szafa — zaczął opowiadać w myślach Frankowi. — A tu, brachu, zmyłka. Szafa, to drzwi do innego pokoju.

Drzwio-szafa otworzyła się. Weszło dwu mężczyzn, ten wysoki i szczupły i drugi — w białym fartuchu.

Szczupły zabrał kartkę z życiorysem i zaczął czytać. Skończył, bo ile tego czytania było i powiedział: — Teraz zbada cię lekarz.

— Ale jaja — pomyślał — aż lekarz musi mnie badać, czy się nadaję.

Lekarz zaczął mu zaglądać to do gardła, to do nosa, to odchyłać powieki, popukiwać w obnażony tors, stukać po kolanach. — Tyfus, gruźlica były? — I odpowiedział sam sobie: — Nie były. A choroby w dzieciństwie: koklusz, angina, szkarlatyna?

Tym razem Mietek zdążył: — Nie pamiętam.

— Wszystko gra. Ubiera się — zadysponował lekarz i wyszedł.

— Nie pamiętasz? — wysoki zdziwił się. — Matki też nie pamiętasz? W życiorysie jej nie ma.

Miccio spociał się. Co to wszystko znaczy? Jak się robiło marsze jesienne, do tej pory nikt nigdy się nikogo chyba nie wypytywał na co kto był chory albo o ich matki.

O choroby przebyte nie pytano nawet przed zawodami międzyskolnymi i trzeba było gnać do mety, aż świszczało w płucach, żeby nie być ostatnim. Ostatniemu obniżano stopień ze sprawowania, a jak stopień ze sprawowania był obniżony, nauczyciele musieli obniżyć wszystkie inne stopnie ze wszystkich innych przedmiotów. Tak obniżony ze wszystkiego, żeby się wywinąć, musiał przez cały tydzień robić prasówki na apelach.

Znajda razu pewnego aż całe dwa tygodnie robiła prasówki, bo przynęła ostatnia na osiemset metrów i dodatkowo na mecie padła i zaczęła rzygać. Przez dwa tygodnie, żeby zrobić prasówkę, musiała ganiać po okolicznych klozetach i kraść gazety, niektóre były poszarpane na kawałki zdadne do użycia... Pani Kilowska gazet nie kupowała, prawie nikt w kamienicy gazet nie kupował, gazety nie były do czytania, tylko do dowiadywania się, czy nie ma jakiejś podwyżki, i co dają w głośniku.

Prasówki były bardzo ważne, ważniejsze niż lekcje, tylko Nauka o Polsce i Świecie Współczesnym była jeszcze taka ważna jak prasówka na apelu.

Apele zatem też były bardzo ważne. W szkole trzeba było być już pół godziny przed ósmą, żeby zdążyć ustawić się w czworobok klasami. Baczność, spocznij. Kierownik witał czworobok. Czworobok witał kierownika: czołem obywatelu kierowniku.

Mietek, mimo że uzyskiwał w sporcie omal ostatnie wyniki, prasó-

wek prawie nie miewał; ratowały go dryg w ręce i Franek — przyjaciel.

— No i co? — ponaglił wysoki i szczupły. — Matki nie pamiętasz? Masz tu czysty arkusz papieru i pisz: imię, nazwisko, życiorys z uwzględnieniem matki. — Matka nie żyje — wyszeptał Miecio, spaliła się we wsi.

Okazało się, że i ten życiorys jest całkiem zły. Nie w nim nie było na temat, dlaczego matka się spaliła, dlaczego natomiast uratowali się:

Mieczysław Brylak, jego ojciec — Jan Brylak i jego babka — Antonina Brylak z domu Wiśniewska.

Na to Mieczysław Brylak nie był przygotowany. Skąd takie rzeczy miał wiedzieć? A nawet mu się wydawało śmieszne, że się go pytają, dlaczego żyje.

Kiedy padło pytanie, czy byli kulakami — Mieczysław Brylak pomyślał, że chyba jest w jakiejś pułapce. Nie umiał na takie pytanie odpowiedzieć i pożałował, że został wyznaczony do jakiejś niebywale ważnej funkcji. Przy jej obejmowaniu zadawano stanowczo za dużo pytań.

Był głodny i nagle znowu niewyspany, zmęczony i zniechęcony, jak podczas chaotycznej niedzieli. Trochę też czymś niejasnym zaniepokojony: niby nie takiego siedzieć i pisać życiorysy, ale ręka mu lekko drżała i gdzieś w okolicy serca tak jakoś zaćwierkało wstępnym bólem, jakby tam znajdował się początek bólu zęba. Czy zęby mogą boleć w okolicy serca? Czy Brylakowie byli kulakami?

Być kulakiem, to być wrogiem ludu i Mieczysław Brylak nie zdziwił się, kiedy padło: Czy wiesz, kto to jest wróg ludu?

Odpowiedział: — Tak. Jehowici, akowcy i Jamuła.

— Kto z rodziny Mieczysława Brylak kontaktował się z wrogiem ludu, Jamułą?

— Nikt taki, tylko babunia dawała mu czasami chleb.

Czy tylko chleb.

Tylko chleb.

Z czym był ten chleb.

Z niczym był ten chleb.

Czy obywatele Polski Ludowej są aż tak biedni, by dzielić się chlebem z niczym?

Jak się daje chleb z niczym, to daje się po coś. Co było zatem w chlebie?

Jak to w chlebie? — Mieczysławowi Brylak aż ciapki zaczęły latać

przed oczami, zupełnie jak w nocy z soboty na niedzielę, takie mig-mig.

Czego ten wysoki chce? A może to panna Władzia mści się wreszcie za te swoje warkoczki? Może tu wcale nie chodzi o żadne marsze jesienne, tylko panna Władzia każe mu za chwilę zapłacić za wszystko, ale dlaczego tylko jemu, czy to on jej te warkoczki obcinał? A może się dowiedziała, że to ci tatuściowi Nasi? A może tych Naszych złapali?

— Nie obcinałem warkoczy — zapiał jak hitlerowska Szwabka, kiedy miała się spakować w ciągu dwu i pół godziny.

Wysoki i szczupły zamilkł, patrzył tylko na Mieczysława Brylak. W jego siwych oczach była otchłań nie do zgruntowania jak nie do zgruntowania było Zatopione Jezioro. Mieczysław Brylak zapadł się w tę otchłań.

Kiedy się ocknął leżał na jakiejś twardej, śliskiej kozetce w zupełnie innym pokoju. W tym całkiem innym pokoju okno było normalne i na normalnej wysokości. Widać było przez nie drzewa i to, że świeciło słońce. Ucieszył się, że widzi, że mu żaden karzący paluch nie wyklął oka jak jakiemuś wykształconemu bandycie.

Ten sam lekarz, który go uprzednio badał, kończył do kogoś przez telefon: — Wszystko gra.

Mieczysław Brylak zerwał się i zaczął wrzeszczeć na lekarza: — Ja nie obcinałem nikomu warkoczy, co mnie obchodzą tatuściowi Nasi, ja nie mam z nimi nic wspólnego!

Wysoki, szczupły nacisnął jakiś przycisk i do pokoju wszedł łysy i grubawy, podobny do Śłużyńskiego.

— Kurwa, co za wrzaski. Ty mi tu nie podskakuj synu. Co ty nam tu pieprzysz o jakichś warkoczach. Chcesz z siebie zrobić dziedzicznie obciążonego? Takie gudlajskie kiepele miszigine? Stać mi tu prosto, kurwa, i mówić jasno i prosto, bo ci pokażę synu, że ci oko zbieleje. I na temat!

Zabrzmiało to wszystko jak chłasińcie pejcem. Kiedyś był ze szkołą w cyrku.

Z bicia strzelala tam wielka kobieta ze złotą koroną na głowie. Chlastała z pejców do lwów. Lwy cofały się przed nią. Zapędziła je w jeden kąt areny, na środku stały beczki z obręczami. Zapaliła te obręcze. Potem chlasnęła pejcem i lwy jeden po drugim zaczęły skakać przez płonące koła.

Czuł się teraz jak zapędzony w kąt areny cyrku, tylko był w tym kącie sam jeden. I dlaczego ma skakać przez płonące koła, obracające się w jego głowie? I na jaki temat ma przez nie skakać. Dlaczego?



Przecież przywieźli go tu jak ważnego człowieka osobowym czarnym samochodem wołga. Nie wozi się ludzi osobowymi, czarnymi samochodami wołga tylko po to, by skakali w pokoju przez płonące obręcze. I dlaczego przez te obręcze każe mu skakać ktoś, kto krzyczy i zniemacka go usynawia?

Czy on już nie ma tatuńcia?

Okazało się, że ma. I że lepiej by było, żeby go nigdy nie miał. Tatuńcio był sabotażysta i wróg. A on był synem nie grubego i łysiego ale sabotażysty i wroga, babunia zaś była matką sabotażysty, wroga i kulaka.

Wyszeptał, że te warkocze, to naprawdę nie oni obcinali, ani babunia, ani ojciec. Tylko ci Nasi, ale ojciec już od tej lemkowskijskiej wsi nie ma z nimi nic wspólnego, tylko sobie na nich czeka, wyrabiając sto osiemdziesiąt procent normy. Może kiedyś i tak było, że był synem sabotażysty i wroga, ale dawno, dawno temu, kiedy uciekał z babunią przez wertepy i chował się w cudzych piwnicach, ogryzając, jak koza, witki łoziny, ale potem już nie, bo ojciec zakopał przecież mundur, broń i tę furażerkę z ukoronowanym orłem pod roztrzaskaną sosną i przyjechał do tego tutaj miasteczka, żeby się martwić o to jak przeżyć w cudzej skórze, z cudzymi papierami schowanymi w szufladzie cudzej szafy, bo niemieckiego pochodzenia autochtonka z synem nie miała biurka. Na początku ojciec martwił się też, że mieszkają w cudzej ziemi jak karaluchy w szczelinie, które przenoszą życie i historię i tradycje, ale ostatnio przecież mówił, że cudze ziemie nie istnieją, jest tylko wspólna wielka planeta wszystkich ludzi. Co do babuni, to jest ona obcą, nie jest matką ojca ale matką ojcowej drugiej żony, mateczki Elizy, i z domu jest Adelajda Zauer.

Grubego i łysiego jakby prąd elektryczny poraził. Trząsł się. Nie mógł trafić dłonią do przycisku, złapał za telefon i zanim zatelefonował zagroził: — Jak ty mi tu pieprzysz od Sasa do lasa, to ja ci z dupy nogi powyrywam jak jakiejś gnojej muszce plujce, synu, kurwa twoja mać. — I do telefonu: — Grupa operacyjna do mnie.

W pokoju zaroilo się. Przeprowadzono go z powrotem do pomieszczenia z błyszczącym biurkiem i żelaznymi drzwiami, które wyglądały jak szafa i zaczęło się od nowa: imię, nazwisko, data urodzenia.

I nawet tego sam pisać nie musiał na maszynowych arkuszach. Pisała za niego jakaś szczupła kobieta z zapadniętymi oczami, od czasu do czasu patrzyła na niego smutnym wzrokiem.

Po godzinie na błyszczącym biurku leżały pistolety pana Wondra, zielony kalendarzyk, guziki od munduru i broszka w kształcie szarotki.

Kobieta ze smutnymi, zapadniętymi oczami powiedziała do grubego, łysiego:

— Towarzyszu prokuratorze, protokół z tego przesłuchania, to już gotowy akt oskarżenia.

Z gotowego aktu oskarżenia wynikało, że Emil Dwernicki, syn Antoniego Dwernickiego i matki, Zofii Marii z domu Bergerac, vel Mieczysław Brylak, jest członkiem Wehrwolu, a jego ojciec, Antoni Dwernicki, reszta personaliów do ustalenia, vel Jan Brylak, jest członkiem band Narodowych Sił Zbrojnych, sojusznikiem i poplecznikiem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i działał czynnie i na szkodę państwa polskiego ludowego na terenach wschodnich, utrudniając z bronią w ręku prawowitym władzom odrodzonej ludowej ojczyzny rozwiązanie problemu mniejszości narodowych.

„Po zakończeniu działań wojennych została w granicach Polski liczna mniejszość ukraińsko-lemkowska. W wyniku rozmów między PKWN a USRR przeprowadzonych w sierpniu 44 roku, podjęto decyzję o rozwiązaniu problemu mniejszości narodowych wyżej wymienionych poprzez humanitarną repatriację i ewakuację. Rozwiązanie tego nabrzmiałego problemu poprzez pokojowe regulacje przesiedleńcze i repatriacyjne utrudniły ożywione akcje terrorystyczne zdziczałych band Narodowych Sił Zbrojnych, działających w powiązaniu z bandami Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. W lasach Polski Wschodniej wystarczy przejść się przez lasy, żeby co krok potykać się o miejsca, o których długo by mówić”.

I dalej — „Antoni Dwernicki, vel Jan Brylak, pseudonim do ustalenia, osobiście podpalił lemkową wieś, żeby utrudnić przesiedlanie i repatriację a winą za podpalenie obarczył żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego”.

„W tej to wsi, zdobywa papiery spalonego przez siebie osobiście, Jana Brylaka, syna Władysława i jego rodziny, i w ten twardy i nie liczący się z życiem ludzkim sposób bandyta ucieka na Ziemię Zachodnią, by tam połączyć się z resztkami pohliterowskiego podziemia — Wehrwolfem, mającym na celu niedopuszczenie do tego, by chłopci i robotnicy odrodzonej ludowej ojczyzny przeszli w swe władanie słusznie i historycznie im należne dziedzictwo: fabryki, pola, lasy, budynki użyteczności publicznej.

Mieli oni za zadanie: dywersję i sabotaż. Sabotowanie elektrowni, żeby nie wykonywała planu. Zatapianie sztolni i inne.

Przyczaiwszy się na pozycji górnika aż do września 1950 — czeka na znak swych amerykańskich i zachodniemieckich pracodawców. Ten znak nastąpił obcięciem włosów na głowie patriotki polskiej,

Władysławie Grzelak, traktowanej jako kolaborantka z władzami ludowymi i armią zaprzyjaźnioną.

Następnego dnia wieczorem po obciążeniu wyżej wymienionych włosów zaczęła się terrorystyczna akcja w kopalni im. Feliksa Dzierzyńskiego.

Pod pozorem, że chodniki kopalniane są źle ostemplowane i że grożą śmiercią i kalectwem, wszczynają strajk górników, grożących w razie niedopełnienia terrorystycznych dezyderatów — głodówką i zatopieniem sztolni.

Akcję najemnika Wehrwolu opanowano dopiero kiedy wprowadzono na dół kopalni porządkowe siły zbrojne i po unieszkodliwieniu dwu górników. Dwaj wyżej wymienieni z uwagi na unieszkodliwienie zmarli w drodze do szpitala."

Zaschło mu w gardle. Siedział i czytał a gardło go paliło. Paliły go wargi, w głowie krążyły płonące koła. Napilby się herbaty z sokiem malinowym.

Mignęła mu przed oczami zatroskana twarz babki. Musi iść do domu, a oni go tu trzymają i każą uściślać szczegóły.

— Kim jest dla niego kobieta o obco brzmiącym nazwisku, Za-uer. Jakże miała kontakty z Walenty Jamulla.

— Dla kogo była przeznaczona broń w ilości dwa pistolety schowane w schowku razem ze znakiem rozpoznawczym Wehrwolu — szarotką w kształcie broszki?

— Co znaczy w niemieckim kalendarzyku zapis po polsku — majonez—dupa.

— Bo jeżeli na przykład policzyć ilość będących w tym zapisie liter, to jest ich jedenaście.

— A jeżeli się weźmie pod uwagę, że jedenaście to jeden i jeden, czyli dwa — to wychodzi z tego napisu data: drugi listopad.

— A właśnie dokładnie drugiego listopada ubiegłego roku w Państwowej Stadninie „Czerwona Gwiazda” padły wszystkie na raz klacze zarodowe.

— Konie lubią jabłka.

— Co znaczy zapis w kalendarzyku: Szlecha lubi jabłka.

— Czy trucizna klaczom zarodowym została podana przez Antoniego Dwernickiego, vel Jan Brylak, pseudonim do ustalenia, w jabłkach, i czy trucizna przyszła ze Stanów Zjednoczonych przesyłką razem ze skarpetkami od Szlechy Wincentego? Pozwolono mu wyjechać do Stanów Zjednoczonych, żeby skorzystał z zagwarantowanego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej prawa do swobody myśli, prze-

konać, słowa i swobodnego przemieszczania się. Jak z tego skorzystał, wiadomo powyżej.

— A może Szlecha należy czytać Klecha. Czy do akcji został wciągnięty aparat religijny?

Mignęła mu twarz ojca: miał stroskaną twarz.

Powinien pójść do domu, ojciec powiedział mu, że idzie na nocną szychę, a babka nie chce wyjść zza szafy, powinien jej pomóc. Powiedział: — To jest szarotka Niemki. Kalendarzyk też jej.

— No właśnie, nie pieprz mi tu synu, tylko szybko i jak Panu Bogu na spowiedzi: wspólnicy, kontakty, cele czyli zadania i dalsze zamiary bandyckiej działalności na szkodę państwa i dochodu narodu.

Gruby odwrócił się do wysokiego:

— Sprowadźcie no tu tego pieprzonego oficerka. Robimy akcję—konfrontacja, raz, dwa, zanim nam się tu cały Wrocław zwali na głowę.

Nie minęła chwilką, jak susik wilka, a tu mamy taki sukces, że awans, to będzie małe jasne piwo. A to ci się nam skunks trafił — popatrzył z uznaniem na Emila vel Bobo vel Miecia, skunksa jednego.

Grupa operacyjna popatrzyła też na skunksa.

Skunksowi chciało się pić. Do pokoju zajrzał pan Kilowski i wycofał się, widząc że Miecio zajęty i czeka na konfrontację.

Skunks usłyszał wreszcie kroki na korytarzu — jedno z nich wyróżniały się — jakby z grupą ludzi szedł kulawy koń.

Popatrzył na drzwi przerażony — dlaczego żądają od niego konfrontacji z koniem. Czy koń ma być dowodem na to, że on razem z ojcem truli zatrutymi jabłkami zarodowe klacze w stadninie?

Drzwi otworzyły się i weszli przez nie tylko ludzie. Konia nie było. Między mundurowymi stał mężczyzna w drewniakach, ostrzyżony do gołej skóry. Miał podbite, podczernione, jak amerykańska przedwojenna aktorka, oczy i spuchnięte wargi. Kulał, kurtkę miał splamioną krwią a oczy kogoś, kto patrzy i nie widzi, bo patrzy nie na otoczenie, ale do wewnątrz, do środka.

— No i co oficerku? — zapytał grubawy i niski. — Skończona twoja pieprzona kariera. Przypatrz się dobrze temu skunksowi, i przeczytaj, co zeznał bez przymusowych środków zapobiegawczych, z własnej woli, co może mu będzie policzone na jego konto, z uwagi na młodociany wiek, chociaż drągałek ma już siedemnaście lat i podpada pod szubieniczkę.

Mężczyzna drgnął i popatrzył. Oczy mu się rozszerzyły.

Rzucił się do przodu: — Synu!

Ręce miał skute na plecach, przewrócił się: — Synu! Coście mu zrobili, coście zrobili mojemu synowi! Synu!

Plonące obręcze łysnęły jak piorun, coś grzmotnęło, pozostawiło go w niemym otępieniu. Czekał, aż poniosą mężczyznę, aż na powrót zacznie mu bić serce i kiedy przestanie czuć w całym ciele mrowienie, kiedy przestanie słyszeć jakieś suche trzaski.

— Synu — wołał do niego nadal mężczyzna. Otoczyli go mundurowi.

— Wyprowadzić — podskakiwał zezłoszczony gruby i niski. — Będzie mi tu synka żałował ukraiński bandyta.

— Tato — wyszeptał Emil. — Tato — powiedział głośniejszym głosem. — Tato! — rozplakał się ku zdumieniu wszystkich.

Ojciec tego nie widział, nie było go już w pokoju, szamotał się na korytarzu, wrzeszczał — synu! Co ci zrobili, synu, coście zrobili mojemu synowi!

Potem wrzask zaciął, można było za to usłyszeć jakieś gluche uderzenie, stęknienia i oddalający się stuk drewniaków.

— Nie bijcie go! — rzucił się do drzwi. — Nie bijcie mojego ojca!

— A tobie co, synu — usynowił go znów gruby i łysy. — Zachciało ci się znienacka miłości rodzinnej?

Zwrócił się do wysokiego: — Zabierzcie go do tamtego pokoju, za chwilę tam będę, skunks musi jeszcze trochę popracować, niech pooddycha świeżym powietrzem.

Chciał się wyrwać i pobiec za ojcem ale z żelaznych drzwi wychyliła się pani Kilowska. Położyła palec na wargi i skinęła ręką. Poszedł za nią, pewnie miała wiadomości od babki. Babka musi się martwić, że tak długo nie wraca.

Ale pani Kilowska zniknęła, chyba wyszła przez okno. Przez okno widać było drzewa. Drzewa szumiały. Okna były otwarte, stała przy nich kobieta o smutnych, zapadniętych oczach, ta sama, która pisała na maszynie, kiedy mówił. Zapytała: Czy zamknąć?

Nie usłyszał odpowiedzi wysokiego i szczupłego, bo właśnie pani Kilowska za oknem zawołała: Skaranie boskie jak ty się guzdrzesz zawsze, w domu się martwią.

Odbił się od podłogi i skoczył. Jeszcze świeciło słońce.

## Rozdział IX:

### Zatoka Aniołów

Walnął o ziemię, aż mu trzasnęły zęby i przygryzł sobie wargę. Otrzeptał ręce, podniósł się i spojrzał do góry. Skoczył z drugiego piętra i nic mu się nie stało. Jakiś mężczyzna z dzieckiem zaczął uciekać przed nim. — Ludzie, samobójca. Ludzie to jakiś wariat, skacze na głowę człowiekowi, prosto z Prokuratury skacze bandyta.

— Strzel mu w nogi — usłyszał głos grubego.

— Alarm.

Padły strzały. Ale nie umarł, biegł cicho jak pies. Za rogiem przystanął. Ludzie chowali się przed nim po bramach i w sklepach.

Przypomniawszy sobie, co mówiła babka, kiedy razem biegali cicho jak psy po bieszczadzkich wertepach: — Po pierwsze uciekaj tylko wtedy, kiedy masz szansę i wiesz, że jesteś szybszy. Kiedy tego nie wiesz, musisz iść całkiem wolno, od niechcenia, jakbyś nie wiedział, że to ciebie szukają.

Poszedł zatem wolno, od niechcenia, przypatrując się wystawom, za szybami wystaw kulili się przestraszeni ludzie. W jednej z szyb zobaczył swoje odbicie: nadal był blondynem i miał niebieskie oczy.

Pani Kilowskiej nigdzie nie dostrzegł. Widocznie pośpieszyła się. W domu czeka na nią umierająca, krwawiąca Hala i znajda, wokół znajdy fruwały szklanki, pękło coś z hukiem i trzaskiem, dwu takich istot nie można było za długo zostawić ze sobą, to jasne.

On też musi się pośpieszyć, pić mu się chciało. Herbaty z sokiem malinowym. Nie lubił zbierać malin, ale teraz musiał, bo babunia nie chciała wyjść z tej szafy.

Zbieranie malin, to było zawsze skaranie boskie. Po maliny chodzili gromadnie, w przodzie znajdował z panem Kilowskim, on — na końcu.

Na maliniaku trzeba było być przed świtem. Owoce jeszcze lekko przymglone poranną rosą miały więcej soku. W południe, kiedy przyświecało słońce były wysuszone na pieprz i do niczego. Najlepiej jak się zbierało po deszczu; maliny wtedy odżywały. Zapadali w leśne wykroty, po twarzach chlastały ich leśne, ostre trawy, w oczy wlepiały się pajęczyny. Pierwsze maliny stukają tak twardo i bezlitośnie o dno pustych kanek jak grudy ziemi padające na wieko trumny.



Po maliny do lasu nie chodziła tylko panna Władzia.  
— Hadrze jednej sypie się pieniądz prosto na pościel — mówiła pani Kilowska. — Nie musi zaoszczędzać.

Po maliny nie chodziła też Bakledowa. Pan Stasiulek za nią chodził zbierać. — Ona to dba o to, żeby się świniom na świecie dobrze wiodło i z karabinem na plecach ich po nocach pilnuje — mówiła pani Lala.

Kiedy doszedł do skraju lasu słońce było jeszcze wysoko, wszedł między drzewa, schylił się i wytarł dłonie o murawę. Zaczął się przedzierać do maliniska, pogubił się, zaczął się kręcić w kółko, ustalać gdzie wschód, gdzie zachód, a potem przypomniał sobie, że przecież jest wrzesień i na maliny za późno, już lepiej nazbiera grzybów.

Jak w domu już i tak tak długo na niego czekali, to trudno, poczekają jeszcze trochę, nie muszą wiedzieć, że stracił trochę czasu na przedzieranie się do maliniaka, jakby oszalał i nie wiedział, że we wrześniu zbiera się nie maliny ale grzyby. Ucieszą się grzybami i wszystko wybaczą, całe jego spóźnienie.

Grzybów też nie lubił zbierać, trzeba ich było tak uważnie szukać, zawsze się chowały pod podściółką, przy pniach, pod liśćmi, pod igliwem. Tylko czerwone muchomory jarzyły się zawsze wysoko i bezkarnie jak chińskie lampiony na tarasie willi ojca Franka: — Jak komuniści — pomrukiwał pan Kilowski.

Znalazł same podgrzybki, ani jednego prawdziwka, ale prawdziwki rosły w dębiaku, koło domu. Sprawdził podgrzybki, czy nie pieką w język jak się je nadgryzie delikatnie. Nie piekły.

Zapadał zmierzch, kiedy dochodził do domu. Tafla Jeziora zaszła już ciemnicą, ale dom stał: łazienki, sypialnie, piec centralnego ogrzewania, trochę na uboczu pracownia pana Kilowskiego, dalej, pod olchą, kawiarenka mała. Luwr i reszta. Tylko nie było niko-go.

Z płaskiego brzegu ledwo było widać przeciwległą skarpę. W czerwonej łunie, jaka pozostała na nieboskłonach po słońcu, lśniły czubki drzew.

Zrozumiał nagle, że nie ma nikogo, bo wszyscy się rozbiegli, żeby go poszukać. Tak długo nie wracał. Robiło się ciemno i bał się z kolei ich szukać, żeby się nie minęli w czerni nocy.

Położył się nad Jeziorą i zapatrzył w niebo. Podgrzybki pachnia-

ły ale zjeść na surowo ich nie mógł, zresztą nie chciał jeść sam, zjedzą je wszyscy razem.

Ucichło. Wiatr od czasu do czasu tylko kołysał drzewami, tocząc po ziemi suche liście. Niebo nabierało ciemnej barwy.

Tuż przy dłoni jakaś zapóźniona mrówka dźwigała przed sobą olbrzymie źdźbło trawy. Pokonywała przeszkody, próbowała wspiąć się na jego dłoń, nie udało się jej, wycofała się z trudem, ale ciężaru nie wypuściła ze szczęk.

Potem zniknęła w ściółce. W taflę Jeziora zabłyśły gwiazdy, pod wodą widać było jeszcze kamienne podpory i kamienną kolumnadę. Kolumny tkwiły obwieszane gwiazdami jak choinki bożonarodzeniowe.

Nie lubił Bożego Narodzenia, najpierw trzeba było długo pościć, a potem długo objadać się kapustą, kluskami z makiem i bez przerwy chwalić. Babka była bardzo łasa na pochwały.

Choinki nie wolno było tknąć, bo się zaraz paliła albo tłukły się poniemieckie bańki, osypywały się z niej szpilki.

Poza tym trzeba było śpiewać kolędy: babka strasznie zawodziła, ojciec zaś zawsze i niezmiennie, co roku, życzył im przy oplatku: — Do zobaczenia w wolnej Polsce.

Potem oplatek przyklejał się do podniebienia i ciężko go było odkleić.

Nie było nart, żeby sobie pojeździć z górki, były tylko łyżwy, tylko co było robić z tymi łyżwami jak nie było łyżwowiska. Pan Kilowski wyciągał szlauch z pralni i nalewał wody na podwórze, zapowiadał, że na mrozie, w nocy, podwórze zetnie się na lodowisko pierwsza klasa, i tak się raz stało, ale rano trzeba było zasypać lodowisko żużlem z pieców i popiołem, bo kto szedł po nim, to się wywracał, pani Lala omal nogi nie złamała, a znajda zaczęła się czołgać na czworakach. Babka się śmiała:

— Nie rozpaczaj wnusiu, dla ciebie jednego nie może być takiej wygody, wygoda ma służyć wszystkim, poczekaj aż Jezioro się zetnie, zobaczysz co to będzie za jazda.

Postanowił, że nie będzie niecierpliwy i poczeka. Czeka tak długo, to jeszcze poczeka, ma przecież dla nich grzyby na kolację. Oni są w gorszej sytuacji. Oni go szukają, a on tylko czeka.

Zachciało mu się pić, bolały opuchnięte wargi, zastanowił się, czy ma takie same jak ojciec podbite i podczernione oczy, chyba jednak nie, w wystawowej szybie nie widać było niczego takiego.

Podczołgał się ku hyskającej w świetle księżycy wody i lknął jej

trochę. Była słodka. Zemdlilo go. Skulił się w kłębek, włożył ręce pod pachy i zasnął.

Kiedy się obudził, świtało. Wiał wiatr, było jeszcze ciemnawo, gwiazdy zbladły, był skostniały z zimna i przerażony skąd się wziął na brzegu Zatopionego Jeziora. Wkoło las i ta wieża czarna od środka, twarda i szklista.

Chciał uciec, ale nie mógł, nie mógł nawet wyjąć rąk spod pach. Kark miał sztywny. Mógł tylko wodzić oczami jak Hala. Łaziły po nim mrówki. Z trudem odwrócił głowę, żeby popatrzeć na boki. Wnętrzaści paliły, dygotał z zimna i gorąca.

Czekał na promień słońca. Myślał, że umiera i nigdy go nie odnajdą. Chciał się napić wody ale nie potrafił się doczłgać. W końcu rozkołysał ciało i jakoś się doturlał do Jeziora. Spękanymi wargami dotknął lustra wody, woda sparzyła go. Była gorąca jak śnieg, kiedy się weń włoży zziębnięte na mrozie dłonie. W żołądku zaległa mu jednak zimną stalową masą, której nie mógł zwymiotować.

Niebo poszarzało, powietrze poszarzało, trawy, ziemia i drzewa poszarzały, tała Jeziora też. Zaczęły gwizdać ptaki. Wiatr wzmógł się, szarpnął bambusowymi trzcinnami, znad winnicy doleciał zapach dzikiej mięty i piołunu, ucieszył się, że poczuł zapachy i usłyszał gwizdanie pana Boga, to znaczyło, że nie umiera i że się wszystkich doczeka, miał przecież dla nich prezent, jak będą go tak długo szukali, to popsują się grzyby, zapachniało kawą, wyszło słońce, oświetliło kawiarenkę i wątłą damę z wklęsłymi policzkami. Policzki ocieniał jej duży, biały kapelusz. Też chętnie by usiadł w cieniu jej kapelusza, wypił kawy, przeczytał gazety, ale wiedział, że dama czeka na pana Kilowskiego, nie wypadło tak znienacka podchodzić i przysiądać się, kiedy on jej szuka i nie wie, że dama już przyszła.

Postanowił czekać spokojnie, było pięknie, lazurowe fale omywały złoty piasek.

Przyszli dopiero po kilku dniach i nocach. Nadeszli wszyscy razem, noc rozjarzyła się blaskiem, na przodzie szła białowłosa dziewczyna w srebrzystej sukni – to jego prawdziwa matka, za nią babka w koronkach i pluszowym czerwonym kapeluszu, znajda, ojciec, pani Kilowska w pożyczonej od pani Bakledowej czarnej spódnicy, pan Stasiulek pokrzykiwał – ahoj, przyszły nawet Hala i Frania. Nawet panna Władzia, bardzo piękna bez warkoczy i z chłopięcą figurą, na

wysokich obcasach. Nie widział tylko pani Bakledowej i mateczki Eli-zy. Ale wkrótce i one nadeszły.

Wszyscy mieli duże świetliste skrzydła.

Pochylili się nad nim. Ojciec powiedział: znaleźliśmy cię wreszcie, synu.

1980

Pierwodruk: PoMOST, 1990

## SPIS TREŚCI

Czarna iluminacja . . . . .	5
Madam Frankensztajn . . . . .	101
Historia choroby, historia żałoby . . . . .	181